ROMAN DYBOSKI

# STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI PÓŁNOCNEJ

WRAŻENIA I REFLEKSJE

K S I Ą Ż N I C A - A T L A S
ZJEDNOCZ. ZAKŁADY KARTOGRAF. I WYDAWNICZE
TOW. NAUCZ. SZK. ŚREDN. I WYŻSZ., S. A.
LWÓW-WARSZAWA
1930

2257


ZAKŁADY GRAFICZNE SKI AKC. KSIĄŻNICA-ATLAS WE LWOWIE

# PRZEDMOWA.

Genezę książki niniejszej przedstawiłem w rozdziale wstępnym „Ameryka w świecie dzisiejszym“. Jej tendencję zaś — bo pewną tendencję jednak moje doświadczenia amerykańskie podyktowały — cierpliwy czytelnik znajdzie wyrażoną w rozdziale końcowym „Ameryka a Europa“.

Oddając książkę do druku, zdaję sobie w całej pełni sprawę z jej niedoskonałości jako przyczynku do naszej literatury antropogeograficznej. Warunki mojego dwukrotnego pobytu w Ameryce, streszczające się w ciągłej i natężonej pracy odczytowej na dwa fronty, bo przed audytorjami amerykańskiemi i polskiemi, nie sprzyjały systematycznej i wszechstronnej obserwacji kraju i ludzi. A uzupełnienie własnych spostrzeżeń przez lekturę było tylko w ograniczonej mierze możliwe. Nie byłoby zresztą mogło w żadnym razie objąć przeważającej części tej bibljografji książek o Ameryce, która dziś z ogromną szybkością we wszystkich językach zachodnich narasta. Musiałem przytem liczyć się i z tą okolicznością, że pisząc o przedmiocie ze świata współczesnego, i to o przedmiocie znajdującym się w toku tak raptownych i olbrzymich przemian jak Ameryka, z każdym dniem opóźnienia narażam się na zaskoczenie przez nowe wypadki, które mogłyby mnie zmusić do gruntownej rewizji całych obszernych partyj mojej pracy.

Wypadło zatem puścić w świat książkę wykończoną tak, jak w danej sytuacji wykończyć ją było można.

Ze względu na wielką doniosłość wszech rzeczy amerykańskich dla wszystkich dziedzin naszego życia europejskiego i polskiego starałem się objąć jak najszerszy krąg zjawisk społecznych, choć przez to niewątpliwie popadam w niebezpieczeństwo krytyki fachowej ze strony specjalistów na różnych polach. Moją obroną niech będzie, że chodziło mi o obudzenie ogólnego zainteresowania w szerszych kołach dla doniosłych problemów naszego stosunku do Ameryki.

Drugiem mojem naczelnem dążeniem było znaleźć złoty środek między temi ostatecznościami, w jakie zwykle popadają Europejczycy piszący o Ameryce, mianowicie między bezkrytycznym entuzjazmem z jednej a bezpłodną krytykomanją z drugiej strony. Jeżeli moja postawa nie zadowoli z tych lub owych względów niektórych czytelników po obu stronach oceanu, może nawet niektórych moich przyjaciół i tu i tam, to w każdym razie mam poczucie, że pozostałem w zgodzie z własnem sumieniem.

Po tych ogólnych uwagach, które uważałem za obowiązek lojalności wobec czytelnika, spełniam drugi i daleko milszy obowiązek wdzięczności, stawiając tu na czele książki wyrazy podziękowania dla wszystkich, którzy jej powstanie umożliwili i ułatwili. Pierwsze wśród nich miejsce należy się mojemu szanownemu przyjacielowi, niestrudzonemu dyrektorowi Fundacji Kościuszkowskiej, profesorowi Stefanowi P. M i e r z w i e w Nowym Yorku. Bez jego inicjatywy i mozolnej przygotowawczej pracy mój objazd odczytowy po uniwersytetach amerykańskich nie byłby wcale doszedł do skutku, bez jego ciągłych rad i wskazówek moja robota w Ameryce nie byłaby się ani w połowie

dała, bez wszechstronnych informacyj z jego strony i ta siążka byłaby pozbawiona w znacznej części swej faktyczej podstawy. Jeżeli książka przyczyni się choć w drobnej ıierze do zbliżenia kulturalnego polsko-amerykańskiego europejsko-amerykańskiego, będzie to dla mnie radością łównie dlatego, że przez taki wynik moich usiłowań spłailbym choć cząstkę długu moralnego, do którego się wobec rofesora Mierzwy osobiście i wobec Fundacji Kościuszkowkiej poczuwam.

Żywą i szczerą wdzięczność dalej pragnę wyrazić chicaoskiemu stowarzyszeniu polskiemu *Chicago Society* i jego wczesnemu prezesowi, P. Szmergalskiemu, za złożenie na ęce władz Uniwersytetu Chicagoskiego trzymiesięcznej płacy rofesorskiej dla mnie, która umożliwiła cały trymestr moich ykładów uniwersyteckich w Chicago, a zarazem liczne dczyty angielskie i polskie poza uniwersytetem. A przeież bez dłuższego pobytu w Chicago także pisanie książki Ameryce dzisiejszej byłoby przedsięwzięciem chybionem.

Wreszcie winienem podziękowanie osobne tym władzom olskim, które mi dały możność poznania Ameryki i pracy a terenie amerykańskim. A więc Uniwersytetowi Jagiellońkiemu oraz Ministerstwu Oświaty za udzielenie mi pozebnego urlopu, Ministerstwu Spraw Zagranicznych i Miisterstwu Pracy i Opieki Społecznej za ułatwienie mi rzejazdów morzem przez przyznanie mi konwojentur na tatkach, wreszcie naszej Ambasadzie w Washingtonie Konsulatom Generalnym w Stanach Zjednoczonych i w Kaadzie za życzliwe poparcie w mojej amerykańskiej pracy. niennie niech mi będzie wolno z wyrazami głębokiej szczerej wdzięczności za gościnność i pomoc wymienić astępujących naszych przedstawicieli w Ameryce: Pp. min. iechanowskich i ich następców Pp. amb. Filipowiczów

w Washingtonie, P. E. J. Rozwadowskiego wraz z małżonką i jego następcę P. M. Marchlewskiego w Nowym Yorku, P. Kurnikowskiego i jego następcę P. Szczepańskiego wraz z żoną, oraz Pp. Kaleńskiego i Łęckiego w Chicago, P. Rosickiego w Buffalo i jego obecnego tam następcę P. T. Marynowskiego, Pp. Kozłowskiego i Lipaczyńskiego w Detroit, P. Ocetkiewicza w Pittsburgu, P. Straszewskiego w Montrealu (który, jako syn krakowskiego profesora, szczególnie serdeczną otoczył mnie opieką), wreszcie — *last not least* — P. Wojciecha Nałęcz-Morawskiego, który i jako były pierwszy prelegent polski w Uniwersytecie *Columbia* w Nowym Yorku i jako obecny tamtejszy przedstawiciel P. A. T., nader pożyteczną mi służył radą i pomocą.

Serdeczną mą wdzięczność za gościnność i życzliwość całych tych dwóch sfer społecznych, z któremi głównie się w Ameryce stykałem, t. j. świata uniwersyteckiego i naszego wychodźtwa, niech dokumentują te dwa najobszerniejsze rozdziały książki (XI i XII), które tym dwom światom poświęciłem. Że do najważniejszych i zarazem najmilszych moich przeżyć w Ameryce zaliczam godziny spędzone wśród tego żywiołu, w którym się oba owe światy stykają, t. j. wśród młodzieży akademickiej amerykańskiej pochodzenia polskiego, to w książce samej dobitnie wyraziłem, a tu powtarzam z gorącą w sercu miłością dla tych moich młodych przyjaciół. Szczęść im Boże!

*

Za szybkie i sprawne sporządzenie odpisu maszynowego książki, a przez to przyśpieszenie jej publikacji, zobowiązany jestem mojemu młodemu ziomkowi ze Śląska Cieszyńskiego, p. Rudolfowi Ramszy, studentowi Uniwersytetu Jagiellońskiego.

## Wstęp.

# Ameryka w świecie dzisiejszym.

Jeden z pierwszych kanclerzy powojennych Niemiec, dr. Cuno (znany jako prezydent linji okrętowej hambursko-amerykańskiej), rozprawiając raz z naszym socjologiem, L. Kulczyckim, o zagadnieniach współczesnej polityki europejskiej, przeciął rozmowę zrezygnowanym zwrotem: „Zresztą — Anglja, Francja, Niemcy, Polska — to wszystko już historja; dzień dzisiejszy i jutrzejszy — to Ameryka i jej hegemonja nad światem“.

To poczucie górującego znaczenia Ameryki dla losów całej ludzkości w naszych czasach już od początku XX wieku coraz wyraźniej i coraz silniej musiało się narzucać każdemu inteligentnemu obserwatorowi wypadków współczesnych. Jeszcze pod koniec wieku XIX, gdy z okazji wystawy w Chicago w r. 1893 i przy innych sposobnościach, szerzyły się w Europie fantastycznie brzmiące wiadomości o postępach kolonizacji wewnętrznej w Stanach Zjednoczonych, o rozwoju miast, o tempie uprzemysłowienia, o narastaniu bogactw, Europejczyk słuchał tego wszystkiego z zainteresowaniem dość umiarkowanem, jako wieści z jakiegoś innego, odległego, wielce egzotycznego świata, który z naszym niewiele miał wspólności, styczności i łączności. Prawda, była Ameryka już od kilku dziesiątków lat nienasyconym rezerwuarem wszelkich nadwyżek i nieużytków ludnościowych Europy: wchłaniała te masy w siebie,

napozór bardzo szybko asymilowała i zużytkowywała na cele swojego ekonomicznego rozwoju, ale prócz pieniędzy, któremi zasycali swoje biedne społeczeństwa i często podniecali wśród nich ruch narodowy (jak Irlandczycy lub Ukraińcy), emigranci mało dawali zbiorowych znaków życia i nie przyczyniali się naogół do wytworzenia w głowach europejskich pojęcia o jakimś żywotniejszym związku między rozwojem Ameryki a przeznaczeniami Europy.

Wojna hiszpańsko-amerykańska w r. 1898 była pierwszym grzmotem, który wstrząsnął świadomością Europy i pouczył ją, że na fundamencie bogactwa i ogromu terytorjalnego zaczyna wyrastać potęga polityczna o światowem znaczeniu. Jak się dziś okazuje, nie mylili się wtedy ci, którzy we wzięciu do niewoli admirała hiszpańskiego przez dowódcę floty amerykańskiej widzieli symbol nadchodzącej kapitulacji historycznych sił Europy przed nową potęgą za oceanem. Dalsze symptomy szły szybko po sobie i coraz szerszy obejmowały zakres: rola Ameryki w likwidacji wojny rosyjsko-japońskiej, dalej ugruntowana na potężnych interesach ekonomicznych, wzrastająca ingerencja polityczna w Ameryce łacińskiej, w Chinach (gdzie dzisiejszy nacjonalizm dojrzał pod opieką amerykańską), wreszcie otwarcie kanału Panamskiego, a z nim perspektyw na współzawodnictwo mocarstw na oceanie Spokojnym, jako najistotniejszy proces historyczny nadchodzącej ery. Po tem wszystkiem decydujący udział Ameryki w wojnie światowej mógł być niespodzianką już tylko dla ludzi o widnokręgu zaściankowym. Ale okazało się, że taki poniekąd był widnokrąg całej Europy, i objawienie całej mocarstwowej mocy Ameryki oszołomiło i zdumiało świat europejski. Tak, jak sto lat przedtem nieznana prawie dotąd na zachodzie Europy Rosja nagle wystąpiła na arenę

światową jako wybawicielka narodów europejskich od jarzma napoleońskiego, tak teraz Ameryka ostatecznie weszła w europejski horyzont jako dominująca potęga, gdy pomogła złamać imperjalizm Hohenzollernów. I jak sto zgórą lat przedtem car Aleksander na kongresie wiedeńskim, tak teraz prezydent Wilson był witany w Paryżu jako mesjasz Europy; jak tamten, tak i ten mesjanizmu politycznego sam był pełny; jak tamten Święte Przymierze, tak ten stworzył Ligę Narodów jako ostoję nowego systemu równowagi europejskiej; jak tamten, tak i ten wreszcie nie okazał się prorokiem we własnej ojczyźnie...

Jak po kongresie wiedeńskim rychło rozwiały się w Europie złudzenia, że nową międzynarodową potęgę Rosji witać należy z entuzjazmem jako *lux ex Oriente*, tak dziś w dziesięć lat po pokoju wersalskim Europa bardzo się już oddaliła od pierwszych zachwytów nad mesjańską rolą Ameryki w sprawach światowych. Oddalił się od tych entuzjazmów przynajmniej stanowczo Zachód Europy, z powodów przedewszystkiem ekonomicznej natury. Pod koniec XIX wieku jedynym może żywotnym motywem zainteresowania się Ameryką w krajach kapitalistycznych Europy zachodniej była jej nadzwyczajna chłonność jako terenu dla inwestycyj; Ameryka, rozwijająca się w tempie szalonem, była rekordowym dłużnikiem wszystkich wielkich wierzycieli na świecie. W wieku XX, a ostatecznie w trakcie wojny światowej, stosunek ten zmienił się szybko i do gruntu: Ameryka w ciągu lat kilkunastu z największego na świecie dłużnika stała się największym wierzycielem, a wszyscy jej dawni wierzyciele są dziś ciężko u niej zadłużeni [1]). Otóż

[1]) Ogólne zadłużenie reszty świata u Ameryki (z wliczeniem długów wojennych w ich obecnej wartości na zasadzie 5 od sta) szacują rzeczoznawcy na 14 miljardów dolarów. (*Times* z 9 sierpnia 1929).

Ameryka po wojnie mimo pokaźnej redukcji samej sumy długów okazała się co do warunków ich płacenia werzycielem wysoce bezwzględnym: nie zgadza się na uzależnienie spłat od świadczeń reparacyjnych niemieckich — ku szczególnemu zmartwieniu Francji, militarnie zwycięskiej, ale gospodarczo zgnębionej. Ameryka dalej na opoce swego bogactwa nieprzeparcie buduje największą w świecie potęgę morską — ku szczególniejszemu znowuż zmartwieniu Wielkiej Brytanji, która dotąd „władała wodami“. Ameryka następnie ogromnie powiększa trudności ekonomiczne zbiedzonej powojennej Europy przez zupełne prawie zamknięcie swych granic dla immigrantów — ku szczególnemu zmartwieniu Włoch. Ameryka wreszcie, narzucając całemu światu masowo takie swoje wyroby przemysłowe, jak filmy i automobile, sama odgradza się od wyrobów obcych coraz wyższym murem ceł ochronnych — ku zbiorowemu zmartwieniu wszystkich państw uprzemysłowionych; a w samych tych państwach — nietylko w Niemczech, powstających po wojnie do nowego życia przemysłowego na fundamencie kapitałów amerykańskich, ale i gdzie indziej — faktycznie coraz więcej przedsiębiorstw przemysłowych przechodzi w ręce amerykańskie poprostu drogą wykupu. Ponad to wszystko jeszcze Ameryka, z której wyszła idea stworzenia Ligi Narodów, sama do niej nie należy i starannie umywa ręce od wszelkich problemów politycznych, wynikających z nowego ustroju Europy, stworzonego wszakże z jej współudziałem; z drugiej strony zaś z misjonarskiem namaszczeniem głosi całemu światu czysto abstrakcyjną doktrynę pacyfistyczną w postaci paktu Kellogg'a, a *de facto* przez swoich „obserwatorów“ i ekspertów wywiera nieurzędowo wpływ decydujący we wszystkich wielkich sprawach międzynarodowych powojennego świata. Wobec tej

postawy politycznej pewne rozczarowanie musi ogarnąć jeszcze daleko szerszy krąg państw europejskich niż te, które mają wspomniane powyżej zmartwienia mniej lub więcej ekonomicznej natury.

Mimo tak poważnych podstaw do zniechęcenia, zauważyć można, że w miarę, jak się posuwamy na wschód po nowej mapie Europy, nastroje w stosunku do Ameryki są naogół coraz przychylniejsze. Na wiosnę 1929 r. przewodnicząca międzynarodowej żeńskiej organizacji pomocniczej przy Związku Kombatantów Wojny Światowej („FIDAC“), pani Macauley z Ameryki, witana przyjaźnie w Krakowie, ze zdziwieniem stwierdziła, że w Czechach i Polsce przyjmowano ją daleko życzliwiej, niż we Francji i Belgji, które przecież doznały czynniejszej i wydatniejszej pomocy Ameryki w czasie wojny.

Przyczyn tej różnicy w usposobieniu wobec Ameryki między Zachodem a Wschodem nowej Europy daleko szukać nie trzeba. Państwa odbudowane przez wojnę, jak Czechy i Polska, nie dźwigają tego ciężaru długów wojennych, zaciągniętych u Ameryki, pod któremi jęczą Anglja i Francja. Przeciwnie, doznały, szczególnie po wojnie, znacznych dobrodziejstw materjalnych ze strony różnych misyj amerykańskich i poczęści doznają ich jeszcze przez przedłużoną działalność takich instytucyj, jak Y. M. C. A. lub organizacja kwakierska. Wreszcie doznały skutecznej pomocy w trudnych chwilach początkowych swojego nowego bytu przez pożyczki na cele państwowe i przemysłowe.

Powtóre zaś dla tych państw potęga polityczna dzisiejszej Ameryki nie jest groźną konkurencją, jak dla wielkich mocarstw zachodnio-europejskich, ale może im nawet być raczej pożądaną, jako przeciwwaga przeciw temu „trustowi“ kilku wielkich państw, jakim w praktyce stała się Liga

Narodów. Poza temi oczywistemi momentami gospodarczemi i politycznemi leżą jednak głębsze, psychologiczne. Cały powojenny świat europejski, targany dreszczami głębokich i zasadniczych przesileń politycznych i społecznych, gorączkowo szuka wzorów dla organizacji swej struktury państwowej i socjalnej. Wielka prawda, zawarta w melancholijnem rosyjskiem przysłowiu „Szczęście tam, gdzie niema nas“, w życiu narodów wyraża się w ten sposób, że każdy z nich stara się dostrzec gdzieś w świecie jakiś inny, wyposażony w te rysy doskonałości, których brak u siebie boleśnie odczuwa. Otóż narody, długo i forsownie karmione mądrością niemiecką i doktryną o wyższości Niemiec — jak Czesi i Polacy — przez naturalną reakcję szukają teraz intensywniejszego kontaktu z dalszym Zachodem i tam są skłonne dopatrywać się owych wcielonych ideałów doskonałości społecznej, na których pragnęłyby wzorować swe nowe życie. Że zaś bliskość geograficzna pozwoliła nam przez pierwsze dziesięć lat powojennych jednak dostatecznie sobie uświadomić, iż dzisiejsza Francja i dzisiejsza Anglja ciężko laborują na niedomagania podobne do naszych własnych i jako absolutne przykłady mniej niż kiedykolwiek służyć mogą, a *ultima ratio* faszystowskich Włoch, jak powiedział sam Mussolini, do przeszczepienia ryczałtem na inny grunt się nie nadaje, nic więc dziwnego, że tęskny wzrok wybiega aż za Atlantyk, i że odległa i mniej nam znana Ameryka, imponująca dobrobytem, tryskająca zadowoleniem z siebie, wreszcie sama bezustannie głosząca swą doskonałość, staje zkolei na piedestale w roli bożyszcza. „Racjonalizacja pracy w przemyśle na sposób amerykański“, „prezydjalny ustrój państwowy na sposób amerykański“, „metody psychologiczne w wychowaniu na sposób amerykański“, „wyłączenie religji z polityki na sposób

amerykański", „sąd najwyższy jako trybunał konstytucyjny na sposób amerykański" — oto kilka tylko najpoważniejszych haseł, które nietylko u nas, ale i we wielu innych krajach Europy dziś najgłośniej się rozlegają. A jeszcze głośniej od nich rozbrzmiewa wokoło zgiełk małpiego naśladowania różnych, czysto zewnętrznych cech dzisiejszego życia amerykańskiego, jak hałaśliwy i sensacyjny styl w dziennikarstwie lub niemniej hałaśliwa i sensacyjna muzyka, towarzysząca modnym tańcom murzyńskim. Ale i owe poważne hasła ideowe w swem ogólnikowem ujęciu świadczą o idealizującej sile tego oddalenia, jakie nas od Ameryki dzieli, świadczą także o prostoduszności, z jaką urządzenia, specyficznie amerykańskie i tylko w amerykańskich warunkach możliwe, chcianoby zastosować w naszej biednej Europie jako wszechpotężne lekarstwa na jej specyficzne boleści.

A przecież my Polacy, dzięki szczególnie licznej naszej emigracji w Ameryce, powinniśmy znać ją głębiej i spoglądać na nią rozważniej, ponadto zaś dzięki naszemu osobliwemu położeniu geograficznemu, które tyle złego nam przyniosło, ale i do tylu wielkich rzeczy nas natchnęło, powinniśmy przez porównanie lepiej od innych zdawać sobie sprawę z tego, jakie zasadnicze cechy odróżniają od zbiorowiska narodów europejskich te dwa największe i najważniejsze dla Europy organizmy polityczne, które w dzisiejszym świecie poza jej obrębem stoją, mianowicie z jednej strony Stany Zjednoczone, z drugiej Rosję sowiecką.

Samo zestawienie Ameryki z Rosją wyda się niejednemu czytelnikowi tych słów czemś w rodzaju bluźnierstwa. A jednak dla tego, kto przez zrządzenie losu miał sposobność spędzić dłuższe okresy czasu pokolei pośród obu tych społeczeństw, analogje między niemi są oczywiste

i obejmują szeroki zakres zjawisk, od geografji i gospodarstwa do psychologji i obyczajów.

Przedewszystkiem więc mamy w każdym z obu tych wypadków do czynienia z olbrzymim, zjednoczonym obszarem geograficzno-politycznym poza systemem europejskim; w obu wypadkach jest to obszar gospodarczo niemal zupełnie samowystarczalny, niezmiernie bogaty w zasoby naturalne i przedstawiający gigantyczne możliwości rozwoju ekonomicznego. W obu wypadkach dalej jest to obszar, mimo nader różnorodnego składu rasowego ludności, zdumiewająco silnie ujednostajniony pod względem zewnętrznych form życia, a nawet i wewnętrznej psychiki ludności. Od białoruskiego i ukraińskiego pogranicza nad Dźwiną i Dnieprem aż do mongolskich i chińskich kresów za Bajkałem i nad Amurem zapanowały z biegiem wieków język rosyjski i prawosławie; od Bałtyku i morza Czarnego do oceanu Lodowatego i Pacyfiku taki sam w głównych swych zarysach jest inteligent, taki sam i mużyk; nietylko tak samo się przyjęły rubaszka, samowar i łaźnia domowa, ale rozpowszechniła się dziwnie jednolita umysłowość, ta nawpół wschodnia i w swej filozofji i w swej bierności umysłowość rosyjska, której kwintesencją jest fatalistyczne *niczewo*. Tak samo w Ameryce od śladów kultury hiszpańskiej w Kalifornji do wyraźniejszych śladów kultury francuskiej w Nowym Orleanie, od różnoplemiennych mrowisk ludzkich w Nowym Yorku i Chicago do nowszych mrowisk w San Francisco i Los Angeles, od skupień przemysłowych na Wschodzie do wielkich otwartych przestrzeni rolnych, ciągnących się w zachodniej stronie ku podnóżu Gór Skalistych, wszędzie wszechwładnie panuje język angielski w jego amerykańskiej odmianie, wszędzie góruje sekciarski protestantyzm w różnych formach, ale jednakowy duchem,

wszędzie ten sam gorączkowy pośpiech życia, wypełnionego produkcją materjalną, ta sama krzykliwa wiara w amerykańską sprawność i w coraz dalszy postęp dobrobytu, ta sama szeroka gościnność (podobna do rosyjskiej) i ta sama (nie obca i Rosji) drastyczna, ryczałtowa i bezceremonjalna towarzyskość, ten sam aż do monotonji strój, sprzęt i codzienny tryb życia, ta sama słowem — by użyć modnego dziś w całym świecie amerykańskiego wyrazu — „standaryzacja" rzeczy, myśli i ludzi.

Z takiej jednolitości w życiu wielkich mas narodu na rozległem terytorjum wynikły i w Ameryce i w Rosji pewne osobliwe i odmienne od typowo europejskich nastawienia myślowe, a więc nawyk do myślenia w kategorjach wielkich liczb przestrzennych i ilościowych, do stawiania zagadnień na wielką skalę i do szerokich uogólnień; pewien maksymalistyczny rozmach w wytykaniu celów i roztrzyganiu problemów, przytem przyzwyczajenie do operowania pojęciami zbiorowości, zanik zmysłu dla wartości cech indywidualnych osobowości czy małej grupy, skłonność do ujmowania całego na świat poglądu w formuły społeczne, wreszcie — to już głównie u Amerykanów i pod wpływem rozpowszechnienia maszyn — mechanicznie ilościowy raczej niż jakościowy typ wszelkiego myślenia i rozumowania, wyradzający się nieraz w gruby i elementarny materjalizm. Moskalowi od jego przepastnych dumań mistyczno-metafizycznych zawsze także jakoś dziwnie blisko było do najskrajniejszego materjalizmu, tak jak Amerykaninowi od radykalnej egzaltacji wierzeń religijnych blisko jest do czysto materjalnych kalkulacyj dolarowych w kantorze czy w fabryce. Oba kraje wciąż na nowo zdumiewają nas biegunowemi przeciwieństwami, które się w życiu i umysłach ich narodów obok siebie mieszczą; oba narody

wyjaskrawiają te przeciwieństwa przez wrodzony jakiś pęd ku skrajnościom i ostatecznościom. Ameryka i Rosja, każda na swój sposób, są krajami rekordów. Dziś rewolucyjna Rosja, przechyliwszy się gwałtownie od ekstremizmu mistycznego ku ekstremizmowi materjalistycznemu, marzy o rekordach amerykańskich i chce amerykańskiemi sposobami zmechanizować kraj, życie, ludzi i ducha.

Marzenia te dotychczas żadnego trwałego dodatniego rezultatu nie wydały. Przy wszystkich bowiem podobieństwach w podstawowych danych geograficznych i zasadniczem nastawieniu myślowem Ameryka i Rosja znajdują się przecież — o tem zapominać nie trzeba — na diametralnie przeciwnych stanowiskach w rozwoju gospodarczym. Z jednej strony widzimy najkonsekwentniej rozwinięty ustrój kapitalistyczny na świecie, z drugiej — najradykalniej socjalistyczny. W rezultacie, z jednej strony mamy niebywały w dziejach świata poziom powszechnego dobrobytu, z drugiej — równie niebywałą w swym ogromie ruinę ekonomiczną. Każdy Amerykanin w najbardziej kapitalistycznem ze społeczeństw dzisiejszych jest sam — przynajmniej na małą skalę — kapitalistą; każdy Rosjanin, w kraju „dyktatury proletarjatu“, stał się w najboleśniej dosłownem znaczeniu wyrazu proletarjuszem. Tam każdy zosobna obywatel — w zasadzie przynajmniej — może zostać wszystkiem, tu każdy obywatel — w zasadzie właśnie — wobec społeczności zawsze pozostaje niczem.

W pośrodku między kolosem kapitalistycznym a kolosem socjalistycznym biedna, skłócona do głębi, pełna fermentów i problemów, niepewna drogi i strwożona o swe jutro — Europa powojenna. Istotę tego dzisiejszego widowiska na wielkiej scenie świata najśmielej może ujął niedawno znakomity socjolog francuski, Lucien Romier, gdy

odważył się powiedzieć, że Europa w swej depresji ekonomicznej po wojnie światowej z tego centralnego i twórczego czynnika, jakim dawniej była w systemie cywilizacji ludzkiej, przemienia się coraz bardziej w bierny przedmiot walki o to, czy się ma stać „sferą wpływów“ Ameryki czy też Rosji. Napoleon niegdyś wróżył, że za lat pięćdziesiąt Europa będzie republikańską lub kozacką. Niespełnioną dotąd jego wróżbę mógłby dziś ktoś podjąć, dowodząc, że pół wieku po nas Europa będzie do cna zamerykanizowana lub do cna zbolszewizowana. Ja osobiście ani w jedną ani w drugą alternatywę nie wierzę, bo zachowuję wiarę w niespożytą twórczą aktywność kultury europejskiej, nawet po katastrofie, jaką przeszła. Ale właśnie dlatego rzetelne zastanowienie się nad obu wielkiemi pozaeuropejskiemi czynnikami uważam za moralny obowiązek każdego „dobrego Europejczyka“; w szczególności w danej chwili uważam za rzecz żywotną, byśmy się starali w Europie należycie zdać sobie sprawę ze znaczenia olbrzymiego fenomenu amerykańskiego i dojść do pewnych wniosków co do wzajemnego oddziaływania, ewentualnie co do możliwości współpracy między Europą a Ameryką. Usiłowań w tym kierunku na zachodzie Europy nie brak. We Francji po fundamentalnej pracy, jaką poświęcił Ameryce dzisiejszej André Siegfried[1]), zajął się problemem jej stosunku do Europy w głośnych studjach wspomniany już Lucien Romier[2]), a wiele światła na samo życie i kulturę Ameryki rzucili w swych pracach francuscy profesorowie, którzy wykładali w amerykańskich uniwersytetach: Régis Mi-

---

[1]) *Les États-Unis d'aujourd'hui* (Paryż, Colin, 1927).

[2]) *Qui sera le maître? l'Europe ou l'Amérique?* (Paryż, Hachette, 1928). — *L'homme nouveau* (Paryż, Hachette, 1929).

chaud[1]), Franck L. Schoell[2]) i Fortunat Strowski[3]). Obok nich najwybitniejszy może przyczynek francuski do znajomości Ameryki w Europie dał w ostatnich czasach ze zgoła innego punktu widzenia robotnik fabryczny, H. Dubreuil, który spędził po kilka miesięcy na pracy w różnych wielkich zakładach przemysłowych amerykańskich i po powrocie w niezwykle ciekawej książce przedstawił swoje wrażenia[4]).

W Niemczech studja amerykańskie, ze względu na liczną w Ameryce emigrację niemiecką, kwitną zdawna; owocem samej tej emigracji wszakże było z początkiem naszego stulecia sławne, tłumaczone na wiele języków dzieło Niemca amerykańskiego, profesora Münsterberga, *Die Amerikaner*. Po wojnie książek niemieckich o Ameryce pojawia się mnóstwo: jako próbę syntezy warto wyszczególnić studjum M. J. Bonn'a[5]), jako zbiór encyklopedycznych informacyj pożyteczną książkę anglisty drezdeńskiego, W. Fischer'a[6]).

U nas w Polsce ostatnie lata przyniosły kilka tomów wspomnień i wrażeń ludzi, którzy w tym lub owym charakterze Amerykę zwiedzili i z różnych stron jej życie

---

[1]) *Ce qu'il faut connaître de l'âme américaine.* (Paryż, Boivin, 1929).

[2]) *U. S. A. du côté des blancs et du côté des noirs.* (Paryż, Champion, 1929).

[3]) *La Bruyère en Amérique.* (Paryż, Tallandier, 1929).

[4]) *Standards. Le travail américain vu par un ouvrier français.* (Paryż, B. Grasset, 1929, w serji „Les Écrits").

[5]) *Amerika und sein Problem.* Monachjum, Meyer & Jessen, 1925. Ostatnio, po objeździe odczytowym, wydał obszerną książkę o Ameryce znany niemiecki filozof, Hermann Keyserling (*America Set Free*, Harper, N. York, 1929).

[6]) *Hauptfragen der Amerikakunde (Neuphilologische Handbibliothek, Nr. 3).* Bielefeld i Lipsk, Velhagen i Klassing, 1928.

społeczne poznali[1]); do tej kategorji książek także niniejszy zbiór osobistych impresyj z siedmiomiesięcznych wędrówek odczytowych po Stanach Zjednoczonych ma być przyczynkiem.

Jest jednym z objawów siły ekonomicznej Stanów Zjednoczonych w chwili obecnej, że mogą do swych uniwersytetów i stowarzyszeń sprowadzać bezustannie wielką ilość prelegentów z różnych stron świata. Prelegenci tacy — europejscy, chińscy, hinduscy, japońscy i inni — wciąż sobie podają klamkę w przeróżnych instytucjach amerykańskich, i prawdopodobnie chaotycznej obfitości sprzecznych informacyj, podawanych w ich wykładach, przypisać należy poczęści obojętność przeciętnego Amerykanina wobec problemów międzynarodowych Starego Świata. W każdym razie powiedzieć nie można, by Ameryka cierpiała na niedostatek informacyj o tych problemach: raczej otrzymuje ich za dużo i zbyt różnorodnych duchem i pochodzeniem. Gdzie przedstawiciele tylu narodów na przeróżne tony mówią o ich dziejowej przeszłości, teraźniejszem położeniu i przyszłych aspiracjach, o ich życiu kulturalnem, religijnem, społecznem i gospodarczem, tam nie powinno było braknąć i nas; tymczasem o Polsce od pamiętnych wystąpień mistrza Paderewskiego w czasie wojny i kilku przygodnych jego przemówień późniejszych nikt do audytorjów amerykańskich nie mówił. Objazd odczytowy po Ameryce należy

[1]) Zdzisław Dębicki: *Za Atlantykiem*, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1921. — Janusz Makarczyk: *U. S. A. Obrazki z Ameryki powojennej*, Bibljoteka dzieł wyborowych, Nr. 63, Warszawa, 1925. — Prof. Juljan Makarewicz: *U. S. A. Kartki z podróży po Stanach Zjednoczonych*, Lwów, Ateneum, 1929. — Ks. Józef Kłos: *Na drugiej półkuli*, Poznań, Księg. św. Wojciecha, 1929. — K. F. Wize: *Ameryka* (wierszem), Poznań, 1929. — Inż. Henryk Sobótka: *Kraj bohaterów Jacka Londona*, Lwów, „Książnica-Atlas", 1929.

już dziś do normalnego programu życiowego każdego wybitniejszego publicysty czy literata w Europie zachodniej i jest tam także dywersją bardzo pospolitą w monotonnem życiu profesorów uniwersytetu. O ile chodzi o stosunki między uniwersytetami, istnieje dziś niemniej niż 115 instytucyj, zajmujących się wymianą studentów i profesorów między Ameryką a różnemi innemi krajami świata. Do tej liczby przyłączyła się nareszcie od kilku lat także jedna instytucja polska, „Fundacja Kościuszkowska" w Nowym Yorku, znakomicie prowadzona przez profesora Stefana Mierzwę. Było moim przywilejem wystąpić w Ameryce jako pierwszy „wymienny profesor" polski z ramienia tej Fundacji. Pod jej egidą miałem od września do grudnia r. 1928 przeszło sto odczytów o rzeczach polskich w uniwersytetach i innych instytucjach całej północno-wschodniej połaci Stanów Zjednoczonych od Nowego Yorku do Milwaukee na zachód i Baltimore na południe, z włączeniem miast kanadyjskich Montreal i Toronto. Od Nowego Roku zaś do Wielkanocy 1929 r. prowadziłem kilka systematycznych kursów historji i literatury polskiej, oraz nauki o Polsce współczesnej w uniwersytecie chicagoskim, do czego inicjatywę dało i finansowo się przyczyniło tamtejsze stowarzyszenie polskie *Chicago Society.* Wykłady chicagoskie, wraz z przygodnemi odczytami w różnych stowarzyszeniach tamtejszych, złożyły się na drugą zgórą setkę przemówień.

Zarówno w Chicago, jak i wszędzie indziej, oprócz wykładów w języku angielskim, które były mojem głównem zajęciem i celem pobytu, wygłaszałem także odczyty w języku polskim dla naszych rzesz wychodźczych, szczególnie na uroczystościach z okazji dziesięciolecia niepodległej Polski, urządzanych w różnych większych skupieniach emigranckich w październiku i listopadzie 1928 r.

Do tego wszystkiego przybyło potem jeszcze kilkanaście przemówień angielskich i polskich wygłoszonych podczas ponownego pobytu w Ameryce w październiku 1929 r. z okazji obchodów dla uczczenia 150 rocznicy śmierci Kazimierza Pułaskiego, w których uczestniczyłem jako członek rządowej delegacji polskiej.

Jak wynika z tych danych, właściwem polem mojej bezpośredniej obserwacji było — z jednej strony życie uniwersyteckie w Ameryce, z drugiej życie emigracji polskiej. Poza tem jednakowoż dyskuje klubowe, stosunki towarzyskie, podróże z miasta do miasta, wreszcie lektura dzienników i miesięczników dały mi sposobność przynajmniej w pewnej mierze wejść w życie i wniknąć w psychikę społeczeństwa amerykańskiego. Dlatego też w garści wrażeń, które tu czytelnikowi polskiemu podaję, pozwalam sobie rozpocząć od szeregu spostrzeżeń ogólnych nad różnemi objawami życia amerykańskiego, a potem dopiero przejść do tych dwóch dziedzin, które poznałem nieco bliżej, t. j. do stosunków uniwersyteckich i do naszego wychodźtwa.

I.

# ROZLEGŁOŚĆ I ROZMAITOŚĆ.

Jeżeli we wstępnych uwagach zaznaczyłem, że olbrzymi obszar Stanów Zjednoczonych jest umysłowo i obyczajowo w uderzającym stopniu ujednostajniony, to nie zapominałem przytem oczywiście o znacznych różnicach, jakie istnieją na podstawie warunków geograficznych i rozwoju historycznego między rozmaitemi częściami Stanów.

Te trzynaście kolonij angielskich, które w XVIII wieku utworzyły zawiązek Stanów Zjednoczonych, były tak rozmaite między sobą pod względem pochodzenia plemiennego, tradycyj religijnych i struktury społecznej, że mogły niemal stanowić początek nowej Europy z całą historyczną różnorodnością starego kontynentu. Były wśród nich reprezentowane wszystkie zwalczające się i prześladujące wzajemnie od czasów reformacji wyznania i sekty chrześcijańskie Europy zachodniej, i tylko rozmieszczenie ośrodków kolonjalnych wzdłuż wybrzeża wschodniego w znacznej od siebie odległości, oraz wspólne niebezpieczeństwo ze strony Indjan, wreszcie pochłonięcie całej energji przez trudy pracy kolonizatorskiej w dziewiczym kraju, zapobiegły powtórzeniu się na gruncie amerykańskim krwawych wojen religijnych Europy XVI i XVII wieku. Jednakowoż różnorodność wyznaniowa pozostała wybitną cechą Ameryki i nawet natchnęła znakomitego amerykańskiego myśliciela naszych czasów, W. James'a, do jednego z głównych jego dzieł, które nosi

znamienny tytuł *On the Nature and Varieties of Religions Experience.*

Tak samo nie było od początku jednolitości plemiennej: Nowy York dopiero w drugiej połowie XVII wieku przestał nazywać się „Nowym Amsterdamem“ i pełny był Holendrów, których nazwiska rodowe i dziś wiele jego najstarszych rodzin nosi; w Pensylwanji było w chwili ogłoszenia Deklaracji Niepodległości przeszło sto tysięcy Niemców, i do dziś dnia zachowała się tam staroświecka gwara niemiecka *(Pennsylvania Dutch)*, dziwacznie pomieszana z angielszczyzną. Wreszcie nie zapominajmy o tem, że jeszcze pod koniec XVIII wieku jedna trzecia dzisiejszych Stanów Zjednoczonych należała do Francji i żyła tradycją francuską. W wieku XIX przybyły na zachodzie terytorja o starej tradycji hiszpańskiej i poczęły napływać później od Wschodu przez ocean coraz to nowe fale emigrantów ze wszystkich krajów Europy: z Irlandji, z państw skandynawskich, z Włoch, z krajów bałkańskich i ze słowiańszczyzny zachodniej i wschodniej. Zarazem jednak w ciągu wieku XIX z wielkim pochodem kolonizacji poprzez rozległe przestrzenie zachodnie ku oceanowi Spokojnemu począł się potężny proces ujednostajniania tej wzrastającej masy ludności, i stało się, że stare stany północno-wschodnie — dawne kolonje „Nowej Anglji“ — choć terytorjalnie stosunkowo niewielkie i liczebnie słabe, jednak jako ośrodek najwyższego zdawna ruchu umysłowego, oraz silnej moralnie-religijnej tradycji kalwińskiej, wycisnęły piętno swej psychiki i swego obyczaju na całym narodzie. Ukształtowany w nich typ demokracji stał się panującym w życiu społecznem i politycznem. Ale dawne różnice nieraz jeszcze silnie się odezwały i do dziś dnia działają. Wszakże najpotężniejszy kataklizm w całych dziejach Stanów Zjednoczonych — wojnę domową

o zniesienie niewolnictwa murzyńskiego (1861—1865) — wywołała głęboka różnica, jaka dzieliła demokratyczną i po kalwińsku doktrynerską Północ od feudalno-szlacheckiego, wykwintnego i gościnnego, plantatorskiego Południa. Różnica ta w usposobieniu nie przestała istnieć i dzisiaj, choć Południe z szybkim postępem uprzemysłowienia poczyna ryczałtowo przybierać cechy Północy. W każdym razie zaś nie przestała istnieć kwestja murzyńska. Zniesienie niewolnictwa bynajmniej nie rozwiązało jej ostatecznie pod względem społecznym i politycznym, a w dodatku wytworzyło jeszcze nowy wielki problem ekonomiczny, tak samo jak w Rosji nowy problem ekonomiczny wytworzyło w tym samym czasie (1861) zniesienie pańszczyzny przez cara Aleksandra II. W swej nowej postaci kwestja murzyńska, dawniej terytorjalnie ograniczona do Południa, rozeszła się wraz z samymi murzynami jako nieustający ferment — po całym organizmie Stanów Zjednoczonych. Stoi kwestja murzyńska w całej swej rozciągłości przed oczyma samej Północy dziś, gdy do Chicago w czasie wojny światowej, w okresie mobilizacji, runęła fala murzynów z Południa, zajęła na stałe miejsca wielu białych robotników i rozsiadła się na dobre w całych rozległych dzielnicach miasta, — gdy w samej stolicy Stanów Zjednoczonych, Washingtonie, murzyni wyparli inteligencję urzędniczą ze śródmieścia do przedmieść i stanowią podobno 30—40 procent ogółu ludności miasta, — gdy wreszcie w obrębie Nowego Yorku wyrosło całe wielkie miasto murzyńskie Harlem, ludnością równe przeciętnej stolicy europejskiej, gdy rozwijają się tam świetnie teatr, prasa i literatura w języku angielskim, kwitną sztuka muzyczna i taneczna, do których murzyni zawsze mieli szczególną zdolność, a wśród wzbogaconych murzynów panuje przepych i zbytek, w zupełności dorównujący

wszystkiemu, na co sobie może pozwolić plutokracja biała w Nowym Yorku[1]). Kwesja murzyńska w dzisiejszej Ameryce pod wielu względami przypomina nowsze fazy różnych kwestyj mniejszościowych u nas w Europie; tak samo jak u nas wśród mniejszości, tak tam wśród murzynów spotykamy wszystkie odmiany postawy od asymilatorstwa kulturalnego do zawziętego separatyzmu rasowego[2]); tak samo wśród większości białej, jak u nas wśród większości narodowych, natrafiamy na wszelkie odcienie poglądów, od żywiołowego wstrętu rasowego do najbardziej doktrynerskiego liberalizmu, i tak samo jak w większości wypadków co do problemów mniejszościowych w Europie, okazuje się w ostatecznym wyniku i co do problemu murzyńskiego w Ameryce, że zagadnienie tej olbrzymiej dziesięciomiljonowej mniejszości wśród 120-miljonowego narodu do żadnego zasadniczego, ogólnego, raz na zawsze rzecz całą załatwiającego rozstrzygnięcia się nie nadaje, tylko wymaga odrębnego traktowania w każdej nowej swej fazie[3]).

Z problemem murzyńskim w czasie pobytu w Ameryce sam konkretnie się nie zetknąłem. Skoro jednak już mowa o nim pod kątem widzenia „rozmaitości“ Stanów Zjednoczonych, niech wolno będzie dodać tutaj jeszcze dwie ogólne uwagi o nim.

---

[1]) Ciekawy obraz życia inteligencji zawodowej, cyganerji artystycznej i plutokracji handlowo-przemysłowej murzyńskiej w Harlem dał Carl van Vechten w swej powieści *Nigger Heaven* (1927).

[2]) Są one poczęści równoległe z odmianami w kolorze skóry i innych cechach plemiennych od typu wybitnie afrykańskiego aż do mulackiego, który może czasem z powodzeniem uchodzić za hiszpański.

[3]) Praktyczną niewykonalność wszystkich pokolei proponowanych dotychczas ryczałtowych sposobów załatwiania kwestji murzyńskiej przenikliwie i w sposób dla mnie przynajmniej najzupełniej przekonywujący wykazał prof. Franck L. Schoell w swej książce *La Question des noirs aux États-Unis* (Paryż, Payot, 1924).

Pierwsza dotyczy Północy i Południa. Ślady tej różnicy w poglądach na murzyna, o którą toczyła się wojna domowa, dziś jesze istnieją: wiadomo, że na Południu są dla murzynów osobne wagony kolejowe i tramwajowe, że nie wolno im tam uczęszczać do tych samych lokalów publicznych co białym, że nie ma mowy o wykonywaniu przez nich praw politycznych, które formalnie posiadają, że wreszcie zdarza się w różnych stronach Południa razem co roku jeszcze przeszło sto wypadków zlynchowania murzyna, często na podstawie bardzo gołosłownych oskarżeń i nikłych poszlak. Na Północy takich gwałtownych wybuchów nienawiści rasowej niema, i murzyn, teoretycznie przynajmniej, korzysta z pełnego równouprawienia. A jednak — rzecz dziwna, — właśnie Południe, które zżyło się z murzynem za czasów niewolnictwa, ma do niego naprawdę ludzki stosunek, w przeciwieństwie do lodowatej obojętności, lub snobistycznej ciekawości, z jaką odnosi się do niego Północ. Przypomnijmy sobie jedyną, wśród masy fałszywego sentymentalizmu prawdziwie wzruszającą postać w starej propagandystycznej powieści pani H. Beecher-Stowe „Chata wuja Tomasza“: jest nią postać katolickiego plantatora Saint-Clair'a. Na plantatorskiem Południu odkryto u murzyna element twórczy swoistego humoru, który wzbogacił niejedną perłą beletrystykę amerykańską, a w nowszych czasach jest żywotnym składnikiem produkcji filmowej. Z Południa też rozeszły się po Ameryce zachwyty nad pieśnią i muzyką murzyńską, w szczególności szczery i słuszny entuzjazm dla tego przedziwnego połączenia rzewności i tragizmu z dziecięcą naiwnością wyobraźni i rozkosznym humorem, jakie reprezentują i w melodji i w słowach cudowne hymny chrześcijańskie murzynów amerykańskich *(Negro Spirituals).*

Druga uwaga, jaka się w danym kontekście co do kwestji murzyńskiej z punktu widzenia obcego obserwatora nasuwa, dotyczy osobliwej różnicy między postawą społeczeństwa wobec problemu murzyńskiego a wobec innych problemów „kolorowych". W stosunku do murzyna Amerykanin, nawet gdy sam był wychowany przez murzyńską nianię i trzyma takąż dla swoich dzieci, i gdy wciąż wchodzi w styczność z murzyńską służbą w domu czy w hotelu, na kolei czy w restauracji, — jednak zdaje się zawsze odczuwać pewną fizyczną odrazę rasową. Tymczasem odrazy tej niema — z wyjątkiem Zachodu — wobec ludzi rasy żółtej, i niema jej przedewszystkiem wobec pierwotnych mieszkańców Ameryki — Indjan czerwonoskórych. Prawdopodobnie różnica ta polega na elementarnem prawie socjologicznem, że wstręt do mniejszości budzi się dopiero wtedy, gdy występuje ona masowo. Chińczycy i Japończycy w znacznych masach zdołali osiąść tylko w Stanach zachodnich (gdzie się ich też serdecznie nie lubi), a Indjanie są rasą wymierającą,ześrodkowaną dziś w niezbyt licznych i niezbyt ludnych „rezerwacjach". Amerykanie tępili ich jak dzikie zwierzęta w okresie walki o panowanie nad kontynentem; później obok ognia i miecza dobijała ich woda ognista i miecz różnych chorób, które poznali jako dobrodziejstwa cywilizacji białych. Dziś gazety są pełne wzruszających obrazków i komunikatów, dowodzących czułej opieki sanitarnej nad dziećmi indjańskiemi i troskliwości władz rządowych o wszystkie potrzeby Indjan. Wygląda to tak, jakby resztki plemienia niegdyś tak niebezpiecznego dla białej kolonizacji, a dziś już niegroźnego, chciano konserwować jak okazy jakiejś prawie doszczętnie wytępionej zwierzyny, lub też jak te dziewicze piękności przyrody amerykańskiej, które się starannie chroni w parkach narodowych. Ale co dziwniejsza, to że nietylko

niema rasowego wstrętu do zetknięcia z Indjaninem, ale nawet uchodzi za pewną chlubę móc się poszczycić posiadaniem krwi indjańskiej w swoich żyłach, jak się nią szczyci np. obecny wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Mr. Curtis. W tym samym Białym Domu, w którym jest on oczywiście częstym gościem, pani Hoover niedawno przyjmowała żonę deputowanego murzyńskiego, i spotkała się za to z ostremi reprymendami z różnych stron. Być może, że dzielność i rycerskość Indjan jako przeciwnika w boju, oraz ich gorąca miłość wolności (nie byli nigdy niewolnikami jak murzyni) pozostawiła jako swój ślad w pamięci narodu pewien sentyment, któryby można porównać ze stosunkiem dzisiejszego Polaka do Turka. Czytając wszyscy jako dzieci powieści Cooper'a o „Skórzanej Pończosze", Amerykanie, tak samo jak przeciętny czytelnik europejski, nabierają na całe życie pojęcia — ugruntowanego głęboko w pamięci, jak wszystkie wrażenia, które w tym młodocianym wieku w nią wsiąkają — o rycerskiej szlachetności dawnych wrogów swego narodu. A trzeba zaznaczyć, że, jak stwierdziła poważna krytyka naukowa, Cooper naogół wcale nadmiernie nie idealizował swych Indjan; jego sprawiedliwy i zgodny z prawdą życia obraz wypaczyli dopiero liczni a słabi naśladowcy.

Obok tej tradycji wpłynął na różnicę między postawą Amerykanina wobec Indjanina a wobec murzyna może także fakt, że rysy twarzy indjańskiej z punktu widzenia kanonów estetycznych rasy białej nie są nacechowane tą brzydotą co murzyńskie, przeciwnie mają swoistą, szlachetną piękność. W każdym razie Indjanie cieszą się ogólną sympatją w opinji amerykańskiej, i maskarady przywódców politycznych, strojących się w korony piór jako honorowi członkowie plemion indjańskich, są bardzo popularną formą demonstracji.

Obok murzynów, resztek Indjan i silnie zawsze wyodrębnionych Chińczyków, którzy mają np. wielką i tajemniczą dzielnicę własną w Nowym Yorku (Chinatown), tworzą zamknięte w sobie społeczności po większych miastach amerykańskich wszystkie grupy emigrantów europejskich, a więc nietylko Żydzi, ale także Szwedzi czy Grecy, Polacy czy Norwegowie czy Węgrzy. Przeciera się oczy, chodząc — jak mnie się zdarzyło — po ulicach pewnej dzielnicy tak starego i napozór rdzennie amerykańskiego miasta jak Springfield w stanie Massachusetts, i znajdując się nagle wśród samych napisów greckich — albo znowu w jakiejś dzielnicy Chicago wśród samych napisów szwedzkich, — albo wreszcie na wschodniej stronie dolnej części miasta w Nowym Yorku słysząc wokoło siebie prawie wyłącznie żargon, jak u nas na Kaźmierzu, Zarwanicy lub Nalewkach.

Tak samo jak te różne ghetta wychodźcze urozmaicają oblicze miast amerykańskich przy całej tendencji do jednolitości, tak urozmaicony jest jeszcze krajobraz tego olbrzymiego terytorjum. Traktując Stany Zjednoczone politycznie i dyplomatycznie jako jedno mocarstwo, Europa nie uświadamia sobie należycie, że jest to przecież nie jedno państwo, ale federacja czterdziestu ośmiu państw, poczęści bardzo rozległych, i rozmieszczonych na ogromnej przestrzeni. Terytorjum Stanów Zjednoczonych jest osiem razy tak wielkie jak Europa bez Rosji; sam stan Texas jest większy od Francji; jest czternaście państw w Europie, z których każde jest mniejsze od stanu Karoliny Południowej, i coś około dziesięciu, które mają mniej ludności niż stan Ohio. Na rozległej przestrzeni Stanów, zajmującej lwią część kontynentu północno-amerykańskiego, spotykamy wszystkie klimaty, wszystkie typy budowy geologicznej, fauny i flory, jakie mieści w sobie cała Europa z przyległemi

częściami sąsiednich kontynentów. Prawda że wybrzeże wschodnie i północny wschód, północna część pasa środkowego wzdłuż wielkich jezior, a obecnie także przeważna część strefy zachodniej nad oceanem Spokojnym zmieniły się w zbiorowisko wielkich miast handlowo-przemysłowych o dość jednakowym typie; prawda, że w tę samą monotonję handlowo-przemysłową zaczyna się przyoblekać także Południe; ale w pośrodku między tem wszystkiem pozostaje jeszcze dość wielkich otwartych przestrzeni o charakterze rolniczym, pozostaje także dość dziewiczej przyrody leśnej i górskiej, by z niej swobodnie wydzielać te olbrzymie parki naturalne, z których Ameryka słynie w całym świecie, a które czytelnikowi polskiemu niedawno tak doskonale zaprezentował w swej pięknej książce profesor Szafer[1]).

[1]) Władysław Szafer: Yellowstone. Kraj gorących źródeł i niedźwiedzi. (Z 50 ilustracjami i mapką). Lwów—Warszawa, „Książnica-Atlas", 1929.

II.

# MIASTA.

Niestety, ja, nie podróżując po Stanach ani jako przyrodnik ani jako turysta, i mając czas ściśle rozdzielony pomiędzy wykłady w różnych miastach, często po kilka w jednym dniu, cudów przyrody amerykańskiej ani też rolniczych okolic Stanów nie poznałem zupełnie. Obracając się przeważnie w wysoko uprzemysłowionej północno-wschodniej części kraju, w dawnej „Nowej Anglji“, dziś pokrytej siecią wielkich ośrodków miejskich, zaznajomiłem się przedewszystkiem z objawami tej potężnej tendencji społecznej, która dziś ogarnęła cały świat, ale która w Ameryce chyba do najwyższego doszła natężenia, mianowicie z tem, co socjologowie nazywają urbanizacją, — z procesem szybkiego rozrostu skupień wielkomiejskich na koszt wsi i na koszt zamierających miasteczek prowincjonalnych. Zwiedzając pokolei takie wielkie miasta amerykańskie, jak New York, Chicago, Detroit, Philadelphia, Buffalo, Baltimore, Cleveland, Milwaukee, Pittsburgh, dochodzi się dopiero stopniowo do przekonania, że my Europejczycy popełniamy kardynalny błąd, myśląc o Ameryce w kategorjach statycznych, przedstawiając ją sobie (na sposób starych społeczeństw europejskich), jako coś w pełni rozwiniętego, a więc obecnie gotowego, stałego, żyjącego regularnie swem właściwem życiem. Przeciwnie: do Ameryki, jak ją nam ukazują te kipiące miejskie skupienia ludności,

należy stosować kategorje dynamiczne, należy o niej myśleć nie jako o czemś, co jest, ale jako o czemś, co się tworzy i gwałtownie, gorączkowo przeistacza. Wszystkie wspomniane wielkie miasta są w okresie raptownej przebudowy, która zmienia nietylko ich rozmiary, ale także najcharakterystyczniejsze rysy ich fizjognomji; wszędzie w śródmieściu tłoczą się jeden przy drugim coraz nowe drapacze chmur, wyrastając jak grzyby po deszczu i szybko rugując mniejsze budynki; wszędzie miasto, jakby konwulsjami targane, wyrzuca nazewnątrz w różnych kierunkach polipie ramiona coraz nowych przedmieść i błyskawicznie zalewa masą ulic, placów, sklepów, mieszkań, składów, garażów, wielkie przestrzenie okolicy. Nic dziwnego, że *real estate agent* czyli krótko *realtor* — pośrednik w handlu placami budowlanemi i domami, — to dziś przedstawiciel jednej z najsilniej rozwiniętych i zorganizowanych, a zarazem najpopłatniejszych profesyj w Ameryce, i że wiadomości o ruchu budowlanym zajmują codzień wielką część każdej gazety amerykańskiej, a w niedzielę wypełniają jeden z licznych specjalnych dodatków olbrzymiego niedzielnego numeru *New York Times*, zawsze ozdobiony projektami lub wizerunkami jakichś nowych ogromnych budynków.

O Nowym Yorku, od którego każdy z nas rozpoczyna swą znajomość z Ameryką, od chwili przybycia wciąż się słyszy od Amerykanów, że nie należy go brać za typowe miasto amerykańskie, i nie należy, jak to czyni wielu gości z Europy, według niego sądzić ogólnie o życiu i umysłowości społeczeństwa amerykańskiego. Istotnie jest to miasto do gruntu kosmopolityczne, o ludności bardziej mieszanej i bardziej zmiennej, niż jakiekolwiek inne z wielkich miast Ameryki; jako „okno Ameryki na Europę“ najbardziej bezpośrednio nastawione jest na wszelkie

wpływy międzynarodowe; jako stolica dziennikarstwa, ruchu teatralnego, literatury, sztuki, wreszcie kabaretów i wszelkiej zabawy jest prawdziwym Paryżem amerykańskim i wciąż rozbrzmiewa wszystkiem, co modne, sensacyjne. Ale z temi wszystkiemi cechami wielkiej metropolji międzynarodowej Nowy York pod jednym względem może uchodzić za typowe wielkie miasto amerykańskie: jest mianowicie tak samo jak inne pochłonięty procesem wielkiego przekształcenia i przebudowy. Od chwili, gdy się postawi nogę na bruku skalistej wyspy Manhattan, na której stłoczone jest śródmieście Nowego Yorku, ma się wszędzie to samo poczucie gorączkowego niepokoju budowlanego; na najgłówniejszych ulicach często-gęsto trafia się na zagrodzone parcele, na których piekielne jakieś maszyny z piekielnym hukiem, szumem i świstem gwałtownie wyrywają ogromne doły w ziemi pod fundamenty nowej budowli, albo też już się raptownie wznosi jakiś kilkudziesięciopiętrowy budynek na biura i kantory. Z okazji kilkukrotnych powrotów do Nowego Yorku w czasie mojego siedmiomiesięcznego pobytu miałem sposobność obserwować, jak w bezpośredniem sąsiedztwie mojego hotelu *(Shelton Hotel)*, który jest jednym z nowszych drapaczy chmur w mieście, na oczach wyrósł z ziemi taki ogromny gmach biurowy (należący do firmy samochodowej Chrysler) i stanął pod dachem. Drapacz chmur — pomysł budowlany, wywołany pierwotnie przez ciasnotę ograniczonego terytorjum wyspy Manhattan — ma za sobą już kilkudziesięcioletnią tradycję; i wydawaćby się mogło, że przez ten okres wyspa Manhattan przynajmniej już miała czas pokryć się całkowicie budynkami tego typu. Ale na tem miasto amerykańskie w swym furorze rozrostu, wgórę zarówno jak na szerokość, nie poprzestaje; istniejące drapacze chmur burzy się po 30—40 latach

istnienia, by je zastąpić nowemi, jeszcze wyższemi. Tak za czasów mojego pobytu przystąpiono do zdemolowania znanego hotelu Waldorf-Astoria z jego marnemi czterdziestu czy pięćdziesięciu piętrami, by na jego miejscu wystawić osiemdziesięciopiętrowy budynek biurowy, który ma kosztować 60 miljonów dolarów zgórą i mieścić w sobie 60 tysięcy ludzi naraz. Tak samo w Chicago za moich czasów poczęto burzyć pierwszy drapacz chmur, jaki tam wogóle powstał (w czasie wystawy r. 1893), bo już był nieekonomicznie mały na dzisiejsze warunki, i trzeba było zastąpić go czemś wyższem. Na tle tej bezustannej czynności budowlanej do szczególnego znaczenia doszedł typowo amerykański zawód „burzyciela domów“ — *housewrecker*, — a więc człowieka, który zajmuje się wyłącznie szybkiem i sprawnem demolowaniem istniejących budynków, by robić miejsce na nowe. W czasie jednego z moich pobytów w Nowym Yorku umarł „król“ tych burzycieli domów, właściciel najpoważniejszej firmy tego rodzaju, — i opowiadano sobie o nim, że marzeniem jego życia było doczekać się tego, by mu przyszło burzyć najwyższy w dzisiejszym Nowym Yorku budynek, *Woolworth Building*. Nie dożył tej upragnionej chwili, ale też i samo *Woolworth Building* wkrótce po jego śmierci już przestało być najwyższym budynkiem w Nowym Yorku.

Drapacz chmur, jako typ architektury, wytworzony przez konieczności życiowe nowoczesnej urbanistyki amerykańskiej, nie miał przed sobą żadnej tradycji architektonicznej, na której byłby mógł się oprzeć co do zewnętrznego wyglądu lub dekoracji. Stąd fakt, że w początkach swego istnienia szukał sobie wzorów wśród całkiem odmiennych przeznaczeniem budowli i stylów dawnych wieków; dlatego mamy w Nowym Yorku i Chicago budynki kilkudziesięciopiętrowe

o czysto kupiecko-biurowem przeznaczeniu, a o postaci wież katedr gotyckich, z całą ich bogatą ornamentyką rzeźbiarską. Obok takich oczywistych niedorzeczności stylowych są sadzące się na oryginalność dziwolągi, np. drapacze chmur, wykładane z zewnątrz w całości lśniącemi białemi kaflami, jak piec albo wnętrze łazienki; są i różne kubistyczne pomysły o konturach gigantycznych majaków gorączkowych i ornamentyce jaskrawej, której efektowność ma podobno w najbliższym czasie być jeszcze spotęgowana przez malowanie tych olbrzymich budynków na kolor jasno-żółty, szkarłatny i t. p. Ale wśród tych wszystkich ekstrawagancyj drapacz chmur, jako forma architektury, zdobywszy sobie ustalone prawo obywatelstwa, dochodzi powoli do tego, że sam ze siebie, na podstawie swych konieczności funkcjonalnych, wyrabia sobie swoje prawa symetrji i kanony estetyczne, nabiera swoistego stylu i swoistego piękna. Prawdopodobnie ostateczną i typową jego formą stanie się nie wieża ani też wysoka skrzynia, jak we wielu istniejących wypadkach, lecz struktura stopniowana, złożona z coraz mniejszych sześcianów, stojących jeden na drugim; ten typ, już i dziś reprezentowany przez pewną ilość hoteli i innych nowszych budowli w Nowym Yorku, robi miłe dla oka wrażenie czegoś dobrze osadzonego, o planowym rozkładzie ciężaru, nie przygnębiającego widza przez całkowite wypełnienie przestrzeni masą. Oczywiście, to niezupełne wyzyskanie słupa przestrzennego jest nieekonomiczne, ale rozrzutność tę równoważy poniekąd znaczniejsza wysokość, do jakiej przy tym typie budowy posuwać się można.

Dość jednak tych rozważań dyletanta nad przedmiotem, który dziś zajmuje głowy najtęższych fachowców w architekturze. Dodajmy raczej kilka słów o pewnych

społecznych konsekwencjach tego sposobu budowania. Drapacz chmur, jak się rzekło, był koniecznym wynikiem szczupłości przestrzeni, jaką rozporządza Nowy York na wyspie Manhattan; ale i w innych większych miastach, które Nowy York skwapliwie i poczęści snobistycznie naśladują, jednak w gruncie rzeczy działał nakaz konieczności: główne instytucje handlowo-przemysłowe, urzędowe, prasowe i inne trzeba było koncentrować w śródmieściu, które już było otoczone zwartą masą przedmieść i na ich koszt rozszerzać się nie mogło, a zatem musiało róść — wgórę. To nagromadzenie coraz większych zastępów pracowników biurowych na całodzienną robotę w środku miasta, oraz skupienie klientów i interesentów, przybywających do wszystkich śródmiejskich instytucyj, wytwarzało poważne problemy komunikacyjne. Do Nowego Yorku z nieprzejrzanych jego przedmieść i rojowiska otaczających go osiedli podmiejskich przybywa codzień rano kolejami na robotę kilka miljonów ludzi, i śródmieście te miljony między ósmą a dziewiątą rano wchłania, a między piątą a siódmą wyrzuca, w przerwie południowej zaś je karmi. Wśród wielu cudów techniki amerykańskiej do najcudowniejszych może należą ogromne dworce, centralny i pensylwański, w Nowym Yorku. W ich nieprawdopodobnie wielkich halach — wyższych i przestronniejszych od wszystkich kościołów katedralnych, w jakich w życiu byłem, a całkowicie wykładanych lśniącym kolorowym marmurem — rozpływają się bez trudności nawet te dziesiątki tysięcy ludzi, które przez nie równocześnie przechodzą; kupują swobodnie bilety przy niezliczonych kasach i prawie bez natłoku rozchodzą się do pociągów po licznych platformach, rozmieszczonych na dwóch piętrach, lub też całą rzeką wypływają przez kilka wyjść w różnych

kierunkach na ulice miasta; w znacznej części wreszcie przedostają się podziemnym korytarzem do tunelu kolei miejskiej i jadą w okolicę swojego miejsca pracy w śródmieściu. Na ulicach Nowego Yorku czarno jest od automobilów, które płyną prawie nieprzerwaną strugą, dniem i nocą. Ruch tego wszystkiego regulują z niezawodnym autorytetem czerwone i zielone światła, których pojawianie się naprzemian wstrzymuje i w ruch wprawia całe długie kolumny pojazdów. Ale właśnie ze względu na te niezbędne, częste przystanki podróż samochodem przez śródmieście nowojorskie nie jest rzeczą dogodną, i lepiej jest w razie pośpiechu posługiwać się piorunująco szybką koleją podziemną *(subway)* lub napowietrzną *(elevated)*. Autobusem zaś po *Fifth Avenue* niech się choć raz przejedzie ten, kto z jego dachu chce się dowoli napatrzyć olbrzymienu ruchowi pieszemu i kołowemu na tej centralnej arterji wyspy Manhattan.

Powiedziałem już, że drapacze chmur poczynają wytwarzać same swoją właściwą estetykę. Teraz pora dodać, że w ogóle te wielkie skupienia miejskie przy gwałtownym w ostatnich czasach postępie dobrobytu i ogromnych procesach przebudowy mogą już dziś pozwolić sobie na gigantyczny rozmach także w uwzględnianiu wymagań estetyki a przedewszystkiem higjeny. Każda piędź ziemi na wyspie Manhattan reprezentuje fantastyczną wartość pieniężną, a jednak Nowy York zdobył się na to, by w samym środku tej wyspy, między 59 a 110 ulicą poprzeczną i 5 a 7 podłużną, zostawić niezabudowany ogromny szmat ziemi i przekształcić go w „Park Centralny". Osobliwy to w swoim nieco surowym uroku park, obfitujący w skały, które we wielu miejscach wychodzą najaw z pod cienkiej warstwy ziemi, — i okolony najwspanialszemi

drapaczami chmur w Nowym Yorku, które się ze środka parku szczególnie imponująco prezentują. Ponadto posiada Nowy York jeszcze rozleglejszy park w dzielnicy Bronx, który tam wyczarowano na bagnach i pustkowiach. Wreszcie, o ile całą zwykłą wielkomiejską ohydą nacechowane są bezpośrednie przedmieścia, otaczające wyspę Manhattan, o tyle odleglejsze podmiejskie osiedla — jak Scarsdale, Yonckers lub Clairmont, które poznałem — rozbudowują się szybko i pięknie jako typowe miasta ogrodowe.

Wspomniałem już, że Nowy York jest właściwą stolicą ruchu teatralnego w Stanach Zjednoczonych. Obok wielkiej opery, na której scenie spotykają się najznakomitsze gwiazdy śpiewackie świata, jest kilkadziesiąt większych i mniejszych teatrów — wśród nich głośny w ostatnich latach mały teatrzyk literacki w dzielnicy Hoboken, — są wspaniałe przybytki sztuki rewjowej, jak sławne *Ziegfeld Follies*, i są wreszcie najbardziej uczęszczane przez szeroki ogół setki kinematografów, pomiędzy niemi największe na świecie kino *Paramount*, w którego przepysznej sali sześciu tysiącom widzów do przedstawienia przygrywają, jak na nabożeństwie w jakiej katedrze, olbrzymie organy. Oprócz teatrów i innych widowisk osobna wzmianka należy się wielkiemu miejskiemu Muzeum Sztuk Pięknych w Parku Centralnym, które w połowie schodów wita nas wspaniałym Rafaelem, a poza nim zawiera w swych młodych murach olśniewające bogactwo wybitnych dzieł starych i nowszych mistrzów Europy. Do najbogatszych jego części należy skrzydło, dobudowane przez J. Pierpont Morgan'a. Ponadto sam Morgan posiada jeszcze sławną galerję obrazów, dostępną obecnie także dla publiczności. Tak jak ambicję Morgan'a w tym względzie naśladują skwapliwie

inni bogacze amerykańscy, tak ambicję Nowego Yorku w zakresie muzealnictwa naśladują inne większe miasta Stanów. Zwiedziłem znaczną ilość takich muzeów gminnych i wszędzie podziwiałem obrazy, których posiadaniem każda galerja europejska szczycićby się mogła. Tak wspaniałego zbioru znakomitych obrazów Monet'a, jaki widziałem w jednej sali muzeum bostońskiego, z pewnością we Francji nigdzie zobaczyćby nie można.

Mógłbym jeszcze opowiadać o wielkiej nowojorskiej bibljotece publicznej przy 43 ulicy i o idealnej sprawności technicznej jej urządzeń, o sławnem akwarjum morskiem w porcie i jego zdumiewających dziwach, o historycznych zabytkach budowlanych dawnego Nowego Yorku z XVII i XVIII wieku, kryjących się wśród nowoczesnych olbrzymów w dolnym końcu miasta: ale nie leży przecież w moim zamiarze pisanie przewodnika po Nowym Yorku, i muszę się wyrwać z kręgu tych tysiącznych wrażeń, które kilkakrotny pobyt w tem mieście u mnie pozostawił.

Chicago ze wszystkich wielkich miast Ameryki tempem swojego rozwoju najskuteczniej współzawodniczy z Nowym Yorkiem i ma wszelkie widoki go prześcignąć. Położone nad wielkiem jeziorem Michigańskiem, po ukończeniu projektowanej obecnie rozbudowy sieci dróg wodnych między Północą a Południem będzie miało wszystkie korzyści położenia prawdziwie kluczowego; zaś między Wschodem a szybko rozwijającym się Zachodem jest już od kilkudziesięciu lat idealnym przez swą sytuację geograficzną pośrednikiem. Stanowi właściwy ośrodek tej niezmiernie doniosłej dla rozwoju nowoczesnych Stanów Zjednoczonych połaci, którą Amerykanie sami nazywają „Zachodem środkowym“ *(Middle West)*, i która może uchodzić za

siedzibę najbardziej typowych, choć może nie najbardziej sympatycznych form amerykanizmu.

Chicago było jeszcze małą wioską rybacką, gdy Nowy York był już wielkiem miastem. Dziś z blisko czterema miljonami mieszkańców ma zaledwie połowę ludności Nowego Yorku, ale na obcym przybyszu robi wrażenie miasta jeszcze rozleglejszego niż tamto. Powodem tego może jest okoliczność, że Nowy York grupuje się w formacji mniej lub więcej okrągłej około wyspy Manhattan, Chicago zaś rozciągnęło się na fantastyczną długość kilkudziesięciu kilometrów wzdłuż wybrzeża jeziora tak, że chcąc przejechać przez miasto wzdłuż, trzeba kilku godzin jazdy samochodem. Istotnie, nasuwa się po bliższem poznaniu uwaga, którą nieraz wobec przyjaciół w Chicago wypowiadałem, że „myślało się, iż Chicago jest miastem, a widzi się, że to cały kraj". Raptowny rozrost miasta wciąż na nowo przekracza wytyczone niegdyś granice. I tak uniwersytet chicagoski, założony w XIX wieku na rozległych polach poza miastem, miał mieć wszystkie korzyści sielskiego otoczenia; dziś jest zewsząd oblany kipiącem życiem miejskiem, wśród którego to miasto akademickie stanowi jakby wyspę o odmiennym typie życia. Tak sławne rzeźnie chicagoskie *(Stockyards)* — największe na świecie — zbudowane były z oczywistych względów higjenicznych daleko na południe od miasta, a dziś otoczone są dokoła miastem, i choć leżą w dzielnicy zwanej „południowem Chicago" *(South Chicago)*, daleko od nich jeszcze do właściwego południowego krańca miasta *(South Side)*. Na każdym kroku znać ślady tego prawdziwie piorunującego rozrostu: obwożąc mnie po Chicago, tamtejsi przyjaciele polscy co chwila z dumą napomykali: „To zbudowano trzy lata temu, tamto zeszłego roku; tu przed

pięciu laty były tylko zarośla i trzęsawiska". Słuchając tego, ze zdumieniem sam siebie pytałem, gdzie też dawniej mogło być to wielkie miasto Chicago, o którem jeszcze jako mały chłopiec słyszałem z okazji chicagoskiej wystawy powszechnej w r. 1893.

W odmiennych warunkach swego daleko szybszego rozwoju Chicago, jak się rzekło, coraz skuteczniej rywalizuje z Nowym Yorkiem. Ma Nowy York swoją wyspę Manhattan, posiada i Chicago podobnie fantastyczne nagromadzenie drapaczy chmur w swej dzielnicy śródmiejskiej, zwanej *Loop* (t. j. „Pętlica", od węzłów linij tramwajowych). Dumne ze swych olbrzymich budynków w „Loopie" (jak go nazywają tamtejsi Polacy), Chicago, budowane bardziej dorywczo i bezplanowo od Nowego Yorku, i wskutek tego doniedawna naogół ohydnie brzydkie, stara się w ostatnich czasach także o piękność swego wielkomiejskiego oblicza: posiada dziś sporo ładnych i rozległych parków, rozrzuconych po różnych częściach miasta (Washington Park" i „Jefferson Park" w okolicy uniwersytetu, „Humboldt Park" z pomnikiem Kościuszki, niedaleko jednej z dzielnic polskich), a jeden z tych parków, „Lincoln Park" blisko śródmieścia, może się nawet tem poszczycić, że powstał przez odzyskanie ziemi na koszt jeziora drogą nasypu. Tak samo przez nasypywanie tworzy się sztucznie na jeziorze naprost śródmieścia teren dla następnej wystawy powszechnej w r. 1933. Żartem prosiłem „chicagowian" (tak się mówi w tamtejszej gwarze polskiej), by w swym rozmachu twórczym nie zasypali przypadkiem całego jeziora, bo krajobraz straciłby znacznie na uroku. Na szczęście jezioro jest ogromne. Ale i ten rozmach w przemianie Chicago z przygodnego skupienia miljonów domostw na imponujące wielkie miasto nowoczesne, jest zaiste ogromny. Rozległe przedpole

śródmieścia chicagoskiego wzdłuż brzegu jeziora, naprzeciwko paradnej ulicy „South Michigan Avenue“, zmienia się szybko we wielki park, który dostarczy tła architektonicznego stojącym tam pojedyńczym monumentalnym budowlom, jak Muzeum Sztuk Pięknych *(Art Museum)*, Muzeum Przyrodnicze *(Field Museum)* i ogromny stadjon sportowy *(Soldiers' Field)*. A choć narazie jeszcze tę porządkującą się obecnie przestrzeń od Michigan Avenue dzieli dymiąca otchłań torów kolejowych, nie należy wątpić, że i ten problem przedsiębiorczość i zasobność amerykańska w krótkim czasie rozwiąże. Rozwiązała już zamaszyście jeden z najważniejszych problemów komunikacyjnych rozległego miasta, mianowicie połączenie dalekich jego północnych i południowych krańców ze śródmieściem drogą jezdną, po której możnaby się posuwać szybko. Jak w Nowym Yorku, tak i w Chicago szybki ruch pojazdów po wewnętrznych ulicach miasta wobec szalonego ich ożywienia jest dziś niemożliwy. Tak samo więc jak w Nowym Yorku po zachodniej stronie wyspy Manhattan wzdłuż rzeki Hudson dla szybkiej komunikacji kołowej powstała niedawno wspaniała szeroka jezdnia *Riverside Drive* z przepysznemi perspektywami, tak Chicago zdobyło się w ostatnich latach na długi i odpowiednio szeroki „bulwar zewnętrzny“ wzdłuż jeziora. Tym bulwarem zdąża w swem aucie rano do śródmieścia *businessman* z dalekiej północy lub południa miasta, tędy wieczór wraca do domu, tędy też można się najdogodniej samochodem przerzucić z jednego końca miasta na drugi. Z tego przeznaczenia nowej arterji wynika też zupełnie logicznie jedna jej osobliwość, na pierwszy rzut oka zadziwiająca, a nawet zabawna: oto gdy gdzie indziej w miastach, zarówno w Europie jak i w Ameryce (także w Chicago), czyta się we wielu miejscach

ostrzeżenia, że tędy autom szybciej jechać nie wolno jak 10—12 *km* na godzinę, to na zewnętrznym bulwarze chicagoskim wręcz przeciwnie istnieje *minimum* szybkości — 35 mil angielskich na godzinę (56 *km*) — poniżej którego tu poruszać się nie wolno! To też bulwar ten w godzinach porannych, gdy wszystko jedzie do zajęć, i wieczorem w czasie powrotu, wygląda jak jakiś tor wyścigowy.

Nietylko pod względem urządzeń materjalnych, ale także co do instytucyj, służących kulturze duchowej, Chicago usilnie współzawodniczy z Nowym Yorkiem. O jego pięciu uniwersytetach, z których jeden (t. zw. rockefellerowski) należy do największych w Stanach, będzie jeszcze osobno mowa; bibljoteka publiczna chicagoska przy Michigan Avenue ogromem i sprawnością urządzeń niemniej imponuje od nowojorskiej; jeżeli Nowy York ma w swem muzeum Rafaela i inne skarby, to Chicago w swojem *Art Institute* posiada rekordowego El Greco i mnóstwo innych wspaniałości hiszpańskich, włoskich, flamandzkich, francuskich, niemieckich, angielskich, a jako zbiór arcydzieł malarstwa amerykańskiego (głównie G. Inness i Winslow Homer) muzeum to może jest jedyne. Ma Nowy York swoich *Guild Players* i swój teatr literacki w Hoboken, — ma elita inteligencji chicagoskiej swój teatrzyk kameralny, *Goodman Theatre*, w którym widziałem doskonałe przedstawienie „Gdy zmartwychpowstajemy“ Ibsena i „Sześciu postaci“ Pirandellego. Ma wreszcie Nowy York sławną operę, toć ma i Chicago operę municypalną, w której w sezonie 1928/9 słyszałem cały szereg pierwszorzędnych, światowej sławy śpiewaków i śpiewaczek włoskich, niemieckich i innych. Opera ta z dość niepokaźnego, choć obszernego swego budynku ma wkrótce przenieść się do nowego, który nagwałt się buduje. Myślałem, że ta nowa opera

będzie czemś na wzór paryskiej lub wiedeńskiej; tymczasem, gdy mi wznoszący się budynek pokazano, ze zdziwieniem ujrzałem kontury drapacza chmur o najpospolitszym typie „skrzyni“. Wyjaśniono mi, że opera mieścić się będzie na dole, a nad nią będzie 39 pięter zwykłych biur handlowych! Dochód z najmu tych biur pokryje wszelkie ewentualne deficyty teatru. Nie mogłem odmówić słuszności temu idealnie prostemu pomysłowi, który zalecam uwadze magistratu Warszawy i innych naszych miast, prowadzących teatry we własnym zarządzie. Ale nie śmiem się spodziewać, byśmy rychło w Europie takich budynków operowych doczekać się mieli. W Chicago nowa opera nikogo razić nie będzie, a filozoficzne umysły będą mogły w niej widzieć symboliczny wyraz tego stadjum, w którem znajduje się obecnie rozwój kultury amerykańskiej.

Jeżeli Chicago i Nowy York, mimo swych raptownych i olbrzymich przemian budowlanych w dobie obecnej, mają jednak pewne ustalone zasadnicze rysy fizjognomji, to inne charakterystyczne, wielkie miasto amerykańskie, które poznałem, mianowicie Detroit, w całej pełni już ilustruje tę płynność rozwoju wielkich skupień miejskich w Ameryce, o jakiej mówiłem powyżej. Detroit, choć położone o sześć godzin jazdy koleją na wschód od Chicago, jednak dzięki pewnym wyjątkowym korzyściom swego położenia geograficznego, a przedewszystkiem dzięki faktowi, że stało się stolicą przemysłu samochodowego, poczyna odbierać miastu Chicago przywilej pośrednictwa między wschodem a zachodem Stanów. W żadnem z wielkich miast amerykańskich nie miałem w tym stopniu wrażenia gorączkowego ruchu rozwojowego, co w Detroit. Przybywszy do głównego miejscowego hotelu Book-Cadillac, z trudem musiałem się przeciskać przez falujący tłum ludzki w hallu hotelowym.

Wytłumaczono mi, że odbywa się właśnie w Detroit jakiś wielki ogólno-amerykański zjazd zawodowy — dentystów czy architektów, — i wielu jego uczestników mieszka w hotelu. Aliści podczas całotygodniowego pobytu wciąż wśród takich samych tłumów się poruszałem; i dowiedziałem się, że były jeszcze dwa czy trzy inne zjazdy, bo Detroit, jako położone prawie w geometrycznym środku między wschodem a zachodem Stanów, jest ulubionem miejscem zjazdów. Obwożony po mieście przez przyjaciół polskich, widziałem jak to miasto, jakby jakiś olbrzymi żywy organizm, ciska się to w tę, to w ową stronę w swym rozszalałym pędzie rozwojowym. Zwiedzałem oczywiście zakłady Forda: wyjaśniono mi, że rok czy dwa lata temu zostały w całości przeniesione z jednej na drugą stronę miasta, bo kierunek jego ekspansji się zmienił. Poznałem pewnego młodego lekarza Polaka, którzy w czasie wojny ukończył studja: opowiadał mi, że już dwa razy w Detroit w ciągu kilku lat ostatnich zmieniał mieszkanie, bo punkt ciężkości jego klienteli ustawicznie się przesuwa. W takich warunkach planowanie i zakładanie nowych linij tramwajowych czy nawet autobusowych nie ma wielkiego sensu, z powodu braku widoków na trwałe powodzenie, i wobec tego samochód, ten główny wyrób miasta Detroit, w samem tem mieście staje się bardziej elementarną koniecznością życiową niż gdzie indziej. Nigdzie on dziś już w Ameryce nie uchodzi właściwie za przedmiot zbytku; ale w tak powszechnem użyciu jak w Detroit nigdzie pono go nie widziałem.

Nie będę się rozwodził nad innemi wielkiemi miastami, które mi wypadło zwiedzić. Nie chcę twierdzić, by Buffalo, Baltimore, Philadelphia, Cleveland, Pittsburgh były wszystkie na jedno kopyto. Każde z nich pozostawiło po

sobie wrażenie jakiejś uderzającej właściwości indywidualnej, którą się odznacza i wyróżnia. A więc Buffalo ma śliczne parki i wspaniałą ogrodową perspektywę długiej Delaware Avenue, wysadzanej cienistemi drzewami; ma też w swem sąsiedztwie jako wielką atrakcję wodospad Niagary, na którego opis się tu silić nie będę. Baltimore, nader malowniczo rozłożone dokoła wzgórka, na którym stoi kolumna Washingtona, ze szczytu tej kolumny przedstawia w swem obramowaniu morskiem wspaniałą wielkomiejską panoramę. Philadelphia, obfitująca w zabytki historyczne z czasów kolonizacji i rewolucji, z posągiem W. Penn'a na szczycie swego ogromnego ratusza, oszołomiła mnie w swem śródmieściu rojniejszym może ruchem pieszym, niż którekolwiek ze zwiedzanych miast. W Cleveland poznałem jedno z najbardziej mieszanych w swym składzie ludnościowym miast, na jakie zdarzyło mi się natrafić; zarazem podziwiałem i tam burzliwe tempo rozbudowy i z należytem nabożeństwem oglądałem budujący się na sposób nowojorskich, olbrzymi nowy dworzec centralny. W Pittsburgh'u byłem w typowej, zakopconej stolicy węgla i żelaza, ale zarazem zwiedzałem ogromne zbiory naukowe Instytucji Carnegie'go. W Milwaukee, jak przystało na stary ośrodek zapobiegliwego żywiołu niemieckiego, zbudowany byłem widoczną na każdym kroku dbałością o schludność i planowy, uporządkowany wygląd miasta. Na każdem zresztą większem czy mniejszem mieście amerykańskiem znać gorącą ambicję jego obywateli, w kierunku jego rozbudowy i upiększenia: ten patrjotyzm lokalny miejski jest często jednym z najsilniejszych motywów działania obywatelskiego.

Ale koniec końców wszystkie wymienione miasta-kolosy są objawami jednej i tej samej społecznej tendencji

urbanizacyjnej, która nieprzeparcie nadaje im przy wszelkich różnicach indywidualnych pewne cechy typowe, i którą każde z nich zosobna w pełnej i dostatecznej mierze ilustrować może. Dlatego lepiej może, nie wchodząc w bardziej szczegółowy ich opis, zatrzymać się raczej przy miastach, które mają pewne właściwości wybitnie odrębne.

Takiemi, zdawaćby się mogło, być powinny miasta kanadyjskie, jakie zwiedziłem. Wszak tu byłem na terytorjum brytyjskiem, a więc w sferze innej cywilizacji, niż amerykańska. Wiadomo jednak, że Kanada, wskutek sąsiedztwa i ruchu ludności, oraz przez silne działanie kapitałów amerykańskich, wciąż inwestowanych w przedsiębiorstwach kanadyjskich, automatycznie coraz silniej się ze Stanami Zjednoczonemi zrasta, i że potęga asymilatorska typu yankesowskiego także na kształtujący się naród kanadyjski swój wpływ wywarła. Nawet język angielski w Kanadzie pod każdym względem podobniejszy jest do angielszczyzny amerykańskiej niż brytyjskiej; tak samo obyczaj. Ta amerykanizacja szczególnie silnie zaznaczyła się w Kanadzie zachodniej. Miasto Toronto w prowincji Ontario, gdy je poznałem, okazało się we wszystkiem podobne do takich samych półmiljonowych miast amerykańskich po drugiej stronie wielkich jezior. Natomiast w starych ziemiach kolonjalnych nad wybrzeżem wschodniem, działanie wpływu amerykańskiego natrafia na pierwiastek oporu, który przez dziwne, doprawdy, zrządzenie losu staje się ostoją odrębności brytyjskiej tej części Kanady, mianowicie na zasiedziały tam zdawna żywioł francuski. Francuzi kanadyjscy, element drobno-rolniczy, żyjący trybem staroświeckim, gorąco przywiązany do wiary katolickiej i języka ojców (choć tym językiem mówi na swój sposób i mocno go z angielskim miesza), zazdrośnie strzeże swej autonomji

w ramach dominjum brytyjskiego, jest z niej zadowolony i nie przedstawia bynajmniej podatnego gruntu dla amerykanizacji. Nie bez racji ukuto paradoks, że gdyby miało dojść do wojny między Anglją a Ameryką o Kanadę, to ostatni strzał karabinowy w obronie przynależności Kanady do Anglji odda ręka francuska. W Montrealu poznałem jeden z głównych ośrodków miejskich starej francuskiej prowincji Quebec. W mieście tem odrazu się zakochałem. Przedewszystkiem położone jest przepięknie u stóp lesistego wzgórza nad rzeką św. Wawrzyńca, rozlaną tu już szeroko jak zatoka morska; widok ze wzgórza na miasto i rzekę jest cudną zaiste panoramą i żywo mi przypomniał widok z góry zamkowej w Edynburgu. Edynburg, z wyraźnem dziedzictwem starego aljansu szkocko-francuskiego w swej atmosferze intelektualnej, przypomniał mi się także, gdym się rozejrzał nieco w życiu duchowem Montrealu. Miasto dwujęzyczne, ale z przewagą języka francuskiego w życiu potocznem, jest miejscem najbardziej może udałego na świecie skojarzenia genjuszu francuskiego z angielskim: w umysłowości jego elity zdaje się organicznie łączyć męskość brytyjska z żywością umysłową francuską, a połączeniu temu katolicyzm, którego panowanie silnie zaznacza wspaniała bazylika w środku miasta, nadaje jeszcze specyficznie europejskie piętno historyczne. Do takiego zespołu dwóch z najpotężniejszych tradycyj kultury europejskiej amerykanizm, przy całej swej agresywnej bujności i kwantytatywnej sile, nie może mieć dostępu.

Powróćmy jednak po tej małej wycieczce na terytorjum kanadyjskie znowu do Stanów Zjednoczonych, by pośród znanych mi ich miast wyszczególnić takie, które nie nabrały ryczałtowo przeciętnych amerykańskich cech wielkomiejskich i zachowują znamiona silnej odrębności.

Takiemi miastami w moich oczach są przedewszystkiem Boston i Washington.

Boston, niegdyś ośrodek pierwszych zbrojnych czynów powstańczych w walce o niepodległość, później najdonioślejszego w dziejach kultury amerykańskiej ruchu literacko-filozoficznego, ma wskutek tego w swej atmosferze coś bardziej historycznego i intelektualnego od innych wielkich miast amerykańskich. Ma też swoją specyficzną wyniosłość i dumę ze swego dostojeństwa duchowego; do tej postawy przyczynia się poniekąd bezpośrednie sąsiedztwo najstarszej szkoły akademickiej w Ameryce, trzechsetletniego uniwersytetu Harvard w mieście Cambridge, które rzeką tylko jest oddzielone od Bostonu. Dziś Boston, który zdawna przecież jest ruchliwym portem, zdaje się wstępować na zwykłe, utarte tory rozwoju hałaśliwego wielkiego miasta amerykańskiego; ale po trudności, z jaką wzmożony ruch wtłacza się w zawiły system jego ulic, znać, że to miasto o historycznie dawniejszym, ciaśniej budowanym i spokojniejszym typie naraz w rozgorączkowane nowoczesne centrum handlowe przekształcać się musi, i że proces ten idzie opornie. Wśród zgiełku tego współczesnego życia stoją zadumane zabytki heroicznej historji, jak stary dom zebrań, opromieniony chwałą pierwszych manifestacyj niepodległościowych i zwany „kolebką wolności“ *(the Cradle of Liberty).* Boston szanuje swą historję i ustawowo ograniczył budowę drapaczy chmur, któreby jego dawny charakter zacierały; stąd miła dla europejskiego oka właściwość, że tam jeszcze w sylwetce miasta, jak u nas, charakterystycznie się zaznaczają wieże kościelne, które w innych wielkich miastach amerykańskich zupełnie nikną w cieniu drapaczy chmur. W środku Bostonu, przemieniona na park, zachowała się stara miejska łąka wiecowa

z czasów rewolucyjnych — *Boston Common*; przechadzając się po niej i spoglądając na szereg pomników wybitnych jenerałów powstańczych, wśród których widnieje i nasz Kościuszko, ma się rzeczywiście poczucie bliższego zetknięcia z historją, niż gdzie indziej w Ameryce. Mniej przyjemny w zetknięciu natomiast jest snobizm intelektualny Bostonu, w niektórych jego przejawach. Najosobliwszym może pomnikiem snobizmu amerykańskiego wogóle jest dom pani Gardner w Bostonie, po śmierci właścicielki stanowiący własność miasta i otwarty dla publiczności jako muzeum. Pani Gardner, bogata wdowa, jeździła po świecie i korespondowała gorliwie ze wszystkiemi znakomitościami swego wieku, których autografy kupami zalegają oszklone półki w jej domu. Poza tem skupowała obrazy i inne dzieła sztuki, któremi ten dom stopniowo zapełniała. Mieszanina, jaka z tego ostatecznie wynikła, jest najwymowniejszym chyba w świecie dowodem na to, że niema rzeczy na ziemi ani na niebie, którejby bogaty Amerykanin nie mógł sobie kupić. A więc środek budynku zajmuje typowe podwórze pałacu weneckiego, z balkonami, krużgankami i fontanną, żywcem przeniesione za ocean i odbudowane; w jednym z kątów domu spotykamy całą kaplicę ze starej katedry hiszpańskiej, znowuż przeniesioną żywcem i zmontowaną; w innym znowu jakąś małą świątynię syjamską i t. d. Wnętrze domu wypełniają obrazy, meble, posągi, makaty starsze i nowsze, o fantastycznej wartości. Gdziekolwiek zaś jeszcze na ścianie pozostał kawałek miejsca, tam wisi obraz znakomitego malarza Sargent'a, który wprawdzie wiek życia spędził w Anglji, ale był bostończykiem z rodu. Obrazy jego w Bostonie można oglądać w miejscowej galerji obrazów; ponadto zaś stałym przedmiotem podziwu dla tłumów są olbrzymie alegoryczne

freski o tajemniczej symbolice, na temat „Rozwoju religij“, któremi Sargent w ostatnich latach swego życia ozdobił przedsionek wielkiej bibljoteki publicznej w swem mieście rodzinnem. Śmiało rzec można, że trzeba jechać do Bostonu, by nabyć należytego pojęcia o bogactwie i rozmaitości twórczego dorobku tego fenomenalnego talentu, jakim we wszystkich fazach swego rozwoju był Sargent.

Zgoła odmienną od wszystkich innych większych miast amerykańskich i bardzo swoistą fizjognomję ma Washington. Stolica polityczna Stanów Zjednoczonych różni się zasadniczo od historycznych stolic państw europejskich. Tamte rosły przez wieki razem z organizmami społecznemi, których są ośrodkami; stały się stolicami drogą przeważnie naturalnego niejako rozwoju i geograficznej konieczności, i są przeważnie daleko więcej niż stolicami politycznemi, bo zawierają w sobie bardzo istotne części życia gospodarczego i umysłowego danego narodu. Washington — podobny w tem chyba do jednego tylko Petersburga — jest stolicą stworzoną dowolnie, rzec można sztucznie, i przeznaczoną od początku na to, by być tylko centrum politycznem. Na podstawie abstrakcyjnego rozumowania, typowego dla XVIII wieku, który wyłonił z siebie państwowość amerykańską, postanowiono, że siedziba majestatu naczelnej władzy ma być wywyższona ponad wszelką styczność z codziennemi troskami ogółu narodu, wolną od ziemskiego brudu handlu i przemysłu i od całego kołowrotu zwykłej pracy zarobkowej. W rezultacie powstało miasto idealnie czyste, rozbudowane hojną ręką i jakby projektowane wyłącznie dla funkcyj reprezentacyjnych. Projektował je z nienagannym dobrym smakiem, właściwym swemu narodowi, francuski architekt Lenfant, i stworzony w zarysie przez niego Washington jest może jedynem wielkiem miastem

amerykańskiem, o którem można bez zastrzeżeń powiedzieć, że jest w całości piękne. Ujęty w czarowną ramę rzeki i półkola leśnych wzgórz, tonie we wspaniałych parkach i gajach, wśród których poselstwa obcych państw i siedziby dygnitarzy państwowych — wszystko prawie urocze wille w ogrodach — są przybytkami prawdziwego wykwintu. Wielkie gmachy państwowe w środku są w szlachetnym, monumentalnym, klasycznym stylu, i jeżeli — jak Kapitol — rażą trochę zużytą obfitością kosztownego materjału i białością i świeżością swych marmurów — jakby ornamentów z masy cukrowej na kołaczu weselnym — to tu już mamy do czynienia z typowemi właściwościami całej tej potężnej młodej cywilizacji, którą doskonale symbolicznie reprezentują. W każdym razie, patrząc z tarasu olbrzymiego mauzoleum Lincolna na wspaniałą architektoniczną panoramę stolicy, musi się dzielić zadowolenie Amerykanina z tego, że jego narodowi danem było w warunkach tak zupełnej swobody, bez skrępowania jakiemiś gotowemi materjalnemi danemi historycznemi, kształtować tło dekoracyjne dla rządu swego kraju. Washington jest jakby wyrazem tej niezależności od dziedzictwa przeszłości, z jaką tworzyło się i tworzy całe zbiorowe życie Ameryki. Każe myśleć o słowach Goethego:

„Amerika, du hast es besser
Als unser Kontinent, der alte:
Hast keine verfallenen Schlösser
Und keine Basalte..."

Oczywiście, całkowita izolacja od całokształtu codziennych interesów narodu, w jakiej powstał i bytuje Washington, ma także swoje słabe strony. Jest ziarno poważnej słuszności w żartobliwem powiedzeniu amerykańskiego przyjaciela do mnie: „W tem mieście mieszka grono ludzi, którzy są

najbardziej oddaleni od wszystkich żywotnych spraw narodu amerykańskiego — to są właśnie ci, którzy nami rządzą". Washington, ze swoim okręgiem *(District of Columbia)*, tworzy osobne terytorjum, i stali jego mieszkańcy bez wyjątku — zarówno urzędnicy jak inni — są pozbawieni prawa wyborczego. Byłem przecież w Ameryce w czasie wyborów prezydenta, i to wyborów, które się odbyły w atmosferze szczególniejszego roznamiętnienia: musiałem się więc śmiać serdecznie razem z innymi, gdy wkrótce po tych wyborach na pewnym bankiecie klubowym, w mieście przemysłowem Toledo w stanie Ohio, mówca-facecjonista, przybyły z Washingtonu, zaczął swoje przemówienie od słów: „Rozeszła się w Washingtonie pogłoska, że w kraju w ostatnich czasach były wybory..."

Gdy jednak zważymy, że polityka amerykańska (o której będę jeszcze mówił poniżej) aż nazbyt ściśle w literalnem słowa znaczeniu kojarzy się z interesami materjalnemi, to może to nadmierne na nasze pojęcia odosobnienie stolicy okaże się ostatecznie poniekąd celowem i pożytecznem. Rewolucja na ulicach Washingtonu jest nie do pomyślenia, a prezydent w ustronnym Białym Domu, wśród zieleni jego ogrodów, jeżeli jest silny rozumem i charakterem, może się zdobyć na decyzje, wznoszące się nawet ponad opinję publiczną.

Mówiąc o Washingtonie, przeszliśmy już od miast-olbrzymów, huczących życiem handlowem i przemysłowem, do mniejszych miast spokojniejszego typu. Prawda, że miasta, według amerykańskich pojęć, średniej wielkości, a więc od 250.000 do 300.000 ludności liczące, przeważnie dziś zdają się mieć tylko tę jedną ambicję, żeby szybko róść, roić się od drapaczy chmur, kipieć ruchem, i słowem upodobniać się do Nowego Yorku lub Chicago. Ten snobizm

średnich miast amerykańskich, które chcą koniecznie stać się pierwszorzędnemi, wydrwił znakomity powieściopisarz współczesny Sinclair Lewis w swej powieści *Babbitt*. Nazwisko jej bohatera, ajenta do handlu nieruchomościami w urojonem ćwierćmiljonowem mieście Zenith, stało się zwykłem określeniem typowego obywatela takiego miasta. Jeszcze bardziej ograniczone mieszczaństwo miast mniejszych, których ambicja narazie za wzór sobie stawia miasta jak Zenith, skreślił satyrycznie Lewis w innej powieści, *Main Street* („Główna ulica"). Podziwiając te subtelne i pełne ironji obrazy kołtuństwa amerykańskiego, musimy tylko z punktu widzenia doświadczeń europejskich zaznaczyć, że łudzi się szanowny autor, jeżeli uważa kołtuństwo za objaw specyficznie amerykański: kołtuństwo wielko- i małomiejskie, tak samo tępe i ograniczone, choć może bardziej konserwatywne w swem myśleniu i nie tak snobistycznie ambitne w swym patrjotyzmie lokalnym, znamy zdawna dobrze także w Europie.

Nie wszystkie ćwierćmiljonowe miasta w Ameryce mają te ambicje, co Zenith; są takie, które robią wrażenie, jakby umiały mądrze poprzestać na swojem, ustrzec się gorączki dorobkiewiczowskiej i przez to otoczyć się swoistym urokiem. Nie są to bynajmniej miasta upadające; przeciwnie, wiele z nich ma reputację bardzo bogatych. Jako przykład miasta tego rodzaju wyszczególniłbym — nie wiem czy słusznie — Springfield w stanie Massachusetts. Miasto 300-tysięczne, rozłożone swobodnie i szeroko, względnie spokojne nawet w swej śródmiejskiej części, wolne od pseudo-monumentalnych potworności w swej architekturze publicznej, obfite w rozkoszne dzielnice dworkowo-ogrodowe, w ulice wysadzane drzewami i w parki, chlubi się przydomkiem *a city of homes*, i rzeczywiście pamięć „miasta

domów rodzinnych" *par excellence* u mnie pozostawiło. Może przyczyniła się do tego okoliczność, że byłem tam w jedno ze świąt narodowych amerykańskich — *Thanksgiving Day* w październiku — i że do uświęconego tradycją indyka zasiadałem w gronie przyjaznej rodziny amerykańskiej, która obcego przybysza z prawdziwą serdecznością przygarnęła. W każdym razie Springfield wydało mi się doskonałym przykładem kategorji miast, którą na kilku innych jeszcze (acz mniej doskonałych) przykładach poznałem, a której zachowania mojem zdaniem należałoby Ameryce życzyć.

Od miast o typie Springfield niedaleko już do mniejszych miast prowincjonalnych, które wielkiemi ogniskami ruchu gospodarczego (chwała Bogu) nie mają widoków zostać, i prowadzą życie podobnie ustalone, jak nasze miasta powiatowe. Kilka szczególnie uroczych małych miast tego rodzaju poznałem w najpiękniejszych okolicach Nowej Anglji, i trudno mi ująć w słowa ten osobliwy wdzięk, jakim tchną dla mnie. Miasta takie jak Pittsfield w stanie Massachusetts albo Springfield w stanie Vermont pozostaną na zawsze zielonemi wysepkami na oceanie moich amerykańskich wrażeń miejskich. Podziwiałem w nich doskonałe połączenie natury z kulturą — przynajmniej z wysoką kulturą materjalną: dostatnie i wygodne domy o typie dworkowym, wszelkie nowoczesne urządzenia, idealne asfaltowe bruki, a to wszystko pełne drzew i ogrodów, otoczone lesistemi wzgórzami, oddychające pogodą, zadowoleniem i prawie że wiejskim spokojem. W Europie trzebaby chyba iść w głąb prowincjonalnej Holandji z jej starym dobrobytem, materjalnemi wygodami i drobnomieszczańską architekturą, by odnosić podobnie błogie wrażenia.

Przelotnie tylko, bo w przejeździe automobilem poznałem jeszcze mniejsze, a niemniej ujmujące miasteczka pro-

wincjonalne w Nowej Anglji, które mają już coś ze staroświeckiej sielskiej prostoty. Sięgające przeważnie czasów angielskich rządów kolonjalnych, składają się z piątrowych domów drewnianych o jednakowej, starodawnej budowie, z gankami o dwóch słupach; grupują się wokoło trawnika gminnego, który jest rynkiem, około malutkiej szkółki i drewnianego kościółka, wprawdzie prozaicznego i zgoła nieponętnego w swej surowej i prostej strukturze, ale bądź co bądź wcielającego w tych suchych konturach całą siłę moralną dawnej purytańskiej tradycji. Miasteczka takie mają zwykle albo nazwy biblijne ze Starego Testamentu (jak Libanon, Horeb, lub Hebron), albo przeniesione przez pierwszych kolonistów nazwy starych miast angielskich (jak Manchester lub Plymouth, miejsce rodzinne prezydenta Coolidge).

III.

# Problem wsi i rolnictwa.

W małych miasteczkach Nowej Anglji jesteśmy już na pograniczu życia wiejskiego. Wsi w naszem znaczeniu słowa w Ameryce nie widziałem, bo jej tam ponoś właściwie i niema. Są tylko rozrzucone pojedyńcze farmy, czyli, jak u nas by je nazwano, folwarki raczej niż zagrody wiejskie, oraz na wielkich przestrzeniach zachodnich olbrzymie gospodarstwa, uprawiane na sposób przemysłowy, z całym nakładem nowoczesnej maszynerji. Na Zachód przeniósł się w ciągu wieku XIX punkt ciężkości wysiłku rolniczego Ameryki; stany Nowej Anglji, dawniej rolnicze, uległy uprzemysłowieniu, a w przerwach między nowemi ogniskami przemysłowemi po dawnych zagospodarowanych obszarach rolnych pozostały pustkowia. W pierwszych tygodniach moich wędrówek po Nowej Anglji często ze zdumieniem i zachwytem patrzyłem przez okna wagonu lub auta na rozległe przestrzenie lasów i łąk; byłem przygotowany na to, że będę widział same tylko miasta przemysłowe, fabryki i kopalnie, i rozkoszowałem się widokiem tak wielkich płatów dziewiczej, jak mniemałem, przyrody. Wygadałem się z temi mojemi naiwnemi zachwytami podczas krótkiego posłuchania, jakiego mi udzielił jeden z największych dostojników w świecie naukowym amerykańskim, profesor A. L. Lowell, prezydent starego Uniwersytetu Harvard; on to, pokiwawszy melancholijnie głową, objaśnił mnie,

że owa mniemana dzika przyroda, to porzucone pola, i że tam, gdzie dziś szumi młody las, niejednokrotnie dawniej szumiało zboże. Dopiero po tem objaśnieniu nauczyłem się uważniej patrzeć na krajobraz; począłem dostrzegać miejscami butwiejące szczątki dawnych stodół, młynów, wiatraków i dworków wiejskich...

Na przestrzeniach Zachodu losy rolnictwa amerykańskiego były świetniejsze, ale także pono doszło ostatecznie do niepowodzenia. W okresie uprzemysłowienia kraju zapragnięto uprzemysłowić także rolnictwo i mając do dyspozycji wielkie obszary na Zachodzie, poczęto na nich uprawiać produkcję masową jednakowych rodzajów zbóż, forsownemi i maszynowemi sposobami. Te metody, w Stanach Zjednoczonych tak samo jak w Kanadzie, dały wyniki cyfrowo wielkie i wywołały nawet przewroty i przesilenia na światowym rynku zbożowym. Ale w dalszym ciągu okazało się, że rolnictwa jednak z zupełnem powodzeniem uprzemysłowić się nie da. Uprawa jednakowych zbóż na wielkich przestrzeniach pozbawia gospodarstwo tej elastyczności, którą daje różnorodność płodów: tylko ta różnorodność pozwala rolnikowi zastosować się gospodarczo do zmiennych humorów pogody i fluktuacyj konjunktury i zawsze wyjść z nich z zyskiem. Ponadto zaś wielkie obszary zbóż jednakowych stały się także niebywałemi polami hodowli pasorzytów, i nigdy w dziejach rolnictwa nie słyszało się o klęskach, zadawanych mu przez pasorzyty w tych rozmiarach, jak od czasów tego sposobu uprawy w Ameryce. Wreszcie przy tej masowej produkcji powstawała, tak samo jak w przemyśle, kwestja zbytu. Przemysł forsuje zbyt przez reklamę i przez mniej lub więcej sztuczne rozszerzenie i komplikowanie potrzeb ludzkich: rolnictwo, zaspokajając niezmienne potrzeby naturalne, nie może ich w analogiczny

sposób potęgować. Przeciwnie, powagi lekarskie zauważyły, że nowoczesny człowiek, w miarę jak jego pracę fizyczną coraz bardziej zastępuje maszyna, coraz mniej potrzebuje pokarmu w postaci chleba a coraz więcej wymaga rozmaitych innych form żywności, jako to nabiału, jarzyn i mięsa. Wynika stąd konieczność daleko idącego przekształcenia gospodarki wiejskiej w całym świecie. Do tej konieczności rolnictwo, jako jedna z najkonserwatywniejszych form pracy ludzkiej, nie dostosowuje się tak szybko, jakby trzeba, i stąd światowe przesilenie rolnicze, którego cząstką tylko są niepomyślne losy uprzemysłowionego rolnictwa amerykańskiego.

Uprzemysłowienie rolnictwa w tym sensie i w tych rozmiarach, w jakich usiłowano go dokonać w Ameryce, okazało się tedy błędem, i gdyby narody umiały się uczyć z błędów innych narodów (czego niestety historja zgoła nie dowodzi), to z doświadczenia Ameryki powinniby skorzystać dzisiejsi władcy Rosji, ogarnięci obecnie utopijnym szałem nietylko ryczałtowego zmechanizowania pracy na roli, ale także tworzenia ogromnych jednolitych obszarów gospodarczych.

Rezultatem tego rozwoju rzeczy w Ameryce jest fakt, że rolnictwo amerykańskie znalazło się w położeniu trudnem a nawet krytycznem. Nam Europejczykom trudno jest wyobrazić sobie, by w dzisiejszej Ameryce gdziekolwiek mógł panować niedostatek, a jednak niema wątpliwości, że są okręgi rolnicze w Stanach, gdzie dała się we znaki farmerom bieda, a robotnikom rolnym nawet głód. Najjaskrawszym symptomem krytycznej sytuacji jest to, że wbrew powszechnej amerykańskiej zasadzie niezależności życia gospodarczego od ingerencji państwa rolnicy natarczywie domagają się pomocy państwowej, i kwestja tej

pomocy — *Farm Relief* — jest stale na pierwszym planie wszelkich programów i dyskusyj politycznych. W projektach subsydjów muszą się licytować między sobą oba stronnictwa, przedewszystkiem zaś nacisk ze sfer rolniczych idzie ciągle w kierunku zaprowadzenia tego doraźnie może najskuteczniejszego, ale z ogólniejszych względów bardzo ryzykownego środka zaradczego, jakim byłyby wysokie cła ochronne na produkty rolne. Zastosowanie wysokich ceł ochronnych, celem sztucznego utrzymania cen agrarnych na rynku wewnętrznym na wysokim poziomie, było jednym z zasadniczych punktów ustawy, nazwanej według swoich twórców *Mac Nary-Haugen Bill.* Drugim zaś jej głównym punktem były premje eksportowe w bardzo surowej formie, nie będącej właściwie niczem innem, jak dumpingiem eksportu rolnego. Prezydent Coolidge okazał rozwagę prawdziwego męża stanu, zakładając przeciwko tak prymitywnemu projektowi swoje *veto*, co przy powtórnem wniesieniu ustawy w r. 1928 uznał także Kongres, nie dając ustawie potrzebnej większości $^2/_3$ głosów. Już i tak tymczasem z usiłowań odgrodzenia się granicą celną od importu płodów rolniczych z zagranicy wynikły ostre tarcia z Kanadą, główną w ostatnich czasach dostawczynią żywności Stanów Zjednoczonych, i idealnie zgodliwą dotychczas sąsiadką. Szczególnie żarliwie protestowała Kanada francuska (prowincja Quebec), jako kraj przeważnie rolniczy.

Zrozumiano tedy, że nie tędy droga. Ponieważ jednak groza sytuacji rolniczej nie zmniejszała się bynajmniej, i prezydentura Hoovera zagajona była solenną obietnicą polityczną pomocy dla rolnictwa, przeto w roku 1929 przeforsowano w parlamencie w rekordowo szybkim czasie nową ustawę o pomocy dla rolnictwa, pod nazwą *Agricultural Marketing Act.* Jej myślą przewodnią jest ulepszenie

organizacji zbytu produktów rolnych. Konkretnym środkiem do tego celu ma być nowa władza państwowa, *Federal Farm Board*, i podlegająca jej sieć „korporacyj stabilizacyjnych“, które mają rozciągać swoją kontrolę nad spółdzielniami rolniczemi i popierać ich dalszy rozrost. Stajemy więc wobec niebywałego w Stanach Zjednoczonych eksperymentu etatystycznego na wielką skalę. Czy ta biurokratyczna metoda zbawienia rolnictwa okaże się skuteczną, to kwestja otwarta. Wątpliwości musi budzić przerzucenie całego ciężaru zagadnienia ze sfery produkcji rolnej w sferę handlu produktami rolnemi. W każdym razie jednak *Federal Farm Board* (którego budżet administracyjny wynosić ma 1½ miljona dolarów rocznie!) rozporządza funduszem kredytowym w wysokości pół miljarda dolarów na pożyczki handlowe i budowlane dla kooperatyw rolniczych, i ten materjalny fakt zapewne w oczach rolników będzie silnym argumentem na korzyść projektu. Narazie inicjatywa Rządu znalazła echo wśród ogółu rolników, co się objawiło przez powstanie wielkiego związku kooperatyw rolnych na zjeździe w Baton Rouge w stanie Louisiana, latem 1929 r.

Tymczasem jednak trwa dalej w całej pełni ten sam objaw społeczny, który dziś obserwujemy wszędzie w świecie, ale który w Ameryce przybrał może największe rozmiary, mianowicie masowy odpływ ludności ze wsi do miasta czyli „ucieczka od roli“. W sierpniu roku 1929 jedna z gazet washingtońskich, by zwrócić uwagę na problem, ubrała go w szatę sensacyjnego ogłoszenia o zgubie! „Zginęło w ostatnich dwudziestu latach cztery i pół miljona rolników, którzy się zabłąkali w naszych miastach przemysłowych. W razie odnalezienia uprasza się o zwrot do okręgów rolniczych. Wujaszek Sam“.

Istotnie statystyka wykazuje, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu liczba ludności rolniczej w Stanach Zjednoczonych spadła z 38 do 27½ miljonów i bez przerwy spada dalej. Rolnicy stanowią dziś mniej niż jedną piątą ogółu obywateli; cztery piąte wchłonęły miasta i przemysł. Pozostały zaś nieliczny odłam rolniczy jest istotnie piętą achillesową organizmu gospodarczego Ameryki. Jest ofiarą postępującej szybko pauperyzacji i zagraża mu zupełna niemożliwość życia na roli. Według obliczeń senatora ze stanu Kansas, Artura Capper'a, wydawcy wielu pism rolniczych, wartość około sześciu miljonów gospodarstw rolnych, znajdujących się w Stanach Zjednoczonych, w pięciu latach (1920—1925) spadła o 70 miljardów dolarów. Wartość płodów rolniczych w jednym roku spadła o trzy miljardy dolarów. A tymczasem podatki płacone przez rolników z 350 miljonów dolarów w roku 1914 urosły do 900 miljonów w r. 1926 [1]). Dalszy ciąg, a raczej rychły kres tego procesu społecznego, łatwo sobie wyobrazić, a na jakie niebezpieczeństwa narażony jest przez swe nienormalne położenie kraj całkowicie uprzemysłowiony i żywność swą z zewnątrz importujący, tego groźnym przykładem jest Anglja w jej dzisiejszym stanie ostrego i przewlekłego przesilenia ekonomicznego.

[1]) F. Corcos, *L'Amérique... un Paradis?* (Paryż, Aubier, 1929, 2 wyd.), str. 180. Szczegółowo przedstawił kryzys rolnictwa w Ameryce Lewis F. Carr: *America Challenged.* (Londyn, Macmillam, 1929).

IV.

# U PODSTAW DOBROBYTU AMERYKAŃSKIEGO.

Stosunek między sytuacją w rolnictwie a w przemyśle amerykańskim jest wymowną ilustracją tej melancholijnej prawdy, której nas doświadczenie wciąż na nowo uczy, a którą natura ludzka tak niechętnie sobie przyswaja, że mianowicie niczego w życiu — zarówno w życiu jednostek jak narodów — nie można mieć za darmo, i że za każdą wybitną korzyść w jednym kierunku wypada płacić stratami w innym. Amerykanin ma powody zastanawiać się nad ujemnemi następstwami jednostronnie przemysłowego rozwoju kraju. Ale prawda każe wyznać, że ogół obywateli bynajmniej tego nie czyni, choć mówią o tem wciąż politycy i piszą gazety. Masy ludności w coraz wzrastającej proporcji są wciągnięte w wir pomyślności przemysłowej i skupiając się coraz więcej po wielkich miastach, bez troski uczestniczą w tym powszechnym dobrobycie amerykańskim, który w naszych oczach, szczególnie po wojnie, tak fantastyczne przybiera rozmiary. Dobrobyt Ameryki dzisiejszej jest fenomenem, który stałością i szybkością swego postępu wciąż na nowo przewyższa wszelkie oczekiwania ekonomistów. Wiara w jego trwałość jest tak ugruntowana wśród Amerykanów samych, że w ciągu niedawnej kampanji wyborczej prezydenckiej nawet przy najnamiętniejszych dyskusjach można było z różnych stron słyszeć głosy, iż „wszystko jedno ostatecznie, czy Hoover czy Smith będzie

wybrany, dobrobyt będzie się rozwijał dalej" — *prosperity will go on*. Próby zmonopolizowania tej *prosperity* jako zasługi rządzącej partji republikańskiej mało komu trafiały do przekonania, bo dobrobyt Ameryki w umyśle Amerykanina stał się czemś w rodzaju absolutu czy prawa natury.

Dziwić się nie można, że się tak stało, gdy rzucimy okiem na fakta. Nie piszę rozprawy ekonomicznej, i nie uległem na tyle amerykanizacji, by czuć pociąg do bezustannego operowania cyframi, jak to lubią czynić Amerykanie we wszelkiego rodzaju pracach, bez różnicy tematu. Ale w tym momencie nie mogę się powstrzymać od przytoczenia przynajmniej kilku cyfr charakterystycznych, zwłaszcza że niektóre z nich pochodzą z książeczki, pisanej właściwie w celu polemicznym, z tendencją przeciw obecnemu systemowi gospodarczemu Ameryki, jak to zapowiada sam jej tytuł[1]). Cyfry to swoją drogą przeważnie tak zawrotne, że przeciętny Europejczyk nie może kojarzyć z niemi jakichkolwiek wyraźnych pojęć, tak samo jak z cyframi, jakiemi operuje astronomja. A więc amerykańskie Ministerstwo Handlu oblicza wartość majątku narodowego na 400 miljardów dolarów, a Ministerstwo Skarbu na podstawie wpływów podatkowych szacuje dochody ludności w r. 1926 na 90 miljardów dolarów. Jest dziesięć przedsiębiorstw w Ameryce, mających przeszło miljard kapitału, a szalony ich rozrost jest głównie dziełem dziesięciu lat ostatnich. Że rozrost ten nie ustaje i odbywa się w coraz raptowniejszem tempie, o tem niech świadczą choćby cyfry za pierwszą połowę r. 1929, ogłoszone w sierpniowym biuletynie nowojorskiej *National City Company*[2]). Statystyka wybranych

---

[1]) *The Wilderness of American Prosperity*, by Leroy E. Bowman, A. B. (Self and Society Booklets. Nr. 17). Londyn, Ernest Benn, 1929.

[2]) Znalazłem te cyfry przedrukowane w *Times* (Londyn), sierpień 1929.

650 przedsiębiorstw przemysłowych wykazuje za te pół roku przeszło dwa miljardy dolarów czystego dochodu, czyli o 24 procent więcej, niż w tym samym okresie roku 1928. Szczególnie szybkim rozrostem zysków mogą się pochwalić 23 przedsiębiorstwa przemysłu hutniczego, bo dochody ich podskoczyły z 85 miljonów na 173 miljonów, czyli do wysokości przeszło podwójnej. Jedno z tych przedsiębiorstw, *Bethlehem Steel Corporation*, zdołało nawet prawie potroić swe dochody, podnosząc je z 8 miljonów do 21 miljonów. A w przemyśle naftowym łączne zyski 21 towarzystw wzrosły z 33 do 55 miljonów dolarów.

I temu gwałtownemu wzrostowi w zyskach przedsiębiorstw odpowiada równie szybki postęp ogólnego dobrobytu ludności. Za ostatnie lat dwanaście oszczędności w gotówce, złożone w bankach i kasach oszczędności, podskoczyły o 183 procent, a kapitały, inwestowane w nieruchomościach i pożyczkach, urosły w czwórnasób. Przeciętną płacę robotnika w głównych przemysłach fabrycznych amerykańskich, obliczono przed rokiem na cztery dolary (36 złotych) dziennie, a mierząc faktyczną płacę jej siłą kupna w stosunku do cen towarów, stwierdzono, że przeciętny robotnik amerykański otrzymuje tej faktycznej płacy dwa razy tyle co londyński, trzy razy tyle co paryski, cztery razy tyle co brukselski, rzymski lub madrycki. Jako „minimum egzystencji“ dla pięciogłowej normalnej rodziny w średniem mieście amerykańskiem przyjąć należy, według obliczeń angielskiego statystyka Stuart'a Chase (ogłoszonych niedawno w nowojorskim tygodniku *The Nation*[1]), kwotę około 2000 dolarów. Do tej sumy przeciętny dochód głowy rodziny w całym szeregu zawodów robotniczych i urzędniczych notorycznie nie dochodzi, ale w większości rodzin

---

[1]) Korzystam ze streszczenia w *Prager Presse* z 13 grudnia 1929.

zarobkują po dwie lub więcej osób z rodziny; a trzeba zważyć, że do „minimum egzystencji“ w dzisiejszej Ameryce są już wliczone takie „niezbędne potrzeby“, jak samochód, telefon i radjo, nie mówiąc oczywiście o łazience, centralnem ogrzewaniu, elektrycznem oświetleniu i gazowej kuchni.

Na wysokie cyfry absolutne majątku narodowego amerykańskiego, wyrażające się w kwotach zeznawanych przed władzą podatkową dochodów i opłacanych podatków dochodowych, składają się — to jednak trzeba zaznaczyć — przedewszystkiem bogactwa tego małego odłamu ludności, który skupia w swych rękach lwią część kapitału. I tutaj to wkraczamy w dziedzinę cyfr, które Europejczykowi muszą się wydać baśnią, szczególnie gdy chodzi o rozwój powojenny. W r. 1924 (cytuję dalej według *Prager Presse*) tylko 75 osób w Stanach Zjednoczonych miało więcej niż miljon dolarów rocznego dochodu. W r. 1927 już 283 osób przyznaje się przed władzą podatkową do rocznego dochodu powyżej miljona, a dziesięć z nich do kwoty powyżej pięciu miljonów. Dziesięciu najbogatszych w r. 1927 dzieliło się ogólną sumą dochodów rocznych, dochodzącą do 90 miljonów dolarów. Tych dziesięciu, to zapewne ci sami, którzy byli wraz z kwotami swemi wymienieni imiennie w listach podatkowych, ogłoszonych przez Ministerstwo Skarbu w r. 1924 (od tego czasu takich list nie ogłaszano). Wtedy na czele spisu kroczył John Rockefeller z podatkiem dochodowym — nie dochodem rocznym, tylko podatkiem od tego dochodu! — w kwocie przeszło 6 miljonów dolarów, po nim Ford, płacący „tylko“ coś ponad 2½ miljona, po Fordzie i jego synu, A. W. Mellon (minister skarbu Stanów Zjednoczonych), który ze źródeł dochodowych, złożonych głównie z banków i zakładów przemysłowych,

opłaca podatku do dwóch miljonów — i dalej różni „królowie“ kolejowi, węglowi i inni, wobec których nawet stara arystokracja pieniężna Stanów — rodziny Vanderbildtów i Astorów — dziś schodzą na szary koniec spisu, płacąc podatki przeciętnie poniżej miljona.

Jak widzimy zatem, gigantyczne skupienia kapitałów w rękach jednostek lub rodzin mają przeważnie formę potężnych kombinacyj przedsiębiorstw przemysłowych, a więc znanych w całym świecie „trustów“, których pierwszymi organizatorami na wielką skalę stali się kilkadziesiąt lat temu Morgan (węgiel), Rockefeller (nafta) i Carnegie (stal). Obok starszej formy trustów przemysłowych, jedną z najbardziej uderzających nowszych postaci skupienia kapitału w Ameryce jest rozrastający się dziś system „sklepów łańcuchowych“ *(chain stores)*, połączonych przynależnością do jednej firmy i rozłożonych po całym kraju. Za czasów mojego pobytu kilkakrotnie zwracano w publicystyce uwagę na to, jak szybko *chain stores* triumfują nad niezależnym drobnym handlem i zbijają z pola jego konkurencję. W roku 1927, według sprawozdania Ministerstwa Handlu, funkcjonowało 95.000 sklepów lokalnych, należących do systemu *chain stores*[1]). Tą samą drogą idą inne przedsiębiorstwa, np. hotele (wspaniały system wielkich hoteli Statler'a we wszystkich ważniejszych miastach) i restauracje (obfitość tanich restauracyj firmy Childs przy wszystkich ulicach większych miast). Do najcharakterystyczniejszych przykładów należą wielkie trusty dziennikarskie, które (z niekorzyścią, trzeba powiedzieć, dla godności moralnej swojej pracy) naśladuje odniedawna Anglja (Lord Northcliffe i jego następcy Beaverbrook i Rothermere), a zaczynają naśladować także inne kraje europejskie. W Ameryce dziś osławiony

[1]) Leroy E. Bowman, *l. c.*, str. 7.

Hearst posiada 26 dzienników, kombinacja Scripps-Howard ma ich 25, a mniejsze grupy od czterech do dziesięciu każda[1]). Równie uderzające objawy tej kategorji wykazuje rozwój banków: w latach 1921—1926 wkłady w bankach wzrosły o 39%, a ilość banków zmniejszyła się o 8·6 procent. Tak samo jest w dziedzinie tak popularnych przemysłów ostatniej doby, jak przemysł kinematograficzny i radjowy. Każdy z nas zna z wieczorów w kinie nazwy takich wielkich amerykańskich korporacyj producentów filmowych jak *Metro-Goldwyn-Mayer* albo *Paramount*. Co się tyczy stacyj radjowych nadawczych, to Ameryka ma przeszło połowę stacyj całego świata — 700 na 1131 — a z tych 50 stacyj skupia 90 procent słuchaczy, pozostałe zaś 650 stacyj zaledwie 10 procent słuchaczy[2]). W przemyśle samochodowym walka konkurencyjna toczy się dziś wyłącznie między wielkiemi koncernami, a wśród nich *General Motors Company*, zwycięska rywalka fabryki Forda, szybko wybija się na pierwsze miejsce; jej fuzja z zakładami fordowskiemi jest podobno w projekcie, a wykupywanie przez nią pokolei wszystkich wybitniejszych fabryk europejskich — począwszy od nabytych już zakładów Oppel-Darracq — dokonywa się na oczach zdumionego świata europejskiego. W nafciarstwie hałasy walki między gigantyczną *Standard Oil Company* i brytyjską *Royal Dutch* wypełniają dziś cały świat, i walka ta sta nowi tło wielu wielkich międzynarodowych problemów politycznych. W metalurgji *United States Steel Corporation* jest dziś zgoła bez konkurencji.

Przy takich wzmagających się i panujących dziś tendencjach rozwojowych w przemyśle, rozkład olbrzymiego majątku narodowego Stanów Zjednoczonych pozostaje potwornie nierówny. Ale intensywność ciągłego wzrostu

---

[1]) i [2]) Leroy E. Bowman, *l. c.*, str. 8.

zarobków i dochodów jest tak wielka, że mimo wszystko śmiało rzec można, iż dzisiaj fala niebywałego w dziejach dostatku rozlewa się wśród całego narodu amerykańskiego. Nie może być wielkiego ubóstwa nawet wśród szerokich mas narodu, który — by rzucić jeszcze kilka cyfr globalnych[1]) — stanowiąc zaledwie 6 procent ludności kuli ziemskiej, ma w swem posiadaniu od 40 do 70 procent węgla, bawełny i miedzi w świecie, 72 procent nafty, 59 procent telefonów, 82 procent samochodów, 52 procent wkładów bankowych, wreszcie 38 procent wszystkiego złota.

Bardziej zdumiewającą jednak rzeczą od cyfrowych rozmiarów tego dobrobytu jest podstawa, na której się jego rozwój odbywa. Wiemy wszyscy o pewnych stałych i solidnych elementach tej podstawy. A więc wiemy, że Stany Zjednoczone w swym rozwoju przemysłowym umiejętnie skorzystały z faktu, iż polem operacyjnem tego przemysłu w jego początkach był olbrzymi kraj o wielkich zasobach naturalnych, gospodarczo nierozwinięty, ludnością doniedawna bynajmniej nie przepełniony, i zjednoczony w jeden wielki rynek wewnętrzny przez brak granic cłowych między pojedyńczemi stanami. Wiemy dalej, że sprężyną szybkich postępów tego przemysłu stały się właściwości, których klasycznym przykładem dla całego świata jest Ford: a więc ograniczenie *ad minimum* typów wyrabianego towaru, jednolita produkcja masowa, bezwzględne stosowanie ulepszeń technicznych i coraz nowe oszczędności w używaniu pracy ludzkiej przez urządzenia maszynowe, wreszcie ekonomiczna organizacja tej pracy z celem wydobycia z niej *maximum* wydajności. Stwierdzono statystycznie, że w tak

---

[1]) Biorę je z rocznego sprawozdania *Committe on Recent Economic Changes*, ogłoszonego w lecie 1929 roku (korzystam ze streszczenia w *Le Temps*).

ważnych przemysłach, jak stalowy, gumowy i samochodowy, ta sama ilość ludzi dziś produkuje trzy razy tyle, co w roku 1914. Tę rekordową produktywność swego robotnika przemysł amerykański podsyca przez wysokie płace i przez zainteresowanie jednostki robotniczej w rozkwicie przedsiębiorstwa: zachęca się robotnika systematycznie do lokowania oszczędności w akcjach tej fabryki, w której pracuje. O ile przez to powiększa się grono współwłaścicieli przedsiębiorstwa a tem samem niejako rozszerza demokratyczną podstawę przemysłu [1]), o tyle z drugiej strony syndykalizacja przedsiębiorstw, nigdzie na świecie nie rozwinięta tak wcześnie i tak potężnie, jak w Ameryce, wytwarza ogromne skupienia kapitału w postaci dawniejszych trustów czy dzisiejszych *mergers*, które oczywiście przez zespolenie mogą produkować ekonomiczniej i jako organizacje niemal monopolowe mogą realizować większe zyski.

Na wszystko to Europa patrzy z podziwem; wielu rzeczy w swych warunkach historycznych, geograficznych i ekonomicznych naśladować nie jest w możności; ale co może, naśladuje skwapliwie i coraz powszechniej. Kartelizacji przemysłu pod presją konieczności zaczął się uczyć od Amerykanów nawet naród tak rdzennie indywidualistyczny, jak Anglicy; a w racjonalizacji pracy może najpojętniejszymi ich uczniami okazali się dzisiejsi Niemcy, u których dyscyplina fabryczna po wojnie przemieniła się w rodzaj pańszczyzny.

Przyglądając się bardziej zbliska temu, co z Europy widzimy w imponujących konturach ogólnych, dostrzegamy dopiero, jak wiele w tym amerykańskim procesie postępu przemysłowego jest momentów sztucznych i ryzykownych,

---

[1]) Znane Towarzystwo naftowe *Standard Oil Company* w roku 1926 miało dziesięć razy tylu akcjonarjuszy co, w roku 1917.

jak jednostronna jest prostota jego założeń i metod. Dobrobyt amerykański jest w swej istocie wyłącznie wynikiem organizacji produkcji. Produkcja szybka, masowa, zmechanizowana co do metod i standardyzowana co do wyrobów, wymaga jako warunku swojego powodzenia odpowiednio szybkiej i masowej konsumpcji. To też o ile z jednej strony toczą się wysiłki celem racjonalizowania produkcji, o tyle z drugiei strony wysiłki nad konsumpcją są skierowane ku temu, by była jak najmniej racjonalną. Producenci starają się na każdy sposób konsumpcję swych wyrobów wśród publiczności coraz bardziej powiększać; zdolność do osiągnięcia tego wyniku jest zachwalaną sztuką i nazywa się *high-pressure salesmanship* — umiejętnością sprzedaży przez wywieranie wysokiego nacisku. Amerykanin nie wzrasta już, jak jego praojcowie i jak stare społeczeństwa europejskie, w zasadach oszczędności: przeciwnie, wmawia się w niego od wczesnego wieku, że im więcej wydaje, tem więcej zatrudnienia daje przemysłowi i tem bardziej przez to podwyższa dobrobyt kraju, a więc i własny. Rezultatem jest ciągły rozrost skali potrzeb ludności i ciągłe podnoszenie się stopy życiowej; ale rezultatem może jest także i ten fakt, który niedawno przez ankietę statystyczną w piętnastu stanach Unji stwierdzono, że 76·5 procent obywateli, umierając, nie pozostawia żadnego majątku[1]). Jak dalece oszczędność w oczach ludności przestała uchodzić za cnotę, tego wywownie dowodzi np. fakt, że na kongresie kobiecym amerykańskim w lipcu roku 1929 podniesiono — jakby chodziło o zasługę społeczną! — iż 85 procent pieniędzy, wydawanych obecnie w Stanach Zjednoczonych, wydają kobiety. W Europie

---

[1]) Leroy E. Bowman, *The Wilderness of American Prosperity*, str. 4.

kobiety, gdyby się przy takiej okazji chciały same pochwalić, chwaliłyby się prawdopodobnie swą oszczędnością. I we Francji, Niemczech, Czechach, a w części społeczeństwa i u nas, miałyby do tego pełne prawo.

Wspomniałem, że tę skłonność amerykańską do wydawania pieniędzy i robienia zakupów wywołuje ów zachwalany „nacisk na konsumenta“. Nacisk ten wywiera się przedewszystkiem przez gigantyczną i wszechobecną reklamę. O ogromie, cudach i dziwactwach reklamy amerykańskiej napisano już sporo i możnaby pisać coraz nowe tomy. Idąc wieczorem po głównych ulicach Nowego Yorku, szczególnie w okolicy *Times Square*, i tonąc w olśniewającym oceanie migotliwych ogłoszeń świetlnych, człowiek mimowoli zapytuje sam siebie: jak z zasadą racjonalnej i ekonomicznej produkcji godzą się olbrzymie wydatki na reklamę o takim kalibrze, i jak jest możliwem przewalać te wydatki na barki konsumenta? Dowiedziałem się, że wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe do jednej czwartej swojego budżetu poświęcają na koszta reklamy; widocznie jednak wzmożenie konsumpcji wskutek hipnozy mas przez tę reklamę tak potęguje masową produkcję, że ten wydatek rozkłada się na wielką ilość odbiorców i nie obciąża ich zbytnio. W atmosferze reklamy Amerykanin rodzi się, żyje i umiera; przeniknęła ona i te dziedziny życia, które z przemysłem i handlem nie mają nic wspólnego. Hałaśliwą reklamą otoczona jest tak samo działalność naukowa i artystyczna, jak produkcja przemysłowa. Bezustanny zgiełk komunikatów w prasie i rozsypywanie po niej fotografij jest naturalnym i niezbędnym akompanjamentem każdej akcji w Ameryce, nawet najrzetelniejszej i najwznioślej ideowej. Nie trzeba być ani gwiazdą filmową czy sportową, ani politykiem ani zbrodniarzem, żeby

się często w gazecie pojawiać, i zatarło się poczucie, że reklama dla zwykłego śmiertelnika może być czemś żenującem. *Publicity is the spice of life* („Reklama jest przyprawą życia“) powiedział mi raz wprost pewien uczony amerykański, gdy wyraziłem zdziwienie nad rozpowszechnieniem reklamy także w sferach naukowych. Istotnie, nawet najzaciszniejsza w założeniu egzystencja osobista w Ameryce dzisiaj tą „przyprawą“, zwaną *publicity*, obficie jest zaprawiona. Mnóstwo szczegółów codziennego trybu życia nastawionych jest już na to, że Amerykanin spędza to ziemskie bytowanie przeważnie w pełnem świetle jawności. W wagonach sypialnych brak przedziałów, łóżka w dwóch piętrach są rozmieszczone wzdłuż korytarza środkowego i zamknięte tylko kotarami; jest po jednym przedziale na każdym końcu wagonu, ale komu się zachciewa w nim jechać, ten musi płacić za dwa łóżka i za karę ma nieprzyjemność jazdy na samych osiach! Tak samo zresztą i w dziennych wagonach osobowych niema przedziałów na sposób europejski, i cały wagon jest jednym wspólnym lokalem publicznym. Biura banków i redakcyj mieszczą się przeważnie w wielkich i otwartych salach, i nawet szef instytucji przyjmuje zazwyczaj klientów nie w zamkniętym gabinecie, tylko co najwyżej za szklaną przegrodą, a o ile ma zamknięty pokój, to często dzieli go z kilku współpracownikami. Jada się w Ameryce częściej gromadnie i publicznie niż gdziekolwiek indziej, bo wszystkie ważniejsze i większe zebrania różnych organizacyj połączone są ze śniadaniami i obiadami. Ciągłe formalne zawieranie znajomości z mnóstwem obojętnych ludzi jest warunkiem każdego prawie kroku w amerykańskim świecie społecznym. Od przygodnego towarzysza podróży w wagonie lub na okręcie dowiaduję się w przeciągu kwadransa

całego szeregu szczegółów z jego życia osobistego, rodzinnego i zawodowego, a on oczekuje takich samych wynurzeń ode mnie. Nawet gościnność amerykańska, tak łatwa, hojna i ujmująca, ma w sobie dla wrażliwszych natur coś rażącego, jako objaw braku poszanowania i poprostu zmysłu dla świętości życia prywatnego i rodzinnego. Tu leży największa może różnica w usposobieniu między Amerykanami a ich kuzynami Anglikami, którzy tak wysoko sobie cenią to, co nazywają *privacy*, zarówno o ile chodzi o sprawy osobiste, jak i o życie domowe. I tu znowu, jak w tylu innych szczegółach, nasuwa się porównanie z Rosjanami, z ich nieskrępowaną rozlewnością i bezceremonjalną szczerością w pożyciu osobistem, z ich — czasem do chamstwa się posuwającą — skłonnością do „włażenia w kaloszach do cudzej duszy“, jak powiedział Czechow. Z kaloszami do cudzej duszy w każdym razie włażą amerykańscy dziennikarze, starając się w każdej, choć trochę sensacją pachnącej sprawie zdobyć przez wywiady jak najwięcej szczegółów osobistych, i wypełniając niemi szpalty gazet daleko obficiej, niż to jest przyjęte w Europie. Przedmiotem takich ich zabiegów są nietylko ludzie wplątani w jakieś dramaty rodzinne i głośne procesy, ale także ludzie stojący na świeczniku w życiu społecznem. Wkrótce po wyborze p. Hoovera na prezydenta już cały rozkład jego dnia w Białym Domu do ostatniej prawie minuty, z mnóstwem szczegółów co do jego ubrania, wiktu, umeblowania i życia rodzinnego, figurował w gazetach. A pamiętam jeszcze, jak serdecznie śmiać się musiałem, gdy pewien obrotny i ceniony dziennikarz w Detroit, żyd rodem z Wilna, opowiadał mi, przez jakie podstępy on jeden w Detroit zdobył półgodzinny wywiad u ś. p. węgierskiego kardynała Csernoch'a, który podczas swej wizyty w mie-

ście z powodu zmęczenia zasadniczo żadnych dziennikarzy nie przyjmował. Sam zresztą na sobie doznałem potęgi amerykańskich zwyczajów reklamowych: podczas mojej podróży odczytowej byłem tyle razy fotografowany i tyle dałem wywiadów, że mi tego na resztę życia starczyć powinno, a wciąż mnie zapewniano, że to jest niezbędne dla dobra sprawy, której te odczyty służyły, i rozumie się samo przez się. W Chicago w kilka dni po przybyciu na dłuższy kurs musiałem na życzenie uniwersyteckiego biura ogłoszeń *(University Publicity Office)* fotografować się razem z innym profesorem, geografem przybyłym z Australji, przyczem dziennikarzom nie wystarczyło, żeśmy sobie do tej operacji, jak dwaj skazańcy do rozstrzelania, stanęli obok siebie pod ścianą, ale musieliśmy, choć znajomi ze sobą dopiero od kilku minut, podać sobie ręce i patrzyć z przyjaznym uśmiechem w oczy. Niedarmo najwyższą pochwałą, jaką w Ameryce ktoś może otrzymać za zalety towarzyskie, jest uwaga, że jest *a good mixer* — dosłownie dobry „mieszacz“, t. j. że ma zdolność zbliżania ludzi między sobą.

Zastanawiając się nad tym ogólnym rysem życia amerykańskiego, wybiegliśmy dość daleko poza ramy stosunków specyficznie gospodarczych, o których poprzednio była mowa. Ale jest rzeczą chyba oczywistą, że cała ta „jawność“ życia amerykańskiego w jego szczegółach prywatnych i domowych niewątpliwie łączy się organicznie z przesyceniem życia gospodarczego natarczywą reklamą.

Powracając teraz do życia gospodarczego, stwierdzić należy, że obok reklamy usiłuje się działać jeszcze innemi środkami na ciągłe powiększenie konsumpcji. A więc wysokie amerykańskie płace robotnicze mają między innemi i ten cel, żeby robotnik coraz więcej kupował i przez to

powiększał zarobki przemysłu. Co więcej, niektórzy pracodawcy (jak np. Ford) umyślnie redukują tydzień roboczy do dni pięciu, ażeby robotnik był wolny w któryś dzień powszedni, gdy sklepy są otwarte, i robił więcej zakupów. Ponad to wszystko zaś drugim najważniejszym obok reklamy, obecnie najsilniej działającym środkiem potęgowania masowego zbytu wyrobów przemysłowych, jest system kupowania na raty *(instalment plan)*. Przybrał on w Ameryce rozmiary nigdzie dotąd na świecie nie praktykowane, i dzięki jemu głównie mieszkania robotników amerykańskich wypełniły się w ostatnich latach mnóstwem niewidzanych tam dawniej przedmiotów — od maszyn do prania, elektrycznych lodowni i kuchenek gazowych do gramofonów, aparatów radjowych (oczywiście z głośnikami, bo słuchawek nikt nie używa!) i fortepianów (względnie „pianoli“ lub innych automatów muzycznych). Dzięki temu systemowi posiadanie domu i niezbędnego auta jest dziś możliwem dla człowieka, który dopiero rozpoczyna swą karjerę zawodową i żadnych znaczniejszych sum jeszcze nie odłożył. Płacenie rat za różne nabyte przedmioty, potrzebne i niepotrzebne, jest dziś stałą funkcją gospodarczą w życiu Amerykanina. Wyliczono, że ogół amerykański jest każdego czasu w posiadaniu niezapłaconych towarów wartości trzech miljardów dolarów, nie licząc nieruchomości i papierów wartościowych. Nie trzeba zaznaczać, ile ten system ma w sobie elementu ryzyka. Trudno sobie wprost wyobrazić, coby się stało z organizmem gospodarczym, gdyby pewnego dnia szerokie koła okazały się niezdolne do płacenia dalszych rat swoich długów.

Takie przesilenie — a więc załamanie się rosnącej dotychczas fali dobrobytu w Ameryce — wciąż na różne tony od kilku lat przepowiadają ekonomiści europejscy. Nie

można zaprzeczyć, że jeden poważny objaw społeczny o charakterze przesileniowym w ostatnich kilku latach już dał się zauważyć. Jest nim wzrost bezrobocia. Ameryka, nie mając tego systemu ubezpieczeń społecznych co państwa europejskie, nie ma też statystyki bezrobotnych, i niewiadomo, czy cyfra czterech miljonów bezrobotnych, lansowana z różnych stron w ostatnich czasach, odpowiada choć w przybliżeniu stanowi faktycznemu. W każdym razie wśród wszystkich obserwatorów panuje zgoda co do tego, że przy obecnej wysokiej konjunkturze przemysłowej w Ameryce to bezrobocie jest prawie wyłącznie bezrobociem technicznem, to znaczy wynika raz po raz z utraty zajęcia przez grupy robotników z powodu wprowadzenia nowych udoskonaleń maszynowych, umożliwiających zaoszczędzenie pracy pewnej ilości rąk ludzkich. Te ulepszenia idą w naszych czasach tak szybko po sobie, i bogaty przemysł amerykański tak łatwo może sobie pozwalać na natychmiastowe zastosowanie każdego takiego wynalazku, że powstająca cyfrowa pozycja bezrobocia musi być pokaźną i stałą w budżecie społecznym. Wynika coś podobnego do sytuacji w przemyśle angielskim przed stu zgórą laty, gdy zaczęto w szerokim zakresie zastępować pracę ludzką przez nowo wynalezione maszyny (szczególnie w przemyśle włókienniczym) i gdy tłumy ludzi, pozbawionych przez to pracy, miejscami napadały na fabryki i niszczyły nową maszynerję[1]). Tak samo i w Ameryce były miejscami protesty przeciwko wprowadzeniu nowych maszyn, zastępujących pracę ręczną. Ogółem jednak w dzisiejszej Ameryce sytuacja jest o tyle mniej groźna, że robotnicy, pozbawieni

[1]) Ten moment rewolucyjny w historji angielskiej uwiecznił niedawno niemiecki komunistyczny pisarz, Ernst Toller, w swym dramacie *Die Maschinenstürmer*.

chwilowo zajęcia w pewnej części przedsiębiorstwa przez wprowadzenie jakiejś nowej maszyny, właśnie wskutek potanienia i spotęgowania produkcji przez te ulepszenia techniczne rychło znowu znajdują zajęcie, często poprostu w innej części tego samego, rozrastającego się przedsiębiorstwa[1]).

W każdym razie nawet francuski robotnik Dubreuil, który, jak jeszcze zobaczymy, w swej interesującej książce o warunkach pracy w przemyśle amerykańskim[2]) kreśli obraz naogół nader optymistyczny, jednak uznaje to stałe bezrobocie techniczne za fakt przykry i dla ogólnego dobrobytu klasy robotniczej ujemny.

Daleko niebezpieczniejszy jednak dla dobrobytu najszerszych mas społeczeństwa jest fakt inny, równie ściśle związany z wysoką konjunkturą w przemyśle amerykańskim ostatnich lat. Obok zachęcania szerokich warstw do zwiększonej konsumpcji przez wspomniany już system kupowania na raty, zachęca się je niemniej gorliwie do lokowania swych oszczędności w akcjach przedsiębiorstw przemysłowych. Masy, olśnione rekordowemi cyframi dochodów w sprawozdaniach towarzystw akcyjnych, chętnie się ich suggestji poddają i dziś w tym kierunku już wcale zachęty nie potrzebują. Robotnik, jak się już powiedziało, przez tę praktykę staje się żywotnie zainteresowanym w powodzeniu „swojej“ fabryki, a kapitał prywatny w ogólności wielką

---

[1]) Tak się istotnie w ostatnich czasach stało kilkakrotnie w drukarni gazety *New York Times*, gdzie mi opowiadano, że już kilka razy po kilkaset robotników, „zaoszczędzonych“ przez jakieś maszynowe ulepszenie, „rozpłynęło“ się po drukarni natychmiast wskutek ciągłego wzrostu tirażu pisma.

[2]) *Standards. Le travail américain vu par un ouvrier français.* Paryż. B. Grasset (serja „Les Écrits“), 1929.

falą nasyca przemysł i zostaje zużytkowany produktywnie; ale z drugiej strony przeoczyć nie można, że wśród najszerszego ogółu ludności wyrabia się tym sposobem prawdziwa manja spekulacji giełdowej. W naturze anglosaskiej wraz z instynktem sportowym leży skłonność do ryzyka i pociąg do wszelkiej gry na loterji życiowej, jak to widać choćby z pasji zakładania się, powszechnej u Anglików i Amerykanów. Anglik także już zdawna wolał inwestować swe oszczędności w akcjach i innych papierach procentowych, niż składać je poprostu do banku, a w Ameryce, według obliczeń statystycznych, liczba właścicieli akcyj przemysłowych wśród społeczeństwa za ostatnie ćwierć wieku podskoczyła z 4½ do 14½ miljonów ludzi. Ale to, co się działo w tej dziedzinie w Ameryce w ostatnich czasach, daleko przeszło wszystko, co się kiedykolwiek działo przedtem. Zdumiony byłem podczas mojego pobytu, widząc dokoła ludność ogarniętą niemal taką samą gorączką handlu papierami wartościowemi, jak u nas za najgorszych czasów inflacyjnych. Znowuż nie potrzeba podnosić, jakie niebezpieczeństwa taki stan rzeczy w sobie mieści. W umysłach europejskich jeszcze żyje pamięć kilku wielkich „krachów giełdowych" w Ameryce ostatnich dziesięcioleci; w samej Ameryce pamięć o tych katastrofach snać się zatarła wśród burzliwego postępu gospodarczego lat ostatnich. Obudziła ją dopiero nowa i (jak wszystko dziś w Ameryce) rekordowa panika na giełdzie nowojorskiej w trzecim tygodniu października roku 1929. W tej samej chwili, gdy prezydent Hoover w mowie w Louisville zapowiadał inwestycję miljarda dolarów ze strony państwa w budowie nowej wspaniałej sieci dróg wodnych, na *Wall Street* w przeciągu godziny pięć miljardów dolarów fikcyjnego majątku w akcjach stopniało jak śnieg, a w przeciągu kilku następnych

paroksyzmów paniki w najbliższych dniach te straty doszły podobno do 70 miljardów. W rekordowym dniu 29 października przez kilka godzin obrotów sprzedano niebywałą liczbę, przeszło 16 miljonów akcyj przy ciągłym raptownym spadku kursów. Oczywiście, nie brakło zwykłego w takich wypadkach akompanjamentu bankructw i samobójstw. Sytuację uratowała dopiero interwencja kilku największych banków z bankiem Morgana na czele, deklarując doraźnie kwotę stu miljonów dolarów na ustalenie kursów akcyjnych zachwianych przedsiębiorstw. Morgan tedy i w tym wypadku wystąpił jako *deus ex machina* w decydującej chwili, tak samo, jak to jego dom bankowy już uczynił podczas wielkiego krachu giełdowego w roku 1907. Jak wtedy, tak i tym razem burza niewątpliwie oczyściła powietrze i pouczyła rozspekulowane społeczeństwo, że fantastycznych zysków nawet przy obecnym pomyślnym stanie przemysłu amerykańskiego z akcyj spodziewać się nie można. Ale czy ta nauka nie pójdzie w las, i czy wogóle już teraz położenie nie dojrzało do całego szeregu dalszych takich dramatycznych wstrząśnień, to pokaże dopiero najbliższa przyszłość. Nie brak nawet głosów dowodzących, że Ameryka jest w przededniu dłuższego okresu depresji gospodarczej, która będzie cząstką ogólno-światowego przesilenia, jako reakcji po latach intensywnej odbudowy powojennej we wszystkich krajach.

Oprócz oczywistej ryzykowności przedstawionych powyżej obu głównych metod podnoszenia zbytu i zdobywania kapitałów dla przemysłu — t. j. obok powszechnego zwyczaju masowego kupowania na raty i powszechnej gorączkowej spekulacji akcjami — nie można pominąć milczeniem pewnych wątpliwych właściwości samej produkcji amerykańskiej, naogół tak gorąco w Europie uwielbianej

i tak gorliwie naśladowanej. Mówiłem o tem, że panuje w Ameryce namiętność wprowadzania do każdej fabryki coraz nowych technicznych ulepszeń, i że bez wahania niszczy się lub przerabia urządzenia dawne, gdy tylko na widowni pokażą się nowe i doskonalsze. To postępowanie istotnie prowadzi do coraz nowych ekonomij w sposobach produkcji, ale możliwe jest oczywiście tylko przy produkcji na wielką skalę i odpowiednio wielkich zyskach, pozwalających na te ciągłe inwestycje. Biedna Europa, na wzór amerykański w tym względzie, tak samo jak na wysokie amerykańskie płace robocze, może przeważnie tylko patrzyć z cichą zazdrością, ale na naśladowanie tego wszystkiego jej narazie naogół nie stać. I w Ameryce jednak te metody mają swoje niedogodności. Częste zmiany urządzeń technicznych, z burzeniem i niszczeniem wszystkiego co było przedtem, wymagają szybkiej amortyzacji, są więc jedną więcej sprężyną, zmuszającą do gwałtownego i sztucznego rozszerzania zbytu. Instalacje i budynki notorycznie powstają tylko na czas krótki, by wnet robić miejsce doskonalszym. Tak jak dom amerykański — nawet drapacz chmur — dziś na dłuższe życie jak 30—40 lat naogół obliczony być nie może, tak i budynek fabryczny i jego urządzenia są w założeniu skazane na niedługowieczność. Stąd nieuchronna dorywczość i skłonność do tandety w architekturze fabrycznej. Inna cecha ujemna, blisko z tą związana, ale jeszcze poważniejsza, sięga początkami swemi dalej w głąb historji. Pierwotni kolonizatorzy Ameryki byli w szczęśliwem położeniu „pionierów“ w całej pełni tego słowa, t. j. zdobywali dziewiczy, mało zaludniony kontynent o olbrzymich skarbach naturalnych i rozpoczynali eksploatację tych skarbów. W tych warunkach zarówno w usuwaniu przeszkód, ' e same w sobie są często

bogactwami (np. lasów), jak i w szafowaniu zasobami nowego kraju wyrabia się u pioniera psychika swoista, objawiająca się przez gospodarkę pełną rozmachu i niszczycielsko bezwzględnej rozrzutności. Z tej psychiki wiele zostało właściwem Amerykanom także w późniejszym XIX wieku, w okresie gwałtownej rozbudowy ich przemysłu, i w tym przemyśle, szczególnie w dobywaniu i zużytkowywaniu surowców, w niejednej dziedzinie panują dziś jeszcze stosunki, których rzeczoznawca o europejskich przyzwyczajeniach myślowych nie nazwie inaczej, jak gospodarką rabunkową. Tak staranne i umiejętne wykorzystywanie wszelkich produktów ubocznych, jakie daje się zauważyć np. w zakładach Forda, należy podobno raczej do wyjątków. Według obliczeń statystycznych idzie notorycznie na marne w Ameryce rocznie w ogólnym obrocie jej zasobami materjalnemi $^{3}/_{4}$ miljona tonn węgla, 50 miljonów sił końskich siły wodnej, miljard beczek nafty i pięć miljardów stóp kubicznych drzewa[1]).

Ale udałem się znowu na grunt statystyki ekonomicznej, który jest notorycznie śliski. Pozostańmy przy rozumowaniach ogólnych, które może potwierdzić nawet obserwacja niefachowa. Otóż Amerykanie niewątpliwie zdają sobie sprawę z tego, że przedstawione powyżej metody ciągłego potęgowania ich produkcji przemysłowej mają w sobie coś sztucznego i ryzykownego, i szukają innych, pewniejszych rękojmi trwałego dobrobytu na rynku wewnętrznym i coraz większej jego chłonności na wyroby przemysłu krajowego.

Jedną taką rękojmią stałego zbytu wyrobów amerykańskich jest najelementarniejsza ze wszystkich, ustawowa rę-

---

[1]) Leroy E. Bowman, l. c. str. 6—7.

kojmia wysokich ceł ochronnych. Ameryka, po dawniejszej usilnej walce między obu głównemi swemi stronnictwami o zasadę ceł ochronnych z jednej, a wolnego handlu z drugiej strony, przeszła w nowszych czasach zdecydowanie i jednomyślnie do zasady wysokich ceł ochronnych, której dziś nikt w Stanach poważnie się nie sprzeciwia. Po wojnie jednak, wskutek wzrastającej konkurencji taniej produkcji europejskiej ze znacznie droższą amerykańską, Stany Zjednoczone poczynają śrubować swe cła ochronne do wysokości niebywałej, która po ostatnim projekcie ich podniesienia w roku 1929 wywołuje głośne protesty ze strony całego szeregu państw europejskich. Oczywiście, że tu już środek, obliczony na zabezpieczenie rynku wewnętrznego, okazuje się groźnym dla całego wielkiego i niemniej ważnego rynku zewnętrznego; bo sprzedawać stale ma widoki tylko ten, kto u swych odbiorców także kupuje[1]).

Drugą ustawową rękojmią ustalenia dobrobytu w Stanach Zjednoczonych na wysokim poziomie ma być ostre powojenne ustawodawstwo anty-immigracyjne. I tu impuls dały poniekąd doświadczenia ekonomiczne i inne okresu wojennego i powojennego. Ameryka podczas wojny na różne sposoby się przekonała, że zachwalany jej „ko-

[1]) Ten obraz Ameryki, ustalony obecnie w umysłach europejskich — obraz narodu, który wszystkim chce sprzedawać, a od nikogo nie chce kupować — należy swoją drogą poważnie sprostować przez należyte uwzględnienie jednej pozycji amerykańskich „importów niewidzialnych“ (jakbym je nazwał) — mianowicie wielkich i ciągle wzrastających wydatków falangi turystów amerykańskich w Europie. Wydatki te szacuje się obecnie na 700 miljonów dolarów rocznie, a zapewne wkrótce dojdą do miljarda. Tak przynajmniej, na pociechę Europy, dowodzi w wywiadzie z dziennikarzem angielskim p. Juljusz Barnes, wiceprezes Międzynarodowej Izby Handlowej i prezes Izby Handlowej Stanów Zjednoczonych (*Times*, Londyn, 15 sierpnia 1929).

cioł społeczny do roztapiania ras“ *(melting-pot)* funkcjonował bardzo niedoskonale w ostatnich dziesięcioleciach, i że dawniejsza emigracja z Europy w swej masie wcale tak gruntownie, jak myślano, zasymilowaną nie była. Niemcy amekańscy okazali się bardzo przywiązanymi do ojczyzny swych ojców, i nacisk tego licznego i karnego elementu w znacznej mierze przyczynił się do utrzymania Ameryki w neutralności przez pierwsze trzy lata wojny, a potem oddziałał na różne ważne decyzje wojenne i pokojowe. Ponadto z okazji mobilizacji wojennej z przerażeniem przekonano się, że wśród obywateli amerykańskich różnego europejskiego pochodzenia jest sporo analfabetów, czego nie uważano za możliwe. Wreszcie przyszła po wojnie powszechna depresja ekonomiczna w Europie, a w przeciwieństwie do niej era niebywałej pomyślności w Ameryce. Zachodziło niebezpieczeństwo masowej ucieczki za ocean zbiedzonej ludności krajów europejskich. Ameryka, czując się ze swemi 120 miljonami nasyconą pod względem ludnościowym, zlękła się „dumpingu“ ludnościowego, tak jak się boi „dumpingu“ przemysłowego. Fala taniego robotnika z Europy mogła zalać rynek pracy i obniżyć swą konkurencją pomyślne warunki życia robotnika amerykańskiego, tak jak fala taniego towaru z krajów inflacyjnych mogła zalać rynek wyrobów fabrycznych i zagrozić daleko kosztowniejszemu towarowi amerykańskiemu. I tak jak przeciwko zalewowi towarowemu broniono się gwałtownem podwyższaniem ceł ochronnych, tak przeciw zalewowi ludzkiemu wzniesiono tamę, zamykając w r. 1921 ustawowo granice Stanów Zjednoczonych prawie zupełnie dla immigrantów europejskich. Przy obecnym systemie „kwot“ narodowych dostaje się ich tam ogółem rocznie zaledwie od 200 do 300 tysięcy, gdy przed wojną cyfry corocznych dopływów szły

w miljony. Trzeba odrazu zaznaczyć, że ustawa ta nie funkcjonuje z absolutną ścisłością: dla immigracji z Kanady i z Meksyku granice są otwarte, i przez te granice przedostaje się pewna ilość „kontrabandy“ ludzkiej do Stanów. W dyskusji nad ustawodawstwem anty-immigracyjnem zaostrzyły się znacznie te różnice w nastroju opinji amerykańskiej wobec emigrantów rozmaitego pochodzenia, które w niezupełnie świadomej formie zdawna istniały.

Doświadczenia, jakie porobiono z masą emigracji dawniejszej, były oczywiście różne, zależnie od różnego poziomu oświaty ludowej w krajach europejskich, z jakich przybywali. Nie zastanawiając się nad historycznemi przyczynami tych różnic oświatowych, Amerykanin kwalifikował je jako cechy cywilizacyj narodowych Starego Świata, i na tej podstawie wykwitły pewne pseudo-naukowe teorje o wartości ras europejskich, wielce dziś w Ameryce modne i popularne. Według tych teoryj najwyższą wartość reprezentuje „rasa nordyjska“, t. j. narody skandynawskie, Anglicy (którzy dziś niestety przeważnie wcale emigrować nie chcą!) oraz do pewnego stopnia narody germańskie Europy środkowej — Holendrzy i Niemcy. Niższą zaś wartość mają mieć narody łacińskie, szczególnie południowe (a więc głównie Włosi, od których w Ameryce się roi) i cała Europa wschodnia, a więc także wszelkie ludy słowiańskie.

Abstrahując od tych dość wątpliwych i przez naukę amerykańską też już niejednokrotnie krytykowanych doktryn, trzeba jednak stwierdzić, że całe ustawodawstwo anty-immigracyjne, choć może odgrodziło Amerykę bezpośrednio od grożącego chwilowo niebezpieczeństwa zalewu, jednak ma w sobie pierwiastki niebezpieczeństwa dla samej istoty jej dotychczasowego dobrobytu. Masowy w daw-

niejszych czasach napływ taniego robotnika z Europy dostarczył bądź co bądź tej podstawy, na której zbudowane zostały wielkie majątki przemysłowców amerykańskich. Przy braku tej podaży te panujące dziś wysokie płace robocze, w których zbawienność Ameryka tak silnie wierzy, nieuchronnie będą szły coraz bardziej wgórę i mogą dojść do poziomu, na którym produkcja stanie się nieekonomicznie drogą. Na naturalny przyrost ludności jako siłę, regulującą te stosunki, niebardzo można liczyć, bo neo-maltuzjanizm szerzy się w Ameryce gwałtownie, obecnie także już wśród klasy robotniczej i nawet wśród murzynów [1]).

Zarówno więc polityka wysokich ceł ochronnych jak polityka anty-immigracyjna może się wkońcu okazać niebezpieczną dla samego tego dobrobytu amerykańskiego, którego jedna i druga ma bronić.

Mimo tych wątpliwości co do dalszych perspektyw, jednak wyniosłem z Ameryki coś z optymizmu samych Amerykanów co do stanu ekonomicznego ich kraju, i jestem przekonany, że dobrobytowi narodowemu w najbliższej przyszłości przesilenie nie zagraża, przeciwnie, że ma narazie widoki rozwijać się jeszcze dalej.

Sądzę tak przedewszystkiem dlatego, że prócz ogromnego rynku wewnętrznego, (którego chłonność wciąż jeszcze wzrastać nie przestała), otwierają się dla Stanów

---

[1]) Jak wykazują ostatnie cyfry statystyczne, (które znajduję w *Le Temps* z 10 sierpnia 1929), procent urodzeń w r. 1928 był 19·7, gdy w r. 1927 wynosił 20·7. — Publiczne reklamowanie środków anty-koncepcyjnych (powszechne dziś np. w Anglji) jest w Ameryce wprawdzie ustawowo zakazane, ale mniej lub więcej tajemnej propagandy nie brak. Czytałem numer czasopisma *Birth Control News*, w którym najobszerniejszy artykuł poświęcony był potrzebie uświadamiania w tym względzie kobiet w sferach emigranckich p o l s k i c h, ze względu na wpływ duchowieństwa katolickiego, które neo-maltuzjańskim praktykom jest przeciwne.

Zjednoczonych coraz szerzej pewne rynki zewnętrzne, głównie sąsiednie. Inwazja ekonomiczna Kanady z jednej strony, a krajów Ameryki centralnej i południowej z drugiej strony przez potęgę Stanów Zjednoczonych idzie naprzód niepowstrzymanem tempem, i żadne próby przeciwdziałania ze strony Wielkiej Brytanji, ani żadne alarmy narodowe w Ameryce łacińskiej, procesu tego nie zatamują. Kapitał U. S. A. jak walec parowy toruje drogę nietylko dla handlu i przemysłu, ale także dla imperjalizmu politycznego, który staje się nieuniknioną nadbudową przewagi gospodarczej. Mogą sobie myśliciele polityczni europejscy raz wraz protestować przeciwko przedziwnie dogodnym dla Stanów Zjednoczonych interpretacjom i zastosowaniom doktryny Monroe; mogą nas z drugiej strony sami Amerykanie najzupełniej szczerze zapewniać, że zamiary aneksjonistyczne są im obce, nawet w Nikaragwie i Meksyku: to faktów nie zmieni. Ekspansja takiego rezerwoaru sił ekonomicznych, jakim są dzisiejsze Stany Zjednoczone, jest koniecznością życiową, i ma swoje kierunki przez naturę wskazane zarówno na północy, jak na południu. Słuszność jednak mają ci *bona fide* imperjaliści amerykańscy, którzy mówią o *manifest destiny* — o „oczywistem przeznaczeniu“ Stanów Zjednoczonych do władzy nad całością obu kontynentów amerykańskich.

A obok północnego i południowego „oczywiste przeznaczenie“ wskazuje także jeszcze kierunek zachodni. Wielki dramat dziejowy walki o hegemonję na oceanie Spokojnym wobec raptownego wzrostu potęgi amerykańskiej z jednej strony, a tragicznych klęsk żywiołowych Japonji i jej intensywnych zainteresowań na kontynencie azjatyckim z drugiej, rozstrzygnie się może w naszych oczach na korzyść Ameryki, nawet bez rozprawy orężnej. A to rozstrzygnięcie

oznacza nietylko ostateczne wciągnięcie w orbitę wpływów amerykańskich jeszcze dwóch, oprócz Kanady, dominjów brytyjskich — mianowicie Australji i Nowej Zelandji, — ale przedewszystkiem także preponderancję Ameryki w Chinach. Już dziś jest więcej niż prawdopodobne, że z chaosu rewolucyjnego chińskiego Ameryka (nie bez starannego i wszechstronnego przygotowania, prowadzonego oddawna[1]) wyjdzie z zyskiem, gdy inne mocarstwa, dawniej tam zaangażowane (a głównie Anglja), stracą.

Wszystkie te możliwości polityczne, przetłumaczone na język ekonomiczny, oznaczają rynki. Czyż można się dziwić, że wobec takich nadziei na rozszerzenie wielkiego rynku domowego przez ogromne i mało dotąd wyzyskane rynki zagraniczne Amerykanie pełni są ufności co do dalszego pomyślnego rozrostu swego przemysłu i handlu? Nie można się, nawiasem mówiąc, także dziwić, że, gdy Opatrzność kieruje ich wzrok na północ, południe i zachód, odwracają się przez to samo od wschodu i mimo naszych usiłowań odnoszą się naogół obojętnie do problemów międzynarodowych Europy.

Tyle o widokach na dalsze rozszerzenie rynków zbytu dla przemysłu amerykańskiego. Ale czy istnieją dla tego organizmu ekonomicznego także rękojmie bezpieczeństwa wewnętrznego wobec wspomnianych powyżej, wybitnie ryzykownych procederów w gospodarce amerykańskiej?

[1]) Wystarczy przypomnieć taki piękny a zarazem doskonałem zrozumieniem własnego interesu podyktowany gest, jak darowanie Chińczykom odszkodowania za powstanie bokserskie i zużytkowanie znacznej jego części na stworzenie wyższej szkoły w Hongkongu pod wpływem amerykańskim. Tak samo długoletnia i dobroczynna działalność amerykańskiej Y. M. C. A. w Chinach, zawsze w ścisłym i przyjaznym kontakcie z przywódcami nacjonalizmu chińskiego, była doskonałem przygotowaniem hegemonji ekonomicznej i politycznej.

Owszem. Ubezpieczeniem, i to bardzo pewnem, przeciwko fluktuacjom konjuktury i przeciwko manji spekulacyjnej samych obywateli kraju jest system banków państwowych — *Federal Reserve Banks* — i jego naczelna władza kierująca, *Federal Reserve Board*. Ten system banków został powołany do życia rok przed wojną, na podstawie kilkuletnich studjów po bolesnych doświadczeniach wielkiego przesilenia finansowego 1907 r., a polityka *Federal Reserve Board* niejednokrotnie już wykazała, że w niej krystalizuje się całe wogóle bogate doświadczenie gospodarcze wielkiego kraju. Pełny entuzjastycznego uznania rozdział poświęcił tej polityce w jej stosunku do powojennych problemów walutowych profesor Siegfried w swem dziele *Les États-Unis d'aujourd'hui*. Za mojego pobytu w Ameryce, na wiosnę 1929 r. *Federal Reserve Board* raz podniósł swój poważny głos przeciw manji gry na giełdzie, zakazując bankom prywatnym udzielania pożyczek na cele spekulacyjne, pod groźbą ukrócenia kredytów. Obudziło to żywe protesty w sferach ekonomicznych, nie przyzwyczajonych w Ameryce do nacisku państwa w sprawach gospodarczych; wyrazicielem opinji publicznej w tej sytuacji, jak niejednokrotnie, stał się głośny komik, Will Rogers, który codziennie pisuje krótkie humorystyczne aforyzmy o sprawach bieżących do poważnego dziennika *New York Times*. Napisał wtedy: „Kto żyjesz, staraj się jutro przedpołudniem spieniężyć wszystko co posiadasz; bo po południu jest posiedzenie *Federal Reserve Board*“. Był to dobry żart, i jako taki go przyjęto. Ale *Federal Reserve Board* żarty słusznie ignoruje. W sierpniu 1929 r. musi z żalem skonstatować, że wiosenne ostrzeżenie nic nie pomogło. Same banki nowojorskie, należące do systemu federalno-rezerwowego, bez miary dalej udzielają ajentom giełdowym pożyczek na cele spekulacji akcyjnej;

te ich pożyczki w jednym tygodniu robią rekordowy skok wgórę o 60 miljonów dolarów i sięgają niebywałej cyfry przeszło 7 miljardów. *Federal Reserve Board* dłużej nie czeka i drastycznie, ku ogólnemu zdumieniu Europy, podnosi stopę dyskontową odrazu o jeden procent, z 5 na 6 procent, — rzecz niesłychana w okresie powszechnej pomyślności gospodarczej. Że zarządzenie to nie było nieuzasadnione, pokazała niebawem wspomniana już październikowa deruta na giełdzie. Okazała zarazem, jak mało w takim prywatnie kapitalistycznym ustroju, jak amerykański, instytucja państwowa może zrobić dla zapobiegnięcia katastrofom gospodarczym. W każdym razie fakt ten nie zmniejsza powagi ani doniosłości tej instytucji, i trzeba się zgodzić z wszystkiemi autorytetami ekonomicznemi, że to, co w danych amerykańskich warunkach państwo zrobić może dla zabezpieczenia stałości życia gospodarczego, to *Federal Reserve Board* robi rozważnie i sprawnie, i że byłoby daleko gorzej, gdyby tego hamulca nie było. Hamulec ten zresztą z rozsądnem umiarkowaniem stosowany jest tylko wtedy, gdy go koniecznie potrzeba. Zaraz po pierwszych fazach październikowej deruty giełdowej w r. 1929, ku wielkiej uldze zwolenników wolności gospodarczej w całym świecie, rozeszła się wiadomość, że *Federal Reserve Board*, zrobiwszy w przededniu krachu swoje w granicach możliwości, zamierza niebawem znowu stopę redyskontową obniżyć, wychodząc ze słusznego założenia, że klęska w kursach sama powinna podziałać hamująco na spekulację giełdową. I obniżono tę stopę rzeczywiście z 6% odrazu na 4½%, a w lutym 1930 r. do 4%.

Powróćmy na końcu raz jeszcze do samego tego zjawiska gospodarczego, które ową interwencję ze strony *Federal Reserve Board* wywołało, — do masowej i namiętnej spekulacji akcjami. Otóż niewątpliwie trzeba ją uznać za

objaw brzemienny w niebezpieczeństwa, i można się naogół zgodzić z energicznemi wyrazami moralnego potępienia dla niej ze strony różnych poważnych osobistości w samej Ameryce. Ale trudno nie przyznać temu zjawisku przynajmniej jednej moralnie dodatniej cechy. Przypominamy sobie przecież z boleścią naszą narodową gorączkę spekulacyjną w okresie inflacji; nietylko była oparta na zupełnie fikcyjnym stanie przemysłu i sztucznej nawskróś konjunkturze ale, co najprzykrzejsze, była wyrazem głębokiej (i wtedy niestety słusznej!) nieufności mas do pieniądza państwowego, a więc była wyrazem niewiary narodu w nowozdobyte formy własnego bytu i w jego przyszłość. W przeciwieństwie do tego dzisiejsza spekulacja giełdowa narodu amerykańskiego nietylko opiera się przy całej swej przesadzie na solidnych faktach potężnego i ciągłego postępu przemysłowego, ale jest, moralnie rzecz biorąc, dowodem imponującego zaufania tego społeczeństwa do własnych sił produkcyjnych i niezachwianej wiary w ich stały dalszy rozwój. To zaufanie i tę wiarę słusznie uważa za rzecz najżywotniejszą w życiu zbiorowem amerykańskiem czołowy człowiek dzisiejszej Ameryki, prezydent Hoover: bo oto, zwoławszy wkrótce po katastrofie giełdowej nowojorskiej naradę przywódców gospodarczych w Washingtonie, zapowiedział jako środek sanacyjny ze strony rządu — spotęgowanie inwestycyj w zakresie budowli państwowych ze 175 miljonów na 243 miljonów w najbliższym roku budżetowym... przy równoczesnem zniżeniu podatku dochodowego o cały 1 procent, czyli zwrocie 160 miljonów dolarów z kas rządowych do rąk podatkowców! Na taki olśniewający gest dziś tylko Ameryka pozwolić sobie może!

Co jednak może ważniejsze jeszcze, to że zarazem prezydent Hoover zwrócił się z apelem do wielkich przedsię-

biorstw, a przedewszystkiem do towarzystw kolejowych, o spotęgowanie inwestycyj za wzorem państwa i wyraźnie potępił redukcje w programie inwestycyjnym i w składzie osobowym, których na pewnych linjach kolejowych po przesileniu nowojorskiem dokonano. Wezwał więc prezydent naród z całą mocą swej powagi do dalszej wiary w siebie. I wezwanie to nie pozostało bez skutku: przedsiębiorstwa kolejowe niebawem ogłosiły, że zamierzają znacznie podnieść wydatki inwestycyjne, głównie na budowę nowych linij bocznych. Ogólna cyfra projektowanych na rok 1930 inwestycyj prywatnych i rządowych w kraju podskoczyła do rekordowego poziomu 5 miljardów dolarów, co swoją drogą ułatwione jest przez fakt, że wycofane z bezpłodnej gry giełdowej kilka miljardów dolarów może iść teraz bezpośrednio na cele produkcyjne. W każdym razie wiara w przyszłość własnego ustroju gospodarczego okazała się żywotną i głęboko zakorzenioną w umysłach kierowników ruchu ekonomicznego[1]).

W duszy całego ogółu narodu zresztą ta chlubna, typowo amerykańska postawa ufności i wiary we własne siły produkcyjne pozostaje niezachwianą. Ta ufność odbiła się nawet w ostatnich czasach bardzo silnie na stosunkach finansowych między Ameryką a Europą, w sposób dla Eu-

---

[1]) Zaznaczyłem już w niniejszym rozdziale zasadnicze przeciwieństwo między panującem dziś w Ameryce pojęciem popierania dobrobytu narodowego a tradycyjnem europejskiem myśleniem ekonomicznem. Przeciciwieństwo to znalazło szczególnie charakterystyczny wyraz po imponującem wystąpieniu prezydenta Hoovera przez stanowczą krytykę, jakiej je poddał jeden z najznakomitszych ekonomistów Europy, szwedzki profesor Gustaw Cassel. Profesor Cassel widzi we wspaniałym geście Hoovera tylko ryzykowny zamach na rezerwy gotówkowe społeczeństwa, a nawet zapęd w kierunku etatyzmu, i jako drogę do wyjścia z przesilenia zaleca wzmożenie oszczędności a nie forsowanie inwestycyj.

ropy niekorzystny. Jeżeli świat cały spędził pierwsze półrocze 1929 r. pod znakiem znacznego zacieśnienia kredytów amerykańskich, — jeżeli i my wciąż jeszcze nadaremnie z utęsknieniem czekamy, by nasza pożyczka państwowa z r. 1927 okazała się (jak zapowiadano) „kluczem“ do dalszych kredytów z Ameryki na różne specjalne cele, — to jedna z głównych przyczyn leży w zdecydowanem przesunięciu punktu ciężkości inwestycyj obywatela amerykańskiego z dziedziny pożyczek w dziedzinę przemysłu, i z lokaty zagranicą do lokaty w samych Stanach. I tak, według danych z bardzo poważnego źródła[1]) emisje pożyczek obcych rządów na rynku nowojorskim w pierwszej połowie 1928 r. wynosiły przeszło pół miljarda dolarów, zaś w pierwszej połowie 1929 r. mniej niż dziesiątą część tej sumy, bo 41 i $^3/_4$ miljonów. A biorąc pod uwagę pożyczki państwowe, łącznie z wszystkiemi innemi inwestycjami zagranicą, stwierdzić wypada, że ogólna cyfra lokat kapitału amerykańskiego między rokiem 1928 a 1929 spadła o połowę (w pierwszej połowie 1928 r. przeszło miljard, w pierwszej połowie 1929 r. zaledwie coś ponad pół miljarda dolarów). Z drugiej strony ogólna liczba emisyj na rynku nowojorskim podskoczyła w tym samym czasie z $5^3/_4$ do rekordowej liczby przeszło $6^1/_4$ miljardów dolarów (w czem jest niecały miljard konwersyj, gdy przeszłego roku było ich w tym czasie przeszło półtora miljarda). Lwia część tego wzrostu przypada na lokatę pieniędzy w kraju, i to w akcjach przemysłowych: z ogólnej sumy $6^1/_4$ miljarda amerykańskie spółki akcyjne wchłonęły przeszło 5 miljardów, czyli o $1^1/_4$ miljarda więcej niż w r. 1928. Emisje zagraniczne wynoszą obecnie zaledwie niecałe 10 procent ogółu emisji nowych papierów,

---

[1]) *Times* (Londyn), 6 sierpnia 1929, rubryka *Finance and Commerce.*

w których lokuje swe pieniądze Amerykanin. Z taką to hojnością obywatel Stanów Zjednoczonych smaruje swym kapitałem rozpędzoną do niebywałego stopnia maszynerję przemysłu w swym kraju, konsumując zarazem coraz większe masy jej rekordowej produkcji.

Czy wspomniana już kilkakrotnie katastrofa giełdowa na Wall Street w październiku roku 1929, ocuciwszy społeczeństwo z gorączkowych rojeń o wygórowanych zyskach z własnych przedsiębiorstw przemysłowych, skieruje na nowo falę kapitału amerykańskiego w stronę Europy, o tem w chwili pisania tych słów sądzić jeszcze zawcześnie[1]. Napewno atoli wstrząśnienie to podziała otrzeźwiająco także na Europę; gdyż, jak się niedawno ze zdumieniem z umiejętnych fachowych zestawień[2]) przekonałem, Europa powojenna, która przecież cierpi na anemję kapitału i powinna się z nim obchodzić ostrożnie, okazała jednak znaczną skłonność do ulegania tej samej hipnozie wysokich zysków, którą opanowane było społeczeństwo amerykańskie, i inwestowała dość sporo kapitału w Ameryce, tak że w rezultacie bilans inwestycyj między Ameryką a Europą nie przedstawia obecnie wcale takiego obrazu przygniatającej przewagi kapitału amerykańskiego, jakby to chudzina-Europejczyk z naszych stron świata skłonny był przypuszczać. W szczególności kapitał brytyjski, jak się okazuje, bardzo

---

[1]) Wolno w każdym razie zarejestrować jako symptom już ten fakt, że zaraz w grudniu r. 1929 — a więc rychło po wypadkach giełdowych — emitowano na rynku nowojorskim s i e d e m pożyczek zagranicznych, w ogólnej sumie przeszło 90 miljonów dolarów, co stanowiło 20 procent emisyj grudniowych. Chodziło coprawda przeważnie o konwersje, oraz o transakcje odkładane z dawniejszych miesięcy, ale w każdym razie jest rzeczą znaczącą, że doszły do skutku tak prędko po wielkiem wstrząśnieniu.

[2]) W doskonałej rubryce finansowej paryskiego *Journal des Débats*, 27 października 1929.

pokaźnie jest w Ameryce zaangażowany. Tak to przez dziwną ironję losów historycznych Wielka Brytanja nawet pieniężnie służy rosnącej potędze swej wyzwolonej córy, a dzisiejszej triumfującej rywalki.

W związku z przypuszczalnym ponownym dopływem kapitału amerykańskiego do Europy i z zahamowaniem odpływu kapitałów europejskich do Ameryki należy jeszcze wspomnieć o trzeciem następstwie wypadków nowojorskich, już bezpośrednio dotyczącem samego europejskiego rynku pieniężnego. Oto pod gorączkującym wpływem anormalnego wzrostu kursów w Ameryce rosła także raptownie powszechna powojenna drożyzna pieniądza w Europie. Burza na Wall Street pociągnęła za sobą ulgę i w tym względzie: pieniądz w Europie począł odrazu tanieć, co najrychlejszy i najwymowniejszy znalazło wyraz w obniżeniu stopy dyskontowej Banku Angielskiego odrazu o cały jeden procent. Za przykładem angielskiego poszedł niebawem Bank Rzeszy Niemieckiej i kilka innych na kontynencie.

Z punktu widzenia europejskiego zatem bezsprzecznie mamy powód witać kataklizm giełdowy w Ameryce jako zjawisko dobroczynne. Ale i dla Ameryki samej wstrząśnienie to okaże się może na dalszą metę dobrodziejstwem ekonomicznem; bo chociaż stratami dotknięte są szerokie sfery ludności, i musi wskutek tego ponoć nastąpić w najbliższym czasie pewne obniżenie konsumcji — np. w zakresie zakupu samochodów, — to jednak wypadki na giełdzie nowojorskiej mają tę dobrą stronę, że istniejący niewątpliwie dobrobyt ogólno-narodowy sprowadzają z powietrznych regjonów rojeń spekulacyjnych na twardy grunt realnej produkcji przemysłowej, której, jak starałem się wykazać w tym rozdziale, na dalszą metę nie zabraknie jeszcze przez długi czas ani rynków ani konsumentów.

V.

# Warunki materjalne życia a psychika ludności.

Zastanowiwszy się teoretycznie nad plusami i minusami dobrobytu amerykańskiego, nie od rzeczy może będzie zkolei powiedzieć coś o tem, jak się w praktyce przedstawia ten sławiony w całym świecie dobrobyt ludności, gdy się z nim zetknie Europejczyk. Otóż chcąc należycie ocenić dobrobyt amerykański, trzeba nieco zmodyfikować te pojęcia, które przywykliśmy w Europie ze słowem „dobrobyt" kojarzyć. Żyjemy w starym świecie bądź co bądź wśród systemu kulturalnego, do którego podstaw materjalnych należała zawsze jakaś forma obsługi klas tę kulturę tworzących: a więc niewolnictwo w świecie grecko-rzymskim, potem pańszczyzna w wiekach średnich, wreszcie służba domowa w społeczeństwach nowożytnych. Służba pozostaje i dziś jednem z ważnych kryterjów dostatku. Za całkiem biednego nie uważa się dziś nawet sproletaryzowany inteligent europejski, póki jego żona ma choć jedną brudną, bosą dziewkę „do wszystkiego" w swojem rozporządzeniu lub przynajmniej (jak przeważnie w Europie zachodniej) dochodzącą posługaczkę. Całkiem inne są kryterja w Ameryce. Tam — przynajmniej w demokratycznych Stanach Północy, gdzie niewolnictwa nigdy nie było — służba wcale organicznie do pojęcia dobrobytu nie należy, a we wszelkiej ciężkiej pracy domowej wyręcza dziś człowieka maszyna. Miarą dostatku domu jest przedewszystkiem ilość

maszynowych udogodnień w gospodarstwie. Trzeba widzieć te maszyny przy robocie w przeciętnej kuchni domowej amerykańskiej, lśniącej od kafli i emalij, jak sala operacyjna w szpitalu, — a najlepiej trzeba (jak mnie się to raz udało w Chicago) u dobrych a bezpretensjonalnie żyjących przyjaciół zjeść obiad razem z gospodarzami za ich stołem kuchennym, by się gruntownie otrząść z europejskiego przesądu, że posiadanie służby stanowi koniecznie o wygodzie życia. O służącej w Ameryce naprawdę tylko bogatsi myśleć mogą, bo najtańsza Kaśka lub Maryśka z Polski lub jakiej innej Łotwy czy Rumunji kosztuje, jak mnie zapewniano, dwadzieścia kilka dolarów tygodniowo prócz mieszkania, utrzymania i stroju roboczego, a tak znaczną kwotę woli każdy wydać na przedmioty bezpośredniego użytku lub przyjemności. Oczywiście system taki, nawet przy najdalej idących maszynowych udogodnieniach, wkłada na gospodynię domu znaczne obowiązki, i stanowisko jej w przeciętnym domu stanu średniego w Ameryce bynajmniej synekurą nie jest. Gdy się nie jest dość bogatym, by sobie pewne maszyny móc sprawić, a wpadnie się w kołowrót życia amerykańskiego z zewnątrz bez należytego doświadczenia, można nawet upadać pod tem brzemieniem. Litowałem się głęboko w pewnem mieście nad doktorką filozofji jednego z naszych uniwersytetów, która wyszedłszy zamąż za Polaka amerykańskiego i prowadząc jego dosyć skromne gospodarstwo przy dwojgu drobnych dzieciach, nosiła na twarzy widoczne ślady ostatecznego wyczerpania sił i bezradnej rozpaczy. Rodowite Amerykanki naogół znoszą to położenie daleko łatwiej i z zupełną pogodą, — przedewszystkiem dlatego, że wychowanie przysposabia je do takiego sposobu prowadzenia gospodarstwa. Dwa cuda zawsze najbardziej podziwiałem w każdej żeńskiej szkole

amerykańskiej, którą zwiedzałem: po pierwsze salę, w której stało kilkadziesiąt stolików z maszynami do pisania, a w kącie — gramofon (bo dziewczęta muszą się nauczyć tak biegle pisać na maszynie, żeby swój tekst wykłapywać do taktu przy akompanjamencie jakiegoś skocznego shimmy lub foxtrota), po drugie zaś salę, w której widziałem kilkadziesiąt misternych małych piecyków gazowych i sporo innej maszynerji kuchennej, a na ścianie — tablice poglądowe, ilustrujące wartość mięsa z różnych części bydlęcia, albo chemję spożywczą różnych jarzyn i owoców. Nawet z takiem przygotowaniem jednak Amerykanka musi się żwawo krzątać po domu, by przy pomocy maszyn i wydatnem użyciu gotowych potraw konserwowych wszystkiemu w gospodarstwie podołać; nie może nigdzie chodzić, gdzieby dzieci ze sobą brać nie mogła, bo ich niema komu zostawić (o ile nie posiada w domu jednej z najpożyteczniejszych maszyn na świecie, t. j. babci!) i ostatecznie od męża po jego powrocie od całodziennego zajęcia musi wymagać dość wiele pomocy w fizycznych pracach domowych. Poznawszy już nieco życie amerykańskie, nie dziwiłem się wcale, gdy po obiedzie u jednego z moich kolegów, profesora wyższego zakładu naukowego na prowincji, zaczęło się mycie naczynia przez panią domu przy jego współudziale w funkcji wycieracza. Goście w takich wypadkach, oczywiście, nietylko się nie gorszą, ale starają się sami w czemś dopomóc. Poza pomocą ze strony męża w gospodarskich robotach żony są w domach amerykańskich pewne funkcje *par excellence*, że tak powiem, „chłopskie“, spadające już nieodwołalnie na głowę pana domu: do nich należy w dzielnicach ogrodowych podmiejskich troska o ogródek, szczególnie koszenie trawy znaną i w Anglji sakramentalną kosiarką *(lawn-mower)*; do nich należy także niezbyt miły obowiązek

wstawania wcześniej od całej rodziny, celem napalenia w piwnicy pod kotłami do ogrzewania centralnego. We większych miastach można się w tym względzie wyręczyć najemnym „janitorem“, który to załatwia dla szeregu domów; ale można się przytem narazić na tę nieprzyjemność, co jedni moi polscy znajomi w Chicago, których „janitor“ (także Polak) na gwiazdkę uczcił narodziny Zbawiciela upiciem się tak gruntownem, że pozbawieni byli jego pomocy przez całe dwa dni świąt i marzli daleko gorzej niż dzieciątko Boże w stajence.

Zwyczaj obchodzenia się bez służby wynosi Amerykanin ze sobą z domu także na ulicę: na kolei przeważnie woli swoją walizkę sam nosić, choćby mógł z łatwością zapłacić ćwierć dolara bagażowemu murzyńskiemu w czerwonej czapce, który mu się ofiarowuje z usługami. Na dorywczy posiłek lubi wstępować do jednej z licznych popularnych instytucyj, zwanych *cafeterias*, gdzie obsługa znajduje się tylko za ladą, a publiczność sama sobie na tackach do stolików nosi wybrane potrawy.

Jeżeli więc wyręczanie się służbą nie jest w Ameryce synonimem dostatku, i jeżeli nawet ludzie średnio zamożni dużo prac w domu spełniają sami, to w czemże wyraża się nazewnątrz dobrobyt ludności? Nietylko w wyglądzie i urządzeniu domu, w ubraniu i sposobie żywienia się, ale przedewszystkiem przez ten jeden główny probierz, jakim dziś w Ameryce jest auto. Mówiąc o miastach, już zaznaczyłem, jak dalece dzisiaj w Ameryce samochód prywatny z przedmiotu zbytku przekształcił się w przedmiot codziennego użycia (co zresztą i w Europie zachodniej w naszych oczach szybko się dokonywa). O fantastycznem rozpowszechnieniu aut w Ameryce możnaby pisać tomy i wciąż nowemi szczegółami zadziwiać i bawić czytelnika

europejskiego. A więc na początek trochę cyfr, poczęści zresztą znanych: W Ameryce na każde pięć osób ludności przypada jeden samochód, a w stanie Kalifornji nawet na każde trzy osoby. W roku 1928 amerykański przemysł samochodowy zbudował 4,358.747 samochodów i zatrudniał 4,341.000 ludzi.

Na okrasę tych zdumiewających cyfr kilka szczegółów anegdotycznych, pozbieranych na moich wędrówkach po Ameryce. A więc w Nowym Yorku, gdzie się roi od samochodów na ulicach śródmieścia, opowiadano mi żartobliwie, że na tych ulicach koń dzisiaj najbardziej się spłoszy wtedy, gdy zobaczy drugiego konia, bo to najrzadsze widowisko. Opowiadano mi w pewnej pięknej lesisto-górzystej okolicy Nowej Anglji, że odwiedzają ją (tak samo jak u nas takie strony) od czasu do czasu cyganie, i że przyjeżdżają całym sznurem samochodów, przeważnie starych, rozklekotanych Fordów; ale król cygański zawsze ma Cadillac'a! Ci cyganie na autach wydali mi się nieocenionym tematem dla rysownika jakiegoś dziennika humorystycznego w Europie; ale po rozwadze przyznałem, że z punktu widzenia amerykańskiego porządku życia niema w tem niczego niezwykłego. Kradnie u nas cygan konia, cóż tam ma innego ukraść jak nie auto? — Inny jeszcze szczegół: uczestnicząc w posiedzeniu grona profesorskiego w jednym z wyższych zakładów naukowych na prowincji, przysłuchiwałem się dyskusji nad tem, czy można pozwolić na to, żeby doroczny bal studentów trwał tym razem nie do wpół do dwunastej, tylko aż do wpół do pierwszej. Przeciwnicy takiej rozpusty podnosili, że po dwunastej przecież nie kursują tramwaje, i biedni studenci musieliby wynajmować taksówki do odwożenia zaproszonych panien; ale na to odpowiedziano, że t a k biednego studenta przecież

w zakładzie niema, żeby nie miał jakiegoś własnego auta, choćby najmizerniejszego Forda!

O ile zatem samo posiadanie auta dziś w Ameryce już wcale wyrazem szczególnej zamożności nie jest, o tyle ważnym wskaźnikiem jej stopnia jest wygląd familijnego auta, jego marka, rozmiary i nowość. Zasobniejsza rodzina stanu średniego często już dziś na jednem aucie nie poprzestaje: bywa jedno dla męża i jedno dla żony, a dorastające dzieci także wcześnie mają pretensję o własne samochody. Jeżeli zaś jest tylko jedno auto w rodzinie, to jego rodzaj i powierzchowność tem bardziej stanowi kwestję prestiżu towarzyskiego i społecznego. Mody na auta zmieniają się jak mody na ubrania, i dobry ton wymaga iść za niemi. Szanujący się Amerykanin dziś zmienia swój samochód co pewien czas na inny, modniejszej marki. Stąd też, jak u nas handel staremi ubraniami, rozwinął się tam handel używanemi autami; całe ulice takich sklepów z setkami starych automobili na dziedzińcach widziałem w Chicago; a często-gęsto, jadąc autem po szosie, można gdzieś przy drodze zobaczyć rdzewiejący szkielet starego auta, porzuconego bez ceremonji, bo już było zanadto zużyte. W szczególnej wzgardzie jest ten system samochodu, który przecież jako pierwszy „tani samochód dla wszystkich“ właściwie spopularyzował ten tak powszechny dziś sposób lokomocji, t. j. Ford. Niezliczone są w Ameryce (tak samo jak w Anglji) dowcipy na temat, że „Ford to nie samochód“, tylko jakiś minjaturowy surogat samochodu. Sam miałem sposobność przekonać się o prawdzie tego, co mi niegdyś opowiadano, że mianowicie na ogromnych polach, otaczających zakłady Forda w Detroit, wśród dziesiątków tysięcy samochodów, któremi przyjeżdżają na dzienną pracę jego robotnicy, nie widać prawie — Forda, bo oni przeważnie

lepszemi autami jeżdżą. Tak samo w okolicy, zamieszkałej przez zamożnych rolników Polaków, w dolinie rzeki Connecticut koło Springfield, proboszcz miejscowy, chcąc mi dać pojęcie o ich dobrobycie, zapewnił mnie, że koło jego kościoła w niedzielę Forda się nie zobaczy, tylko same auta lepszych marek. I tamże jeden z gospodarzy, chłop, co przed kilkunastu laty emigrował z Łomżyńskiego, pokazując mi z dumą swego lśniącego Buick'a czy Packard'a, w odpowiedzi na moje słowa serdecznej radości z powodu, że się takiej maszyny dorobił, z godnością zaznaczył, że to jest już jego siódme auto, bo przecież niktby go w okolicy nie szanował, gdyby ciągle jednakowem jeździł[1]).

Posiadanie eleganckiego samochodu jest formą użycia, w każdym razie mniej szkodliwą od innych. Słusznie powiedziano, że jeżeli dzisiaj robotnik, zamiast sam pić wódkę, daje pić benzynę swemu samochodowi, to jest to stanowczo zmiana na lepsze. Jak niedawno wykazał w dowcipnem studjum socjologicznem w paryskiej *Illustration*[2]) znakomity włoski historyk Guglielmo Ferrero, bynajmniej nie urojony jest związek między prohibicją w Ameryce a automobilizmem. Jeżeli fabrykanci samochodów (tak samo zresztą, jak inni przemysłowcy) są gorącymi zwolennikami prohibicji, to nietylko dlatego, że trzeźwy robotnik lepiej pracuje, ale także dlatego, że więcej może kupować, a zwiększona jego zdolność konsumcyjna skierowała się w znacznej mierze

---

[1]) Mówiąc o pogardzie dla Fordów, mam oczywiście na myśli model pierwotny. Bo nowy „Ford nr. 2“, który po dłuższym okresie przygotowań od dwóch lat na rynku się pojawił, jest daleko bardziej wytworną małą maszyną i na wzgardę nie zasługuje. Powstała nawet piosenka: *Henry has made a lady of Lizzie* — „Henryk zrobił z Elżbietki wielką panią“ (Henryk, to imię Forda, a *tin Lizzie* — „blaszaną Elżbietką“ — nazywano pierwszy model jego samochodu).

[2]) 21 lipca 1929.

w stronę przemysłu automobilowego. Czy, swoją drogą w dzisiejszem stadjum prohibicja choćby już tylko klasę robotniczą naprawdę od picia alkoholu powstrzymuje, to inna kwestja, o której wypadnie jeszcze wspomnieć, mówiąc o zagadnieniach prawa i moralności. Tu, skoro mowa o objawach dobrobytu, niech tylko wolno będzie stwierdzić, że tak samo, jak mało jest domów tak ubogich, żeby choć nędznego Forda nie posiadały, tak samo niewiele jest takich, którychby stać nie było na poczęstowanie gościa jakąś formą mocnego trunku. Od win francuskich i hiszpańskich do ordynarnego *moonshine* i *hootch*[1]) w domach robotniczych, wszędzie, jeżeli już nie przyzwyczajenie do picia, to ambicja społeczna nakazuje mieć w domu — wbrew ustawie — jakiś alkohol, o który przy silnie rozwiniętej kontrabandzie zasadniczo nietrudno.

Powracając jednak jeszcze do automobilizmu, należy zaznaczyć, że i w tej dziedzinie, jak w gospodarstwie domowem, względny dostatek nie idzie bynajmniej w parze z posiadaniem służby. Szofera, tak samo jak służącą, może trzymać tylko człowiek dość już bogaty, a ogół obywateli (i obywatelek!) prowadzi swe auta sam. Troskę techniczną o czyszczenie auta i potrzebne od czasu do czasu reparatury zdejmują z jego bark rozsiane gęsto garaże i warsztaty reparacyjne. Garaż przy domu jest już dziś elementarną koniecznością; a zajechawszy swem autem do śródmieścia na całodzienne zajęcia, Amerykanin stara się je ulokować gdzieś przy trotoarze, niedaleko swego biura i tam je, zamknięte na klucz, na cały dzień pozostawia. Przy wynikającym stąd tłoku aut po obu stronach jezdni każdej

---

[1]) *Moonshine* — „księżycówka", wódka robiona potajemnie w domu, w nocy (odpowiada rosyjskiej „samogonce"). *Hootch*, wulgarna nazwa napoju alkoholowego wogóle.

ulicy sztuka „zaparkowania“ auta w ten sposób stała się przysłowiowo trudną umiejętnością; zresztą w interesie swobody ruchu ulicznego coraz więcej jest zakazów „parkowania“ przy ulicy, szczególnie przed wejściem do wielkich budynków. Powstaje osobny problem, który na różne sposoby się rozwiązuje. Niektóre miasta (np. Buffalo), rozporządzając jeszcze wolnemi przestrzeniami w śródmieściu, przeznaczają je na postój aut prywatnych, które się tam za określoną opłatą pod opieką stróża pozostawia; w innych miastach takie „garderoby na auta“ muszą się mieścić w osobnych budynkach. Podziwiałem dwa takie olbrzymie, wielopiętrowe zbiorowe garaże na auta; jeden w Toledo (Ohio), gdzie piętra łączyły się między sobą płaszczyznami pochyłemi i wyjeżdżało się autem choćby na dziesiąte piętro, jeżeli mu tam miejsce wyznaczono; drugi, jeszcze większy i bardziej postępowo urządzony, na 19 pięter, w Chicago, gdzie auta transportowało się windą na górę i zpowrotem nadół.

Zwyczaj kierowania swojem autem samemu jest w amerykańskich warunkach rzeczą naturalną i konieczną, i młodzież już w bardzo wczesnym wieku do niego się zaprawia. Ze względu na masę kursujących aut nie może jednak być mowy o żadnej kontroli jakiejś władzy nad zdolnością każdej jednostki do prowadzenia auta: ryzyko w tym względzie — zgodnie zresztą z indywidualistycznym duchem całej amerykańskiej tradycji — pozostawione jest prowadzącemu auto, który za naruszenia regulaminu ruchu odpowiada przed policją i sądem. Egzaminu szoferskiego, uprawniającego do samodzielnego prowadzenia samochodu, w Ameryce niema; uprawnienie *(licence)* jest jedynie kwestją opłaty pieniężnej, a za karę może być czasowo lub całkowicie odjęte. Że przy takim systemie i przy ogromnem

mnóstwie ludzi wszelkiego wieku i usposobienia, kierujących swojemi samochodami po ulicach, ilość wypadków musi być znaczna, to łatwo sobie wyobrazić. Tu znowu się sprawdza przytoczone już nieubłagane prawo, że „niczego za darmo mieć nie można".

Już z tego, co powiedziałem o automobilu, jako wskaźniku położenia społecznego, wynika, że w Ameryce przy całym panującym tam demokratymie zasadniczych poglądów i przy demokratycznej swobodzie przyjętych manier jednak istnieją znaczne i widoczne różnice klasowe. Ludzie najbogatsi tworzą po wszystkich większych i mniejszych miastach zamkniętą w sobie warstwę, która ściślej może jest odgrodzoną od reszty społeczeństwa, niż arystokracja rodowa w Europie. Sporo dumy kastowej mają także stare, choć niezawsze tak bogate, rodziny patrycjuszowskie Nowej Anglji, wywodzące swój rodowód od najdawniejszych kolonistów i mieszkające (rzecz zupełnie wyjątkowa w Ameryce) od szeregu pokoleń w tem samem mieście. Niechby kto takim spróbował powiedzieć, że ich przodkowie właściwie także byli „emigrantami"![1]) Odgraniczają się i bogacze i stare rodziny od tłumu wałem snobizmu, przejawiającego się szczególnie zabawnym dla Europejczyka sposobem w przechwałkach na temat osobistych stosunków i znajomości w Europie, a głównie w najdystyngowańszej z krajów europejskich Anglji. Temu snobizmowi zapewne miałem do zawdzięczenia, że np. w Springfield w stanie Massachusetts mówiłem o moich przygodach w Rosji do klubu plutokratów miejscowych, zbierającego się w domu prywatnym.

[1]) Słowo „emigrant" kojarzy się w umyśle Amerykanina z niższą kulturą. Zamieszkały od szeregu lat w Ameryce profesor muzyki, Polak z dawnego Królestwa, zapewnił mnie wkrótce po zawarciu znajomości bardzo stanowczo, że ani on ani jego rodzina nie byli „emigrantami"!

Wprowadzone przeze mnie na zebranie moje dwie znajome z klasy średniej amerykańskiej (żona urzędnika bankowego i żona profesora), choć zamieszkałe przy tej samej ulicy, przy tej okazji pierwszy i zapewne jedyny raz znalazły się w owem towarzystwie.

Mówiono i pisano już dużo o tem, jak te różnice klasowe w Ameryce zasadzają się wyłącznie na pieniądzach, jak zdobycie majątku jest patentem na wstęp do zamkniętego wyższego towarzystwa, jak „wartość“ człowieka — nawet dosłownie — wyraża się dolarami. Nie będę powtarzał tych komunałów, zwłaszcza że przecież i my w Europie po wojnie mamy dość takich objawów u siebie i nie możemy się bynajmniej nad Amerykę w tym względzie wynosić. Nie będę też opowiadał anegdot o fantastycznych zbytkach bogaczy amerykańskich, bo takie sensacje można prawie co dzień znaleźć w dziennikach, — i w tym względzie zresztą niektóre powojenne popisy Europejczyków (jak choćby u nas sławetna przejażdżka pewnego pana z Warszawy i jego gości weselnych do Biarritz) mogą iść w porównanie z najbardziej oburzającemi ekstrawagancjami bogatych Amerykanów. Zamiast więc rozwodzić się nad takiemi rzeczami, pozwolę sobie uczynić kilka ważnych zastrzeżeń, które mojem zdaniem powinny być wzięte pod uwagę przy ocenie dzisiejszej plutokracji amerykańskiej. Przedewszystkiem więc należy pamiętać o tem, że przy wybitnie handlowo-przemysłowej orjentacji społeczeństwa w ostatnich dziesięcioleciach, oraz przy szerokich możliwościach i jednakowych zupełnie szansach, jakie konjunktura i porządek społeczny amerykański otwierały przed każdym obywatelem, zdobycie majątku było rzeczywiście najwłaściwszym dowodem tężyzny jednostki i mogło słusznie uchodzić za probierz siły charakteru i wyjątkowych zdolności. Nie bez słuszności i ze szczerem

przekonaniem powiedział mi pewien Amerykanin o bardzo wysokiej kulturze umysłowej, że dla niego jednak najsympatyczniejszym typem obywatela pozostaje *self-made man* dawnego autoramentu, — człowiek, który własnemi siłami wybił się na stanowisko magnata przemysłowego lub handlowego. Powtóre jednak należy zauważyć, że takich *self-made man*, nieokrzesanych i niewykształconych nawet przy miljonowym już majątku, dziś spotykamy tylko w starszej generacji; w młodszej majątek obecnie prawie zawsze idzie w parze z wyższem wykształceniem, zdobytem zresztą także często wśród bardzo trudnych warunków materjalnych. Takim nowszym, kulturalniejszym typem amerykańskiego *self-made man* jest choćby sam prezydent Hoover, niegdyś ubogi student Uniwersytetu Stanford w Kalifornji; i jakkolwiek u innych, co odziedziczyli gotowy majątek, wyższe studja mają często charakter raczej konwencjonalno-towarzyski, jednak tego stopniowego przenikania plutokracji amerykańskiej przez pierwiastek kultury akademickiej lekceważyć stanowczo nie można. Powrócę zresztą jeszcze do tego zjawiska w moich uwagach o życiu uniwersyteckiem.

Po trzecie wreszcie — i to może najważniejsze — bogacze amerykańscy raz wraz zdumiewają dziś cały świat nietylko wybrykami swej rozrzutności, ale także hojnością swych datków na cele dobroczynne i naukowe. Ofiarność tę na wielką skalę rozbudziły na dobre konieczności wojenne: często się słyszy w Ameryce, że dopiero w czasie wojny naprawdę powstało to, co dziś się nazywa *the habit of giving*, i co na szczęście pozostało odtąd przyzwyczajeniem społeczeństwa. Usystemizowano nawet i ujęto w ramy organizacyjne w całym szeregu miast ten ustalony powojenny zwyczaj w ten sposób, że na wszystkie cele dobroczynne i oświatowe w mieście urządza się raz do roku

wielką tygodniową kampanję składkową i uzyskane fundusze rozdziela według umówionego klucza między poszczególne instytucje. Sam podczas tygodniowego pobytu w Detroit byłem świadkiem takiej dobroczynnej kampanji, której ambitnym celem było zebranie 3½ miljona dolarów w mieście, i która miała wszelkie widoki powodzenia[1]). Oczywiście, że i w tych sprawach, podobnie jak co do wyższych studjów, działa często towarzyski snobizm zamiast wyższych motywów. Dziś poprostu należy do dobrego tonu, jest wymaganiem etykiety społecznej i warunkiem dobrej opinji u ogółu, żeby człowiek bogaty łożył znaczne fundusze czyto na szpitale, czy na uniwersytety, czy na kościoły lub organizacje dobroczynne. W każdym razie skutki tej przyjętej praktyki są bez porównania szczęśliwsze dla społeczeństwa, niż gdyby snobizm bogatych jednostek wyładowywał się w innym kierunku; szczególnie w dziedzinie naukowej, jak o tem jeszcze osobno mówić wypadnie, „zwyczaj dawania" stworzył w Ameryce zgoła niebywałe możliwości pracy pedagogicznej i badawczej.

Momenty, które przytoczyłem, to z pewnością „okoliczności łagodzące" wobec często podnoszonego faktu, że majątek w Ameryce okazuje skłonność do koncentracji w niewielu rękach. Jak widzimy, ze wzrastającą koncentracją w parze idą pewne przemiany — dla ogółu w swych skutkach dobroczynne — w usposobieniu i postępowaniu bogaczy.

Od nielicznej klasy wielkich bogaczy zwróćmy zkolei oko na m a s y. Co się dzieje z ich psychiką i ich sposo-

---

[1]) Doskonałą tę metodę amerykańską ośmielam się zalecić naszym miastom w miejsce dręczącej cotygodniowej żebraniny na różne cele. Niestety przewiduję, jak przykre byłyby spory o klucz podziału, i jak trudno przy naszej biedzie byłoby o większe jednorazowe datki.

bem życia pod wpływem wzrastającego dobrobytu? Wszakże Ameryka, jak to już zaznaczyłem i cyframi ilustrowałem, jest krajem nietylko największych dotąd nagromadzeń kapitału, ale także krajem największego osiągniętego dotąd poziomu przeciętnego dostatku materjalnego wśród ogółu. Można powiedzieć, ze znakomitym socjologiem francuskim, Lucjanem Romier, że Ameryka jedna wśród społeczeństw dzisiejszych — coprawda poczęści dzięki wyjątkowo szczęśliwym swym warunkom — rozwiązała problem względnego zaspokojenia tych „mas ekonomicznych", które są i być muszą obecnie naczelnym przedmiotem troski wszystkich mężów stanu. Charakter dostatniej cywilizacji masowej, jaki przybrała cywilizacja amerykańska, wytwarza pewne określone cechy psychiczne, które wprawdzie nie są obce i innym wielkim demokracjom współczesnego świata, a pod wpływem Ameryki coraz powszechniej się szerzą, ale w każdym razie w Ameryce najpotężniej są rozwinięte. Te cechy miałem na myśli, mówiąc w uwagach wstępnych o uderzającem ujednostajnieniu kultury narodowej na całej olbrzymiej przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Ameryka, kraj tak zachwalanej dziś w Europie „standardyzacji" we wszystkich gałęziach przemysłu, we wzrastającym stopniu „standardyzuje" u siebie także typ człowieka. Szczególnie widocznem stało się to po wojnie, i inaczej być nie mogło przy szybkim powojennym postępie ogólnego dobrobytu w Ameryce. Masy, dawniej tonące w szarzyźnie trosk zarobkowych i wydostające się dość nagle w pełne słońce dostatku, nie posiadają ani skrystalizowanych potrzeb (nawet materjalnych), ani wyrobionych form życia, ani wreszcie idei ogólnych, dostosowanych do swego nowego położenia. Wszystkiego tego „Nowobogacki" w Europie, oszołomiony obfitością i różnorodnością

zjawisk kulturalnych, z trudem i niezgrabnie, wśród wielu niepowodzeń i powszechnego pośmiewiska, powoli się uczy. Wszystkiego tego wzbogaconemu tłumowi Amerykanów szybko i najdogodniej w świecie dostarcza w stanie gotowym demokratyczna cywilizacja Ameryki. Chcesz się ubrać: masz do wyboru ograniczoną liczbę typów gotowych ubrań, które ogół Amerykanów zawsze woli od krawieckich. Chcesz wiedzieć, co jeść: fabryki konserw dają ci wybór między określoną liczbą typów konserw; sławna fabryka Heinz'a wyrabia ich wszystkiego 57 rodzajów, i właśnie dlatego prosperuje. Chcesz się pobudować: przedsiębiorca budowlany da ci wybór między kilku typami domku podmiejskiego, znowu w liczbie ściśle ograniczonej i z niewielką skalą warjantów; albo możesz wziąć mieszkanie w jednym z wysoce standardyzowanych wielkich domów czynszowych, których w ostatnich czasach buduje się więcej, niż domów rodzinnych[1]). Chcesz się umeblować: znowu to ułatwienie wyboru przez niewielką liczbę typów mebli. Doniedawna wyrabiało się podobno 19 gatunków łóżek w Ameryce, a dziś ma ich być tylko cztery. Do tego trzeba jeszcze dodać, że przy sprawianiu czyto mebli, czy maszynerji domowej lub gospodarskiej, czy ubrania, czy jakichkolwiek przedmiotów codziennego użytku, masom ludności, szczególnie zamieszkałym daleko od większych środowisk, jako wyborne przewodniki dla ułatwienia wyboru z pośród ograniczonej liczby modeli służą katalogi wielkich domów towarowych. Zamawiając listownie według numerów w tych katalogach, otrzymuje się go-

[1]) W r. 1921 wśród licznych nowo budujących się domów przeważały domki rodzinne na stary sposób angielski: było ich 58·3% wśród wszystkich nowych budowli; w r. 1928 stosunek ten spadł do 35·2% (Cyfry te podaje *Journal des Débats* z 9 sierpnia 1929).

towy, standardyzowany towar pocztą — stąd nazwa *mail-order houses.*

Ta sama redukcja w możliwościach wyboru, co przy zakupnie przedmiotów domowego użytku, panuje w sposób uderzający dla Europejczyka także poza domem, gdy chodzi o podróżowanie koleją. W Ameryce wzbogacony człowiek nie ma okazji, jak w Europie, namyślać się, czy jeździć pierwszą czy drugą klasą, zamiast — jak dawniej — trzecią lub zgoła starą, niemiecką czwartą, — bo w Ameryce klas na kolei niema wcale. Na mniejsze odległości wszystko jeździ jednakowemi *day-coaches* (wagonami dziennemi), równającemi się co do poziomu wygód mniej więcej naszej klasie drugiej, — a na dalszą odległość jest bardzo niewielkim zbytkiem dopłacić mały dodatek do biletu za osobny, arcywygodny fotel w wagonie — jakbyśmy go w Europie nazwali — salonowym. Takich wagonów jest sporo przy każdym pociągu, jadącym na dłuższych przestrzeniach, i korzysta się z nich dość powszechnie. Palić w nich można tylko w małym przedziale z umywalniami; ale do palenia są także osobne „wagony klubowe“ *(club cars).* Przy wielkich naogół odległościach i ogólnym pośpiechu życia Amerykanin, jeżdżący po swoim kraju w interesach — z upodobaniem podróżuje nocą. Wagonów sypialnych jest wielka obfitość; są dla wszystkich jednakowe i wszyscy w nocy niemi jeżdżą. O ich osobliwej budowie — także znamiennej dla psychiki Amerykanina — mówię w innem miejscu.

Podróżowanie — już nie dla interesów, ale dla przyjemności — jest jedną z głównych satysfakcyj, których zapragnęły wzbogacone masy obywateli amerykańskich; wszak Anglicy i Amerykanie zdawna więcej podróżują niż inne narody. Znowuż w tej dziedzinie na wielką skalę uła-

twiono niedokształconemu ogółowi wybór celów i dróg, wogóle zarówno merytoryczną jak i techniczną stronę podróżowania. W Europie człowiek nowowzbogacony długo się namedytował nad literaturą turystyczną przed pierwszą większą podróżą, i dużo jeszcze na samych podróżach mozolnie i kosztownie się uczy przez doświadczenie. W Ameryce załatwia to wszystko za niego ajencja turystyczna, w której ręce się z zaufaniem oddaje, płacąc oprócz pieniędzy tylko tym małym nieznacznym dodatkiem, jakim jest rezygnacja z wolności osobistej na czas podróży. W ostatnich czasach coraz więcej Amerykanów, nawet stanu średniego, może sobie pozwalać na podróże do Europy [1]). W r. 1929 wybrało się ich podobno przez Ocean pół miljona. Ogół tych podróżników ajencje turystyczne przeganiają gromadami po kilkadziesiąt osób po muzeach i innych osobliwościach Europy. Zresztą i na wyższym poziomie majątkowym i przy podróżowaniu indywidualnem wyrobił się już u Amerykanów pewien konwencjonalny kanon rut, które wypada odbyć, i miejsc, które należy zwiedzić; i na tem tle, jak w tylu innych dziedzinach, kwitnie swego rodzaju snobizm.

Gdy tak wszystkie urządzenia i praktyki życiowe podległy daleko większemu niż gdzie indziej ujednostajnieniu, nie mogły mu nie podlec także idee i poglądy. Przeciętny Amerykanin mniej sobie zadaje trudu (bo i mniej ma czasu go sobie zadawać) na znalezienie właściwego dla siebie stanowiska w wielkich zagadnieniach społecznych, politycznych czy moralnych. Przekonań politycznych wraz

---

[1]) Na wielu okrętach transoceanicznych po ustawach anty-immigracyjnych, zamiast dawnych pomieszczeń emigranckich, zaprowadzono t. zw. „trzecią klasę turystyczną“, która znakomicie ułatwia podróże przez ocean, szczególnie ubogiej inteligencji (studentom i profesorom).

z argumentacją (zresztą bardzo sumaryczną) dostarcza mu ryczałtem gazeta, którą czyta; a poglądy społeczne i moralne znajduje gotowe w jednej z licznych organizacyj towarzyskich, które raz na tydzień zjadają razem śniadanie przy akompanjamencie śpiewów chóralnych, mniej lub więcej ciekawych i dowcipnych przemówień i hałaśliwych objawów kamaraderji. Organizacje te mają zwykle pewien rytuał, wzorowany na masońskim; ale za jego tajemniczemi symbolami żadne tajemnice ideowe ani działania konspiracyjne się nie kryją. Jest tych organizacyj sporo i mają nieraz dziwaczne nazwy, np. *Elks* („Łosie“) lub *Kiwanees* (nazwa innego egzotycznego zwierzęcia). Najpopularniejszą w ostanich latach stała się organizacja *Rotary Clubs*, mająca za emblemat koło (stąd nazwa), i nacechowana tą osobliwością, że w każdej grupie lokalnej może być tylko po jednym przedstawicielu każdego zawodu. Zapobiegając w ten sposób spotkaniom pomiędzy zawziętymi konkurentami (których walka mogłaby się przenieść na grunt towarzyski), można przy obowiązującej zasadzie nazywania się po imieniu łatwo wywoływać na zebraniach błogie złudzenie zbratania wszystkich stanów i uprawiać społecznie kult naczelnej zasady, której ruch rotarjański służy, a która streszcza się w słowie *service.* Że każda praca zawodowa jest służbą społeczną, i że prawdziwy Amerykanin ją w tym duchu prowadzi, w tem przekonaniu bracia-rotarjanie umacniają się wzajemnie, i w ten prosty sposób to, co pochłania najlepsze energje życiowe ogółu Amerykanów, t. j. produkcja materjalna, jej forsowny zbyt i robienie na tem majątku, otrzymuje rodzaj sankcji moralnej i socjalnej. Podobnie kiedyś purytańscy przodkowie dzisiejszych Amerykanów przez naiwny sofizmat wprzęgli kalwińską doktrynę o przeznaczeniu człowieka do zbawienia lub potę-

pienia w służbę powstającego nowoczesnego kapitalizmu, dowodząc, że widomym znakiem przeznaczenia do zbawienia jest powodzenie (czyli „błogosławieństwo Boże“) w materjalnych sprawach życiowych: i stąd skrzętność w gromadzeniu majątku poszła w parze z surową i ascetyczną wiarą kalwińską, tak jak dziś sprawność w interesach idzie w parze z rotarjańską ideologją służby społecznej.

Ruch rotarjański zresztą — trzeba to podnieść na jego pochwałę — zdziałał wiele w zakresie dobroczynności, która przecież w Ameryce musi pełnić sporo funkcyj, dokonywanych u nas tak czy owak przez państwowe organa opieki społecznej. I to trzeba jeszcze zaznaczyć, że kluby rotarjańskie skwapliwie korzystają z przygodnych usług różnych przejezdnych prelegentów, a bogatsze nawet prelegentów sprowadzają, by przemówieniami swemi urozmaicali tygodniowe śniadania; i w ten sposób jednak dokonywa się pewne rozszerzenie widnokręgu i wzbogacenie pojęć przeciętnego amerykańskiego fachowca. Oczywiście, nie zawsze łatwo jest w sakramentalnych ramach dwudziestu minut przedstawić jakiś rozległy przedmiot i wywołać trwałe wrażenie w umysłach słuchaczy; w każdym razie z wdzięcznością wspominam te liczne kluby rotarjańskie w zwiedzanych przeze mnie miastach amerykańskich, gdzie w natężonem skupieniu i wzorowym spokoju w przerwie między przedpołudniową a popołudniową pracą biurową słuchano, jak w niecałe pół godziny starałem się powiedzieć w myśl zaproszenia *all about Poland* („wszystko o Polsce“) i obudzić w umysłach najzupełniej nieobznajomionych z tym egzotycznym przedmiotem choć pewne pojęcie o historycznej, kulturalnej, politycznej i gospodarczej doniosłości naszego kraju.

Dla uniknięcia tak częstych u nas nieporozumień można jeszcze dodać, że organizacja rotarjańska, choć międzywyznaniowa, żadnych antyreligijnych tendencyj niema, jak się to w r. 1928 ostatecznie wyjaśniło w konferencjach, odbytych w Watykanie przez przewodniczącego całej organizacji (katolika z Texas), nad kwestją udziału księży katolickich w miejscowych klubach rotarjańskich. Ruch rotarjański rozszerzył się dziś na Europę; niektóre kraje (jak np. Czechy) pokryły się gęstą siecią kół rotarjańskich, założonych w nadziei międzynarodowego zbliżenia na tej drodze; rzecznikiem ideologji ruchu w osobnej publikacji *(The Meaning of Rotary)* stał się znakomity powieściopisarz angielski, John Galsworthy; i ja, choć osobiście na podstawie moich odwiedzin w amerykańskich *Rotary Clubs* epokowego znaczenia ideowego i moralnego na tej formie organizacji dopatrzyć się nie mogę, jednak chętnie przyznaję, że jako jeden ze środków wyrabiania i utrwalania solidaryzmu społecznego, tak powszechnego w Ameryce, a tak mało rozwiniętego w Europie, ruch może mieć na gruncie europejskim swoją specjalną funkcję do spełnienia.

Zatrzymałem się nieco dłużej przy omawianiu klubów rotarjańskich dlatego, że te i liczne podobnego typu organizacje (wraz z analogicznemi klubami śniadaniowemi kobiecemi, z których gościnności także często jako prelegent korzystałem), są wybitnemi przykładami dążności życia amerykańskiego do zbiorowego urabiania jednolitego typu pojęć i zasad, do ideowej i moralnej standardyzacji obywatela.

Ale zapyta ktoś: czyż wszelkich takich usiłowań standardyzacyjnych wciąż nie obraca w niwecz samo życie ze swem bezustannem falowaniem przemian w otoczeniu i losach człowieka, z dramatyczną grą przeciwności i przy-

padków? Życie amerykańskie miało okresy, w których naczelną jego cechą była właśnie dramatyczność. Nie mówię już o okresach walki o niepodległość w XVIII i wojny domowej w XIX wieku; ale przedewszystkiem mam na myśli ów okres wielkiej wędrówki na Zachód, okres zdobywania dziewiczych części kontynentu, gdy życie codzienne każdego kolonisty obfitowało w momenty o wysokiem napięciu dramatycznem; mam na myśli także bohaterski okres żeglugi amerykańskiej w pierwszej połowie XIX wieku, odzwierciedlony z całym swym heroicznym impetem choćby w tak wspaniałej książce, jak *Moby Dick* H. Melville'a (1857), którą w całości wypełniają śmiertelne niebezpieczeństwa i tragiczna zawziętość staroświeckiego polowania na wieloryby; mam wreszcie na myśli takie epizody opętania zbiorowego, jak pamiętna „gorączka złota“ w Kalifornji, którą uwiecznił w swych nowelach Bret Harte. Coś z tych *eroici furori* dawniejszej ery przeszło także w gorączkowe życie rosnących wielkich miast amerykańskich w okresie wielkiego uprzemysłowienia w drugiej połowie XIX stulecia. Zaciekłość walki konkurencyjnej, ciągłe wysokie ryzyko, wreszcie szalony pośpiech w tempie wszystkich działań codziennych — to wszystko niewątpliwie znowu elementy *par excellence* dramatyczne, i egzystencja wybitniejszego handlowca i przemysłowca w tej erze jest zaiste egzystencją niepowszednią. Można o nim powiedzieć, że żyje w atmosferze niebezpieczeństwa. Do czynników wymienionych przyłączają, się jako pierwiastki dramatycznego urozmaicenia, jeszcze takie akcesorja, jak płynność w ruchu ludności, każąca Amerykaninowi rzucać się to tu, to tam po całym nieraz kontynencie, w poszukiwaniu lepszego zarobku; i płynność również w stosunkach gospodarczych jednostki, ta częsta i gruntowna zmiana zawodów, którą

karjera Amerykanina nieraz zdumiewa obserwatora europejskiego. Pamiętamy, że szesnastu zawodów w krótkich czterdziestu latach swojego życia próbował Jack London, zanim został znakomitym pisarzem; a ten Kanadjanin, jak wielu Kanadjan, jest typem wybitnie amerykańskim.

Wszystko to istnieje w życiu wielkich centrów przemysłowych amerykańskich w znacznej mierze i dzisiaj. Ale nie da się zaprzeczyć, że szybki i powszechny wzrost dobrobytu coraz bardziej pozbawia to życie dawnego elementu bujnej awanturniczości. Pośpiech, jak wiemy z Einsteina, jest rzeczą względną, i w wieku automobilu i aeroplanu przyśpieszone niebywale tempo całego życia codziennego sprawia, że na tem tle pośpiech w życiu zawodowem i gospodarczem powszednieje i nie jest już niczem niezwykłem. Spowszedniało także ryzyko, które zresztą zmniejsza się wobec nieograniczonych możliwości szybkiego ponownego zdobycia dobrobytu w dzisiejszej Ameryce, nawet po katastrofach finansowych. Ponadto namiętność walki konkurencyjnej złagodzona jest dziś przez tendencję do jednoczenia przedsiębiorstw jednakowego rodzaju w potężne syndykaty. Jak już zaznaczyłem, coraz mniej słyszy się w dzisiejszej Ameryce o *self-made man*, którzy zaczęli od niczego i przeszli przez szereg różnych zawodów; a coraz więcej o spadkobiercach choćby średniego kalibru przedsiębiorstw, którzy od początku byli kształceni starannie do jednego zawodu — i potem systematyczną pracą odziedziczone przedsiębiorstwa powiększają; albo o ludziach, którzy w ramach jednego przemysłu lub nawet jednego przedsiębiorstwa z podrzędnych pracowników wyrastają na kierowników i magnatów. Czyż nie jest rzeczą charakterystyczną, że na amerykańskim rynku księgarskim roi się dziś formalnie od rozmaitych „pod-

ręczników powodzenia w życiu“ i „metod zdobywania majątku“? Tak jak niegdyś wielki Franciszek Bacon się łudził, że przy wydoskonaleniu metod myślenia twórczość duchowa stanie się rzeczą rutyny, tak dzisiejsza Ameryka stara się usystematyzować te sukcesy, które, dzięki śmiałym nowym pomysłom i niezwykłym zdolnościom organizacyjnym, osiągnęli Ford i inni. I ostatecznie przecież Ameryka pierwsza i jedyna wydała to pozornie zupełnie paradoksalne zjawisko: zawodowego wynalazcę, jakim jest jej „wielki stary człowiek“, Tomasz Alva Edison.

Trudno się spodziewać, by Edisonowie mieli się pojawiać masowo. W każdym razie jednak faktem jest, że wskutek wzrostu ogólnego dobrobytu coraz bardziej unormowaną i ustaloną staje się i treść życia Amerykanina, tak samo jak standardyzowaną we wszystkich szczegółach jest forma tego życia. Brak wielkich przeciwności na drodze życiowej przeciętnego człowieka sprawia, że nawet te żywiołowe wstrząśnienia tragiczne, które są odwiecznym i fatalnym udziałem całej ludzkości, tracą w tej atmosferze coś ze swej dramatycznej siły. Takiemi kataklizmami są przedewszystkiem miłość i śmierć. Otóż perypetje miłosne, standardyzowane przez łatwość rozwodów, stają się czemś zdawkowem, nie zwracają na siebie szczególniejszej uwagi i rzadko kiedy prowadzą do tragicznych komplikacyj. Podobna zaś i jeszcze dziwniejsza rzecz zachodzi co do śmierci. Amerykanin jest największym na świecie fanatykiem higjeny i często do śmieszności dochodzi w swym kulcie dla reklamowanych lekarstw lub do dziwactwa w hołdowaniu modom higjenicznym (jak np. w ostatnich latach jedzenie surowych jarzyn); ale przytem dziwnie jest jakoś obojętny na wypadki śmierci w swem otoczeniu. Wydawać się nam czasem musi, jakby wyrabiał

w sobie systematycznie zdolność zapominania o takich przemijających przykrościach i uciekania od myśli o nieuchronnej śmierci własnej, bo ta myśl nasuwałaby odrazu zagadnienie o cel życia. A celowość zmechanizowanego życia amerykańskiego, jak słusznie zauważył Bonn, czasem w rezultacie graniczy z zupełną bezcelowością. Dziwna odporność wobec idei i faktu śmierci może zresztą jest naturalnym wynikiem amerykańskiego trybu życia. Pośpiech tego życia nie pozwala stawać w zamyśleniu nad tymi, co padli przy drodze. Powszednieją coraz częstsze wypadki nagłej śmierci na serce — znowuż normalny wynik tempa tego życia. Nie zapomnę, z jaką osobliwą satysfakcją w głosie sławny dr. Nicholas Murray Butler, prezydent Uniwersytetu Columbia w Nowym Yorku, mówiąc ze mną o świeżym takim wypadku w gronie kuratorów Uniwersytetu, zapewniał mnie, że ta forma śmierci — „najnaturalniejsza", jak to nazwał — stanie się wkrótce panującą w Ameryce, bo postępy medycyny coraz skuteczniej będą eliminowały niebezpieczeństwo śmierci od chorób obłożnych i chronicznych[1]). Niestety panującą staje się także druga forma śmierci — mianowicie śmierć od wypadku automobilowego. Mówiłem już o przyczynie obfitości tych wypadków; tu dodam, że według statystyki w roku 1928 zginęło od wypadków automobilowych w Stanach 27.000 ludzi, czyli o 2600 osób więcej niż w roku poprzednim. Szczególnie częstemi ofiarami są dzieci, mimo wielkich napisów ostrzegawczych *(School — Drive Slowly!)* w okolicy każdego budynku szkolnego; mówiono mi, że przez pierwsze trzy kwartały roku 1928 zginęło w Stanach 8000 dzieci

[1]) Mylił się ponoć, — przynajmniej narazie, — o ile chodzi o raka; bo na tę chorobę umiera w Ameryce coraz więcej osób. Jest to podobno choroba zbyt dobrze (a przez to właśnie źle) żywionych społeczeństw.

pod kołami samochodów. I znowuż nie zapomnę spokoju, a nawet obojętności, z jaką obecna przy wymienieniu tej cyfry dama (coprawda sama bezdzietna) powiedziała: „To prawda — tylu się ma ludzi w gronie swoich znajomych, którym auto zabiło dziecko!“ I to w społeczeństwie, którego higjeniczna i wychowawcza troska o dziecko świeci przykładem całemu światu!

Inny uderzający przykład, który w powodzi objawów amerykańskiej manji rekordowej wyłowił dowcipny satyryk H. L. Mencken i włączył do głośnej rubryki *Americana* w swym miesięczniku *American Mercury*. Oto pewne pismo w Los Angeles, niemal że tonem przechwałki, w każdym razie dla zaznaczenia intensywnego rozwoju ruchu w mieście, podniosło fakt, że Los Angeles ma rekordową liczbę wypadków samochodowych wśród wielkich miast Stanów Zjednoczonych [2]).

Czy istotnie wspomniane dwie kategorje wypadków śmierci przez spowszednienie wytwarzają obojętność wobec niej; czy i śmierć, jak wszystko w Ameryce, poczyna się „standardyzować“ — orzekać nie śmiem. W każdym razie dziwne na Europejczyku wrażenie robi fakt, że w Ameryce zupełnie z mody wyszło noszenie żałoby po zmarłych członkach nawet najbliższej rodziny, i że w związku z tem uderza brak innych, czyto szczerych, czy udanych, objawów żalu po tych zmarłych. Znakomity uczony francuski Baldensperger, który spędził kilka lat w uniwersytetach ame-

---

[2]) Smutny ten przywilej może poczęści tłumaczy się tem, że po mieście zapewne uganiają szczególnie szalonem tempem w swych autach gwiazdy filmowe z pobliskiego Hollywood. W Los Angeles pod kołami samochodu zginął w r. 1928 po szczęśliwem odbyciu całej podróży odczytowej po Stanach Zjednoczonych w wieku lat 48 znakomity czeski geograf, Daneš.

rykańskich, opowiadał mi, jak raz był świadkiem przybycia na zabawę młodej panny, której dwa tygodnie przedtem umarła matka; jak nikt nie silił się tam na kondolencje, tylko wszyscy witali ją radośnie, chwaląc za dzielność, z jaką przyszła; jak się starano o to, by się dobrze bawiła, i jak ona z całą swobodą z tego korzystała.

Mniej tragiczny i raczej zabawny charakter ma osobliwe doświadczenie podobnego rodzaju, które zrobiłem sam. W Uniwersytecie chicagoskim w czasie mojego pobytu słuchaczki, zrzeszone w Y. W. C. A., urządziły przedstawienie amatorskie i grały sztukę miłego szkockiego humorysty, Sir J. Barrie[1]) *The Old Lady Shows Her Medals* („Stara dama pokazuje swe medale"). „Starą damą" jest biedna, bezdzietna wdowa w Londynie, która utrzymuje się z pracy rąk własnych, jako posługaczka; w czasie wojny, widząc się otoczoną sąsiadkami, które z dumą i trwogą śledzą losy swoich synów na froncie, stara Szkotka wpada na pomysł niewinnej mistyfikacji i podaje za swego syna upatrzonego żołnierza o swem nazwisku, któremu posyła *incognito* paczki. Z okazji jego pobytu na urlopie w Londynie dochodzi do wyjaśnień, ale młody żołnierz, sam sierota, godzi się z sytuacją i nawet w arcyzabawnej scenie formalnie się oświadcza o — macierzyństwo „starej damy". W trzecim akcie już nastąpiło to, co na wojnie, niestety, tak często następowało, i „stara dama" z tragiczną dumą matki bohatera „pokazuje swe medale" na przysłanej jej kurtce mundurowej poległego. Przedstawienie chicagoskie było rozkoszne, i nawet męska rola młodego żołnierza w szkockiej spódniczce odegrana była przez studentkę z wielkim wdziękiem. Przy końcu drugiego aktu żołnierz

[1]) Pisałem o nim w mojej książce O Anglji i Anglikach (Warszawa, F. Hoesick, 1929).

żegna się czule z przybraną matką i krzepiąc ją nadzieją radosnego zobaczenia po wojnie, wyrusza na front. Aliści zauważyłem, że po tym akcie i publiczność zaczęła się ubierać i ruszać „na front". Nie pozostało mi nic innego, jak uczynić to samo; ale skorzystałem jeszcze z zaproszenia na herbatkę po przedstawieniu, na której znalazły się także młode aktorki, jeszcze w kostjumach. Ośmieliłem się zapytać reżyserkę: „Proszę pani, coś przez mgłę sobie przypominam, że ta sztuka ma także trzeci akt, w którym przychodzi wiadomość o śmierci żołnierza i „stara dama" pokazuje swe medale, jak to tytuł zapowiada?" Odpowiedziano mi bez wielkiego zakłopotania: „Ach tak, proszę pana, ale to takie tragiczne, — a myśmy się nie czuły na siłach grać tragiczne sceny!" Pięknie jest cenić tak wysoko dostojeństwo tragedji, ale chodziło najwidoczniej poprostu o to, że szczęśliwe amerykańskie dziewczęta zbyt są pełne radości życia, by wogóle móc z siebie wydobyć tragiczne nuty; więc zamiast silić się na to, wolały najnaiwniej w świecie zmasakrować dzieło literackie.

Mając przed oczyma takie przykłady zdolności do zamykania oczu na fakty śmierci i cierpienia, nie można odpowiedzieć inaczej, jak twierdząco, na zapytanie często stawiane w Ameryce obcemu przybyszowi: *Aren't we a happy people?* („Czyż nie jesteśmy szczęśliwym narodem?") Ale, jak słusznie zauważył tak subtelny obserwator, jak prof. Baldensperger, sam fakt, że to zapytanie tak często stawiają, wywołuje wrażenie, jakoby o prawdziwości tego szczęścia wątpili. Amerykanie są pełni optymizmu i dziecinnej niemal zdolności do radowania się życiem, która na każdym kroku aż nazbyt hałaśliwie się objawia. Nikt się tak głośno nie bawi, jak pijani Amerykanie w Paryżu. Nie powiem, żeby ten ich bezrefleksyjny optymizm i ta łatwa radość

życia miały coś sztucznego w sobie; ale trzeba powiedzieć, że jest w nich dla nas coś dziwnie automatycznego. Gotowość do zabawy przez prosty akt woli przejawia się na minutę w swoją porę, jak gotowość do pracy w należytej chwili. Przypomina to sławną zdolność Napoleona do zasypiania kiedy zechciał, albo stanowczość, z jaką berlińczycy zaczynają się weselić na dane hasło: „*Nun wollen wir uns mal amüsieren!*". I zdaje mi się, że ma to jedną głębszą przyczynę, o którą już potrąciłem. Jak wspomniałem, mniej dziś w życiu przeciętnego Amerykanina dramatycznej walki z przeciwnościami, a więcej unormowanej, systematycznej pracy, niż dawniej. Patrzyłem w zakładach Forda na szereg wysoko wykwalifikowanych mechaników, przed którymi na pasach, jedno za drugiem przesuwają się powstające w oczach auta. Do każdego takiego powstającego auta każdy z nich dodaje jakąś drobną część składową: kilka małych precyzyjnych ruchów, stanowiących jego osobisty udział w budowie samochodu, powtarza setki i tysiące razy w ciągu długich ośmiu godzin pracy. Wydało mi się wówczas, że monotonja tej roboty musi być zabójczą i skupienie uwagi bez urozmaicenia musi nerwowo wyczerpywać do ostateczności. Nie dziwiłem się, słuchając opowiadań, jak robotnicy fabryk Forda, wróciwszy do domu, leżą obojętni na wszystko i długo zasnąć nie mogą, i że 20 lat stanowi najdłuższy możliwy okres ich zdolności do pracy. Dopiero później miałem się dowiedzieć — ze wspomnianej już książki francuskiego robotnika Dubreuil'a, który sam u Forda pracował — że robotnik sam tej monotonji tak dotkliwie nie odczuwa jak obserwator, i że są w organizacji przemysłu amerykańskiego czynniki, budzące w robotniku zainteresowanie i twórczą ambicję. Będę o tych czynnikach jeszcze w innem miejscu mówił. Wierzę, że mogą

korzystnie oddziaływać w dziedzinie pracy maszynowej w fabryce. Nie mają jednak zastosowania w pracy biurowej w przedsiębiorstwach. Ta praca przybrała dziś charakter podobnie zmechanizowany i jednostajny, jak praca ręczna przy maszynie, a przytem niczem nie złagodzony i nie ożywiony. W biurach i kantorach amerykańskich nie pije się w ciągu urzędowania herbaty, nie pali papierosów, nie czyści paznokci, nie czyta gazet, nie prowadzi rozmów o sprawach osobistych, jak w niektórych znanych nam wszystkim biurach europejskich. Ale też wysoce wyspecjalizowana i bezustanna praca w ciasnym zakresie staje się tak monotonną, że już nietylko nerwowo nuży, lecz także przygnębia. Uświadomiłem to sobie, gdy raz spędzałem wieczór w gościnnym polskim domu chicagoskim, w gronie młodzieży polsko-amerykańskiej, która dla utrzymania musi pracować w bankach i innych instytucjach. U nas przecież też wielu akademików pracuje na życie; ale gdyby się takie grono kilkudziesięciu młodych osób obojga płci znalazło wieczorem razem, przewróciliby dom do góry nogami. W Chicago nastrój był wybitnie ospały i, rzekłbym, niemrawy, i tylko werwa i temperament jednej naszej warszawskiej studentki, uczestniczącej w zebraniu, rozruszała całe towarzystwo. Jedna z młodych Polek-Amerykanek, widząc moje zdziwienie, powiedziała do mnie: „Cóż pan chce, oni wszyscy cały dzień tak ciężko i monotonnie pracują, że ich to przytępia".

Rzeczywiście, zdaje się zachodzić niebezpieczeństwo, że pod wpływem równomiernego a szybkiego postępu dobrobytu i warunkującej go jednostajnej a intensywnej pracy dokona się niekorzystna przemiana w amerykańskim charakterze narodowym. Amerykanie dawniej różnili się od Anglików głównie żywością swojego usposobienia; dziś

grozi zatrata tej żywości, i to może nietylko pod wpływem monotonji pracy, ale także pod działaniem tej wygody, którą otaczają Amerykanina maszyny, ułatwiając mu każdy szczegół codziennego życia. Już sam fakt, że dziś nigdzie prawie się nie chodzi, tylko wszędzie jeździ autem, zwalnia stale tempo krwi w żyłach; a nawet gra w golfa, w której *business man* średnich lat przeważnie szuka ratunku, nieuchronnie przeradza się w nudną rutynę.

Ale taksamo jak poprzednio, mówiąc o pewnych wątpliwych cechach dobrobytu amerykańskiego, zaznaczyć zarazem musiałem, że są rękojmie trwałości i dalszego rozwoju tego dobrobytu, tak i tutaj podnieść wypada, że niebezpieczeństwu zatopienia amerykańskiej radości życia w monotonji pracy i nudzie dostatku przeciwdziałają, na szczęście, pewne zbawcze czynniki odradzające. Szczęściu Amerykanów do doskonałości brakuje — jeżeli wolno się tak paradoksalnie wyrazić — szczypty nieszczęścia: tak samo jak światło wtedy ma pełny urok, gdy jest obok niego cień, i północne nieba ze swą grą chmur (jak nas pouczył Mickiewicz) są milsze oku od jednostajnie wyiskrzonych pogodą południowych. Amerykanom — powtarzam — do zupełnego szczęścia brak dziś trochę nieszczęścia. Otóż nieszczęścia na zamówienie mieć nie można, i nikt z pewnością im nie życzy, by bez zamówienia u nich zawitało. Ale już jest w ich życiu jeden surogat nieszczęścia, który działa jako twórczy ferment. Społeczeństwo amerykańskie mianowicie jest dzisiaj dosyć bogate, by sobie pozwolić na luksus różnych, nie związanych ściśle z produkcją gospodarczą zainteresowań umysłowych, — i mogło sobie pozwolić na luksus duchowy tak bardzo mu dotąd obcy (a u nas biedaków tak nadmiernie praktykowany), jakim jest niezadowolenie. Duch niezadowolenia z obowiązujących

dziś zasad i poglądów, pragnienie nowych ideałów i innych celów w życiu, trawi dziś znaczny odłam młodzieży amerykańskiej i znajduje wyraz w literaturze, nadewszystko w powieści. Wypowiada się tam przeważnie w formie gryzącej satyry i skrajnego pesymizmu, który opinja ogółu amerykańskiego z oburzeniem potępia, a Europa ze zdziwieniem obserwuje. Ale obok takich często negatywnych, acz wysoce znamiennych symptomów nie brak i czynników pozytywnych: dokonywa się istotnie wielkie przewartościowanie wszystkich uznanych wartości, wysuwają się na poważne miejsca w skali ocen te walory duchowe, — intelektualne, artystyczne, historyczne, — których zwykły Amerykanin dawniej prawie nie dostrzegał. W tym „boskim niepokoju“ młodego pokolenia tkwi według mojego przekonania zadatek wielkiego renesansu twórczych sił duchowych i szczęsnego życiowego ognia w społeczeństwie amerykańskiem dnia jutrzejszego.

## VI.

# POLITYKA.

Wjeżdżającemu do portu nowojorskiego Europejczykowi olbrzymi posąg Wolności z podniesioną pochodnią w dłoni zwiastuje, że wjechał do kraju idealnej demokracji i najdoskonalszych swobód obywatelskich. O tem zapewniają go też wciąż na nowo sami Amerykanie, od dzieciństwa karmieni i pojeni bałwochwalstwem swej konstytucji (której się uczą w szkole napamięć), i niezachwianie także w późniejszym wieku naogół przekonani o znakomitości swych urządzeń państwowych. Nigdzie może na świecie patrjotyzm państwowy nie jest tak ostentacyjny w swych objawach, jak w Stanach Zjednoczonych. Rzecby można, że udzieliło mu się coś z ducha reklamy amerykańskiej. Nigdzie flaga państwowa nie jest symbolem tak wszechobecnym jak w Ameryce. Od wejścia do szkoły czy urzędu, aż do biurka, już nietylko sędziego czy burmistrza, ale każdego mizernego szefa jakiegoś wydziału, a nawet aż do stołu biesiadnego mnogich perjodycznych bankietów przeróżnych organizacyj — bandera gwiaździsta powiewa powszechnie. Nigdy ona przytem obywatelowi amerykańskiemu nie powszednieje: zagranicą lubi ją nosić w emaljowanej postaci w butonierce, a w kraju każde jej pojawienie się wprawia go w taki zachwyt, jak Anglika wizerunek króla lub księcia Walji. Stojąc i z twarzą ku chorągwi obróconą, śpiewa się na tygodniowem śniadaniu klubowem *America* (jeden z trzech

czy czterech hymnów państwowych, używanych w Stanach Zjednoczonych), a w kinematografie każde pojawienie się flagi na ekranie, w jakimkolwiek związku i w jakiejkolwiek funkcji, niechybnie wita żywiołowa burza oklasków. Patrjotyzm ogólno-związkowy, przejawiający się w tem nabożeństwie dla wspólnej flagi, daleko jest silniejszy od patrjotyzmu regjonalno-stanowego, który naogół bezskutecznie usiłuje się przez tworzenie różnych symbolów podniecać[1]). Z manifestacjami patrjotyzmu ogólno-związkowego jedynie chyba objawy patrjotyzmu gminnego po miastach mogą iść w porównanie co do siły uczuciowej. Przywiązanie do miasta, w którem się mieszka, i ambicja co do jego rozwoju są, jak już wspomniałem, bardzo silnemi czynnikami twórczemi w rozbudowie nowoczesnej Ameryki. Ale nad wszystkiem góruje patrjotyzm ogólno-związkowy czyli „federalny". *The Land of Liberty* („kraina wolności") jest utartą formułą poetycką, a *God's own country* („kraj samego Pana Boga"), mimo swej śmieszności, często powtarzanem określeniem. Nie bez wzruszenia czytamy końcowe słowa autobiografji Henryka Morgenthau'a, w których ten żyd niemiecki z pochodzenia — pierwszy amerykański żyd-ambasador — z uniesieniem oświadcza, że gdyby się go spytano, czem jest, zawsze przedewszystkiem odpowie: „Jestem Amerykaninem!"

Ten patrjotyzm państwowy u jednostek pochodzenia obcego niewątpliwie często wykwitał na gruncie kontrastu między upośledzeniem politycznem i społecznem w dawnej ojczyźnie a pełnią możliwości osobistych i swobód obywa-

---

[1]) Nigdy nie zapomnę, jak słuchając w Baltimore przez radjo hymnu stanu Maryland (każdy stan Unji ma swój hymn), przekonałem się, że śpiewa się na nutę znanej niemieckiej piosenki dziecinnej: *„O Tannenbaum, o Tannenbaum, wie treu sind deine Blätter!"*

telskich, jakiej zaznały dopiero w Ameryce. U rodowitych zaś Amerykanów równie niewątpliwie raptowne postępy powszechnego dobrobytu materjalnego do spotęgowania tych uczuć się przyczyniły. Ale przybywający dziś do Ameryki Europejczyk, znękany zarówno ogólno-europejską biedą powojenną, jak i powszechnem już i niezaprzeczonem w całym Starym Świecie przesileniem państwowości demokratycznej, pragnąłby gorąco naprawdę widzieć w Ameryce ten idealny stan rzeczy, którego mu w domu brak; pragnąłby uwierzyć, że zachwytom patrjotów amerykańskich ściśle odpowiadają objektywne fakta; pragnąłby powrócić z przekonaniem, że do zbawienia Europy wiedzie prosta droga naśladowania instytucyj amerykańskich, jak się to dziś często w Europie głosi. Z myślą o przedstawieniu Europie wzorów politycznych do naśladowania pisali wszakże jeszcze w XIX wieku Francuz de Tocqueville i Anglik James Bryce (choć ten już krytyczniej) o demokracji amerykańskiej.

Otóż czy ta demokracja, tak jak się dziś przedstawia, istotnie różni się zasadniczo, i różni się na korzyść, od schorzałych demokracyj europejskich, i czy urządzenia państwowe, w jakie się w Ameryce zasada demokratyczna przyoblekła, nadają się do naśladowania z pożytkiem w warunkach europejskich?

Że się w Ameryce znajduje w kraju demokratyzmu bardziej gruntownego i bardziej powszechnego, niż gdziekolwiek w Europie, to każdy Europejczyk instynktownie wyczuwa od pierwszego zetknięcia ze społeczeństwem amerykańskiem, i to na różnych drobnych przykładach z życia codziennego już w niniejszych impresjach wykazałem. Ale starając się zdefinjować sobie zasadniczo ten demokratyzm życia amerykańskiego, wikłamy się w sprzeczności, a raczej przechodzimy przez sprzeczne między sobą fazy. Chodzi

o dwa biegunowo między sobą przeciwne postulaty myśli demokratycznej, stanowiące wieczną w jej łonie antynomję — mianowicie o wolność jednostki z jednej, a władzę ogółu z drugiej strony. Przyjeżdżamy z Europy, przesyconej objawami etatyzmu, czyli, powiedzmy bez ogródek, socjalizmu państwowego. Trwają one tam we wszystkich państwach już od lat kilkudziesięciu, przyśpieszyła je raptownie wojna, i okazują się coraz wyraźniej — by się łagodnie wyrazić — rzeczą ekonomicznie nader kosztowną. Pod tem wrażeniem wiele wybranych umysłów dzisiejszej inteligencji europejskiej wzdycha do nawrotu ku stłumionym i jakoby zupełnie zamierającym hasłom klasycznego liberalizmu ekonomicznego i politycznego z pierwszej połowy XIX wieku. I wydaje się w pierwszej chwili takiemu Europejczykowi, gdy stanął na ziemi amerykańskiej, że oto znalazł kraj, w którym dawny program *laissez faire, laissez aller* ma jeszcze pełną żywotność. Gdy przemysł i wogóle kapitał europejski jęczą w pętach ciężkich ustawowych świadczeń społecznych, krępujących wszelką przedsiębiorczość, w Ameryce panuje niepojęta wprost dla nas swoboda od wszelkich takich świadczeń: kapitał może być zużywany w całej pełni na cele produkcyjne, a robotnikowi dobrowolne inwestycje filantropijne fabrykanta niejednokrotnie daleko więcej korzyści przynoszą, niżby mu przynosiły różne państwowe formy opieki społecznej na sposób europejski. Niemały też moralny pożytek przynosi amerykańskiemu robotnikowi fakt, że sprawa zabezpieczenia przyszłości własnej i rodziny pozostawiona jest jego własnemu przemysłowi; płatny dobrze, swobodnie rozporządzający swym zarobkiem i wolny od kontroli organów opiekuńczych społeczeństwa, ma z pewnością naogół więcej w sobie poczucia godności i odpowiedzialności, niż przeciętny proletarjusz europejski.

Przy zupełnej swobodzie stanowiska społecznego i nieograniczonym zakresie możliwości, otwierających się przed każdą jednostką, niema też miejsca na pretensje czyto do państwa, czy do pracodawcy, niema ani zasadniczej opozycji politycznej ani zasadniczego antagonizmu klasowego. W fabrykach i wszelkich innych instytucjach zbiorowej pracy w Ameryce panuje przy bezwzględnej dyscyplinie zarazem zdumiewający dla Europejczyka ton poufałości i kamaraderji między podwładnymi a zwierzchnikami. Ta poufałość i kamaraderja przenika całe życie tego demokratycznego społeczeństwa, i o ile stanowiła wielki urok tego życia dla emigrantów z warstw społecznie upośledzonych w Europie, o tyle dla inteligenta europejskiego, przyzwyczajonego do hierarchicznych form etykietalnych, często staje się przykrą i wydaje mu się jakimś bolszewizmem towarzyskim.

W każdym razie jednak pierwsze wrażenie zgadza się bezwarunkowo z definicją Ameryki jako „kraju wolności". Zdaje się nam, jak już zaznaczyłem, że tam za oceanem idea demokracji liberalnej, wyhodowana w Europie od rewolucji francuskiej a dziś tam ostatecznie zdetronizowana, znalazła przytułek i doczekała się wprost idealnego urzeczywistnienia. Skłonni jesteśmy snuć smętne porównania między niewolą i ciasnotą zbiurokratyzowanego życia europejskiego w naszej etatystycznej erze a swobodnym i potężnym rozwojem tego młodego społeczeństwa za oceanem. I uświadamiamy sobie z melancholją, że ta niewola narodów europejskich w pętach etatyzmu jest czemś nieodwracalnem, że wskutek naszej biedy swoboda gospodarcza i społeczna życia amerykańskiego jest u nas nie do zrealizowania.

Ale to wrażenie, nawskróś korzystne dla Ameryki a nawskróś niekorzystne dla Europy, ulega przy bliższej

znajomości ze stosunkami amerykańskiemi znacznej modyfikacji. Wszedłszy nieco w życie amerykańskie, przekonywa się rychło, jak silnie ono na każdym kroku jest związane przez ujednostajnienie i zniwelowanie warunków bytu w uprzemysłowionem społeczeństwie, a co za tem idzie, ujednostajnienie obowiązujących poglądów. Postępująca standardyzacja życia materjalnego pociągnęła za sobą, jak już w innym związku miałem sposobność zaznaczyć, także standardyzację typu człowieka i typu myśli. Ogromne masy, wyniesione szybko ze stanu nędzy na jednakowy poziom względnego dostatku, musiały otrzymać w stanie gotowym nietylko pewien kodeks prostych i przystępnych dla nich form życia, ale także analogiczny kodeks prostych i niezmiennych zasad i zapatrywań do stałego użytku. Podstawą tej ideologji, obliczonej na masową konsumpcję, stał się oczywiście sam fakt ogólnego dobrobytu. I stąd okoliczność, że przeciętny Amerykanin, po pierwsze, wyznaje żywiołowy i niesubtelny optymizm w odniesieniu do wszelkich zagadnień, a powtóre, skłonny jest o wszystkiem myśleć w kategorjach raczej ilościowych niż jakościowych. Gdy poznamy to stałe i codzienne oblicze duchowe życia amerykańskiego, wtedy dopiero w całej pełni zdajemy sobie sprawę z tego, że Europa, mimo całej szablonowości rozpanoszonego w niej etatyzmu, jednak wskutek nierównego stopnia uprzemysłowienia i wynikającej stąd nierówności materjalnych warunków życia, dalej wskutek swej różnorodności państwowo-politycznej i językowo-kulturalnej, wreszcie — co może najważniejsza — wskutek tkwiącego nawet w dzisiejszej demokracji dziedzictwa bogatej i wyrafinowanej arystokratycznej kultury, pozostaje i dziś jeszcze ostoją indywidualizmu zarówno plemiennego, jak osobistego, i w porównaniu z Ameryką jest właściwą ojczyzną roz-

maitości i barwy, a więc swobody i pełni w objawach życia. Z postępami demokratyzacji, w szczególności z raptownem od czasu wojny wszędzie w Europie podniesieniem przeciętnego poziomu oświaty i materjalnego dobrobytu szerokich mas niewątpliwie nadchodzi i dla naszego kontynentu era standardyzacji zarówno form życia, jak i psychiki, i będzie to ponoć standardyzacja w znacznej mierze według wzorów amerykańskich. Narazie jednak jeszcze stan rzeczy jest taki, że Europa pozostaje kontynentem bardziej bujnego i zróżniczkowanego, a więc w najistotniejszem znaczeniu słowa bardziej wolnego życia, niż Ameryka. Europejczyk jeszcze zdolny jest myśleć na zasadzie naturalnych i pożądanych indywidualnych różnic w zdaniach i poglądach; Amerykanin, sam czujący się stale jednakową w swej istocie z innemi cząstką wielkiej, jednolitej demokratycznej masy, myśli przedewszystkiem w kategorjach zbiorowości i zbiorowego wysiłku; on, co nie zna socjalizmu państwowego, jest więcej kolektywistą niż Europejczyk. Ma ta umysłowość swe wielkie zalety: panuje w niej nastawienie na kooperację i zdrowy solidaryzm społeczny; niema jadu zawiści grupowych; ale człowieka o przyzwyczajeniach europejskich musi w niej razić brak tego indywidualnego instynktu wolnościowego, który przez dziejowe doświadczenie nauczyliśmy się uważać za czynnik najbardziej twórczy wśród ludzkości.

Porzućmy jednak te socjologiczne rozmyślania, których konkluzje przecież zawsze muszą być subjektywne i sporne. Mógłby mi przecież snadnie ktoś zarzucić, że w Ameryce, przy ekstrawagancjach jej miljonerów, przy dziwactwach jej sekt, przy fantastycznych pomysłach jej reklamy, przy obfitości coraz nowych wynalazków mechanicznych, dość chyba jest rozmaitości i swobody ekspresji nawet dla naj-

bardziej nienasyconego miłośnika barw i bogactw życia. Zwróćmy się więc raczej ku konkretnym problemom urządzeń państwowych i zapytajmy, jaki w tej dziedzinie jest stosunek panujących pojęć do rzeczywistości.

W Europie, stęsknionej za idealnemi wzorami naprawy dla swych konstytucyj, przyjętą dziś jest rzeczą uważać za taki wzór przedewszystkiem Amerykę. Utarło się przekonanie, że Stany Zjednoczone są krajem tak bezwzględnego i ugruntowanego panowania opinji publicznej, jak żaden inny na świecie, że przewyższają w tym względzie nawet starą Anglję, ojczyznę parlamentaryzmu. Do utrwalenia tego poglądu w umysłach europejskich niewątpliwie przyczynił się wpływ emigracji. Emigrant z Europy w drugiej połowie XIX wieku, przeważnie pochodzący z warstw jeszcze wówczas nie posiadających pełni praw politycznych, w Ameryce uszczęśliwiony był prawem głosowania do przedstawicielstw ustawodawczych gminnych, stanowych, związkowych, i z entuzjazmem głosił, że Ameryka jest idealną demokracją. Dziś, gdy zakres uprawnień politycznych ogółu już i w Europie wszędzie (poza Rosją) stał się równie szeroki, łatwiej możemy dostrzec pewne specyficzne właściwości, które rozwinęły się w amerykańskim ustroju politycznym, głównie pod wpływem raptownego postępu gospodarczego. Otóż Amerykanin rzeczywiście dawniej od wielu narodów europejskich posiada mnóstwo różnych praw obywatelskich; ale jest od kilkudziesięciu lat tak pochłonięty sprawami gospodarczemi, że nie ma przeważnie czasu ani swobody myśli na korzystanie z tych praw. Gdy w Europie rozpowszechniona we wszystkich krajach obojętność żywiołów najinteligentniejszych wobec polityki jest wynikiem rozczarowania i odrazy wobec demagogji i korupcji politycznej, to w Ameryce poprostu

przeciętny *business man* jest całkowicie zajęty czem innem. W obu wypadkach skutek jest ten sam: otwiera się szerokie pole do działania temu niesympatycznemu naogół typowi, jakim jest zawodowy działacz polityczny. Tylko, że w Ameryce przy skomercjalizowaniu całego myślenia narodowego przez rozwój przemysłowy także działalność polityczna stała się w ściślejszem słowa znaczeniu „businessem", niż w Europie. Nie mówiąc już o niezmiernie rozpowszechnionych praktykach prowizyjnych, łapowniczych lub zgoła defraudacyjnych (co wszystko razem pokrywa magiczne słowo *graft)* przy wszelkich kontraktach i robotach publicznych rządowych i samorządowych, trzeba wspomnieć także i o tem, że „całkiem uczciwe" wzbogacenie się w swoim zawodzie przez wyzyskiwanie wpływów i koneksyj politycznych jest na porządku dziennym. Rozciągnięcie ultra-demokratycznej zasady wybieralności na wszystkie odpowiedzialne stanowiska urzędowe, od administracyjnych do sądowych, w praktyce przerodziło się w osławiony „system łupów" *(spoils system):* posady rządowe są systematycznie na nowo obsadzane przy zmianie partji rządzącej i stają się tłustemi nagrodami dla gorliwych agitatorów partyjnych, bez względu na ich sprawność administracyjną, a nawet na elementarne kwalifikacje do danego rodzaju służby. Niestałość w obsadzie wyższych urzędów jest złem przyjętem, a urzędnik staranniej dba o reklamowe efekty swej roboty i popularność u partji, niż o ciągłość i skuteczność w działaniu maszynerji państwowej. Jeżeli to nie odbija się tak bardzo niekorzystnie na funkcjonowaniu amerykańskiego aparatu administracyjnego, jakby można przypuszczać, to dlatego, że Stany Zjednoczone są społeczeństwem o tyle mniej zbiurokratyzowanem od organizmów państwowych europejskich, i zakres działania wszelkich

władz administracyjnych jest tam znacznie węższy; powtóre, że urzędnik, choć często nie przynosi na stanowisko wykształcenia fachowego, przynosi jednak wrodzoną amerykańską obrotność, tradycyjne przyzwyczajenie do zmiany zawodów, a niejednokrotnie ponadto jeszcze spory zasób rutyny administracyjnej lub nawet doświadczenia organizatorskiego z jakiegoś „businessu“, i stąd łatwo się orjentuje na nowem polu pracy, a nieraz wprowadza nawet pożądane i ożywcze innowacje.

Ale — powie ktoś — jakżeż mogą nie działać rujnująco na bieg spraw państwowych liczne i ogromne nadużycia pieniężne, o których się tyle słyszy, i które pod utartą nazwą *graft* uchodzą w oczach Amerykanina samego za nieodzowny niemal akompanjament wszelkiej pracy publicznej? Muszę uczynić zastrzeżenie, że w specjalne dochodzenia nad przekupstwem i złodziejstwem urzędowem w Ameryce nie wchodziłem, a zatem i stwierdzić nie zdołałem, czy Ameryka jest rzeczywiście drugim na świecie klasycznym krajem tego rodzaju objawów obok Rosji, jakby to z informacyj, udzielanych mi przez samych Amerykanów, zdawało się wynikać. Jestem raczej skłonny przypuszczać, że głośne skandale tego typu, wciąż wypełniające kolumny gazet, przy zwykłym sensacyjnym sposobie pisania dziennikarzy amerykańskich nabierają dla obserwatora proporcyj nadmiernych, i w rzeczywistości tak wielkiego znaczenia w całokształcie życia amerykańskiego nie mają. W każdym razie rozmiary ich są pokaźne, i rozmach, jak we wszystkiem w Ameryce, wielki, więc względną ich nieszkodliwość można uważać za chlubne świadectwo dla bogactwa i żywotności organizmu gospodarczego, co takie upusty krwi spokojnie znieść potrafi.

Mówiłem o zaabsorbowaniu ogółu społeczeństwa przez

interesy gospodarcze jako o przyczynie politycznej bezczynności i obojętności szeregowego obywatela amerykańskiego. Teraz pora wspomnieć jeszcze o innym fakcie, który nadał demokracji amerykańskiej pewne szczególne piętno. Szybkie uzyskanie praw politycznych przez szerokie masy miało bardzo daleko idące następstwa głównie dlatego, że chodziło w znacznej mierze o masy emigranckie z Europy, nietylko pozbawione ogólnej kultury politycznej, ale także zupełnie nieobznajomione ze stosunkami amerykańskiemi a nawet z językiem krajowym. Te masy musiały się oczywiście stać szczególnie podatnym materjałem dla wszelkiej demagogji, a także dla ryczałtowego przekupstwa, które i dziś wśród nich grasuje. Osobliwie umiejętnie wyzyskali tę sytuację przedsiębiorczy awanturnicy polityczni z pośród ruchliwego i pełnego temperamentu żywiołu irlandzkiego, i od Irlandczyków też dziś wśród zawodowych polityków amerykańskich najgęściej się roi. Najcharakterystyczniejszym zaś przykładem mas, któremi politycy się w ten sposób posługują, są może dziś murzyni. Nie korzystają oni ze swych praw politycznych zupełnie na południu, w dawnej ojczyźnie plantatorstwa, gdzie i teraz mowy być nie może o dopuszczeniu wolnego obywatela murzyńskiego do urny wyborczej. Natomiast głosują murzyni w tych miastach północnych, gdzie w nowszych czasach masowo wtargnęli do pewnych dzielnic: ale tu są biernym materjałem wyborczym dla politycznych zawodowców i najpowszechniej ulegają przekupstwu.

Patrząc na te stosunki wśród szerokiej masy politycznie uprawnionych obywateli Stanów Zjednoczonych, można zrozumieć żartobliwe słowa, które raz do mnie wyrzekł pewien poważny Amerykanin: „Nasza pomyślność gospodarcza jest tak wielka, że dzieje się nam dobrze i idziemy

ciągle naprzód — mimo naszych demokratycznych instytucyj!"

Drogę do naprawy moralności politycznej widzę w Ameryce, jak w Europie, przedewszystkiem w stałych postępach oświaty wśród szerokich warstw narodu. Ponadto zaś specjalnie w Ameryce widzę ją jeszcze w jednym czynniku — mianowicie w udziale kobiet w życiu politycznem. Może to twierdzenie wyda się paradoksalnem (nawet samym kobietom), i może istotnie się mylę, ale sytuacja przedstawia mi się tak. Jak już zaznaczyłem, przeciętny obywatel amerykański, obdarzony prawem głosowania do całego mnóstwa ciał, w gorączce życia zawodowego nie ma czasu ani głowy na wykonywanie swych praw. Otóż czasu na rozmyślania, dyskusje i funkcje obywatelskie ma coraz więcej kobieta amerykańska, w miarę, jak wzrastający dobrobyt uwalnia żony i matki od konieczności pracy zarobkowej poza domem, a w domu maszyny sprawiają jej ulgę w prowadzeniu gospodarstwa. Gdy mężowie siedzą przez cały dzień po biurach i kantorach śródmieścia i jedzą w południe dorywcze śniadania po klubach i restauracjach, panie gromadzą się często w porze południowej za stołem w klubach kobiecych, by słuchać odczytów i prowadzić dyskusje. To też spotyka się u nich nieraz więcej zrozumienia dla zagadnień ogólnych i zastanowienia nad niemi, niż u mężczyzn. Mogę to stwierdzić, bo sam niejednokrotnie w amerykańskich klubach kobiecych na takich południowych zebraniach przemawiałem. Dodajmy jeszcze, że dzięki wzrostowi dobrobytu czynnik interesu materjalnego w działalności politycznej dla kobiet przeważnie w rachubę wchodzić nie potrzebuje; że, dalej, dziś w Ameryce w bardzo wielu szkołach średnich dorastającą młodzież męską kształcą kobiety, — a zdamy sobie chyba należycie sprawę z tego,

jak doniosłą rolę w życiu publicznem Stanów Zjednoczonych w najbliższym czasie kobiety odegrać mogą. Wbrew przewidywaniom wielu innych sądzę, że ta rola, w porównaniu z dotychczasowym stanem rzeczy, będzie prawdopodobnie raczej dodatnią.

Przyznając niedomagania demokratycznego organizmu społecznego amerykańskiego, bezsprzecznie pokrewne europejskim, Europejczyk jednak zazwyczaj trwa w przekonaniu o doskonałości ustroju politycznego Stanów Zjednoczonych i opiera to przekonanie na istnieniu pewnych potężnych czynników, które zabezpieczają ten ustrój przeciwko błędom ustawodawstwa demokratycznego i wnoszą stałą możność poprawek w system parlamentarny. Temi czynnikami są Najwyższy Trybunał Stanów Zjednoczonych i prezydent. Trybunał posiada prerogatywę orzekania o konstytucyjności lub niekonstytucyjności każdej ustawy parlamentarnej i wskutek tego stanowi istotnie bardzo silną przegrodę przeciwko wprowadzaniu w życie ustaw gospodarczo lekkomyślnych, społecznie przewrotowych, prawniczo niedorzecznych lub moralnie szkodliwych. Istnienie tej barjery jest rzeczywiście równie zbawienne dla życia politycznego, jak wspomniane już działanie *Federal Reserve Board* w życiu gospodarczem. To też trybunał konstytucyjny amerykański chyba każdy bezstronny obserwator musi uznać za instytucję godną uwagi i naśladowania. W tym względzie zresztą różnicy zdań ponoć niema, i prawdziwie silne i poważne trybunały konstytucyjne wszędzie dziś w opinji publicznej europejskiej uchodzą za pierwszorzędny postulat w dziele naprawy ustrojów politycznych.

Ale *de facto* o tym postulacie w rozlegających się dziś w każdem prawie państwie europejskiem dyskusjach nad

reformą konstytucji stosunkowo mało się słyszy, poza kołami prawniczemi. Natomiast więcej jest mowy o innym wzorze amerykańskim, mianowicie o władzy prezydenckiej. Wszystkim nowym powojennym republikom europejskim ich publicyści bezustannie jako przykład do naśladowania zalecają tego prezydenta amerykańskiego, przed którym wyłącznie odpowiedzialni są ministrowie, i który ma bardzo realne prawo zakładania *veto* przeciwko każdej ustawie, uchwalonej przez parlament. Tu istotnie mamy do czynienia z drugim obok trybunału i również bardzo ważnym czynnikiem bezpieczeństwa i stateczności w demokratycznym organizmie państwowym. W tym wypadku jednak wartość wzoru dla ustrojów europejskich ograniczona jest przez trzy zastrzeżenia, które musi uczynić każdy, kto nieco poznał stosunki amerykańskie.

Przedewszystkiem gorliwi wielbiciele europejscy nie powinni zapominać o tem, że wielkie uprawnienia prezydenta Stanów Zjednoczonych leżą całkowicie w dziedzinie rządów nad całą Unją, a poza tą dziedziną znajduje się rozległa dziedzina samorządu każdego zosobna stanu; na tę dziedzinę prezydent żadnego prawnego wpływu niema, a samorząd stanowy jest daleko szerszy w swym zakresie, niż samorząd prowincjonalny gdziekolwiek w Europie. Sam europejski termin „samorząd stanów“ jest tu właściwie nie na miejscu: Stany Zjednoczone mimo silnego w ostatnich dziesięcioleciach zespolenia i ujednostajnienia państwowego pozostają konstytucyjnie i prawnie federacją czterdziestu ośmiu samodzielnych jednostek państwowych. W umyśle twórców ich ustroju pierwotną i podstawową rzeczą była — i w teorji prawno-państwowej pozostaje — suwerenna władza państwowa każdego stanu na swojem terytorjum, a wszelka władza federalna — a więc i władza prezy-

dencka — jest tylko częścią władzy stanowej, dobrowolnie przez stany oddaną centralnym czynnikom państwowym. A więc stosunek władzy centralnej do lokalnej jest zasadniczo przeciwny temu, jaki w mamy Europie. Każdy stan ma swoje dwuizbowe ciało ustawodawcze, i jego kompetencji na terenie stanu władza prezydencka bynajmniej na przegrodzie nie stoi. Dopiero w niedawnych stosunkowo czasach zespół gubernatorów wszystkich stanów — zwany „Izbą Gubernatorów" *(House of Governors)* — wyrobił sobie drogą praktyki pewną siłę prawną, ograniczającą nieco samodzielność polityki stanowej.

Drugie ważne zastrzeżenie, które co do władzy prezydenckiej uczynić trzeba, dotyczy stosunku prezydenta do centralnych ciał ustawodawczych. Przedewszystkiem samo prawo zakładania *veto* przeciwko uchwalonym ustawom — prawo wykonywane zresztą przez prezydentów amerykańskich dość często, nawet w dzisiejszych czasach! — ma moc jedynie dylatoryczną, i ustawa wniesiona ponownie, o ile uzyska w kongresie większość ²/₃ głosów — staje się prawomocną, wbrew oporowi prezydenta. W konfliktach moralnych z kongresem prezydenci niejednokrotnie ulegali: tak uległ po wojnie domowej Andrew Johnson, który, wbrew panującym w opinji prądom, usiłował prowadzić politykę pojednawczą wobec pobitych stanów południowych, i zato był nawet postawiony w stan oskarżenia; tak uległ w okresie wojny światowej Wilson, którego idealistyczny aktywizm w sprawach europejskich nie spotkał się z uznaniem w ojczyźnie. Senat odmówił ratyfikacji zawartych przez niego traktatów pokojowych.

Tu dochodzimy do innego, niezmiernie doniosłego szczegółu prawno-konstytucyjnego, podpadającego pod ten sam punkt, który właśnie omawiamy. Oto twórcy kon-

stytucji Stanów Zjednoczonych opanowani byli w zupełności przez górującą nad całem myśleniem politycznem XVIII wieku ideę podziału władzy państwowej na trzy całkowicie niezależne od siebie dziedziny: sądową, wykonawczą i ustawodawczą. Stąd owa wielka powaga, którą, jak już wspomniałem, nadali trybunałowi konstytucyjnemu; stąd także fakt, że choć prezydentowi, jako szefowi władzy wykonawczej, zupełnie podporządkowali ministrów jako nieparlamentarnych naczelnych urzędników administracyjnych, to z drugiej strony równie starannie odgrodzili prezydenta od wszelkiej bezpośredniej inicjatywy ustawodawczej. Prezydent nie ma prawa wnoszenia do Izb żadnych wniosków ustawodawczych[1]). Prezydent wystosowuje wprawdzie do kongresu swoje „posłania" na sposób mów tronowych monarchy konstytucyjnego, ale sam się przed kongresem nie jawi. Zasadę tę naruszyli i do kongresu osobiście przemówili tylko dwaj prezydenci w przełomowych dla Ameryki chwilach: pierwszym z nich był Washington, a drugim Wilson.

Ale pod jednym i bardzo istotnym względem już sami twórcy konstytucji wykroczyli świadomie przeciw zasadzie ścisłego rozdziału władzy wykonawczej od ustawodawczej. Oto dla stworzenia przeciwwagi demokratycznej przeciw ewentualnej samowoli prezydenta wyposażyli Izbę wyższą parlamentu czyli kongresu — mianowicie senat Stanów Zjednoczonych — w kompetencje, wychodzące daleko poza funkcję ustawodawczą. Senat a nie prezydent ma ostateczne prawo decyzji co do wojny i pokoju, ratyfikacji senatu podlegają wszelkie traktaty, senat ma co najmniej

[1]) Prawda, że przez wyrobiony w ciągu XIX wieku drogą prawa zwyczajowego przywilej mianowania przewodniczących głównych komisyj parlamentarnych prezydent ma wpływ bardzo doniosły na samą genezę ustaw, ale jest to wpływ pośredni, a nie uprawnienie ustawodawcze.

równy z prezydentem wpływ na mianowanie ministrów, senat wreszcie może pociągnąć do odpowiedzialności konstytucyjnej samego prezydenta. Na podstawie tak szerokich uprawnień senat istotnie zyskał wielki autorytet nietylko w życiu państwowem Ameryki samej, ale także w oczach Europy. Jeżeli — w przeciwieństwie do stosunków europejskich — rzadko kiedy słyszy się coś poza Ameryką o poczynaniach tego lub owego członka gabinetu Stanów Zjednoczonych, to głośne zato w opinji europejskiej bywają echa wystąpień różnych wybitniejszych senatorów: znane nam z prasy europejskiej nazwiska, jak La Follette, Lodge, lub Borah, starczą za przykłady z lat ostatnich.

Strzeżmy się jednak i tutaj znowu pewnych tęsknych złudzeń powojennej Europy. Zniechęcona do swych notorycznie nieudolnych parlamentów, przeświadczona o niedorzeczności tych swoich ultra-demokratycznych ustrojów, w których Izba wyższa jest tylko powtórzeniem — właściwie bezcelowem! — Izby niższej, Europa dziś spragniona jest, jeżeli nie przebudowy całego parlamentu na innej podstawie, niż dotychczasowa demokratyczna — a więc np. na podstawie syndykalistycznej, jak we Włoszech, — to w każdym razie przebudowy przynajmniej samej Izby wyższej w taki sposób, by w niej przewagę miało rozumowanie w innych kategorjach, niż kategorje partyjno-polityczne. Oparcie przynajmniej Izby wyższej o reprezentację zrzeszeń zawodowych, a nie o głosowanie powszechne, wydaje się wielu poważnym myślicielom politycznym gwarancją, że ta Izba będzie miała na oku interesy ekonomiczne, lekceważone przez Izbę niższą w jej demokratycznym ferworze. Otóż trzeba stwierdzić, że jakąkolwiek się okaże wartość praktyczna tych rojeń, wzoru dla nich w ustroju amerykańskim nie znajdziemy. Senat istotnie jest skonstruo-

wany na innej podstawie, niż Izba Reprezentantów: gdy ta reprezentuje ogół ludności na demokratycznej zasadzie liczby głosów wyborczych, to w senacie zasiada jednakowa liczba przedstawicieli — po dwóch — z każdego stanu, bez względu na jego wielkość i zaludnienie. Jako zaletę tego ustroju podnoszą Amerykanie słusznie, że w ten sposób Izba wyższa daje gwarancję należytego przedstawicielstwa stanom zachodnim z ich stosunkowo rzadkiem jeszcze zaludnieniem i wytwarza przeciwwagę przeciw jednostronnemu naciskowi mas ludnościowych i wielkiego kapitału przemysłowego stanów wschodnich na politykę ogólno-państwową. Ponadto jeszcze jedna trzecia senatorów co dwa lata podlega nowemu wyborowi, dzięki czemu skład Senatu jest bardziej płynny, a zatem zabezpieczony przeciwko skostnieniu partyjnemu i tyranji panującego stronnictwa. Zapewniony jest żywy i stały kontakt ze zmianami opinji w kraju.

Wszystko to jednak niema nic wspólnego z europejskiemi projektami przebudowy Izb wyższych na zasadzie reprezentacji syndykalistycznej według grup zawodowych. Co więcej, w Ameryce samej jeszcze od czasów przedwojennych wciąż na nowo rozlegają się natarczywe nawoływania o rekonstrukcję prawa wyborczego do senatu w tym sensie, żeby i w nim, jak w Izbie Reprezentantów, panowała czysto demokratyczna zasada reprezentacji w stosunku do liczby ludności. A więc Ameryka domaga się właśnie tego, z czego Europa dziś jest niezadowolona. I zrobiono nawet już jedno ustępstwo na rzecz tych wymagań, przez 17-stą poprawkę do konstytucji w r. 1913, mocą której senatorowie są odtąd wybierani bezpośrednio przez ludność stanu, a nie, jak dotychczas, przez jego ciała ustawodawcze. Tylko liczba senatorów — po dwóch od stanu — pozostaje dotąd ta sama.

A teraz jeszcze trzecie i ostatnie zastrzeżenie przeciwko europejskim pojęciom o wzorowej wszechwładzy prezydenta amerykańskiego. Oto prezydent wychodzi z łona partji, która stawia jego kandydaturę, i jest poto wybrany, by urzeczywistnić je program. Kandydat na prezydenta przez nominację i wybór staje się tylko *primus inter pares* wśród grona elity, rządzącego partją. Wybraniec ten często nie jest wcale przodującą w partji osobistością, tylko jednostką, która przez pewne przymioty osobiste zaleca się także członkom partji przeciwnej i ma widoki pewną ilość ich głosów na siebie skupić. To też prezydent i po wyborze bynajmniej swoją partją nie dowodzi w tym stopniu, co np. premjer angielski stronnictwem, które go wyniosło. Maszyna partyjna w czasie kampanji wyborczej jest na usługi kandydata na prezydenta, ale trzyma go silnie w swoim uścisku także wtedy, gdy go wyniosła nawierzch. Prezydent pozostaje otoczony tymi wybitnymi członkami swej partji, którym oczywiście musiał powierzyć najwyższe stanowiska państwowe, i sam w każdej sprawie znajduje się pod naciskiem opinji partyjnej. Z pod tego nacisku potrafi się wyzwolić tylko osobistość niezwykle silna, gdy sobie postawi za cel prowadzić rządy ponadpartyjne. Taką osobistością był Teodor Roosevelt, który podczas swej prezydentury prawie że stworzył własne, osobne stronnictwo. Warunki na to, by się stać prezydentem ponadpartyjnym, posiada niewątpliwie także Herbert Hoover, mąż o światowych widnokręgach i uznanym talencie organizacyjnym. Czy jednak wyjdzie zwycięsko ze starć z maszynerją partyjną i z kołtuństwem parlamentarnem, pokaże dopiero przyszłość. Narazie tylko stwierdzić można, że takie starcia wciąż się toczą — *tout comme chez nous.*

Obok ustroju parlamentarnego i władzy prezydenckiej uwagę obserwatorów europejskich na siebie zwraca i zachwyt w niektórych z nich budzi amerykański układ partyjny. W Anglji dawny układ dwupartyjny, tak idealna zapewniający równowagę między rządem a opozycją, dawno został naruszony: trzecią partję obok konserwatystów i liberałów dawniej tworzyli Irlandczycy, dziś tworzą socjaliści i przy tym systemie trzech partyj rządzenie Anglją w normalny, tradycyjny sposób okazuje się rzeczą trudną, prawie że niemożliwą. W Ameryce dwupartyjność panuje dotąd naogół niewzruszenie, i wszelkie próby stworzenia trzeciej grupy partyjnej wydały dotąd rezultaty nieznaczne. Cóż dziwnego, że z krajów kontynentu europejskiego, targanych kokoszą wojną mnóstwa małych partyjek i chronicznie trawionych niezdolnością stworzenia zwartych większości koalicyjnych, lecą ku tak skonsolidowanemu systemowi te same tęskne westchnienia, co dawniej kierowały się w stronę Anglji, jako niedościgłego wzoru? Ale stanąwszy oko w oko z tym wzorem, Europejczyk staje zarazem wobec zagadki. Oto nie może się doszukać zasadniczych ideologicznych różnic między obu partjami, i przeważnie po różnych usiłowaniach musi sobie na końcu powiedzieć, że w amerykańskim systemie politycznym chodzi nie o partje w europejskiem znaczeniu słowa, lecz o dwie grupy ludzi walczące wyłącznie o władzę. Taki stan rzeczy oczywiście nie ma w sobie niczego, coby się do naśladowania w Europie zalecało, bo wprawdzie i u nas władza jest bezpośrednim przedmiotem wszelkich zmagań partyjnych, ale jako cel właściwy bądź co bądź zawsze figuruje pewien program ideowy, i ten program zawsze się opiera na jakiejś — takiej czy owakiej — filozoficznej koncepcji życia społecznego.

Dopiero gdy się partjom amerykańskim przyjrzymy nietylko w ich dzisiejszem działaniu, ale w ich historycznym rozwoju, dostrzegamy i między niemi pewien zasadniczy kontrast ideologiczny, aczkolwiek mocno dzisiaj przyćmiony. Przy powstaniu takiego państwa federacyjnego, jak Stany Zjednoczone, musiały w umysłach jego twórców stanąć naprzeciwko siebie dwie możliwe zasady: centralistyczna i decentralistyczna. Można było dążyć albo do stworzenia silnie zwartej, jednolitej całości państwowej, ograniczając we wspólnym interesie do *minimum* odrębne prawa pojedyńczych kolonij, które się w oporze przeciwko władzy angielskiej łączyły, — albo też przeciwnie, można było zachować *maximum* samorządu stanowego, jednocząc się dla wspólnego celu pod hasłem ścisłego równouprawnienia wszystkich jednostek kolonjalnych, jako „wolni z wolnymi i równi z równymi". Te dwie biegunowo przeciwne siły — dośrodkowa i odśrodkowa — muszą z konieczności zawsze działać w łonie każdej federacji, i one działały i działają także w ustroju Stanów Zjednoczonych. Zasadę silnego zespolenia w jedną całość dyktował w chwilach walki z Anglją realizm polityczny; zasada decentralizacji i maksymalnego samorządu stanowego była programem idealistycznym na dalszą metę. Z centralizmem musiało się łączyć dążenie do oligarchji arystokratycznej, do skupienia władzy w rękach pewnej wybranej grupy ludzi, głównie starej kolonjalnej szlachty ziemskiej tego typu co Washington, ideologja decentralizacji natomiast miała w sobie pierwiastek demokratyczny i zalecała się ludziom przejętym doktrynami filozofji wieku oświecenia i nadchodzącej rewolucji francuskiej, ludziom tego typu, co Benjamin Franklin, pierwszy poseł amerykański w Paryżu. W wewnętrznej polityce pierwszego okresu historji Stanów Zjednoczonych, tę bardziej filozo-

ficzną ideę decentralizacji i równouprawnienia stanów reprezentuje Tomasz Jefferson, właściwy autor konstytucji Stanów Zjednoczonych i stanowczy wyznawca doktryny demokratycznego liberalizmu w jej najczystszej abstrakcyjnej formie. Natomiast praktycznym wyrazicielem realizmu politycznego, dążenia do zespolenia i do silnej władzy centralnej jest mało znany światu europejskiemu Aleksander Hamilton, coraz wyżej dziś przez historyków amerykańskich ceniony jako genjalny i przewidujący mąż stanu. Dwie te postaci dziejowe w perspektywie dnia dzisiejszego stoją naprzeciwko siebie, podobnie jak Gladstone i Disraeli w historji angielskiej XIX wieku, i tak samo jak gwiazda wielkiego ideologa liberalizmu Gladstone'a dziś przybladła, a gwiazda genjalnego realisty politycznego Disraelego coraz potężniejszym jaśnieje blaskiem, tak w ocenie amerykańskiej wielki praktyk Hamilton stale zyskuje a doktryner Jefferson nieco stracił.

Ten sam też jest stosunek zysków i strat między dwiema przewodniemi zasadami polityki amerykańskiej w nowszych czasach. Nie mogę tu szczegółowo śledzić, jak się dalej rozwijał kontrast między ideą centralistyczną i decentralistyczną, i jak się ostatecznie skrystalizował jako przeciwieństwo między partją republikańską a partją demokratyczną. W każdym razie trudno pominąć przynajmniej jedno jeszcze nazwisko: Daniel Webster w pierwszej połowie XIX wieku, choć jako naiwny ideolog polityczny nigdy do naczelnego stanowiska w państwie nie doszedł, jednak przez swą potężną, gorąco patrjotyczną wymowę niepomiernie przyczynił się do skonsolidowania jednolitego poczucia narodowego ogólno-amerykańskiego i przez to przysłużył się sprawie centralizmu. Rzec można, że dla centralistycznego programu partji republikańskiej on uczynił od strony ideo-

wej tyleż, co Jefferson dla sformułowania w szczytnej i ogólnikowej formie decentralistycznych i liberalnych zasad partji demokratycznej.

Największy wypadek w dziejach wewnętrznych Stanów Zjednoczonych, wojna domowa między stanami północnemi a południowemi w siódmem dziesięcioleciu XIX wieku, ma epokowe znaczenie dla rozwoju układu partyjnego. W tej wojnie o sprawę niewolnictwa murzyńskiego przecież Południe, wraz ze swym przywilejem utrzymania niewolników, broni zasady decentralizacji, zasady pełnego samorządu i odrębnych praw stanów południowych. Przegrana Południa jest przegraną tej zasady. Zwycięstwo Północy znamionuje początek nowej ery, w której górę bierze idea centralistyczna, czyli, mówiąc dzisiejszą terminologją, idea republikańska. W okresie gwałtownego rozwoju przemysłowego i otwierania dla przedsiębiorczości amerykańskiej coraz nowych terytorjów na zachodzie kontynentu zespolenie w jedną potężną całość już nietylko polityczną, ale i gospodarczą staje się rzeczą ważną. Trzeba dla nowego przemysłu amerykańskiego tworzyć wielki, jednolity rynek wewnętrzny, i dlatego partja republikańska wypisuje na swym sztandarze hasło ochrony tego rynku domowego przez wał wysokich ceł ochronnych. Jest symptomem jej wzrastającej przewagi, że w nowszych czasach także partja demokratyczna rezygnuje z doktryny wolnego handlu, przy której dawniej obstawała, i dziś zniesienia ceł ochronnych nie żąda, chyba tylko pewnego ich obniżenia. Drugim znamiennym symptomem jest, że ustała w ostatnich czasach walka państwa przeciwko trustom, a więc potęgom handlowo-przemysłowym, obejmującym swym rozrostem Stany Zjednoczone jako całość i ignorującym granice, a często i prawa stanowe. Dziś państwo daje trustom (obecnie zwa-

nym *mergers)* pełną swobodę rozwoju, bo ich istnienie jest w zgodzie z ideologją republikańską.

Jako trzeci wreszcie objaw wzrastającej przewagi programu republikańskiego przytoczyć można, że stanowczą popularnością cieszy się dziś w całej Ameryce stare republikańskie hasło, rzucone niegdyś jeszcze przez Washingtona w jego testamencie politycznym, — mianowicie hasło trzymania się zdala od zawikłań europejskich. Najznakomitszy przecież z nowszych przywódców stronnictwa demokratycznego, prezydent Wilson, który chciał wciągnąć Amerykę do Ligi Narodów, spotkał się z oporem większości społeczeństwa. Był też ostatnim za naszych czasów prezydentem z obozu demokratycznego.

Wybory roku 1928 — ta najgwałtowniejsza od wielu lat walka o prezydenturę Stanów Zjednoczonych — przyniosły jeszcze jeden dowód rozrostu partji republikańskiej. Ostoją terytorjalną tej partji była zawsze uprzemysłowiona Północ, a ostoją partji demokratycznej Południe ze swą separatystyczną tradycją i plantacyjnem gospodarstwem. W miarę jednak, jak fala uprzemysłowienia poczyna obejmować i Południe i pozbawiać je charakteru rolniczego, partja republikańska zyskuje tam na gruncie, i właśnie te wybory prezydenckie przyniosły potężny wyłom w demokratycznej jednolitości Południa: nie mogą już demokraci używać tradycyjnego zwrotu *the solid South* („niezłomne Południe").

Wybory te zarazem doskonale zobrazowały dzisiejsze faktyczne różnice między stronnictwami, co do ich składu społecznego i psychiki. A więc stronnictwo republikańskie okazało się w całej pełni tem, za co w nowszych czasach uchodzi, t. j. obozem wielkiego i średniego kapitału handlowo-przemysłowego. W przeciwnym obozie natomiast stanęła inteligencja zawodowa, pociągnięta jego starem

liberalnemi hasłami. Liberalizm partji demokratycznej zaznaczył się już przez to, że jej kandydatem był po raz pierwszy w dziejach Stanów Zjednoczonych katolik, a nie protestant. W walce wyborczej stało się wyraźnem, że stronnictwo republikańskie jest bardziej zdecydowanie imperjalistycznym z obu obozów, i że twardo stoi na gruncie nieinterwencji państwa w sprawach gospodarczych, gdy tymczasem demokraci więcej objawiają zainteresowania dla polityki socjalnej, a nawet pewne — choć zawsze jeszcze bardzo nieznaczne — skłonności w kierunku etatyzmu. Wobec ciągłych dalszych postępów dobrobytu i wobec stanowczej solidarności przeważnej części klasy robotniczej z obecnym prywatno-kapitalistycznym ustrojem gospodarczym, nie można chyba wątpić, że, choćby świat uniwersytecki jeszcze usilniej niż przy ostatnich wyborach popierał stronnictwo demokratyczne, większość w kraju jeszcze na długi czas będzie należała do republikanów.

Zmianę mogą spowodować chyba wielkie wypadki dziejowe. Ze wspomnianej już zasady republikańskiej niemieszania się do spraw europejskich wyrosła przez jej odwrócenie doktryna Monroe'go, t. j. zasada, że ze swej strony Europa nie powinna się mieszać do spraw amerykańskich. Pierwotnie sformułowana w obronie wyzwalających się od Hiszpanji kolonij południowo-amerykańskich, doktryna Monroe'go w nowszych, bardzo szerokich swych zastosowaniach stała się, jak wiemy, groźną dla tych samych właśnie, dawno już wolnych krajów, — stała się wyrazem ogólno-kontynentalnych, imperjalistycznych ambicyj Stanów Zjednoczonych. Zwolennikiem bliższych stosunków między Ameryką północną a południową okazał się prezydent Hoover przez swą wizytę w stolicach południowo-amerykańskich zaraz po wyborach. Otóż, gdyby te bliższe stosunki zczasem

przy pomocy ciągłej penetracji południowej Ameryki przez kapitał Stanów Zjednoczonych miały przybrać postać federacji, i Ameryka północna miała się zróść z południową w jeden organizm polityczny, wówczas przy głębokich różnicach historycznych, rasowych, wyznaniowych, językowych, społecznych i gospodarczych, może w ramach takiej unji ożyłaby i doszła na nowo do honoru stara demokratyczna ideologja decentralizacji i liberalizmu, jako jedynie celowa w takich warunkach. Wówczas też może Ameryka uznałaby za właściwe wejść w bliższy kontakt ze sprawami międzynarodowemi naszego kontynentu. Ale perspektywy to odległe; narazie Europa musi się liczyć z Ameryką republikańską, trwającą w dumnej izolacji i kroczącą ku coraz większej potędze gospodarczej, drogą kapitalizmu prywatnego.

Że antyteza kapitalizmu, t. j. socjalizm, ciągle jeszcze prawie żadnego gruntu w Ameryce nie ma, to również wyraźnie okazały wybory r. 1928, przy których kandydat socjalistyczny, wystawiony dla zasady, jak zawsze, uzyskał znowu bardzo nieznaczną stosunkowo liczbę głosów.

Inny natomiast czynnik w ostatnich latach w Ameryce zaczyna się w życiu partyjnem coraz silniej zaznaczać, jeżeli nie jako poważne trzecie stronnictwo, to jako stały ferment krytyczno-opozycyjny. Tym czynnikiem jest rozwijający się na podłożu opłakanej sytuacji rolnictwa radykalizm agrarny, któremu z brawurą i temperamentem jakiś czas przewodził, znany i w Europie ze swych wystąpień, senator La Follette († 1925) ze stanu Wisconsin. Ruch ten jednak zawsze pozostaje ograniczony do okresów ostrego przesilenia w rolnictwie, a gdy tylko stosunki agrarne nieco się poprawią, automatycznie przycicha. Ponadto zaś, gdy chce wyjść poza granice terytorjalne okręgów rolniczych, równie niezawodnie rozbija się zawsze

o nieubłagany fakt, że postulaty ekonomiczne warstw robotniczych w miastach przemysłowych nie dadzą się żadną miarą pogodzić w ramach jednego radykalnego programu z postulatami stanu rolniczego. Niema więc żadnych widoków na to, by z tej strony pojawiło się na horyzoncie trzecie stronnictwo, podobne do *Labour Party* w Anglji.

Ameryka pozostaje tędy narazie krajem o ustalonym niezachwianie układzie dwupartyjnym. Ale jak już chyba jasno wynika z nakreślonego powyżej pobieżnie obrazu życia partyjnego, partje amerykańskie nie pełnią w tamtejszem życiu politycznem bynajmniej tych funkcyj, jakie w życiu organizmów politycznych Europy spełniają rozliczne nasze stronnictwa. W Ameryce ideowa inicjatywa do wielkich reform ustawodawczych nie wychodzi z obozów partyjnych. Skądże się więc bierze? Otóż źródłem takiej inicjatywy są rozliczne — idące w setki — ugrupowania zawodowe, wyznaniowe, plemienne, doktrynowo-propagandystyczne, z których każde nakrywa siecią swych komórek cały kraj, każde ma swoją centralę w Washingtonie i każde posiada swą „ajenturę kuluarową“ *(lobby)* dla oddziaływania na kongres. Skomplikowana gra agitacyjna tych rozmaitych *lobbies* za kulisami kongresu, to właściwe życie polityczne stolicy Stanów Zjednoczonych. Wielkie organizacje partyjne zaś — to jedna, to druga, a czasem do pewnego stopnia obie — oddają swój aparat od czasu do czasu na usługi jakiegoś prądu ideowego, który z jednej lub kilku z pośród różnych *lobbies* z dostateczną siłą w nie uderzy. Ostatnim wielkim przykładem takiej akcji była prohibicja, której motorami przez swoje *lobbies* w Washingtonie stały się z jednej strony pewne silne związki pracodawców przemysłowych, z drugiej zaś skrajne sekty protestanckie.

W ten sposób Ameryka, mimo że swego ustroju parlamentarnego ani układu partyjnego na modłę syndykalistyczną nie przekształciła, jednak nieoficjalnemi metodami urzeczywistnia — choć może nie w idealnie doskonałej formie — marzenia europejskich reformatorów konstytucyjnych o tem, by nerwem przemian ustawodawczych w państwie były ugrupowania, reprezentujące inne interesy społeczne, aniżeli programy partyj politycznych.

VII.

# PRAWO.

W umyśle przeciętnego Europejczyka, mimo wszystko co łyszał i czytał o różnicach między Anglją a Ameryką, nagół niewzruszenie tkwi pojęcie „rasy anglosaskiej“, jako zegoś jednakowego nietylko pod względem językowym, le także pod względem psychiki. W szczególności w dziedzinie prawa oba wielkie społeczeństwa, mówiące języiem angielskim, wydają mu się blisko pokrewne. Oba vszakże w przeciwieństwie do ogółu narodów na kontyiencie Europy, które przyjęły dogmatyczne prawo rzymkie, żyją pod starem prawem angielskiem, w istocie swej mpirycznem: u obydwóch sędzia przez swoje orzeczenia vciąż na nowo prawo dalej tworzy, i władza sędziowska toczona jest szczególnym majestatem. To też oba narody nglosaskie bywają stawiane za wzór poszanowania prawa, zczególnie nam Polakom ze względu na warcholski indywidualizm naszych szlacheckich przodków i na zorganizovane bezprawie rządów zaborczych w XIX wieku, które, zczególnie pod zaborem rosyjskim, musiało w nas zabijać mysł prawny.

Otóż nie da się zaprzeczyć, że niema może narodu a świecie, wśród którego panowałby taki mistyczny kult rawa, jak wśród narodu angielskiego. Za typowego wyaziciela umysłowości angielskiej może uchodzić wielki myśliciel polityczny XVIII wieku, Edmund Burke, dla któ-

rego porządek prawno-państwowy jest jakby jakiemś drze wem żywota, głęboko zakorzenionem w glebie historycz nego bytu narodowego i z niej tajemniczo swe sok ciągnącem; to też dla Burke'a wszelka zmiana tego po rządku do pomyślenia jest tylko drogą wewnętrznej jeg ewolucji, a nigdy drogą samowolnie narzuconego z zewnątr przewrotu; zapominając o tem, że i Anglja miała w XVII w swoją rewolucję, Burke staje w zdecydowanej antytezie d doktryny Jana Jakóba Rousseau o pierwotnej dobrowol nej „umowie społecznej" i potępia stanowczo w samem założeniu rewolucję francuską.

Całkiem inaczej przedstawia się rozwój myślenia praw nego Stanów Zjednoczonych. Państwo to wszakże rodz się z rewolucji, pierwszą jego aljantką jest Francja, i na uczycielami takich jego duchowych twórców, jak Benjami Franklin, są myśliciele francuscy epoki oświecenia. Ameryk jest jakby klasycznym przykładem na teorję Jana-Jakób Rousseau o *contrat social.* Niczem innem jak „kontraktem społecznym" jest umowa między trzynastu kolonjami, łą czącemi się przeciwko Anglji w Deklaracji Niepodległości Wszystko w państwowości amerykańskiej powstaje aktem woli, nic nie wynurza się ewolucyjnie z mroków prabytu wszystko tworzy się „thesei", nie „physei", by użyć wy razów platońskich; nawet stolica nie wyrasta, jak stolic europejskie, z legendarnych mgieł wczesnych stuleci, tylk buduje ją planowo, w pełnem świetle dziennem nowo czesnego życia, na rozmyślnie wybranem miejscu, francusk architekt. Samemu sobie ustanowiwszy swój prawny porzą dek, Amerykanin patrzy nań pragmatycznie, a nie mistyczni jak Anglik: widzi w nim zbiór zasad dobrowolnie ustalonych dla wspólnej wygody, a nie jakąś emanację wiekowego byt narodowego o religijnej niemal sankcji.

Do tej gruntownej różnicy między amerykańskim i angielskim nastrojem w stosunku do prawa przyczyniają się także zewnętrzne losy kolonistów amerykańskich: od początku swej historji w XVII wieku, torując sobie wciąż drogę naprzód na zachód przez dziewiczy kontynent, w walce z przyrodą, z dzikiemi zwierzętami i z plemionami tubylczemi, Amerykanin musi się stawać w swem myśleniu prawnem indywidualistą, anarchistą niemal: prawa nigdzie nie zastaje, tylko je sam na swój użytek tworzy, a podstawą tego prawa jest jego siła w walce o byt. Jeżeli ta walka o byt zmienia zczasem swój charakter i staje się zaciekłą walką konkurencyjną w nowoczesnym przemyśle i handlu, to istotna postawa duchowa człowieka pozostaje ta sama. A jeżeli indywidualizm dawnych kolonistów przeradza się w ten kolektywizm, który jest charakterystycznym szablonem myślenia dzisiejszego obywatela amerykańskiego, toć i w tym kolektywizmie tkwi na dnie pierwiastek dobrowolnej umowy, którą grupa jednostek w pierwotnej puszczy amerykańskiej łączyła się dla wspólnej obrony i wzajemnej pomocy w gospodarstwie. I tu chodzi o proste rozumowanie, wyrażone w starem rosyjskiem przysłowiu „Gromada wielikij człowiek"; chodzi o świadomą organizację energji dla obranego celu, a nie o współżycie w jakimś danym porządku, którego rozwój jest częścią boskiego planu świata.

Z tych podstawowych faktów historji amerykańskiej wynika, że o tem instynktownem poszanowaniu prawa, które cechuje Anglika, u Amerykanina mowy być nie może. Dodajmy jeszcze, że jako wykwit zasad demokratycznych zapanowała w Ameryce wybieralność sędziów, a zatem powszechna zależność wymiaru sprawiedliwości od konjunktury partyjno-politycznej, a zrozumiemy, że

Amerykanin, stając wobec trybunału, czuje się w obliczu instytucji, którą sam stworzył i sam może zmienić, i w obliczu człowieka, którego sam postawił na stanowisku i sam może usunąć. Nic dziwnego więc, że czytając sprawozdania nawet z rozpraw kryminalnych w Ameryce, mamy często wrażenie, jakby chodziło o rozprawę cywilną między sędzią a oskarżonym, albo zgoła o jakieś zapasy sportowe między obywatelem a sądem. Podsądny często wyraźnie żąda *fair play*, a więc jakoby przestrzegania umówionych reguł gry: w Anglji nie śmiałby ani na chwilę wątpić, że będzie miał *a fair trial* — lojalnie prowadzoną rozprawę. Można powiedzieć, że Anglik staje pod sądem, Amerykanin przed sądem.

Ta różnica w pojmowaniu prawa nie stawiałaby sprawiedliwości amerykańskiej wcale koniecznie niżej, gdyby nie jedna okoliczność, stanowiąca dziś przedmiot powszechnej troski w Ameryce. Wiadomo, że we wszystkich krajach, które brały udział w wojnie, pierwsze lata powojenne przyniosły niesłychany rozrost zbrodniczości. Przypisywano ją oswojeniu z używaniem broni, rozpowszechnieniu broni samej, przyzwyczajeniu do niebezpieczeństwa, roznamiętnieniu wojennemu, rozluźnieniu dyscypliny społecznej, gorączce inflacyjnej. Pamiętamy bandytyzm w Polsce w pierwszych latach naszego nowego bytu. Wszędzie w Europie ta fala zbrodniczości zdaje się dziś opadać. W Ameryce przeciwnie bandytyzm właśnie teraz rozrósł się do niebywałej potęgi. Oprócz wszystkich wymienionych powyżej czynników działa tu może szalone tempo całego życia gospodarczego Ameryki w dobie obecnej: jak słusznie niedawno rzecz wyrażono w nagłówku artykułu o tym przedmiocie, zbrodniczość jest dziś *the biggest business in America*, — wśród wielu fantastycznie prosperujących przemysłów krajowych

najbardziej rozwinięty. Szczególną siłę i stałość daje bandytyzmowi związek organiczny, jaki zachodzi między nim a dwoma innemi zjawiskami, mianowicie prohibicją z jednej strony, a korupcją polityczną z drugiej.

O wielkim eksperymencie ustawodawczym prohibicji słyszy się ze strony samych Amerykanów zdania tak sprzeczne, że trudno wyrobić sobie należytą opinję. Niewątpliwie sprzeczność tych zdań odzwierciedla sprzeczność samych faktów, jakie prohibicja w różnych klasach społeczeństwa wydała. Z jednej strony bezsprzecznie oddziałała dobroczynnie — przynajmniej w pierwszych latach — na warunki życia w klasie robotniczej: pieniądze, dawniej wydawane na trunki, robotnik począł wydawać na wygody domowe, i poziom kultury materjalnej oraz zdrowotności w domach robotniczych amerykańskich szybko podniósł się na wyżynę nieznaną nigdzie indziej. Z drugiej strony równie bezsprzecznie w znacznej mierze zdemoralizowała ludzi bogatych i pewien odłam inteligencji zawodowej, szczególnie po większych miastach, przyzwyczajając ich do systematycznego obchodzenia ustawy. Co zaś najważniejsze, to że popyt na trunki wytworzył cały wielki nielegalny przemysł przemytniczy, znany dziś w całym świecie pod nazwą *bootlegging* („przemycanie w cholewie od buta"). *Bootleggers*, rozporządzający niejednokrotnie całemi flotyllami okrętów, są dziś wielką potęgą, i potęga ta — co za ironja! — jest silną ostoją prohibicji, bo z chwilą złagodzenia lub zniesienia ustawy wysokie ceny przemycanych trunków znacznieby się obniżyły. O rozmiarach przemytnictwa da pojęcie okoliczność, że w samym Nowym Yorku jest podobno do 32.000 nie oznaczonych szyldami restauracyj, zwanych *speakeasies*, służących za miejsce wyszynku trunków i bardzo uczęszczanych. Prawie

od każdego znajomego w większem mieście amerykań skiem można adres takiego lokalu dostać; prawie każdy szanujący się obywatel może przyjaciół w swoim klubie zakazanym trunkiem ugościć; prawie każdy zasobniejszy dom posiada swojego stałego dostawcę przemycanych trunków [1]). Przedsiębiorcy, prowadzący ten olbrzymi nielegalny handel, musieli się oczywiście postarać o liczne zastępy organów pomocniczych, i najmując je, nie mogli przebierać. W ten sposób powstał związek między prohibicją a żywiołami zbrodniczemi.

Drugie ogniwo tego związku ukuł niestety sam rząd, będąc zmuszony zmobilizować do walki z nadużyciami prohibicyjnemi wielotysięczny sztab osobnych ajentów policyjnych. Rząd przytem, tak samo jak przemytnicy, przebierać zbytnio nie mógł. Rezultatem jest, że w policji anty-prohibicyjnej znalazło się mnóstwo elementów nikczemnych, i ta klasa ludzi jest dziś wśród społeczeństwa amerykańskiego podobnie wzgardzoną, jak ajenci ochrany w Rosji dawnej, lub ajenci G. P. U. w dzisiejszej. Ajenci anty-prohibicyjni są nietylko notorycznie w szerokim zakresie przekupni, ale będąc wyposażeni w bardzo szerokie pełnomocnictwa, często pod pretekstem rewizyj po domach popełniają przeciwne konstytucji gwałty i nadużycia, a niejednokrotnie kładą trupem bez ostrzeżenia zupełnie niewinnych ludzi [2]). Można ich o tyle mieć za usprawiedli-

[1]) Jako jeden z wielu zabawnych szczegółów sytuacji prohibicyjnej wspomnę, że wiele firm, dawniej handlujących winem z własnych winnic w Kalifornji, obecnie zupełnie legalnie sprzedaje niefermentowany sok winogronowy, a odbiorcom poufnie przysyła do domu ajentów, którzy w piwnicach domowych robią z tego soku wino.

[2]) Anty-prohibicjoniści ogłosili niedawno szczegółową statystykę, według której 1980 osób w Stanach zginęło z rąk ajentów prohibicyjnych do końca r. 1929, t. j. przez dziesięć lat trwania prohibicji.

ionych, że i na nich na każdym kroku czyha nagła mierć, i na tle walki między nimi a przemytnikami, oraz — to w wyższym jeszcze stopniu — na tle walki konkuencyjnej między różnemi organizacjami przemytniczemi vywiązały się w miejscach szczególnie ożywionego handlu runkami stosunki naprawdę niebezpieczne dla życia przeiętnego obywatela.

Ale prohibicja tylko w połowie jest odpowiedzialna za vybujałą zbrodniczość w dzisiejszej Ameryce. Druga poowa leży w innej dziedzinie, mianowicie w dziedzinie k o-upcji politycznej, a w szczególności w zakresie poliyki municypalnej wielkich miast. Rozpanoszeni w admini-tracji niektórych wielkich miast korupcjoniści polityczni )ez wahania posługują się bandytami jako sprzymierzeńcami dla teroryzowania opinji publicznej i zapewnienia so-)ie spokoju działania. Rzecz nieprawdopodobna, a jednak iiedawno w osobnej rozprawie faktami wykazana, że w Chicago — gdzie sytuacja w tym względzie jest ponoć iajgorsza — menerzy polityczni tego typu mają na swych isługach szajki małoletnich bandytów, zorganizowane pod iiewinną formą różnych klubów sportowych młodzieży, których oni są protektorami! Oczywiście, często przemytiictwo alkoholu do użytku na cele przekupstwa politycziego znajduje się pod protektoratem działaczy politycziych i w ten sposób obie podpory zbrodniczości się kojarzą.

Znalazłszy się w ten sposób w pośrodku między dwoma tak sprzyjającemi czynnikami, jak sytuacja prohibicyjna z jednej, a korupcja polityczna z drugiej strony, żywioł zbrodniczy w rosnących gwałtownie wielkich miastach, które są dlań dogodnem siedliskiem, rozwinął w ostatnich czasach istotnie fantastyczną przedsiębiorczość. Kon-

kurujące ze sobą szajki bandytów są między sobą w ciągłym stanie otwartej wojny, i porachunki między niemi wciąż są załatwiane przez morderstwa uliczne. W samem Chicago morderstw w r. 1927 było przeszło 800; a dnia 14 lutego 1929 r. wstrząsnął opinją publiczną fakt masowego wymordowania siedmiu ludzi, należących do jednej szajki, przez grupę ludzi drugiej szajki, przy pomocy karabinu maszynowego, w biały dzień, w garażu przy ludnej ulicy śródmieścia. Mordercy odjechali spokojnie samochodem; dwóch z nich było w mundurach policyjnych, i nie jest wcale wykluczonem, że byli to rzeczywiści policjanci. Policja bowiem i władze sądowe, częścią steroryzowane, częścią przekupione, małą objawiają aktywność i często wypuszczają z rąk lub lekko tylko karzą notorycznych zbrodniarzy „z powodu braku dowodów“. To też hersztowie szajek są potężnymi ludźmi i często mogą nawet jawnie korzystać ze swego bogactwa. Jeden z nich, Włoch z pochodzenia, Capone, zwany „Szramą“ *(Scarface)* z powodu blizny na twarzy, miał willę na Florydzie, w sąsiedztwie willi prezydenta Hoover'a. Obecnie zdecydował się dać się skazać na pewien okres więzienia, który odsiaduje z tej prostej przyczyny, że tam jego życie jest bezpieczne od zamachów ze strony rywali. Godnym jego kolegą jest ponoć nowojorski bohater, Ciro Terranova, którzy pod niewinną firmą handlu hurtownego jarzynami (nazywają go „królem karczochów“) ukrywa skromnie swą godność herszta wielkiej szajki i jest taką potęgą, że z końcem roku 1929, gdy wisi nad nim poparte oczywistemi dowodami oskarżenie o zabijanie ludzi przez najętych zbirów, może spokojnie dalej mieszkać w swym wspaniałym domu w jednem z przedmieść Nowego Yorku i nawet — jak dla ironji — udzielać wywia-

łów dziennikarzom. W głośną jego sprawę, ku zdumieniu już nietylko Ameryki, ale całego cywilizowanego świata, okazał się wmieszanym municypalny sędzia nowojorski Albert Vitale (również Włoch rodem): ujawniło się przytem, że Vitale zdawna utrzymuje ożywione stosunki z uprawianym na ogromną skalę przemysłem zbrodniczym przemycania narkotyków do Stanów Zjednoczonych.

Zatrwożonego takiemi stosunkami i wynikającemi z nich częstemi morderstwami ulicznemi cudzoziemca Amerykanie zwykle uspokajają zapewnieniem, że chodzi tylko o walkę między szajkami (*gangs*), mordującemi się wzajemnie, a spokojny obywatel znajduje się poza nawiasem całych tych operacyj. Ale, po pierwsze, łatwo się takiemu spokojnemu obywatelowi znaleźć przypadkiem „na linji ognia“ w czasie załatwiania porachunków: i tak w Chicago, przy wspomnianej egzekucji masowej, zginęła osoba postronna, lekarz, który był z „przyjacielską wizytą“ u jednego z członków zamordowanej grupy i prawdopodobnie, prócz względnie niewinnych stosunków w charakterze stałego nabywcy alkoholu, niczego wspólnego z jej czynnościami nie miał. Powtóre zaś szajki „operują“ także na szerokim ogóle obywateli — jeżeli nie na ich żywotach, to w każdym razie na ich kieszeniach. Szczególnie modną praktyką w ich repertuarze jest w ostatnich czasach tak zwane *racketeering*, tj. wywieranie systematycznego, terorystycznego nacisku na pewną obraną za objekt grupę zawodową — np. na piekarzy albo na właścicieli pralni w całem mieście — w tym celu, żeby szajce opłacała pewien ustalony „podatek obrotowy“ i odbierała sobie go od konsumentów przez odpowiednie podwyższenie ceny swych świadczeń. Wobec rabunku, zorganizowanego na tak szeroką skalę, tak samo jak wobec obfitości nadużyć urzędo-

wych, podziwiać tylko należy siłę dobrobytu społecznego, co takie zjawiska bez dotkliwej szkody wytrzymuje.

Szczegóły powyższego obrazu zaczerpnąłem nietylko z sensacyjnych sprawozdań w dziennikach, ale z artykułów w poważnych czasopismach i ze statystycznych zestawień w pracach socjologicznych[1]). Czyż wobec takiego stanu rzeczy dziwić się można, że prezydent Hoover uznał za właściwe w jednem ze swoich pierwszych publicznych wystąpień po wyborze, mianowicie w wielkiem przemówieniu do grona dziennikarzy, stwierdzić, że „bezpieczeństwo osoby i mienia obecnie w Ameryce jest mniejsze, niż w któremkolwiek państwie cywilizowanem“, i zapowiedzieć, że jednem z głównych zadań jego rządów będzie obmyślenie przez osobną komisję państwową środków na podniesienie poszanowania prawa w kraju?

Z głosem głowy państwa łączą się głosy najpoważniejszych czynników moralnych w kraju. W szczególności uniwersytety poczynają się coraz bardziej poczuwać do współodpowiedzialności za akcję uzdrowieńczą. Niezapomnianą mi pozostanie wspaniała scena, gdy Uniwersytet chicagoski, przed Wielkanocą r. 1929, po raz pierwszy odbywając zamknięcie trymestru w olbrzymiej gotyckiej kaplicy, darowanej mu przez Rockefellera, zaprosił na tę uroczystość jako głównego mowcę senjora palestry chicagoskiej, adwokata F. J. Loesch'a, — i gdy ten majestatyczny 78-letni starzec wobec kilkutysięcznego tłumu profesorów, studentów i gości z miasta prawdziwie grzmiącemi słowy o współwinę w panującej orgji zbrodni oskarżał korupcjonistów

---

[1]) Np. John Gunther: *Crime the Biggest National Business* (artykuł w *Harper's Monthly* za październik r. 1929). — W. F. Ogburn, *Recent Social Changes*, University of Chicago Press, 1929 (str. 169—184: C. E. Gelhke, *Crime*).

politycznych, wymieniając niemal po imieniu osławionego mayora miasta Chicago, — jak w końcu nawoływał Uniwersytet, młodzież i wszystkich dobrych obywateli do krucjaty celem przywrócenia prawu jego sponiewieranej godności.

Powiedziano kiedyś o Rosji, że tam nigdy nie będzie naprawdę dobrze, zanim się nie zrobi całkiem źle. Może być, że tak samo w Ameryce obecny, skrajnie już niedobry stan rzeczy doprowadzi do przebudzenia i ostatecznego zwycięstwa te czynniki tężyzny moralnej, które w narodzie amerykańskim głęboko tkwią i które tak wielkich rzeczy w jego przeszłości dokazały.

## VIII.

# Religja.

Pierwotni koloniści amerykańscy, przeważnie wygnani z Europy za przynależność do pewnych wyznań, prześladowanych przez władzę państwową, byli społeczeństwem głęboko religijnem. Surowa atmosfera kalwinizmu panuje w Ameryce przez cały wiek XVII, XVIII i jeszcze z początkiem XIX-go; ascetyczne hasła tej religji pomagają zdobywcom nowego kontynentu mężnie znosić okrutne uciążliwości ich prymitywnego życia; asceza kalwińska także w połączeniu z wiarą w przeznaczenie przyczynia się, tak jak w niektórych protestanckich społeczeństwach Europy, do nagromadzenia bogactw przez oszczędne i pracowite życie, a zatem do powstania i rozwoju dzisiejszego kapitalizmu.

Z chwilą jednak, gdy Ameryka wstępuje w początki ery wielkiego dobrobytu przemysłowo-handlowego w XIX wieku, duch jej religijności ulega gruntownej zmianie. Elementy cierpienia i znoszenia przeciwności, pokory i abnegacji, które były podstawami surowego chrześcijaństwa przodków, już nie przemawiają do ich potomków, niesionych na fali pomyślnej konjunktury ku coraz większym bogactwom. Zasadniczym nastrojem Amerykanina staje się niezgodny zupełnie z duchem kalwinizmu, bujny i żywiołowy optymizm, który obywatela amerykańskiego i dziś cechuje. Optymizmowi temu grupa szlachetnych myślicieli z Emersonem na czele — tak zwana szkoła „transcendentalistów

nowo-angielskich" — usiłuje nadać charakter podniosłej filozofji religijnej, wiążąc jego zasady z panteistyczną myślą romantyków europejskich. Natura ludzka jest zasadniczo dobrą; Bóg jest we wszystkich zjawiskach świata; królestwo Boże jest wewnątrz nas samych; sprawiedliwość moralna tkwi w samych naszych czynach i w naszem życiu duchowem; złego właściwie niema; cierpienie w bilansie świata ostatecznie staje się narzędziem szczęścia; wszystkie uczucia i idee człowieka, nietylko uczucia i idee religijne, są natchnione przez Boga; wszyscy wielcy ludzie historji, nietylko Chrystus, są wcieleniami bóstwa; wszystkie wielkie dzieła ducha ludzkiego, nietylko Pismo Święte, są słowem Bożem. Oto przewodnie myśli Emersona. Głosząc chwałę najwyższych, wiekuistych wartości duchowych życia i kultury — jak przyjaźń, miłość, sztuka, piękno przyrody — starał się nadać nowemu i w gruncie rzeczy dość płytkiemu optymizmowi amerykańskiemu dostojeństwo metafizyczne i moralne.

Panteizm w stylu Emersona i dziś jeszcze ma urok dla ludzi myślących w Ameryce, nieuchronnie ogarniętych powszechną falą optymizmu narodowego, a zarazem jednak spragnionych jakiegoś filozoficznego ujęcia swych wierzeń. Przekonałem się o tem, gdy w uniwersytecie Cornell w mieście Ithaca stan Nowy York) uczestniczyłem w dyskusji religijnej na temat „Nowoczesne koncepcje istoty Boga". Zagajał ją profesor teologji protestanckiej z Uniwersytetu nowojorskiego, Van Dusen, i z jego wywodów biło przeświadczenie, że tylko ten Bóg panteistyczny — bóg Goethego i Hegla i Emersona — jest do przyjęcia dla człowieka o dzisiejszej kulturze.

Ale myśl Emersona nie mogła się stać udziałem ogółu. Metafizyka i idee abstrakcyjne coraz mniej mogły mieć

niejsca nawet we wierzeniach religijnych przeciętnego amerykańskiego „business man'a“, całkowicie pochłoniętego tworzeniem i zdobywaniem wartości materjalnych. Życie tak gorączkowo czynne domagało się krótszego odstępu między myślą a czynem. Naczelnem kryterjum każdej idei stała się jej bezpośrednia zastosowalność życiowa. Ogólnikowy optymizm przerodził się w określony utylitaryzm, i utylitaryzmowi zkolei pod nazwą „pragmatyzmu“ dostojną szatę filozoficzną starali się nadać głośny w całym świecie William James, a wślad za nim John Dewey, dziś w swe siedmdziesiąte urodziny wielbiony chórem przez całe społeczeństwo amerykańskie, jako wielki nauczyciel „religji czynu społecznego“.

W „religję czynu“ z „religji wiary“ przekształcił się też najzupełniej w nowszych czasach protestantyzm amerykański we wszystkich prawie, licznych swoich odmianach. Nabożeństwa w kościołach protestanckich, to, jak słusznie je kiedyś określił Pobiedonoscew, dystyngowane zebrania salonowe, na których w przerwach między koncertowemi popisami śpiewu i muzyki religijnej gentleman w szacie duchownej wygłasza konferencje o bieżących zagadnieniach moralności i higjeny społecznej, polityki międzynarodowej czy organizacji przemysłu, rzucając to wszystko na możliwie najszersze tło historyczno-filozoficzne. Na dogmaty danego wyznania nie kładzie się przytem żadnego nacisku, starając się wywołać wrażenie jak najdalej posuniętego liberalizmu religijnego. Nigdy nie zapomnę, jak w czasie mojego pobytu w Bostonie, na wieczornem nabożeństwie w jednym z największych kościołów tamtejszych wobec dziesięciotysięcznego tłumu, znakomity amerykański misjonarz protestancki, czynny w Indjach, Stanley Jones (autor sławnej książki *The Christ of the Indian Road)* w całogodzinnem, pełnem uniesienia kazaniu wielbił świętość i wielkość moralną —

Gandhi'ego, uznając, że najwyższym probierzem chrześci-
jaństwa jest opinja o niem osobistości tej miary, co Gandhi
i stwierdzając wkońcu, że Gandhi w rozmowie z nim od-
dał hołd wielkości Chrystusa, choć religję Jego dla siebie
i dla całej umysłowości indyjskiej uznał za nieprzydatną.

Krańcowym wyrazem tego modnego liberalizmu religij-
nego jest może znamienny gest znanego bogacza J. D.
Rockefeller'a, który kosztem pięciu miljonów dolarów wy-
stawił dla uniwersytetu w Chicago kaplicę — a raczej
ogromną gotycką katedrę — i ofiarował mu ją na tygod-
niowe nabożeństwa i inne uroczystości uniwersyteckie z tym
warunkiem, że, chociaż sam jest baptystą, wymaga, by w tej
kaplicy co niedzieli przemawiał zaproszony kaznodzieja
innego wyznania, i by w ten sposób młodzież mogła się
zaznajomić z jak najszerszym kręgiem systemów religijnych.
Nie ograniczył tego wymagania nawet do samych tylko
wyznań chrześcijańskich. Z chrześcijan jedni katolicy odmó-
wili korzystania z kaplicy na tych warunkach; inne wyzna-
nia skwapliwie skorzystały, i cały ich kalejdoskop przesuwa
się teraz przed audytorjum uniwersyteckiem. Mogę dodać,
że w ciągu trymestru, który spędziłem w Chicago, z luzu-
jących się kaznodziejów największe powodzenie miał Henry
Emerson Fosdick z Nowego Yorku, który jest tak niedo-
gmatyczny, że jego nauka nie mieści się w ramach żad-
nego kościoła (to też ten sam Rockefeller buduje specjalnie
dla niego wspaniały kościół w N. Yorku!), — a obok niego
rabin Stefan Wise z N. Yorku, jedna z największych powag
wśród żydostwa amerykańskiego i zarazem jeden z naj-
lepszych mowców w kraju.

Obok nabożeństw i kazań jak najbardziej liberalnych
w formie i treści, kościoły protestanckie starają się przy-
ciągać publiczność amerykańską przez inne, zgoła już poza

radycyjnemi ramami religji leżące funkcje: a więc stają się środkami rozlicznych organizacyj nietylko filantropijnych, le czysto towarzyskich. Oprócz szkółek niedzielnych, bibljoek, grup dyskusyjnych o przeróżnych, poczęści czysto wieckich zainteresowaniach, proboszczowie urządzają dla owarzystwa parafjalnego zabawy towarzyskie z kolacją tańcami w sali przy kościele, a wśród młodzieży tworzą lrużyny sportowe i gimnastyczne. Sala gimnastyczna i pływalnia, tak samo jak szereg pokojów klubowych, są dziś iezbędnemi częściami składowemi każdego nowopowstającego budynku kościelnego.

To zmieszanie działalności religijnej z różnemi sprawami wieckiemi, oraz wybitny udział duchownych protestanckich v każdej czysto świeckiej akcji społecznej, przyczyniają się v znacznej mierze do tego pierwszego wrażenia, które odosi każdy przybywający do Ameryki cudzoziemiec. Wydaje mu się mianowicie, że stanął w kraju, w którym religja więcej jeszcze ma znaczenia, niż gdziekolwiek indziej na wiecie. Na stoliku nocnym w każdym pierwszorzędnym otelu zastaje Biblję — dar towarzystwa „Gideonitów“, — v każdem uroczystszem przemówieniu na świeckiem zebraniu słyszy coś o Panu Bogu, na każdym bankiecie publicznym i prawie na każdem większem przyjęciu w domu prywatnym musi wysłuchać modlitwy przed jedzeniem, mniej lub więcej udatnie zastosowanej do okoliczności przez akiegoś obecnego duchownego. Wiece w sprawach społecznych i politycznych zaczynają się często od modlitwy kończą błogosławieństwem, przyczem role bywają czasem ozdzielone między duchownych różnych wyznań; tak samo bywa na akademjach i obchodach jubileuszowych. Ponad o wszystko obcy gość w Ameryce wciąż słyszy i czyta o ogromnych środkach, ofiarnie łożonych przez wielki

kapitał amerykański na wszelakie misjonarskie organizacje protestanckie we wszystkich częściach świata; dowiaduje się, że wielki eksperyment społeczny prohibicji doszedł do skutku głównie pod zjednoczonym naciskiem kościołów i sekt protestanckich i dziś ma w nich potężną ostoję; wreszcie słyszy wciąż dokoła zgiełk walki między „fundamentalizmem" czyli ortodoksją biblijną protestancką, a wolnomyślicielstwem. Walka ta przecież niewiele lat temu doprowadziła do ustawowego zakazu uczenia teorji ewolucji w szkołach stanu Tennessee i do głośnego „małpiego procesu" w mieście Dayton przeciwko nauczycielowi, co ośmielił się tę ustawę naruszyć.

Napozór więc jest sporo gorliwości religijnej i nawet fanatyzmu; z naiwnem roznamiętnieniem toczy się spory o tematy, nad któremi w Europie dyskusja już dawno przebrzmiała. Ale to wszystko kryje pod sobą w istocie szeroko rozpowszechnioną obojętność wobec dogmatów religijnych. Dość powiedzieć, że w Ameryce, gdzie panuje, jak wiadomo, zupełny rozdział kościoła od państwa i każdy kościół jest utrzymywany materjalnie przez grono swych czynnych wyznawców, dziś 50 miljonów ludzi, a więc blisko połowa ludności Stanów, do żadnego rejestru wyznaniowego nie należy i na żaden kościół ofiar nie łoży. W chwili, gdy piszę te słowa, pojawiły się właśnie na rynku księgarskim w Nowym Yorku dwie znamienne książki o historji religji, reprezentujące biegunowo przeciwne tendencje, a jednak ilustrujące jednakową zasadniczą postawę duchową. Jedna z nich (Ch. F. Potter: *The Story of Religion.* Simon & Schuster, N. York, 1929) jest dziełem tak liberalnego i toleranckiego modernisty protestanckiego, że z zaprezentowanej w niej galerji dwudziestu czterech twórców religij i sekt na przestrzeni stuleci właściwieby wynikało,

ż każda religja jest dobrą, zatem o żadną w szczególności walczyć nie warto. Druga książka znowu (J. Mc Cabe: *The Story of Religious Controversy,* Stratford Co., Boston, 1929) jest dziełem zdecydowanego sceptyka, przypisującego wszystkim systemom religijnym złe motywy i zgubne działanie. Znowu więc wynika, że żadną religją specjalnie przejmować się nie warto, bo wszystkie są z gruntu złe. Tak więc z przeciwnych stanowisk autorowie tych dwu książek dochodzą właściwie do jednakowej konkluzji. Jak słusznie zauważył E. S. Bates w swej dowcipnej recenzji obu dzieł w *Saturday Review of Literature* (N. York, 19. X. 1929), właściwie obie książki zgodnie świadczą o braku prawdziwego ducha religijnego w Ameryce dzisiejszej.

A jednak ta religijność, której w obu tych książkach brak, odpowiada pewnej zasadniczej potrzebie duszy ludzkiej i dlatego wciąż na nowo z żywiołową siłą przejawiać się musi. Pragnienie metafizycznych dogmatów i mistycznych zachwytów zawsze odzywać się będzie i szukać sobie źródeł zaspokojenia. Gdy w oficjalnym protestantyzmie wskutek jego zeświecczenia źródła te zaschły, gdy w duszach całej gromady prosperujących handlowców i przemysłowców samo pragnienie przycichło, wtedy ludzie pragnienie to odczuwający, szczególnie ludzie biedni, gorączką wzbogacenia nie zaabsorbowani, znaleźli sobie nowe źródła ekstaz religijnych w organizacjach sekciarskich. Ten sam wiek XIX, który jest okresem zaniku dawnej żarliwości religijnej w oficjalnych kościołach protestanckich Ameryki, stał się zarazem okresem niebywale bujnego rozwoju najprzeróżniejszych sekt w Stanach Zjednoczonych. Dziś nawet w małej mieścinie amerykańskiej znaleźć zawsze można kilka, lub nawet kilkanaście, domów modlitwy różnych wyznań. Dziś Ameryka, kraj absolutnej wolności religijnej, jest jedynym bodaj

krajem na świecie, w którym wciąż jeszcze powstają nowe religje.

O dziwactwach i osobliwościach sekt amerykańskich możnaby pisać tomy, wypełniając je szczegółami jakby z baśni tysiąca i jednej nocy. Słuchając opowiadań o tych sektach, często przypominałem sobie koszmarne zaiste, a jednak prawdziwe obrazy z życia sekciarzy rosyjskich w książkach Mielnikowa-Pieczerskiego „W lasach“ i „Na górach“. Sekty, apelujące pierwotnie do biedniejszej i ciemniejszej ludności, w wielu wypadkach stały się bogatemi i potężnemi społecznościami. Tak mormoni, ze swą dziecinnie naiwną doktryną objawienia i absurdalną ideologją społeczną, stworzyli w swej oddalonej pustynnej siedzibie, do której wyemigrowali, jeden z najbardziej kwitnących ośrodków przemysłowych miejskich na zachodzie Ameryki („Miasto nad Słonem Jeziorem“ — *Salt Lake City* — w stanie Utah). Tak w nowszych czasach sekta wyznawców „Wiedzy chrześcijańskiej“ *(Christian Science)*, stworzona przez utopistkę i szarlatankę, panią Eddy w Bostonie, właśnie dzięki swej niedorzecznej praktyce leczenia wyłącznie przez modlitwę przyciągnęła sporo klienteli z pośród ludzi bogatych, usiłujących bezskutecznie leczyć się na różne chroniczne choroby, i dziś jest może najbogatszą ze wszystkich grup sekciarskich w Ameryce: jej świątynie, zwykle budowane w greckim stylu kolumnowym, wyróżniają się okazałością, a jej organ, *Christian Science Monitor*, jest gazetą o światowej poczytności i ma rzeczywiście pierwszorzędnych korespondentów. Tak wreszcie, różni samodzielni przedsiębiorcy sekciarscy, urządzając objazdy po kraju i wiece religijne *(revival meetings)* w każdem mieście, często umieją przez efektowną retorykę i sensacyjne akcesorja swych nabożeństw wprawiać tłumy w stan szału, a przytem

kże podniecać ich ofiarność, i stają się bogatymi ludźmi. ynął niegdyś ze swych gwałtownych, roznamiętniających rzemówień, z dosadnego stylu, rozmyślnego prostactwa rubasznego humoru wędrowny kaznodzieja, Bill Sunday. ziś cieszy się ogromnemi sukcesami — także materjalnemi, postaci hojnych luksusowych podarunków od swych słuhaczy — kalifornijska zelantka, Aimée Macpherson, której natyczne deklamacje na temat rozpusty paryskiej niedawno biegały prasę. Jej działalność ponoć wziął za wzór znaomity satyryczny powieściopisarz, Sinclair Lewis, dla jedego z głównych epizodów w swej powieści *Elmer Gantry* 1926), która stanowi obfite muzeum jaskrawych karykatur zisiejszego życia religijnego w Stanach Zjednoczonych.

W zewnętrznych przejawach ducha sekciarskiego w Ameyce, jak w każdem ponoć sekciarstwie, mistyczny entujazm łączy się z rozdrażnieniem zmysłowem. Drażniąco ziałać na zmysły tłumu rozmyślnie się starają sami orgaizatorowie, wyposażając swe nabożeństwa w przeróżne rzyczące efekty kolorowe i świetlne, kostjumowe, dekoacyjne, widowiskowe, oratorskie, dramatyczne i muzyczne, rzyczem biorą do pomocy i scenę i kinematograf i granofon i radjo. Naśladują ich w tem, niestety, nieraz dla eklamy i dla pozyskania owieczek duchowni starszych poważniejszych wyznań protestanckich; w szczególności życie kinematografu w kościele stało się już dziś w Ameyce, a za jej przykładem nawet i w Anglji, rzeczą dość zęstą. Poza tem wszystkiem już leży ogromne pole roznaniętnienia erotycznego, którego potworności znamy tak lobrze z dziejów sekciarstwa rosyjskiego, a które i sekiarstwu amerykańskiemu bynajmniej nie jest obce; bo tam są ludzie, którzy wierzą jak Rasputin, że droga do zbavienia prowadzi tylko przez grzech. Psychika tłumu zawsze

i wszędzie ma pewne wspólne cechy, bez względu na pozio duchowy jednostek, z jakich dany tłum się składa, i pewn reakcje zawsze towarzyszyć muszą gwałtownym zbiorowy wzruszeniom.

Oczywiście, że skrajne objawy zelanctwa sekciarskieg muszą napełniać niesmakiem i odrazą umysły wybredniejsz To też dusze wybrane, szczególnie wśród młodzieży int ligentnej w Ameryce, raczej niż w odmęty sekciarstw rzucają się dziś w przeciwległą ostateczność i w sw ucieczce od gorliwości dogmatycznej posuwają się naw poza liberalizm i tolerancję oficjalnego protestantyzm Wśród takich umysłów znajduje zwolenników rozpowszech nione dziś po całej Ameryce „Towarzystwo Etyczne" *(Ethi cal Society)*, które jednoczy ludzi o wzniosłych ideałac moralnych, nie wymagając od nich uznawania żadnej wspól nej platformy metafizycznej. Rezultatem jest właściwie klu dyskusyjny o wysokim tonie — sam w nim chętnie w Chi cago przemawiałem, — ale trudno takie zrzeszenie uważa nawet za surogat religji.

Inni znowu garną się do świątyń wyznania, które zdawn skupiało w sobie elitę inteligencji amerykańskiej i dziś jed noczy wiele z najwybitniejszych umysłów. Tem wyznanien jest unitarjanizm, pochodzący w prostej linji od teg „arjanizmu", który znamy z dziejów kultury polskiej w XV i XVII wieku[1]). Unitarjanie nie należą w ścisłem słowa zna czeniu nawet do chrześcijan, bo nie uznają boskości Chry stusa. Są właściwie panteistami; Emerson był kaznodzieją uni tarjańskim. Nabożeństwa unitarjańskie i dzisiaj niewątpliwi

[1]) Rektor unitarjańskiego seminarjum teologicznego w Berkeley w Ka lifornji, profesor Earl Morse Wilbur, kilka lat temu spędził dłuższ czas w Polsce na badaniach nad historją swej religji, i jako ich rezulta wydał książkę *Our Unitarian Heritage* (Boston, Beacon Press, 1925).

› do filozoficznego natchnienia przemówień stoją najwyżej : wszystkich obrządków różnych wyznań w Ameryce; ale azania unitarjańskie, tak samo jak kazania w różnych kościołach protestanckich, przeradzają się niejednokrotnie ſ wykwintne konferencje o postronnych, czysto świeckich ematach bieżących[1]).

Taka nawskróś intelektualna religja może zadowalniać ieliczne stosunkowo jednostki o intensywnem życiu mózgoſem; ale inni będą zawsze szukali w religji wzruszeń uczuiowych, powiedzmy nawet dreszczów. Tacy, gdy zwykłe ›rmy sekciarstwa wydają im się zanadto spospolitowane rzez tłum, uciekają się niejednokrotnie do różnych egzoycznych religij Wschodu. Szczególnie ekscentryczni miljoerzy amerykańscy w ustronnych swych pałacach nad mozem lub w górach często budują świątynie buddystyczne, onfucjańskie, zoroastrjańskie i inne, i tam w szczupłem gronie ıtajemniczonych przyjaciół oddają się rozkoszom duchowego upojenia czarownemi tajemnicami tych prastarych ıierzeń. Niektórzy filozofujący obserwatorowie, na widok ej mody na religje Wschodu, snują nawet porównania mięlzy dzisiejszą Ameryką a cesarstwem rzymskiem w stuleiach jego upadku.

Zawcześnie ponoć na takie pesymistyczne porównania, ›o Ameryka jako potęga polityczna znajduje się jeszcze na lrodze wzwyż. Przepowiadać natychmiast można, jak to :zynią inni, że z tego zamieszania religijnego w dzisiejszej \meryce wyjdzie zwycięsko i z zyskiem jeden wielki, silnie

---

[1]) Takie konferencje, wielce uczęszczane, urządzali pod formą niezporów w niedzielne wieczory unitarjanie w Montrealu w Kanadzie; ich ambony przemawiała w mojej obecności z porywającym zapałem cudowną angielszczyzną urocza hinduska poetka, Madame Naidhu, o sprarie wolności Indyj.

skonsolidowany żywioł, który zaspokojenie pragnienio mistycznym dać może, a przytem modom żadnym nie ulegi Tym żywiołem jest katolicyzm. Katolików jest dziś w St nach Zjednoczonych 20 miljonów, — stanowią najliczniejsz ze wszystkich społeczność religijną, z którą żadne wyznan protestanckie liczebnością ani w przybliżeniu równać się ni może. To też grupy protestanckie z zazdrością patrzą n zwartość tego katolickiego bloku i bezskutecznie usiłuj połączyć się ze swojej strony w jakąś federację. Federac taka byłaby możliwa tylko na zasadzie najdalej posunięte wzajemnej tolerancji dogmatycznej, a taka zasada, z jedne strony, jest nie w smak zelotom sekciarskim, a z drugie osłabiałaby pozycję unji protestanckiej w porównaniu z nie złomną ścisłością i konsekwencją dogmatyczną katolicyzmu

Katolicyzm amerykański doniedawna miał tę słabą stronę że wśród zastępów swoich wyznawców liczył ogromne mas ciemnego i biednego emigranckiego elementu z różnycl krajów europejskich, i wskutek tego oblicze jego było naogół daleko mniej kulturalne, niż oblicze protestantyzmu Przykrzej też w jego łonie zaznaczała się ta komercjalizacj funkcyj duszpasterskich, która jest koniecznym wynikiem amerykańskiego systemu rozdziału kościoła od państwa W miarę jednak postępu oświaty i wzrostu dobrobytu wśród różnoplemiennego wychodźtwa katolicyzm amery kański zyskuje na niezależności materjalnej i powadze du chowej. Dziś Ameryka posiada cały szereg wysoko posta wionych uniwersytetów katolickich (np. w Chicago, Detroit Washingtonie), dużo doskonale wyposażonych seminarjów duchownych (polskie w Orchard Lake koło Detroit, a naj wspanialsze ze wszystkich, jakie widziałem, w Bostonie), — i sporo organizacyj dla badań naukowych pod sztandarem katolickim (np. „Catholic Historical Society“, wydające

cenne dokumenty z czasów kolonizacji hiszpańskiej). Czy szeregi katolików stale i znacznie się wzmagają przez dopływ z szeregów protestanckich, trudno orzec na pewno, zwłaszcza że ten dopływ prawdopodobnie się równoważy przez odpływ katolików przestających praktykować (szczególnie wśród młodzieży). W każdym razie stwierdzić można, że zrzeszenia specyficznie katolickie gromadzą jednostki o wysokiej kulturze, jak się o tem sam przekonałem, gdym przemawiał w Chicago na zebraniu katolickiego *Calvert Club* o historji religji w Polsce. Autorytet moralny i intelektualny katolicyzmu amerykańskiego zaznacza się już w stosunku do Watykanu, wobec którego katolicy amerykańscy występują dziś z pretensjami o większą reprezentację w kolegjum kardynalskiem i z innemi jeszcze, niemal „gallikańskiemi" ambicjami; a olbrzymi procentowy udział Ameryki w świętopietrzu daje tym postulatom silną materjalną podstawę. W życiu wewnętrznem amerykańskiem manifestacją potęgi duchowej katolicyzmu była pierwsza w historji kandydatura katolika na prezydenta — kandydatura Smith'a, którą, jak już wspomniałem, poparły najkulturalniejsze sfery w kraju — prezydenci całego szeregu uniwersytetów, — choć sam Smith jest człowiekiem bez wyższego wykształcenia i mówi wulgarną angielszczyzną. Niewątpliwie Ameryka w dalszej historji katolicyzmu w świecie przeznaczona jest do odegrania roli wybitnej, może nawet kiedyś górującej.

IX.

# Moralność.

W czasach panowania surowego kalwinizmu w Ameryce oczywiście i *moralność* była nader rygorystyczna. Jeszcze przez znaczną część XIX wieku ta tradycja purytanizmu obyczajowego górowała nad życiem amerykańskiem; problem walki ze złemi skłonnościami natury ludzkiej tak stale zajmował umysły, że nad niektóremi władał całkiem demonicznie: wybitnym przykładem jest największy może powieściopisarz amerykański, Natanjel *Hawthorne*, który w swych arcydziełach wciąż na nowo zmaga się z ponurą zagadką grzechu i dochodzi niemal do sekciarskiego poglądu, że droga do moralnego wyzwolenia człowieka prowadzi tylko przez spełnienie złego czynu.

Jak już zaznaczyłem, wzrastający dobrobyt przyniósł ze sobą pogodniejsze poglądy na życie, których wyrazem był humanistyczny optymizm Emersona. Ale bogactwa ery przemysłowej przyniosły z sobą także inną, mniej pożądaną zmianę. Walka konkurencyjna o te potężne zdobycze, jakie przemysł i handel dawały przedsiębiorczej jednostce, stała się bezwzględną, i w świecie interesów moralność przestała być hamulcem dla rozkiełznanej chciwości: każdy środek zniszczenia rywala był dobry, i dzieje zmagań między wielkiemi firmami o monopol w jednej i tej samej dziedzinie przemysłu poczęły obfitować w szczegóły natury kryminalnej.

Po tym okresie skrajnie amoralnych metod walki o byt przyszły zkolei i w tym względzie czasy łagodniejsze: rosnący ciągle dobrobyt otwierał coraz nowe możliwości wzbogacania się, pozwalając wszystkim „żyć i dawać żyć", nie wymagając już takiej „wojny wszystkich przeciwko wszystkim", jak dawniej. W historji wielkich przedsiębiorstw nadszedł okres fuzyj i trustów: przeciwnika, o ile był tylko nieco mniejszego kalibru, wykupywało się poprostu i włączało do własnego organizmu przemysłowego, nie potrzebując go unicestwiać dawnemi, srogiemi sposobami. Tylko w życiu największych potęg — jak np. dwa wielkie trusty naftowe — trwa dalej dawnym trybem walka bezwzględna. Ale i te potworne potęgi przyjęły, by tak powiedzieć, oblicze bardziej ludzkie dzięki faktowi, że weszło w Ameryce w zwyczaj składać część łupów z wojen konkurencyjnych w przemyśle na ołtarzu służby społecznej i nauki. Najwybitniejszym przykładem jest Rockefeller, który, zdobywszy olbrzymi majątek brutalnie bezwzględnemi metodami, stał się przez swą fundację prawdziwym dobroczyńcą całej ludzkości, a wśród innych i naszego narodu[1]). Za przykładem wielkich tuzów poszły także średniej wielkości firmy, i powstała, jak już miałem sposobność wspomnieć, szczególnie od czasów wojny, formalna moda łożenia hojnych datków na wszelakie instytucje naukowe i społeczne, religijne i dobroczynne. Mówiąc tu o moralności, powtarzam,

[1]) Nie jest może rzeczą powszechnie wiadomą, jak wiele bezpośrednio po wojnie pomoc rockefellerowska zrobiła dla naukowego wyposażenia wydziałów lekarskich naszych uniwersytetów, — jak wiele znaczy dla nas wspaniały rockefellerowski Instytut Higjeniczny w Warszawie, oraz szkoły pielęgniarstwa w Warszawie i Krakowie, — jak wiele wreszcie mają do zawdzięczenia Rockefellerowi nasi młodzi uczeni w zakresie nauk przyrodniczych i medycyny, których co roku kilku, przy pomocy stypendjów rockefellerowskich, wyjeżdża zagranicę.

że choć w tem zjawisku jest spora doza ambicji towarzyskiej i osobistej, musimy w niem jednak uznać i podziwiać przykład umoralnienia życia gospodarczego, musimy tu widzieć fakt przeniknięcia sfery interesów materjalnych pierwiastkiem idealizmu.

Drugim dodatnim i przykładnym objawem moralnym w Ameryce dzisiejszej jest dla mnie niewątpliwie panująca tam po dawnemu w całej pełni moralność pracy. U nas w Europie tę moralność w znacznej mierze podkopał nowszy rozwój społeczny i jego owoce — zorganizowana walka klas z jednej strony, a postępy etatyzmu z drugiej. W Anglji mogłem obserwować, jak potężne związki zawodowe zazdrośnie pilnują, by ich członkowie nie pracowali zbyt gorliwie i zbyt szybko, bo to nadmiernie wzbogaca przedsiębiorcę i powiększa bezrobocie; w Polsce znowuż na każdym kroku można obserwować, jak w licznych zakładach i urzędach państwowych za lichą, ale stałą płacę pracuje się stale, ale licho.

W Ameryce, z jej nieograniczonemi możliwościami, każda praca może otworzyć jednostce drogę na wyżyny dobrobytu; to też praca jest przyjmowanym bez kwestji powszechnym nakazem życiowym; nikt się nie wstydzi żadnej pracy, jaką chwilowo wykonywa, i każda praca jest naprawdę jednakowo szanowana. Praca jest moralnem podłożem całego porządku społecznego. Próżniactwo lub niedbalstwo w tym ustroju wydaje się taką niedorzecznością, że budzi tylko wzgardę i pośmiewisko, i nigdy nie spotyka się z pobłażaniem, tak niestety częstem u nas. Na „próżnujących bogaczy“ nikt się z jałową zazdrością nie ogląda, choćby dlatego, że wie dobrze, iż miljoner, jako kierownik swych przedsiębiorstw, pracuje może nawet więcej od robotnika i traktuje tę pracę jako służbę na ważnym posterunku

społecznym, któregoby nie porzucił. Praca w Ameryce jest rzeczywiście atmosferą życia.

Poza stwierdzeniem tego elementarnego i powszechnie znanego faktu chodzi mi jednak w tej chwili jeszcze o coś więcej. Chodzi mianowicie o zaznaczenie ducha, w jakim praca nawet na najbardziej podrzędnem stanowisku jest wykonywana. Otóż w Ameryce naogół bezsprzecznie staranie o maximum rzetelności, wydajności i sprawności w robocie jest dla pracującej jednostki nietylko aksjomatem moralnym, ale aksjomatem logicznym. Leży poprostu na linji jej własnego interesu.

Powierzchownemu obserwatorowi amerykańskiego życia przemysłowego wydawaćby się mogło, że tak nie jest. Ja sam, jak już wspomniałem, zwiedzając zakłady Forda, odniosłem wrażenie przygnębiające na widok monotonji mechanicznej i ściśle specjalizowanej roboty: wyobrażałem sobie, że taka praca musi być duchowo zabójczą i nie może w sobie zawierać pierwiastka zainteresowania i twórczej radości.

Otóż muszę wyznać, że zgoła nowe światło rzuciła na ten problem dla mnie i zapewne dla wielu innych czytelników europejskich wspomniana już przygodnie książka francuskiego robotnika, który pracował jako mechanik po kilka miesięcy w całym szeregu wielkich fabryk amerykańskich — między innemi także u Forda — i w nader zajmującej formie spisał swoje wrażenia. Dubreuil rozwiewa w swej książce cały szereg przesądów, które u ludzi bezpośrednio z pracą w przemyśle nieobznajomionych panują co do metod amerykańskich i co do pracy fabrycznej wogóle. Dowodzi więc przedewszystkiem, że monotonja powtarzanej przez szereg godzin jednej i tej samej roboty nie działa wcale tak przygnębiająco na samego robotnika,

jak na inteligenta, który się mu przypatruje; bo jednostajna robota daje sposobność do swobodnych rozmyślań, a ponadto, przy dzisiejszem wydoskonaleniu i wyspecjalizowaniu pracy maszynowej, zainteresowanie intelektualne jest w stanie ciągłego napięcia i robota nigdy nie staje się czysto mechaniczną. Powtóre, polemizując przeciwko utopistom, potępiającym wszelką maszynerję, Dubreuil tłumaczy, że postępująca mechanizacja produkcji jest nietylko fizyczną ulgą dla człowieka, ale daje niemniejsze pole do zadowolenia twórczego z dobrze udałego wyrobu, niż dawała praca średniowiecznego rękodzielnika. Co jednak najciekawsze, to że dowiadujemy się z książki Dubreuil'a, jak umiejętnie w wielkich zakładach przemysłowych amerykańskich wytwarza się i podtrzymuje u ogółu robotników inicjatywę w kierunku ciągłych zmian i ulepszeń w maszynerji, i jak starannie każdy pomysł tego rodzaju, wychodzący z szeregów robotniczych, bywa badany i wypróbowywany. Opisuje także Dubreuil szczegółowo, jak przy zastosowaniu metody Taylor'a i wyeliminowaniu pracy akordowej, przez metodyczną obserwację robotnika i umiejętną rejestrację rozmaitych wartości jego pracy budzi się w robotniku ambicja doprowadzenia tych wartości do najwyższego poziomu, dlatego że jest pewność, iż każda taka wartość będzie starannie uwzględniona i należycie wynagrodzona; a więc osobno szybkość w pracy, osobno precyzja i t. d. W ten sposób metoda Taylor'a w świetle niepodejrzanego świadectwa robotnika ukazuje się nie jako pańszczyzna i wyzysk, czem ją często mienią w Europie, ale jako system tworzenia wewnętrznych pobudek do jak najwydatniejszej pracy.

Wielu jeszcze innych rzeczy, przekreślających rozpowszechnione dotąd u nas mniemania, dowiadujemy się

z książki Dubreuil'a. A więc słyszy się często, że w Ameryce płace robotnicze naogół są rekordowo wysokie, ale tylko dla robotników kwalifikowanych, niekwalifikowani zaś płatni są znacznie gorzej. Dubreuil wykazuje cyfrowo, że tak nie jest, i że także praca niekwalifikowanego robotnika otwiera ponętne widoki na hojne wynagrodzenie, zatem wcale niemniejsze podtrzymuje w robotniku poczucie godności i odpowiedzialności.

Inna rozpowszechniona opinja, to że amerykański system zupełnie zamyka drogę do socjalizacji produkcji. Dubreuil wykazuje na szeregu konkretnych przykładów, że udział robotników w administracji przedsiębiorstw jest coraz większy i powszechniejszy, że zatem i z tej strony nie brak bodźca dla samopoczucia robotnika i dla zainteresowania go pracą, w której uczestniczy.

W całości więc otrzymujemy obraz niezmiernie umiejętnego przepojenia całego ogromu pracy przemysłowej, od najsubtelniejszych do najprostszych jej form, pierwiastkami godności ludzkiej, rozumowego zainteresowania i twórczej ambicji. Nie waham się powiedzieć, że tutaj widzę może największy triumf moralny kultury amerykańskiej; i wartości jego wcale nie zmniejsza fakt, że ten moralny rezultat został osiągnięty przez umiejętne wyzyskanie szczęśliwych warunków zewnętrznych, i poczęści materjalnemi środkami.

Ameryka jest wciąż jeszcze na dorobku, i ta okoliczność poniekąd tłumaczy wysoki poziom moralności pracy, o którym właśnie mówiłem. Ale Ameryka jest zarazem już dziś najbogatszem społeczeństwem na świecie, i tem tłumaczy się fakt, że przechodząc od moralności pracy do moralności życia w chwilach wolnych, znajdujemy się odrazu na poziomie znacznie niższym. Mówiłem już o tem,

ɛ amerykańskie społeczeństwo dziś przestało praktykować cenić cnotę oszczędności, i że system kupowania na raty rzyczynia się do sztucznego tworzenia coraz nowych otrzeb. Są to zjawiska ekonomiczne i z daną fazą ekonoıicznego rozwoju społeczeństwa ściśle związane. Ale tu ora wspomnieć o ich stronie moralnej. Zauważono w Euɔpie po wojnie, zarówno u starszego jak u młodszego okolenia, gwałtowną żądzę zabaw i uciech, oraz gorączowy niepokój, szukający wciąż nowych wrażeń i wzruszeń. rzypisywano to zjawisko reakcji po ciężkim okresie wojny, ɔzczarowaniu i brakowi ideałów przewodnich w nowej rze, to znowu wpływowi inflacji pieniężnej na psychikę ıas, — i wszystkie te czynniki miały niewątpliwie swoje ıaczenie. W każdym razie okazuje się, niestety, wyraźnie ziś po latach dziesięciu, że nie mamy do czynienia jedynie jakimś przelotnym szałem pierwszych lat powojennych, le ze stałą cechą rozpoczynającego się dłuższego okresu; szczególności fala rozwodów, nie objawiająca żadnej słonności do opadania, świadczy wymownie o głęboko ęgającym rozstroju nerwów i charakterów pośród dzisiejzych społeczeństw.

W Ameryce żaden z czynników, które wywołały ten stan mysłów w Europie, nie działał tak silnie jak u nas; ale zego nie dostało w ich nasileniu, to w dwójnasób skomensowała gorączka szybkiego postępu w dobrobycie; rezultatem jest, że tak samo w tej dziedzinie, jak w tylu ınych, Ameryka bije dziś wszystkie europejskie rekordy. Ostatecznego bodźca dodała powszechnemu rozdrażnieniu rohibicja, otaczając pijackie zabawy swoistym urokiem ıkazanego owocu. Dziś w Nowym Yorku, wieczorem, stoc na bruku rzęsiście oświetlonej dzielnicy teatralno-kabaetowej, wgórę od *Times Square*, jesteśmy otoczeni kaskadą

bardziej rozszalałej żądzy używania, niż gdziekolwiek w Pa
ryżu. Młodzież wiecznie snuje się nocami po klubach tanec
nych, a i starsi za nią podążają. Rodzina rozjeżdża się wiecz
rem w różne strony: o spędzeniu kilku godzin w domu n
rozmowie nikt nie myśli; jeżeli się nie ma gości lub ni
jest gdzieś zaproszonym, jeżeli się nie ma pieniędzy lu
ochoty na kabaret albo klub taneczny, to idzie się w ka
dym razie przynajmniej do kina, gdzie zresztą tak
w przerwach między filmami coraz więcej jest popisó
kabaretowych i baletowych. Wszystko to znane nam dobrz
i z Europy obrazki, i wiemy dobrze, że nie żyje tak ca
ogół, szczególnie na prowincji. Ale w Ameryce „prowincj
jest coraz mniej, a wielkich miast coraz więcej; cor
większy też jest procent ludzi, który sobie na te uciechy wi
czorne pozwolić mogą; z drugiej strony mniej niż w E
ropie ludzi, zdolnych i skłonnych wypełnić wolne godzin
rozrywkami duchowemi szlachetniejszego typu; wreszc
większy niż w Europie kontrast między temi nowemi fo
mami życia a dawną jego surowością i szarzyzną.

Ameryka XIX wieku w dbałości o mieszczańską prz
zwoitość dochodziła do tego samego stopnia obłudy, c
Anglja wiktorjańska; i dziś jeszcze echa tej obłudy czase
dość śmiesznie się odzywają, np. gdy niedawno po prz
byciu do Ameryki znakomitej kaznodziejki angielskiej, Mau
Royden, oburzano się na to, że ta głosicielka wysoki
ideałów — pali papierosy (co przecież Amerykanki sam
dziś czynią publicznie na każdym kroku, tak samo jak nas
panie!) Ale obok takiego faryzeuszostwa było w dawn
Ameryce, tak samo jak w mieszczańskiej Anglji XIX wiek
sporo rzetelnej dyscypliny moralnej, i były godne na
wyższego szacunku zorganizowane wysiłki nad tem, b
przyzwyczajać młodzież do godziwego i kulturalneg

spędzania wolnych godzin. Ośrodkiem takich usiłowań wychowawczych — poza domem rodzinnym — była przedewszystkiem Y. M. C. A. *(Yong Men's Christian Association*" — „Chrześcijański Związek Młodych Mężczyzn"[1]), instytucja czcigodna, dziś już blisko stuletnia, powstała w Anglji, w Ameryce potężnie rozrośnięta, a od wojny światowej głównie za sprawą działaczy amerykańskich w całym świecie rozpowszechniona. Y. M. C. A. opiekowała się tą liczną kategorją młodzieży w Anglji i Ameryce, która zaraz po ukończeniu szkół niższych szła pracować zarobkowo w handlu czy przemyśle i kończyła swą edukację umysłową i moralną na bruku wielkich miast. Ta młodzież, narażona na tysiączne niebezpieczeństwa duchowe, znajdowała w okazałych gmachach Y. M. C. A. szlachetne i cywilizowane formy rozrywki w zwykłych ramach anglo-amerykańskiego życia klubowego, znajdowała obfitą sposobność do ukochanych przez Anglika i Amerykanina sportów i ćwiczeń fizycznych, wreszcie znajdowała wszelakie kursa wieczorne, dające jej możność uzupełnienia swego wykształcenia i przez to polepszenia swego bytu.

Będąc czynnie zaangażowany w powojennej rozbudowie Y. M. C. A. na naszym gruncie, jako polskiej instytucji narodowej, doznałem i w Ameryce ze strony tamtejszej organizacji życzliwego przyjęcia i pewną ilość moich odczytów publicznych o Polsce pod egidą Y. M. C. A. odbyłem. Po pierwszych zachwytach nad ogromem i wspaniałością urządzeń tej instytucji po wielkich miastach

---

[1]) Analogiczna instytucja kobieca *Young Women's Christian Association (Y. W. C. A.)* również jest ogromnie rozwinięta dziś i w Anglji i w Ameryce i również posłużyła za wzór dla podobnych organizacyj w innych krajach.

amerykańskich rychło się przekonałem, że popularność Y. M. C. A. w Ameryce mimo wielkich usług, oddanych przez to zrzeszenie żołnierzom wojny światowej i jej ofiarom, jest dziś znacznie zmniejszona. Jak z łatwością można było stwierdzić, złożyły się na to różne przyczyny. Przedewszystkiem powojenna ekspansja Y. M. C. A. na wiele nowych terytorjów europejskich i pozaeuropejskich pociąga za sobą olbrzymie wydatki, i wskutek tego Y. M. C. A., zawsze żyjąca z kwestarstwa, z większą niż kiedykolwiek natarczywością szturmuje do kieszeni bogatszych współobywateli; a ponieważ na te kieszenie w erze powojennej mnóstwo jest ataków ze strony innych instytucyj oświatowych i filantropijnych — więcej niż kiedykolwiek przed wojną, — nie dziw, że budzi się pewna reakcja, zazwyczaj przybierająca formę protestów przeciw rozciąganiu działalności Y. M. C. A. na kraje pozaamerykańskie. Powtóre, Y. M. C. A., założona na platformie ideologji protestanckiej i zawsze na tej platformie prowadzona, właśnie dlatego musiała wejść w kolizję z rozrastającym się ruchem katolickim w samej Ameryce, a także z tradycjami religijnemi — katolickiemi czy innemi — krajów, do których po wojnie wkroczyła. O ile takie kolizje we wielu krajach obcych przez unikanie pozorów misjonarstwa[1]) udawało się uchylić, o tyle w Ameryce katolicy poczęli bardziej niż przedtem od Y. M. C. A. stronić, popierając własną organizację podobnego typu, pod nazwą „Rycerzy Kolumba". Dawniej sporo katolickich synów biedoty emigranckiej

---

[1]) W Polsce w szczególności działacze amerykańscy Y. M. C. A., organizujący nasze ogniska, wstrzymywali się od wszelkiej propagandy religijnej protestanckiej, czego zresztą stale pilnują polskie rady nadzorcze, złożone przeważnie z katolików.

różnych narodowości dochodziło do wyższego wykształcenia przez pośrednictwo prowadzonej przez Y. M. C. A. szkoły wyższej, *International College* w Springfield (stan Massachusetts); i dziś, jak się z okazji odczytu w tej szkole przekonałem, nie brak tam takiej klienteli, ale wśród żywiołu katolickiego w życiu społecznem wielkich miast — szczególnie wśród katolików pochodzenia europejskiego — mało jest takich, którzyby działalność Y. M. C. A. otwarcie i czynnie popierali. Tak samo i wśród Żydów — mających również już swoją osobną organizację podobnego typu *(Young Men's Hebrew Association)*, jednostki jak p. Rosenwald w Chicago, fundator wspaniałych gmachów Y. M. C. A. dla młodzieży murzyńskiej (np. w Buffalo), należą raczej do wyjątków.

Ale ważniejszy może od wspomnianych dwóch jest inny, trzeci jeszcze powód zmniejszonej dziś popularności Y. M. C. A. w Ameryce, i ten się ściśle kojarzy z przedmiotem niniejszego rozdziału. Jak już mianowicie miałem sposobność wspomnieć, wśród młodzieży amerykańskiej budzi się dziś i szeroko rozpowszechnia reakcja przeciwko wszystkim ideałom życiowym i całemu poglądowi na świat minionej doby. Szerzy się niezadowolenie z ciasnoty ewangelji business'owej i z jednostronności wiary w powodzenie materjalne, jako jedyne kryterjum męskości charakteru i mądrości życiowej. Otóż przedstawiciele tych tendencyj krytycznych oskarżają Y. M. C. A. o to, że instytucja ta, popierana pieniężnie głównie przez magnatów przemysłowych i handlowych, zanadto jest na usługach kapitalistycznego na świat poglądu, że jednostronnie i szablonowo urabia typ człowieka, dążącego po utartej drodze ambicyj gospodarczych i tępo zadowolonego z istniejącego porządku rzeczy, mimo wszystkich krzywd społecznych i niedomagań kulturalnych, jakie ten porządek w sobie zawiera.

Z punktu widzenia generacji, szukającej dla społeczeństwa amerykańskiego nowych i szerszych widnokręgów intelektualnych i moralnych, nie można odmówić pewnej słuszności tym skargom na program Y. M. C. A., jako przestarzały i po mieszczańsku zacieśniony. Przedewszystkiem jednak w danym momencie można w nich widzieć wyraźny symptom tego fermentu, kryzysu, a nawet poniekąd chaosu moralnego, jaki Ameryka dziś przeżywa. Jeżeli maksymy wychowawcze Y. M. C. A. są w niezgodzie z dzisiejszemi teorjami postępowej, „wolnej“ i „indywidualnej“ pedagogiki, to jeszcze bardziej są w niezgodzie z nastrojem moralnym mas dzisiejszej młodzieży amerykańskiej. Na miejsce tej dyscypliny charakteru, którą krzewiła Y. M. C. A. i w Anglji i w Ameryce, staje dziś w umysłach młodszej części narodu górujący postulat „wyżycia się“, pełnego rozwinięcia swej osobistości; a na miejsce tej męskiej rezerwy, którą w młodem pokoleniu hodowano i która niewątpliwie nieraz przeobrażała się w skrajną obłudę, dzisiaj ideałem jest „szczerość“, która znowuż równie łatwo przeradza się w cynizm.

Najlepiej to „przewartościowanie wszystkich wartości“ moralnych przez dzisiejsze pokolenie ilustruje, jak zwykle, literatura, i ta znowuż najwyraźniej przez swój stosunek do jednej kategorji problemów, mianowicie do problemów erotycznych. Powieść amerykańska, dawniej nacechowana tą samą pruderją, co angielska, dziś narówni z angielską sili się ostentacyjnie na otwartość w traktowaniu rzeczy płciowych, i przewyższa w tym względzie francuską, jak się o tem snadnie przekonać można choćby z niezmiernie poczytnych dziś wśród młodszej inteligencji amerykańskiej powieści Sherwood Anderson'a (*Winesburg, Ohio; Poor White,* i inne). Poza powieściami, różne mniej

lub więcejfilozoficzne, socjologiczne i psychologiczne książki, o tematach z zakresu zagadnień płciowych, zawsze znajdują mnóstwo chętnych czytelników.

Zarzucając rynek księgarski obfitością takich produktów, literatura nietylko przez wzmożoną podaż odpowiada na wzmożony popyt, ale zarazem pełni swą odwieczną funkcję „zwierciadła życia“. Patrzącemu na samo dzisiejsze życie amerykańskie istotnie wydawać się musi, jakoby erotyzm, długo sztucznie tłumiony a przynajmniej ukrywany, owładnął teraz społeczeństwem z tem większą, demoniczną siłą. Nie tamuje go ani powszechne przyzwyczajenie do sportów, ani tolerancja, jaką się powszechnie przyznaje objawom czułości na zebraniach towarzyskich młodych ludzi i panien. Utarł się nawet zabawny zwrot *petting party* („przyjęcie z karesami“) jako określenie typu zebrań, na których tego rodzaju czułości są niejako oficjalnie dopuszczone; a w ostatnich czasach coraz częściej — szczególnie w świecie studentów i studentek — określa się te jawne czułości dosadniejszem słowem *necking* („obejmowanie się za szyję“). Jak daleko posuwają się one za kulisami, tego wolno się tylko domyślać, widząc często pod wieczór, gdzieś w ustronnej okolicy przy drodze stojący samotnie zamknięty samochód o pogaszonych światłach; bo i w tym względzie samochód zaczyna w Ameryce zastępować wiele innych starszych urządzeń europejskich. Przechodząc od młodzieży do starszego społeczeństwa, wspomnijmy o znanym dawno fakcie, że rozwody w Ameryce stają się coraz powszechniejsze i łatwiejsze. Już przed wojną niektóre stany — tak zwane *easy divorce States* — łatwością rozwodów w swem ustawodawstwie małżeńskiem biły wszystkie rekordy europejskie: np. stan Nevada i jego stolica, miasto Reno, słynęło jako ulubione miejsce wycieczek

dla ludzi, spragnionych łatwego rozwodu. Po wojnie w Ameryce, jak zresztą i w Europie, ruch rozwodowy niepomiernie się spotęgował: bogatsi Amerykanie ze szczególną dogodnością uzyskują rozwody przez pobyt w Paryżu, gdzie też ciągle wielkie mnóstwo takich spraw amerykańskich się toczy i sporo adwokatów już wyłącznie w nich się specjalizuje. W Ameryce samej nawet w tych wypadkach, gdy rodzina się nie rozpada, bardzo często właściwie nic z niej nie pozostaje, prócz materjalnego faktu współżycia pewnej grupy osób w tem samem mieszkaniu lub domu.

W szczególności w dziedzinie życia rodzinnego daje się odczuć brak więźby moralnej między rodzicami a dorastającemi dziećmi. Szkoła dzisiejsza, ze swym nader szerokim zakresem działania, wyjmuje z rąk rodziców bardzo wiele zadań już nietylko wykształcenia, ale i właściwego wychowania, — i rodzice chętnie się ich pozbywają. Ponadto dzisiejsza szkoła amerykańska opanowana jest przez daleko posuniętą, postępową dążność do traktowania młodej istoty jako samodzielnej zupełnie jednostki ludzkiej (w czem, mojem zdaniem, często dochodzi do błędu i przesady, sprowadzając *ad absurdum* samą ideę wychowania). W każdym razie rezultatem jest, że młodzież amerykańska ani w domu ani w szkole nie nabywa krzty poszanowania dla doświadczenia i autorytetu starszych. Dzieci tak rozpuszczonych, młodzieży tak zupełnie nie myślącej o kierowaniu się radą czy powagą starszych, niema dziś chyba w żadnym innym kraju.

Ale nie tu leży istota niebezpieczeństwa. Niewątpliwie ma to swoje dobre strony, że i dom i szkoła są dziś w Ameryce (a w znacznej mierze i w Europie) takim rajem swobody dla dzieci. Niewątpliwie „wolne wychowanie“ ma tę zaletę, że wcześnie budzi poczucie odpowiedzialności za siebie w życiu. Ale przesada w wyrabianiu samodzielności

ma tę wadę, że gdzie niema uznanego autorytetu, tam może braknąć także niezbędnego w życiu panowania nad sobą, może zgoła zaniknąć zmysł społeczny i rozwinąć się psychika rabunkowa, gotowa do zbrodni. Tę groźbę w całej jej potędze ukazał kilka lat temu jeden z najznakomitszych dzisiejszych pisarzy amerykańskich, Teodor Dreiser, w swem obszernem dziele powieściowem *An American Tragedy*. Czerpiąc swój temat z autentycznej kroniki wypadków bieżących, a wzorując się pod względem literackim na nieśmiertelnym utworze Dostojewskiego *Wina i kara*, Dreiser opowiada nam historję młodzieńca amerykańskiego, który od nieudolnych rodziców — wędrownych misjonarzy ulicznych — nie otrzymał prawie żadnego głębszego wychowania, prócz spospolitowanych formuł religijnych. Znalazłszy się w domu bogatych krewnych, bohater Dreisera popada pod urok dobrobytu materjalnego i opanowany jest, jak tylu innych młodych ludzi dnia dzisiejszego, całkowicie pragnieniem użycia i snobistyczną żądzą stanowiska towarzyskiego w świecie bogaczy. By sobie utorować drogę do świetnego małżeństwa, przyprawia o śmierć swą ubogą kochankę, i zato wkońcu musi na podstawie wyroku sądu dać życie. Powieść — szczególnie w opisie dojrzewania zbrodniczego pomysłu i w przewlekłym obrazie rozprawy sądowej i stracenia — jest niewymownie dręczącą lekturą; ale właśnie dlatego wywiera głęboki moralny efekt, który może wcale nie leżał w świadomych intencjach autora. Jeżeli o dziele Dreisera i o tych dzisiejszych stosunkach obyczajowych, które są jego tłem, tak szeroko się tutaj rozpisałem, to dlatego, że każdy Europejczyk, patrząc na obecny ferment amerykański i pamiętając o tem, co się w domu dzieje, musi sobie z poważną troską powiedzieć: *Tua res agitur.*

X.

# LITERATURA.

Francuski robotnik Dubreuil, wynosząc z Ameryki wielki podziw dla jej kultury technicznej, demokratyzmu i dobrobytu materjalnego, stara się w swej książce odeprzeć zarzut, że Ameryka w kulturze umysłowej nie dokonała jeszcze tak wielkich rzeczy jak Europa, i w tym celu bardzo słusznie tłumaczy, że pierwszy okres rozwojowy narodu amerykańskiego dopiero się zakończył, że przez ustawy antyimmigracyjne dopiero zamknęły się drzwi za temi falami różnoplemiennej ludności europejskiej, co przez trzy stulecia napływały, by zaludnić Amerykę; że przez te trzy stulecia dokonano ogromnych elementarnych zadań zdobycia, uprzystępnienia i zasiedlenia całego kontynentu; że naród amerykański jako jedność duchowa jest dopiero w okresie konsolidacji i wstępuje w epokę, w której na fundamencie stworzonej kultury materjalnej zbuduje wielkie dzieła myśli i sztuki.

Te oczywiste prawdy należy mieć przed oczyma, zastanawiając się nad twórczością duchową Ameryki. W odniesieniu do literatury w szczególności taki historyczny pogląd na rzeczy jedynie może dopomóc do znalezienia właściwej drogi pośredniej między krótkowzrocznemi i aroganckiemi opinjami tych Europejczyków, którzy sądzą, że Ameryka dotychczas niczego wielkiego w literaturze nie wydała, a mesjanistycznym entuzjazmem tych Amerykanów,

którzy uważają swą literaturę za jedną z największych na świecie i zapełniają liczne grube tomy nazwiskami autorów i tytułami dzieł.

Naturalnie, że do literatury w wyższem znaczeniu słowa zaliczyć nie można ani obfitości kalwińskich traktatów teologicznych, produkowanych na ziemi amerykańskiej przez wiek XVII i XVIII, ani z drugiej strony powodzi efemerycznych powieści i sztuk teatralnych, w które Ameryka w wieku XIX i XX obfituje niemniej od Europy, — i wyliczanie mnóstwa takich rzeczy przez pracowitych historyków literatury amerykańskiej świadczy tylko, że Amerykanie i w tę dziedzinę skłonni są przenosić swoje przyzwyczajenie do myślenia ilościowego raczej, niż jakościowego.

Ale odgarnąwszy to wszystko nabok, stajemy wobec niezaprzeczonego faktu, że Ameryka miała już w swych dziejach jeden okres prawdziwie wielkiej twórczości literackiej. Okres ten przypada na pierwszą połowę XIX wieku, gdy nowozdobyta niepodległość Stanów Zjednoczonych była naprawdę ustalona i w starych terytorjach Nowej Anglji zapanował na kilka dziesięcioleci pewien statyczny typ kultury, pomyślny dla refleksji i dla odzwierciedlenia życia w sztuce. Na konflikt z Południem jeszcze się nie zanosiło; ekspansja na zachód nie była jeszcze tak żywiołowa, jak później po odkryciu kopalń złota w Kalifornji; rolnictwo jeszcze kwitło na wschodzie; rozwój przemysłu i rozrost wielkich miast nie stały się jeszcze tą gorączką, która miała później pochłonąć najlepsze energje ludności; na ambicje tworzenia odrębnej cywilizacji było jeszcze za wcześnie, a poczucie żywotnej jedności z kulturą europejską było dość silne, by dawać twórcze natchnienia. Wtedy to, jak już wspomniałem, pojawił się

największy z myślicieli amerykańskich, Ralph Waldo Emerson, i starał się skojarzyć młodzieńczy optymizm duszy amerykańskiej z panteistycznemi syntezami romantycznego idealizmu europejskiego.

Obok Emersona David Henry Thoreau, natchniony przez mistyczny kult natury takich europejskich romantyków, jak Rousseau, Wordsworth i Novalis, opowiedział w *Walden* historję duchową swego pustelniczego żywota na łonie dziewiczej przyrody lasów i jezior Nowej Anglji i ukazał Amerykanom, jak dobroczynnie na ducha ludzkiego działać może ta bogata i urocza przyroda ich kontynentu. Nie jest wcale dowolnością przypuszczać, że przez twórców dzisiejszych wspaniałych parków narodowych amerykańskich przemawia przypomnienie nauk tego wielkiego samotnika.

Inne jeszcze ogniwo, niż Emerson i Thoreau, tworzy między Ameryką a romantyzmem europejskim magiczny a zgasły przedwcześnie genjusz — Edgar Allan Poe. On w swych niesamowitych opowieściach dał Amerykanom prawdziwie meteoryczne objawienie tego, co w ruchu romantycznym europejskim najoryginalniejszego stworzyła jedna z jego naczelnych tendencyj — gloryfikacja fantazji. I dał to objawienie również w postaci typowo narodowej, bo z jego niesamowitych opowieści bije amerykańskie upodobanie do rekordów, amerykańska intensywność kwantytatywnego myślenia i matematyczno-inżynierski charakter amerykańskiej wyobraźni.

Z głębi historycznej ducha amerykańskiego się wyłania, a jednak zarazem z najistotniejszemi zagadnieniami cywilizacji europejskiej rdzennie się łączy twórczość drugiego mistrza opowieści w tej wielkiej epoce: Nathanael Hawthorne, jak już zaznaczyłem, w swych trzech arcydziełach

powieściowych *The Scarlet Letter, The House of the Seven Gables* i *The Marble Faun* zmaga się z zagadką złego tak samo, jak jego przodkowie kalwińscy zmagali się z mocą szatana, a dochodząc w zapamiętałem pragnieniu moralnego wyzwolenia niemal do sekciarskiej doktryny „zbawienia przez spełnienie winy“, staje się zarazem dalekim poprzednikiem dzisiejszych teoryj Freud'a i pokrewnych mu myślicieli.

Jeżeli w Edgarze Allanie Poe i Natanjelu Hawthorne literatura amerykańska wzamian za skarby duchowe, dobyte z historycznej tradycji europejskiej, oddała Europie i całemu światu prawdziwie wielkie i żywotne wartości artystyczne, to w innych znakomitych pisarzach owej bohaterskiej ery piśmiennictwa amerykańskiego możemy dziś uznawać tylko utalentowanych pośredników, przenoszących na grunt amerykański formy i treść ideową wiekowego dorobku europejskiego, — ale też właśnie dlatego musimy ich wysoko cenić jako mężów wielce zasłużonych około sprawy jedności kultury ludzkiej. Około najstarszej wszechnicy amerykańskiej, Uniwersytetu Harvard, grupują się w tym czasie tacy odtwórcy starych form literackich europejskich w Ameryce, jak wykwintny prozaik, profesor anatomji Oliver Wendel Holmes, który przeszczepia na drzewo kultury amerykańskiej finezję stylistyczną i bogactwo myślowe essaistyki francuskiej i angielskiej XVII i XVIII w., — jak poeci James Russell Lowell i Henry Wadsworth Longfellow, który spopularyzowali w Ameryce rytmy i fabuły romantycznej poezji średniowiecza europejskiego.

Ale groteskowa fantazja, akademicka abstrakcja, historyczny eklektycyzm, były zbyt odległe od rzeczywistego życia amerykańskiego, które tymczasem jak wezbrana rzeka poczęło rwać naprzód wdal. Z wagabundzkich wędrówek

po olbrzymich przestrzeniach rozwijającego się kraju, z próżniaczych godzin pożycia ze światem zwierzęcym i roślinnym, ze zbratania z cierpieniem ludzkiem wśród okropności wojny domowej, wyrosła twórczość tego najbardziej nieokiełznanego genjusza literackiego Ameryki, któremu na imię Walt Whitman. W szumiących nieskończenie kaskadach swojej bezkształtnej rytmicznej prozy, w nieprzerwanych potokach wykrzyków i wyliczeń, starał się przelać na papier całą pełnię bujnego młodego życia, które go otaczało, i zlać ją w całość z rytmem życiowym świata. Z gorącym patrjotycznym zachwytem dla wielkich przeznaczeń rozrastającej się ojczyzny łączy żywiołowe poczucie braterstwa z całym ogółem ludzi, żywiołowe poczucie jedności z całą żywą przyrodą. Opętany duchem kosmicznej miłości, wychodzi daleko poza granice wszelkich konwencyj literackich i poza moralne szranki złego i dobrego. Kwintesencją jego myśli jest optymistyczna afirmacja bytu, a więc inną zgoła drogą dochodzi do tego samego celu, co Emerson, którego filozofja, jak sam mówił, „przebudziła jego duszę".

Z tą samą żywiołowością, co Whitman — tak głośny dziś w świecie literackim Europy — przemawiają dwaj jego współcześni, obaj późno po śmierci dopiero właściwie odkryci i przez dzisiejszą krytykę amerykańską słusznie stawiani wysoko. Herman Melville w swej długiej powieści *Moby Dick* (1857), niedawno u nas przetłumaczonej przez J. Sujkowską, pod gigantycznym symbolem zaciekłego polowania na białego wieloryba przedstawił całą tragiczną treść czynnego życia ludzkości — zmaganie się człowieka z wrogim żywiołem świata, w którym przeznaczono mu działać. Najtajniejszym zagadkom życia i śmierci równie śmiało zagląda w oczy Ambrose Bierce w swych

iście magnetyzerskich nowelach: to jakby Poe nowej ery, już nie fantastyczny romantyk, ale nawskróś realista, do szpiku kości na całe życie przejęty grozą wspomnień z wojny domowej, i sam dreszczem grozy nas przejmujący przez nieubłaganą ścisłość logiczną swych okrutnych, groteskowych pomysłów.

Takie wybuchy twórczego uniesienia towarzyszyły pierwszym wybuchom nowej przedsiębiorczości narodu w tej większej Ameryce, jaka powstawała około połowy XIX wieku. Ale niebawem huk potężniejącego nowego świata przemysłowego całkowicie przygłuszył głosy muz. Nastał długi okres, w którym literatura zdaje się mieć tylko jedną funkcję, przytakiwania wielkiemu procesowi rozwoju gospodarczego i wyrażania zadowolenia z postępów dobrobytu. W tym okresie dusza wielka i pełna rzewnej zadumy nad ironjami losu, Mark Twain, objawiwszy w swych autobiograficznych powieściach *Tom Sawyer* i *Huckleberry Finn* prawdziwie dickensowską miłość natury ludzkiej, musi w innych swych dziełach bawić publiczność mechanicznem błaznowaniem i nawet wykrzywiać swe szlachetne oblicze w tanich drwinach nad staremi świetnościami cywilizacji europejskiej. A inny, niemniej znakomity umysł, Henry James, szuka nawet zbawienia w ucieczce z ojczyzny; wśród omszonego przepychu kultury angielskiej, bezskutecznie usiłując zżyć się z nią całkowicie, pędzi prawdziwie tragiczny żywot; w swych subtelnych aż do zawiłości i manieryzmu powieściach kreśli wprawdzie wizerunki Amerykanów i Amerykanek, ale na tle Europy i z perspektywy europejskiej, posługując się techniką psychologiczną, nabytą w szkole wielkich mistrzów francuskich.

Podobnie jak James, na dobrowolne dożywotne wygnanie z ojczyzny skazali się w erze rozpanoszenia dążeń

czysto materjalnych znakomici malarze amerykańscy James Mac Neill Whistler i John R. Sargent, by zasłynąć w dziejach malarstwa europejskiego, pierwszy jako jeden z mistrzów impresjonizmu, drugi jako największy angielski portrecista swojego wieku. Sargent, już jako mąż o światowej sławie, zwrócił się, jak to czasem bywa w takich wypadkach, „z nad brzegu grobu sercem ku kołysce“ [1]) i ozdobił rodzinny Boston wspaniałemi freskami, które przejezdny Europejczyk podziwia dziś w przedsionku publicznej bibljoteki bostońskiej. Ale z tem wszystkiem, choć ogromną obfitość ich dzieł dziś oglądać można w zbiorach amerykańskich, Sargent i Whistler pozostają malarzami rdzennie europejskimi, tak jak europejskim nawskróś pisarzem stał się, w długich latach swojego smutnego wykorzenionego żywota, Henry James.

Tak to era powodzeń materjalnych i powszechnego zadowolenia stała się erą tragedji dla wielkich duchów i zmierzchu dla literatury. Nowy impuls literaturze amerykańskiej dało dopiero niezadowolenie. Jak już powiedziałem gdzie indziej, niezadowolenie jest tym ostatecznym zbytkiem, na który sobie wzbogacone społeczeństwo amerykańskie może dziś pozwolić, — a po wojnie jest fermentem, przenikającym całą umysłowość młodszej generacji. Powietrze amerykańskie jest dziś pełne głosów protestu i krytyki przeciwko dogmatom ery uprzemysłowienia, a literatura w najwybitniejszych swych utworach pełna jest zacięcia satyrycznego. Światowy rozgłos szybko sobie zdobywa znakomity satyryczny powieściopisarz, Sinclair Lewis — można powiedzieć, że nawet ze szkodą dla opinji

[1]) Temi pięknemi słowy określił wielki powieściopisarz Galsworthy tęsknoty Conrada za Polską w ostatnich latach jego życia.

swojego kraju, bo Europa skłonna jest brać nazbyt dosłownie jego karykaturalne obrazy życia amerykańskiego. W każdym razie, dzięki jego niepospolitej werwie pisarskiej, z prawdziwą rozkoszą śledzimy, jak w *Main Street* chłoszcze kołtuństwo małomiejskie, a w *Babbitt* kołtuństwo rozrastających się miast większych; w *The Goose Step* szablonowość wyższego wykształcenia w Ameryce, a w *Arrowsmith* szarlatanerję lekarzy i reklamiarstwo wielkich instytutów badawczych; w *Elmer Gantry* obłudę duchowieństwa sekciarskiego i przemysł religijny kaznodziejów wędrownych; w *Dodsworth* snobizm i nicość moralną podróżujących po Europie, pseudo-inteligentnych bogatych Amerykanek. Wszędzie widzimy rzetelną chęć zdobycia jakichś trwalszych podstaw dla ideologji okresu nadchodzącego, i przynajmniej w *Arrowsmith* to pragnienie wciela się w sposób wzruszający w postać starego i opryskliwego, ale naprawdę twórczego badacza.

Obok Lewis'a najwyższe miejsce dziś bezsprzecznie zajmuje Theodore Dreiser, dzięki wspomnianej już swej epopei prozą *An American Tragedy*, przedstawiającej w tak pomnikowy sposób moralny problem dzisiejszej młodzieży amerykańskiej. W innych swych utworach — z których najwybitniejszy jest może *The Financier*, — Dreiser, podobnie jak Sinclair Lewis, tylko z większą powagą, uderza na bożyszcza ery ultra-kapitalistycznej.

Jako trzecie, obok Lewis'a i Dreiser'a, nasuwa się obserwatorowi europejskiemu nazwisko H. L. Mencken'a, który współdziała z ich dążeniami przez kampanję essaistyczno-publicystyczną, prowadzoną przeważnie na łamach miesięcznika *The American Mercury*, a ponadto w pełnych błyskotliwej ironji książkach, jak *In Defence of Women* („W obronie kobiet"). Pod nagłówkiem *Americana* Mencken

w swem piśmie z rasową zjadliwością kolekcjonuje zdumiewające zaiste kwiatki kołtuństwa burżuazyjnego i fanatyzmu sekciarskiego z obskurnych dzienników prowincjonalnych.

Żeby zaś nie zbrakło żadnego z tych akcentów powojennego *Weltschmerz'u* i rozczarowania, do jakich przywykliśmy w beletrystyce europejskiej lat ostatnich, to wspomnijmy, że Ameryka wydała już także swojego Remarque'a. Jest nim Ernest Hemingway, który w swojej powieści *A Farewell to Arms* (1929) w bezlitośnie zwięzłych słowach i krótkich zdaniach skreślił przeżycia młodego amerykańskiego lekarza-ochotnika na froncie włoskim wielkiej wojny i skonstruował jego idyllę miłosną z angielską siostrą miłosierdzia, — idyllę zakończoną nagle i okrutnie przez śmierć ukochanej, jakby dla zaznaczenia, że w tych strasznych latach wszystko, co się z ludźmi działo, musiało przybierać tragiczny i okrutny obrót.

Jeżeli w twórczości beletrystycznej zarówno jak publicystycznej przytoczonych dotąd, głośnych i typowych amerykańskich pisarzy powojennych przeważa duch negacji i krytyki, to trzeba jednak zaznaczyć, że coraz więcej w dzisiejszej literaturze powieściowej amerykańskiej rozlega się także głosów pozytywnych, wielbiących nowe i odmienne ideały i nawołujących do wywyższenia ich ponad dawne. Te nowe ideały są poczęści stare jak świat — jak natura ludzka i jak kultura ludzka, — bo w tych dwóch dziedzinach przeważnie tkwią swemi korzeniami. Twierdzenie to niech zilustruje kilka przykładów z historji powieści amerykańskiej w ostatnich czasach[1]).

---

[1]) Obszerny obraz całokształtu produkcji powieściowej amerykańskiej w ostatnich dziesięcioleciach dał Régis Michaud w swej znakomitej pracy: *Le Roman américain d'aujourd'hui.* (Bibliothèque de la Revue des cours et conférences). Paryż, Boivin, 1926.

Po pierwszy z nich sięgnijmy do dzieła jeszcze z ostatnich lat przedwojennych, którego sława bynajmniej nie przebrzmiała, lecz raczej się ustaliła. Oto wybitna powieściopisarka, pani Edith Wharton, w potężnej noweli *Ethan Frome* (1909), która jest arcydziełem skupionej siły wyrażenia, daje obraz życia nieszczęśnie zwichniętego przez tragedję miłosną i umie wśród społeczeństwa, rozkochanego w czynie i w powodzeniu, obudzić współczucie i podziw dla biernego bohaterstwa rezygnacji i poświęcenia. *Ethan Frome* był jeszcze zjawiskiem odosobnionem; sterczał wśród szumiącej fali nowoczesnego dobrobytu amerykańskiego jak surowy pomnik dawnego purytańskiego ducha abnegacji i rygoru moralnego. W latach powojennych mnożą się objawy ideowo pokrewne. A więc Willa Cather, dobrze znana rozmiłowanemu w niej gronu czytelników nie od wczoraj, jako jedna z najbardziej ujmujących osobistości autorskich w dzisiejszem powieściopisarstwie amerykańskiem, w takiej powieści jak *The Professor's House* (1926) z serdecznem przejęciem kreśli wizerunek idealisty nauki, a w innem nowszem swem dziele, *Death Comes for the Archbishop* („Śmierć przychodzi po arcybiskupa", 1927) — którego nikt chyba nie może czytać bez najgłębszego wzruszenia — opowiada ewangeliczny żywot dwóch francuskich kapłanów katolickich z zakonu misjonarzy w Nowym Meksyku w pierwszych dziesięcioleciach po wcieleniu tego kraju do Stanów Zjednoczonych w XIX wieku. Ideał prawdy i ideał dobra świecą nad temi dziełami prawdziwie promiennym blaskiem; oba utwory stawiają na piedestale bohaterów prostych i skromnych, o typie duchowym, którego w okresie „królów przemysłowych" w Ameryce nikt gloryfikować nie myślał. Jeszcze jeden przykład z lat ostatnich: Margaret Kennedy budzi

zachwyt powszechny swą pierwszą powieścią *The Constant Nymph* („Wierna pasterka“, 1925), która także w przeróbce dramatycznej święci wielkie triumfy na scenie. Otóż całą treścią tej powieści jest pokorne, milczące, wytrwałe kochanie, zdeptane przez los i wkońcu uwieńczone męczeńską prawdziwie śmiercią przez nieświadomą bezwzględność ukochanego człowieka. Owocem jeszcze większego zastanowienia nad moralnym związkiem między całem życiem człowieka a jego śmiercią jest filozoficzna opowieść Thornton Wilder'a *The Bridge of San Luis Rey* (1927): w dziwnej tej książce autor opowiada pokolei losy życiowe całej urojonej grupy pięciu obcych sobie osób, które razem, przez załamanie się mostu nad przepastnym jarem gdzieś w Ameryce południowej w XVIII wieku, śmierć znalazły. Dzieło to jest pomnikiem niepospolitego, intuicyjnego zrozumienia psychiki starych społeczeństw łacińskich i katolickich, a niesamowitością swej metafizycznej zadumy przypomina niektóre arcydzieła rosyjskie.

Czyż nie jest rzeczą wysoce znamienną, że we wszystkich tych wypadkach wielkiem i trwałem powodzeniem od pierwszej chwili cieszą się książki, nie posiadające konwencjonalnego „szczęśliwego zakończenia“ typowych powieści angielskich i amerykańskich — książki, w których żadna materjalna nagroda nie spotyka bohaterów ideału [1]), i triumf ich jest czysto moralny, przy zewnętrznych okolicznościach

[1]) W książce pani Cather *The Professor's House* znakomity uczony amerykański dostaje wprawdzie nagrodę pieniężną od uniwersytetu oxfordzkiego, ale sam nie chce korzystać z luksusowego domu, który jego rodzina za te pieniądze kupuje, — woli siedzieć dalej w swej starej pracowni na poddaszu przy dawnem mieszkaniu, i mówi z westchnieniem do żony, że chętnieby oddał całą nagrodę, gdyby za nią mógł kupić na nowo trochę tej radości twórczej, jaką się cieszył, pisząc swe wielkie dzieło.

nieszczęśliwych i tragicznych? Zaiste chciałoby się nad takiemi zjawiskami w nowszej literaturze amerykańskiej wypisać jako godło słowa Krasińskiego:

„Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która wkońcu wygrywa na wieki!"

Zaiste, wolno w utworach o tak szlachetnem natchnieniu powitać zadatki odrodzenia idealizmu w literaturze amerykańskiej, — dokumenty wiary w te wiekuiste ideały kulturalne, których nawet najmożniejszemu narodowi nadewszystko potrzeba, by się stał naprawdę twórczą potęgą o trwałej i powszechnej wartości.

Wiary w ideały wiekuiste i historyczne nie znajdziemy oczywiście dziś w prasie codziennej amerykańskiej, której — z nielicznemi wyjątkami[1]) — za treść służy wyłącznie stek bieżących sensacyj, a za całe natchnienie ideowe — kult pomyślności materjalnej narodu, wyrażonej w rekordowych cyfrach. Częściej dochodą do głosu wartości idealne na kartach tygodników — choćby radykalnych, jak *New Republic* lub *Nation* — i poważnych miesięczników,

---

[1]) Wyjątek taki stanowi przedewszytkiem poważny i myślący dziennik *New York Times*, którego naczelny redaktor, dr. J. Finley, były prezydent uniwersytetu nowojorskiego i były minister oświaty stanu Nowego Yorku, jest wytrawnym znawcą także Europy i umie należycie cenić jej dorobek kulturalny. W chwili, gdy to piszę, wykłada jako gość w uniwersytecie edynburskim. Jest wiernym i czynnym przyjacielem Polski.

Na przeciwnym biegunie w porównaniu z *New York Times* postawiłbym pismo, które przez ćwierć roku pobytu w Chicago ciągle czytać musiałem, — pismo, niestety, podobno o największym na świecie tirażu! — *Chicago Tribune*, które zarówno przez artykuły jak i przez wstrętne rysunki karykaturalne wciąż schlebia najfanatyczniejszym anty-europejskim przesądom szowinizmu amerykańskiego, a w traktowaniu spraw amerykańskich z prawdziwą lubością nurza się w bagnie jałowej polemiki partyjnej.

jak *Atlantic*, *Harper's*, *Forum*, *Century* lub *Scribner's*. Jako szczególnie wyraźny objaw tego, co nazywam renesansem idealizmu wśród młodej inteligencji amerykańskiej, wspomniałbym tu jednak tygodnik literacko-krytyczny *The Saturday Review of Literature*, którego redaktor, profesor Henry Seidel Canby w N. Yorku, umiał skupić wkoło siebie grono najwybitniejszych sił duchowych w Ameryce i umie mimo małej stosunkowo poczytności pisma trwać na wysokim poziomie ideowym.

Renesans idealizmu! Zapowiedzią jego wolno nazwać jedno jeszcze zjawisko w życiu literackiem amerykańskiem lat ostatnich, — zjawisko naprawdę zadziwiające w społeczeństwie, pochłoniętem interesami materjalnemi. Oto zanosi się w Ameryce — tak samo jak w niektórych krajach europejskich, na szczęście także i u nas w Polsce — najwidoczniej na nowy rozkwit poezji. Ameryka się rozśpiewała: zarówno obfitość pojawiającej się liryki, jak wysoki naogół poziom jej natchnień są zastanowienia godne [1]). Skala muzyczna tej poezji sięga od najśpiewniejszych zwrotek lirycznych do rozlewnego *vers libre;* — skala jej tematów obejmuje całą panoramę otaczającego życia, od mrowiska wielkomiejskiego i jego zagadnień społecznych do lesistych wzgórz Nowej Anglji i filozoficznego z ich przyrodą obcowania. Pojawiają się talenty pieśniarskie wielkie i silne w swej prostocie, jak szlachetny Robert Frost, lub odurzające bogactwem intelektualnem swej psychiki, jak Carl Sandburg; zajmują uznane już dziś miejsca w galerji wybitnych amerykańskich pisarzy poetki o wytwornej kulturze literackiej, wzniosłej myśli i szczerem a głębokiem uczu-

---

[1]) Dobry przegląd nowszej poezji amerykańskiej daje antologja *Modern American Poetry*, edited by Louis Untermeyer (N. York, Harcourt, Brace, & Co., 3 wyd., 1925).

ciu, jak Edna St. Vincent Millay, lub zmarła niedawno przedwcześnie Elinor Wylie; zdobywa uznanie w całym świecie języka angielskiego klasyczną dojrzałością formy i filozoficzną głębokością refleksji ceniony w Ameryce już od wielu lat, Edwin Arlington Robinson. Co więcej jeszcze, objawia się niespodzianie nieznany zdawna rozmach w kierunku bohaterskiej poezji epickiej: jesienią r. 1928 Stephen Vincent Benét wyśpiewał całą straszliwość i cały heroizm amerykańskiej wojny domowej, w długiej epopei *John Brown's Body* — umiejętnie urozmaiconej przez intermezza liryczne i użycie wolnego wiersza, a obfitującej w niezapomniane obrazy wypadków i sylwetki figur historycznych. I zdobył dla epopei szturmem 80.000 czytelników[1]).

W tym bujnym i tak obiecującym nowym ruchu literackim najmniej dotąd — jak zresztą i w Europie — zaznacza się dramat. Na przeszkodzie stoi trwająca dotychczas, mimo szlachetnych wysiłków pojedyńczych jednostek, niewola teatru amerykańskiego (tak samo jak i angielskiego) u przedsiębiorców czysto handlowo na rzecz patrzących, — no i, oczywiście, konkurencja kinematografu, który zresztą przez ostatni zwrot ku filmowi mówiącemu składa hołd swemu pobitemu rywalowi, teatrowi żywemu. W każdym razie dramat amerykański dzisiaj w płodnym autorze irlandzkiego pochodzenia i o irlandzkim temperamencie, Eugenjuszu O'Neill, posiada jeden z najsilniejszych talentów w twórczości teatralnej świata współczesnego, — po-

---

[1]) Czyż nie jest rzeczą również znamienną, że i w dziedzinie powieści prozą, znany dotąd jako psycholog i socjolog życia współczesnego, Joseph Hergesheimer dokonał w ostatnim czasie śmiałego zwrotu ku tym tematom bohaterskim i historycznym, i w pełnem uroku dziele *Swords and Roses* („Miecze i róże") roztoczył obraz szlacheckiej rycerskości i romantycznej poezji starych plantatorskich stanów południowych.

siada twórcę o tak rzadkim dziś prawdziwym nerwie dramatycznym. Eugenjusz O'Neill w swych krótkich a wstrząsających obrazkach dramatycznych, przeważnie z życia marynarzy, nie wyzwolił się, niestety, po blisko czterdziestu napisanych już dziełach z pętów brutalnego wulgaryzmu dykcji i cynicznej surowości niektórych ulubionych motywów; popadł też w jednej z ostatnich swych sztuk, *A Strange Interlude* („Dziwne interludjum"), w pirandellowski manieryzm naruszania iluzji scenicznej przez gadatliwe długie monologi, wyjawiające wszystkie pół-świadome poruszenia duszy; a w innem, jeszcze nowszem swem dziele, *The Dynamo,* — podobno pierwszej części trylogji, — w równie gadatliwy i w treści zresztą jałowy sposób zajął się dyskusją, w formie dramatycznej, nad problemem religji dogmatycznej wśród dzisiejszej maszynowej cywilizacji. Ale mimo takich powinięć nogi, niektóre dawniejsze jego rzeczy, jak *Anna Christie* — podobna w swym rzewnym tragizmie do *Dziejów grzechu* Żeromskiego — lub żywiołowo erotyczna tragedja rodzinna chłopska „Pod drzewami" *(Desire under the Elms)* — treścią znów przypominająca *Chłopów* Reymonta — napewno już w literaturze dramatycznej pozostaną, i wolno się po nim na przyszłość rzeczy najwyższych spodziewać. Byłoby zaiste jednym z najbardziej zdumiewających dokonań tego zadziwiającego narodu, gdyby z Ameryki miały popłynąć nowe soki żywotne w zasychający i zmartwiały organizm dramatu europejskiego[1])!

---

[1]) Całokształt dziejów dramatu amerykańskiego przedstawiła starannie i może aż nazbyt szczegółowo pani prof. L. Villard (Lyon) w swej pracy *Le Théâtre Américain* (Paryż, Boivin, 1929, w serji: Bibliothèque de la Revue des cours et conférences).

XI.

# Z ŻYCIA UNIWERSYTECKIEGO.

Życiu uniwersyteckiemu w Ameryce wypadło poświęcić osobny rozdział nietylko dlatego, że tę dziedzinę z racji mojego zawodu i celu mojej podróży szczególnie blisko poznałem, ale przedewszystkiem także dlatego, że nabrała ona w naszych czasach niebywałej doniosłości. Gdy dawniej nawet na wyżynach majątkowych i towarzyskich społeczeństwa amerykańskiego przeważał typ dorobkiewicza-samouka, dziś zapanowała powszechnie moda kształcenia wszystkich dzieci, zarówno chłopców jak dziewcząt, w szkołach akademickich. Co więcej, moda ta ogarnęła najszersze masy ludności, i wskutek tego dziś uniwersytety amerykańskie cierpią na wszystkie niedomagania przepełnienia, tak samo jak europejskie, a wśród młodzieży akademickiej przeważa, również jak w Europie, typ studenta pozbawionego wydatniejszej pomocy z domu i zmuszonego w czasie studjów zarabiać na życie.

Jeżeli zewnętrzna postać tego zjawiska społecznego — nieuniknionego widocznie w pewnej fazie rozwoju demokracji — jest ta sama w Ameryce, co u nas, to wskutek odmiennej struktury społeczeństwa zachodzą jednak znaczne różnice w szczegółach, a przedewszystkiem w stosunku tego objawu do całokształtu sytuacji. By to należycie zrozumieć, trzeba nieco wniknąć we właściwości ustrojowe amerykańskiego szkolnictwa wyższego.

Przedtem jednak dla wstępu kilka słów o szkolnictwie niższem i średniem, jako drodze do studjów akademickich. Droga ta prowadzi przez ośmioletnią, jednakową dla wszystkich szkołę powszechną, po której następuje wybór między szkołą uzupełniającą albo kilkuletnią szkołą średnią *(high school)*, przygotowującą do studjów wyższych. Na system ten, jako na jeden ze swych wzorów, powołują się u nas fanatyczni zwolennicy *école unique*, którzy dla „jedynej", demokratycznej, ośmioklasowej szkoły powszechnej gotowi są naruszyć dotychczasową budowę ośmioklasowej szkoły średniej i pozbawić ją kilku niższych pięter. Trzeba jednak zaznaczyć, że nietylko w Anglji, we Francji i w kilku innych krajach europejskich doświadczenie pedagogiczne przeciwko bezwzględnej ideologji *école unique* przemówiło; stało się to także w Ameryce. Przekonano się tam bowiem, że krótka, czteroklasowa szkoła średnia nie daje należytego przygotowania do studjów wyższych, szczególnie pod względem językowym, i stąd zaczął się rozrost tak zwanych *junioı high schools*, rozpoczynających się nie po 8, lecz już po 6 roku szkoły powszechnej. Te *junior high schools*, rozciągające się na czas od 12 do 16 roku życia, służą i jako szkoły uzupełniające w stosunku do powszechnych i jako niższe szkoły średnie w stosunku do wyższych *(senior high schools)*, które obejmują dalsze cztery lata. Widzimy tedy, że system nauk przygotowawczych, prowadzących do studjum akademickiego, ma dążność nietylko się nie ścieśniać, ale raczej rozciągać się nawet na dłuższy szereg lat, niż u nas w Europie. Trzeba dodać, że dla przeciwdziałania niebezpieczeństwu nadmiernej długości studjów zaprowadzono w szkolnictwie amerykańskiem oryginalny pomysł przeskakiwania klas przez zdolniejszych uczniów, tak że ci mogą ewentualnie stanąć u progu studjów akademickich

już w 16 roku życia. Pomysł ten nie jest właściwie niczem innem, jak logicznym odpowiednikiem znanego nam dobrze w Europie przymusu do „repetowania“ klas przez tak zwanych „dardanelskich osłów“ lub niepoprawnych „wałkoniów“; ale zastosowanie tego logicznego odpowiednika na przeciwnym biegunie skali uzdolnień jakoś nikomu dotąd w Europie, o ile mi wiadomo, na myśl nie przyszło.

Przechodząc teraz do studjów wyższych, musimy przedewszystkiem zdać sobie sprawę z pewnej rozmaitości podstaw, na jakich w Ameryce szkoły akademickie wyrosły. Przypomnijmy sobie, że uniwersytety europejskie powstały z dwóch różnych średniowiecznych typów. Jednym z nich był „cech uczonych“, w którym mistrze i czeladnicy, związani zazwyczaj współżyciem internatowem, razem praktykowali pewne umiejętności. Ten typ reprezentują do dziś stare uniwersytety angielskie w Oxfordzie i Cambridge, w których profesorowie i studenci mieszkają razem w kolegjach i stanowią zasadniczo równouprawnionych członków jednej społeczności akademickiej — *members of the University*. Drugi typ, to właściwa szkoła, w której studenci kupują sobie określone wartości duchowe u opłacanych przez siebie nauczycieli. Ten typ reprezentują uniwersytety szkockie, francuskie, włoskie, niemieckie i inne europejskie z eksternistycznem przeważnie pomieszczeniem studentów i ściśle fachowem ich kształceniem w salach wykładowych i pracowniach.

Szkoły akademickie amerykańskie, z których najdawniejsze powstały jeszcze pod rządami angielskiemi w XVII i XVIII wieku, należały oczywiście zrazu wyłącznie do typu „cechowego“ czyli angielskiego, a więc były „kolegjami“ internatowemi, dającemi raczej „atmosferę“ i wykształcenie ogólne, niż specyficzne przygotowanie zawodowe. Dopiero

w XIX wieku, i głównie pod wpływem niemieckim, poczęły jako nadbudowa „kolegjów“ powstawać „uniwersytety“ o typie zbliżonym do uniwersytetów Europy kontynentalnej. Pierwszym takim uniwersytetem stał się właściwie uniwersytet w Baltimore w r. 1876, choć nazwą „uniwersytetu“ posłużył się już jeden z twórców niepodległości Ameryki, Tomasz Jefferson, zakładając w r. 1825 pierwszą państwową szkołę akademicką w stanie Wirginja.

Rezultatem tego rozwoju jest istniejąca do dziś dwoistość: spotykamy w amerykańskiem szkolnictwie wyższem z jednej strony *Colleges*, z drugiej *Universities*; widzimy *College* jako zasadniczy składnik każdego uniwersytetu; widzimy gdzie niegdzie *College* dążące do tego, by się rozwinąć w pełny uniwersytet; widzimy znowu gdzie indziej zazdrosne przestrzeganie starej tradycji *College* w jej odrębności, a nawet dążenie (jak w ostatnich czasach z okazji wielkiej donacji Rockefellera dla Uniwersytetu Harvard) do przywrócenia starego ustroju kolegjalnego tam, gdzie już panuje nowszy uniwersytecki. Różnica między temi dwoma typami nie jest zrazu jasną dla przybysza z Europy kontynentalnej, dopóki sobie nie uświadomi zaznaczonej powyżej różnicy w genezie historycznej.

W praktyce chodzi dziś poprostu o różnicę między dwoma szczeblami, na które się dzieli w Ameryce wykształcenie akademickie: *College* jest szczeblem niższym, a właściwy uniwersytet wyższym. *College* można określić jako zakład akademicki ogólnokształcący z początkiem specjalizacji na wyższych latach studjów; odpowiada ono mniej więcej temu, czem są u nas najwyższe lata szkoły średniej i pierwsze lata uniwersytetu. Kolegja, nie posiadające właściwej fachowej nadbudowy uniwersyteckiej — a właśnie z tych niektóre należą do najstarszych i najbardziej po-

ważanych[1]) — wysyłają ze swemi stopniami w świat elitę, jeżeli nie naukową, to w każdym razie towarzyską, i można powiedzieć, że charakterystyczne dla życia amerykańskiego połączenie męskości charakteru z pewną dziecinnością intelektu jest produktem tradycyjnej edukacji kolegjalnej.

Wstęp do *College*, uzyskuje się przez egzamin wstępny (dziś w przeważnej części kolegjów jednakowy), o ile się nie uczęszczało do jednej z tych szkół średnich, które mają specjalny przywilej wysyłania swych wychowanków wprost do kolegjów bez egzaminu wstępnego. Kurs w *College* trwa cztery lata i kończy się uzyskaniem stopnia bakałarza lub magistra, poczem następują ewentualne studja uniwersyteckie dla uzyskania stopni wyższych, t. j. przedewszystkiem stopnia doktorskiego *(Ph. D.)*. Dla skrócenia tych studjów, które inaczej trwałyby do 26 lub 27 roku życia, zaprowadzono, jak już wspomniałem, pewną specjalizację na wyższych latach *College* jako wstępne stadjum nauki uniwersyteckiej. Studenci czterech roczników *College* noszą uświęcone tradycją nazwy *freshmen* („ludzie nowi"), *sophomores* („nawpół mądrzy, nawpół głupi"), *juniors* („młodsi") i *seniors* („starsi"). Uświęcone też przez tradycję są różne symboliczne obrządki przy wprowadzaniu początkujących studentów w coraz wyższe kręgi życia kolegjalnego. Zwyczaje te, rozpowszechnione już i w średniowiecznych uniwersytetach, początkami swemi sięgają ceremonij inicjacyjnych na misterjach starogreckich i wschodnich. W Ameryce dzisiejszej ceremonjał inicjacyjny, szczególnie o ile chodzi o wprowadzenie nowych członków do różnych stowarzyszeń akademickich, niestety, nieraz przybiera postać dosyć dzikich

---

[1]) Jak *Dartmouth College* w stanie New Hampshire dla mężczyzn, a *Vassar College* (st. N. York), *Bryn Mawr College* (Pensylwanja), lub *Smith College* (st. Massachusetts) dla kobiet.

ekscesów, niejednokrotnie pijackiej natury, czasem nawet zakończonych wypadkami śmierci. Z tradycji średniowiecznych kolegjów pochodzi także podtrzymywana w Ameryce, tak samo jak w Anglji, zasada pewnej zależności studentów młodszych od starszych: to co w Niemczech wyraża się przez stosunek *Fuchsów* do *Burschów*, a w Anglji znane jest nawet w szkołach średnich pod nazwą *fagging*, w Ameryce nosi nazwę *hazing* i często daje się dość dotkliwie we znaki studentom pierwszego roku. Ci studenci *(freshmen)* muszą dla odróżnienia nosić odmienne czapki z dziwacznemi łatkami; mają też zazwyczaj swój osobny budynek mieszkalny z osobną jadalnią.

Mimo, że droga poprzez pierwszy rok nie jest usłana różami, jednak w całości cztery lata kolegjalne — szczególnie w jednem ze starych i poważanych, mniejszych kolegjów na prowincji — są prawdziwie rajskim okresem życia. Już sam widok takiego kolegjum jest zazwyczaj czarujący. Czy to będzie Dartmouth na tle wzgórz lesistych północnego stanu New Hampshire, czy Vassar wśród łąk i lasów nad Hudsonem, czy Mount Holyoke na zboczach malowniczych pagórków nad brzegami rzeki Connecticut, czy Bryn Mawr w wiejskim zakątku Pensylwanji — wszędzie otacza nas zielony czar sielskiej przyrody, jesteśmy zdala od dymu i huku ośrodków przemysłowych, i grupa budynków kolegjalnych, sama w zieleń spowita, wita nas jak urocze schronienie dla myśli przed gorączką i pospolitością dnia powszedniego, jak ów gaj nawarski, w którym na lata rozmyślań ukryli się król i jego towarzysze w komedji Shakespeara „Stracone zachody miłosne“. Głównym składnikiem każdego kolegjum i uniwersytetu amerykańskiego jest — wielki trawnik, zwany po łacinie *campus*, symboliczny ośrodek całego życia instytucji. Wokoło niego syste-

mem pawilonowym rozrzucone są budynki uczelni, stylem swym zazwyczaj naśladujące przecudny późny gotyk starych kolegjów w Oxfordzie i Cambridge. Pomiędzy budynkami szumią rozmieszczone swobodnie drzewa liściaste i szpilkowe — jesteśmy zaiste w „gajach akademickich“ w dosłownem znaczeniu wyrazu. Wśród tego wszystkiego uwija się rzeźwa, kwitnąca, rumiana i hałaśliwa młodzież, zdążając — przeważnie na rowerach — czyto na boiska sportowe, czy do sal wykładowych, do laboratorjum, czy do bibljoteki, do jadalni, czy do klubu, czy wreszcie do kaplicy, gdzie codzień w ciągu przedpołudnia odbywa się krótkie nabożeństwo, często z jakiemś przemówieniem treści świeckiej[1]).

W idyllicznem życiu społeczności studenckiej na tle tak czarownie pięknych środowisk same studja nie zajmują przygnębiająco wiele miejsca. Nauka toczy się tak samo, jak i w uniwersytetach właściwych, raczej w formie pogawędek i dyskusyj między profesorem a uczniami niż wykładów; a bieżąca praca studentów wyraża się przez referaty lub — nazwijmy je skromniej — wypracowania pisemne na zadane przez profesora, przeważnie dość elementarne, tematy. Okresowe egzamina z każdego słuchanego przedmiotu, również prawie wyłącznie pisemne, składają się na ogólny dorobek studenta, wyrażony w „punktach“, czyli t. zw. „kredytach“, i pomyślny bilans tych kredytów daje mu wreszcie stopień naukowy. Ogółem tedy, jak widzimy, sposób nauki w kolegjach można raczej porównać z prowadzeniem nauki u nas w szkole średniej, niż w uniwersytecie; coprawda w dobie obecnej, po zaprowadzeniu stopnia magisterskiego, nasz system także w dziedzinie

[1]) Miałem odczyty o Józefie Conradzie na takich zebraniach w kaplicach kolegjów żeńskich Mount Holyoke (Massachusetts) i Goucher (Baltimore).

uniwersyteckiej zaczyna się do tamtego zbliżać. Z drugiej strony trzeba zauważyć, że w Ameryce w uniwersytetach właściwych panowały doniedawna te same metody nauki, co w kolegjach; ale w ostatnich czasach zaczyna przejawiać się dążność, by od studenta, starającego się o wyższy stopień naukowy, wymagano więcej niż dotąd pracy samodzielnej, i by do tych stopni nie prowadziła już droga przez mechaniczne zbieranie „kredytów“ z różnych przedmiotów. W każdym razie dość jeszcze zostało w Ameryce, zarówno w kolegjach jak w uniwersytetach, właściwości dotychczasowego systemu, by je odróżniać głęboko od tego, do czego w Europie kontynentalnej byliśmy w uniwersytetach przyzwyczajeni. Wspomnijmy choćby jeszcze o łączeniu przedmiotów w grupy, z których się zdaje egzamina na stopnie akademickie. Gdy u nas ściśle jest przestrzegana zasada łączenia ze sobą tylko przedmiotów pokrewnych, w Ameryce przeciwnie, stara idea kolegjów — idea dawania raczej wykształcenia ogólnego niż fachowego — znajduje dotąd wyraz w tem, że miejscami jest nawet wręcz zakazane łączyć ze sobą przedmioty pokrewne, a wymaga się połączenia przedmiotów z różnych dziedzin, a więc historyczno-literackiego przedmiotu głównego z przyrodniczym jako pobocznym i naodwrót.

Nad nauką w zainteresowaniach ogółu studentów, a nawet starszego społeczeństwa, jako przejaw życia zbiorowego uczelni wyższych, stanowczo góruje sport. Podobnie jak w Anglji, jakaś forma ćwiczeń fizycznych jest obowiązkową częścią programu nauki każdego studenta. Umiejętność pływania jest wymagana jako warunek wstępny, ewentualnie musi ją sobie student zaraz w pierwszym okresie nauki przyswoić. O wyborze wśród przeróżnych innych sportów, do których życie w kolegjum daje sposobność,

decyduje, o ile zdołałem się zorjentować, własna skłonność studenta, ale nie bez sankcji lekarza zakładowego, który przez perjodyczne badania wykonywa ścisłą kontrolę nad stanem zdrowotnym całej młodzieży. Mimo że w ten sposób sporty włączone są w oficjalny program karjery studenta, a więc w zespół przedmiotów przymusowych, obowiązujących i dlatego zazwyczaj niepopularnych, jednak sporty są przedmiotem bezustannego i najwyższego zajęcia i najżarliwszych wysiłków. Z najpoważniejszych ośrodków naukowych Ameryki podniosły się w ostatnich czasach głosy ostrzegawcze tej treści, że manja sportowa w uniwersytetach doszła do najwyższej przesady i nauka wobec niej w życiu studenta zeszła na miejsce zgoła niepokaźne. Sam słyszałem o wypadkach, gdy nawet władze uniwersyteckie współdziałały w „przepychaniu" przez studja niedołęgów umysłowych lub próżniaków, tylko dlatego, że są gwiazdami sportowemi; ba, nawet sprowadzano umyślnie takich ludzi do pewnych wszechnic, wiedząc naprzód, że pod względem intelektualnym są nabytkiem bezwartościowym. A że trener sportowy w uniwersytecie może zarabiać płacę wielokrotnie większą od któregokolwiek z profesorów, to fakt notoryczny. W niektórych zakładach nawet wstawiano do statutu paragraf, mocą którego profesorowi nie wolno płacić pensji mniejszej, niż zasadnicza pensja takiego trenera; ten ostatni ma jednak obfite zarobki uboczne.

Na czele wszystkich sportów akademickich w Ameryce stoi nie, jak w Anglji, wiosłowanie, lecz piłka nożna, z której tam zrobiono kult religijny, sprawę narodową, wielki przemysł, czy co jeszcze chcecie. Szczytem ambicji każdej kolegjalnej i uniwersyteckiej społeczności studenckiej są sukcesy drużyny footballowej danego zakładu. Rozgrywki

o mistrzostwo w piłce nożnej między głównemi kolegjami i uniwersytetami w sezonie jesiennym są wielkiemi wypadkami, przykuwającemi uwagę całego kraju i ściągającemi tłumy widzów. Na meczu między staremi Uniwersytetami Harvard i Yale w wielkim stadjonie sportowym tego ostatniego w Newhaven (Connecticut) było w r. 1928 około 77.000 osób. Takie zjazdy znaczą oczywiście wiele pod względem materjalnym dla miast, w których się odbywają, i nic dziwnego, że gminy popierają sport akademicki na wszelki sposób i fundują boiska i amfiteatry. Wielkie mecze urozmaicone są w przerwach wystąpieniami na arenie orkiestry w barwnych mundurach, pochodami rzesz studentów z walczących zakładów i innemi efektami widowiskowemi. Sama gra należy do ostrego typu gry w piłkę nożną, na sposób angielskiego *Rugby Football,* a nie łagodniejszego *Association Football,* więc obfituje w momenty walki skłębionego tłumu zapaśników o posiadanie piłki. To też, chociaż drużyny występują w ubraniach i okryciach głowy grubo wywatowanych, jednak wypadki są nader częste: w sezonie jesiennym r. 1928 była na przestrzeni Stanów Zjednoczonych rekordowa liczba przeszło dwudziestu wypadków śmierci wśród młodych uczestników akademickich rozgrywek footballowych. Osobne i nader ciekawe dla Europejczyka studjum stanowi zachowanie się widzów. Kto był na meczu footballowym w Anglji, a choćby i w ostatnich latach u nas, ma w pamięci objawy żywiołowego zainteresowania publiczności w postaci krzyków, oklasków, świstów i gestykulacji. W Ameryce, zgodnie ze wspomnianą już skłonnością narodową do myślenia i działania w kategorjach zbiorowości, i ta rzecz jest ujęta w karby normalizacji: u stóp każdej sekcji amfiteatru stoją „kierownicy owacyj“ *(cheer-leaders)*, na których zwraca sią baczną uwagę, bo

ni dyktują przez megafon, kiedy i jakie okrzyki ma wyawać cały tłum, pokazują, jak i w którym kierunku ma ywijać rękoma czy chorągiewkami, i dyrygują temi wszystiemi manifestacjami, jak śpiewem chóralnym albo muzyką.

Obok „wielkiego bóstwa piłki nożnej“ *(the great God ootball*, jak niedawno się ktoś wyraził w artykule) inne porty, choć uprawiane gorliwie i obficie, ustępują na drugi lan; to też nie będę się tu rozpisywał ani o *base-ball'u* ani *hockey'u*, ani o przeróżnych innych grach ruchowych, pozęści tylko stanowiących specjalność amerykańską, a przeważnie i u nas już znanych. Dodam tylko, że najprostsza orma rekreacji na świeżem powietrzu, mianowicie wędrówka iesza wśród piękności przyrody — przyjemność prawie lziś zabita we większych miastach i ich okolicy przez autoaobilizm — w prowincjonalnych kolegjach ma dużo zwoenników. W Dartmouth dowiedziałem się nawet, że po asach i wzgórzach okolicznych rozmieszczone są domki lrewniane, w których małe grupy studentów czasem po ilka dni spędzają; a po moim wyjeździe zdarzyło się, że eden ze studentów, pod wpływem sławnej książki filozoicznego samotnika Thoreau, *Walden*, opuścił zakład na lobre i postanowił żyć w lasach sam na sam z naturą.

Powracając jednak raz jeszcze do zbiorowych form ćwizeń fizycznych, zaznaczyć trzeba, że tak popularne dziś ı nas przysposobienie wojskowe w Ameryce od zasów wojny także usilnie jest propagowane, i formacje ochotnicze po prowincjonalnych kolegjach i uniwersytetach oddają mu się pod nadzorem władz wojskowych. Widziaem olbrzymią „zbrojownię“ w Uniwersytecie Cornell i sam yłem świadkiem rewji oddziału przysposobienia wojskowego w *Lafayette College* (Easton, Pensylwanja) przed dowódcą pierwszej brygady amerykańskiej, która uczestniczyła

w wojnie światowej, jenerałem Lejeune. Nie mogły mi co prawda przy tej sposobności zaimponować popisy oddziału o którym wiedziałem, że tylko dwie (wyraźnie dwie!) godziny tygodniowo ćwiczeniom wojskowym poświęca. Dowiedziałem się też, że o przysposobienie wojskowe, tak samo jak o zbrojenia morskie, toczy się gorąca polemika między radykałami socjalnymi i sekciarzami protestanckimi z jednej, a imperjalistycznymi patrjotami z drugiej strony i że w tej polemice nauczycielstwo różnych kategoryj jest przeważnie po stronie pacyfistów.

Przy tej sposobności jeszcze nadmienię, że zawodowe wykształcenie wojskowe w Ameryce dają dwie akademje: wojskowa w West Point i marynarska w Annapolis. W obydwóch, obok fachowego przygotowania młodego kandydata do zawodu oficerskiego, zwraca się baczną uwagę na stronę formalną: na poczucie godności stanu, na etykietę, na maniery. Wśród społeczeństwa głęboko demokratycznego w swych obyczajach te dwie instytucje pozostają przytułkiem arystokratycznych form życia. Oficerowie armji i floty amerykańskiej, których spotkałem we większych ilościach szczególnie na obchodach ku czci Pułaskiego w październiku r. 1929, pozostali w mej pamięci jako wzory skończonej kurtuazji i prawdziwej rycerskości w zachowaniu oraz szlachetnej powściągliwości w geście i słowie. Niemniej żywą i miłą pamięć pozostawiła po sobie wycieczka do akademji w West Point, jesienią r. 1928. Akademja jest jednym z najpiękniej położonych zakładów naukowych, jakie znam w świecie. Na wyżynie skalistego zbocza nad rzeką Hudson stylowe budynki grupują się malowniczo wokoło strzelistej, gotyckiej kaplicy; z majdanu biegnie oko w daleką przestrzeń ku pasmu lesistych wzgórz po drugiej stronie rzeki; a na samym krańcu urwiska wyniosła po-

ać naszego Kościuszki z cokołu pięknego pomnika spoląda wdół szerokiej rzeki, którą w tem właśnie miejscu ańcuchami zamykał przeciw okrętom angielskim.

Mówiłem o sportach i ćwiczeniach fizycznych, jako jedem z głównych zainteresowań w życiu zbiorowem studenerji amerykańskiej. Niemniej miejsca w tem życiu zajmuje o, co się nazywa ogólnikowo *social activities*, — a więc uch stowarzyszeniowy. Stosunkowo najmniejszą rolę odgrywają zrzeszenia odpowiadające „kółkom“ naukowym naszej młodzieży uniwersyteckiej: kółka takie istnieją, jak ı nas, dla każdego niemal działu nauki, ale małą naogół okazują żywotność. Żywsze zajęcie budzi działalność kóek teatralnych. Prawie każde kolegjum posiada swoją scenę, i często obok niej także teatr pod gołem niebem w parku. Udział w przedstawieniach jest przedmiotem ambicji, a jak się przekonałem w Dartmouth, także w zakresie kostjumerstwa i inscenizacji, wreszcie literackich studjów nad repertuarem objawia się niemała ruchliwość i pomysłowość.

Teatrem *sui generis*, bo sposobnością do popisów oratorskich, są także dyskusje klubowe, uprawiane w Ameryce, tak samo jak w Anglji, systematycznie w szkołach niższych i wyższych. Amerykanin wzrasta w atmosferze ciągłych przemówień publicznych przy wszelkich okazjach, i często już jako niedorosły uczniak posiada zadziwiającą biegłość w wysłowieniu: jest naogół daleko wymowniejszy od Anglika, choć może nie posiada wrodzonego daru krasomówczego Francuza.

Zrzeszenia dyskusyjne studentów amerykańskich mało się zajmują tematami politycznemi. W tej obojętności wobec polityki leży może główna różnica między atmosferą ideową życia akademickiego w Ameryce a u nas. Większe

zainteresowanie dla zagadnień politycznych — poza fa
sportowego potrosze przejęcia się kampanją prezydenck
r. 1928 — zauważyłem raczej w kolegjach kobiecych, n
męskich: studentki w Vassar podejmowały mnie śniad
niem w swem „Kole Nauk Politycznych" *(Political Scienc
Circle)*, wysłuchały cierpliwie (choć to była sobota!) prze
szło godzinnego mojego referatu o problemach polityki za
granicznej nowego Państwa Polskiego i zabierały nade
inteligentnie głos w dyskusji.

Zagadnienia religijne są gorliwie wprowadzane w hory
zont rozmyślań i dyskusyj studenckich przez różne prote
stanckie czynniki misjonarskie, działające po uniwersytetac
i kolegjach. W ich działalności panuje, jak to już przed
stawiłem, dążenie do zatarcia różnic dogmatycznych i ry
tualnych między wyznaniami protestanckiemi; to też nabo
żeństwo w kaplicy kolegjalnej — w nowszych czasach wszę
dzie nieobowiązkowe, — bywa starannie utrzymywane w for
mach wyznaniowo nieokreślonych. Ale czy ten liberalizm
protestancki pobudza ogół młodzieży do intensywniejszych
rozmyślań nad zasadniczemi zagadnieniami religji, to rzecz
wątpliwa. Uczestniczyłem, jak już wspomniałem, w dysku-
sji nad zagadnieniem istoty Boga, prowadzonej pod egidą
zorganizowanego przez Y. M. C. A. „departamentu wy-
chowania religijnego" w Uniwersytecie Cornell. Dyskusja
była nader ciekawa, jako odzwierciedlenie panujących prą-
dów myśli religijnej amerykańskiej; ale trzeba zauważyć,
że brali w niej udział przeważnie ludzie starsi, a nieliczna
obecna na sali młodzież zachowywała się raczej biernie.

Aktywność przejawia student amerykański obok zrze-
szeń sportowych przedewszystkiem w tych organizacjach,
które służą celom czysto towarzyskim. Na pierwszem miej-
scu wymienić tu należy istniejące zdawna po kolegjach

i uniwersytetach „bractwa“ *(fraternities)* oraz odpowiadające im nowsze organizacje kobiece, pod nazwą *sororities*. „Bractwa“ dadzą się poniekąd porównać z naszemi „korporacjami“ studenckiemi, wzorowanemi na niemieckich *Burschenschaften*. Mają ściśle ograniczoną liczbę członków i otaczają się symbolicznym rytuałem na sposób masonerji. Zawsze noszą nazwiska, złożone z trzech liter greckich, które są inicjałami jakiegoś godła, znanego tylko wtajemniczonym (chociaż ci wtajemniczeni dzisiaj przeważnie nie umieją po grecku). Starannie przestrzeganą też jest mistyczna symbolika pewnych obrządków przy przyjmowaniu członków, pozbawiona zresztą głębszej treści. „Bractwo“ jest poprostu klubem, posiadającym własny, zazwyczaj wytwornie urządzony budynek, w którym jego członkowie razem mieszkają. To wspólne pożycie, z jednej strony, wytwarza nastrój przywiązania do organizacji i służy zadzierżgnięciu związków przyjacielskich, często dozgonnych, — z drugiej strony jednak wytwarza (jak i u nas życie korporacyjne) pewną przegrodę między tak ekskluzywnemi gronami a szarą masą zwykłych studentów, mieszkających skromniej i masowo we wielkich domach akademickich, które się nazywają *dormitories* lub *residential halls*. Powstawaniu takich antagonizmów socjalnych między studentami w niektórych kolegjach przeciwdziała się w ten sposób, że poprostu cała młodzież jest zgrupowana we *fraternities* i „proletarjatu akademickiego“ wogóle niema. Na mniejszym terenie powtarza się tu wspomniane już ogólno-społeczne zjawisko, że Ameryka zapobiega walce między socjalizmem a kapitalizmem, robiąc zasadniczo każdego obywatela kapitalistą. Ale we wielu miejscach animozja między ogółem studenckim a „bractwami“ istnieje i polemicznie się przejawia, do czego niestety „bractwa“ w ostatnich czasach dają coraz

więcej okazji przez różne nadużycia — szczególnie przez orgje pijaństwa — na swoich zebraniach.

W świecie dzisiejszym, owładniętym jak wiadomo formalną manją taneczną, zabawy z tańcami z konieczności stanowią (jak zresztą i u nas) jeden z głównych objawów życia wszelkich stowarzyszeń akademickich. Stosunki towarzyskie między kolegami i koleżankami są nader ożywione i przyjacielskie nietylko we wielkich, koedukacyjnych uniwersytetach miejskich, ale także na prowincji, gdzie często kolegjum męskie znajduje się w niedalekiem sąsiedztwie kobiecego. Zauważyłem nawet, że przez jakieś dobrotliwe zrządzenie Opatrzności, najbardziej znane kolegja kobiece znalazły się przypadkowo właśnie w bliskości równie cenionych kolegjów i uniwersytetów męskich. A więc z Vassar jest tylko dwie godziny drogi do starego uniwersytetu Yale w Newhaven (Connecticut), ze Smith College (Northampton, Massachusetts) jest całkiem blisko do renomowanego kolegjum męskiego Amherst, a z Bryn Mawr College w Pensylwanji jest niedaleko do Uniwersytetu filadelfijskiego. Komunikacja między zakładami jest łatwa przy obecnem rozpowszechnieniu ruchu samochodowego (choć w niektórych kolegjach posiadanie samochodu, a przynajmniej używanie go w obrębie kolegjum, jest studentom zakazane). Wzajemne odwiedziny i zaproszenia są zatem na porządku dziennym. Studentki polskie, studjujące w ostatnich latach w żeńskich kolegjach amekańskich jako stypendystki, skarżyły mi się często, że mimo całej doskonałości i wspaniałości urządzeń kolegjalnych, odczuwają tam czasem przykrą nudę: w otoczeniu czysto kobiecem czują się jak w klasztorze lub w pensjonacie, po stałem towarzystwie kolegów w naszych uniwersytetach. Amerykanki, szastające się bezustannie automobilami ze

najomymi *boys* z sąsiednich kolegjów, z pewnością tej nudy ie odczuwają; zwłaszcza, że zwyczaj eskortowania młodzieży żeńskiej przez starsze panie dawno należy do historji, i samo słowo *chaperon* („przyzwoitka“) znika dziś nawet ze statutów i regulaminów kolegjów żeńskich. O swobodzie objawów czułości w towarzystwie między młodzieżą męską a żeńską w Ameryce mówiłem już w innem niejscu. Sensacyjne światło na poważniejsze strony tej sprawy rzuciła niedawno książka sędziego B. Lindsey'a *The Revolt of Modern Youth*, — książka świadcząca o rozpowszechnieniu swobodnych stosunków płciowych między studentami a studentkami uniwersytetów amerykańskich, często pod piękną nazwą *companionate marriage* („małżeństwo koleżeńskie“). Głośny przykład skandalów, a nawet zbrodni, jakie na tem tle wynikać mogą, dała w lecie 1929 r. sensacyjna sprawa zamordowania słuchaczki uniwersytetu w Columbus (Ohio) przez profesora medycyny tegoż uniwersytetu: jak się okazało, podstawą sprawy był osobliwy trójkąt miłosny, złożony ze studenta, studentki i profesora [1]).

Wobec takich rewelacyj, jak stwierdzone przez Lindsey'a fakty, wątpić już nie możemy, że zarówno w ciaśniejszej sferze życia akademickiego w Ameryce, jak na szerszej arenie życia społecznego amerykańskiego stoimy w obliczu doniosłych przemian rozwojowych w poglądach na etykę płciową. Ale chodzi tu przecież o przemiany ogólno-światowe, i nie miejsce zastanawiać się nad niemi w ramach niniejszej książki. Co się zaś tyczy specjalnie życia akademickiego, to zaznaczyć trzeba, że w tych rzeczach — mimo urządzanych coraz częściej i często bardzo naiwnych „an-

[1]) „Sprawa doktora Snook'a“, artykuł profesora Juljana Makarewicza w „Tygodniku Illustrowanym“, Nr. 43, 9 listopada 1929.

kiet“ i zestawień statystycznych — trudno o informacje na prawdę autentyczne, któreby ilustrowały stosunki normaln i przeciętne. Dlatego też przy tym przedmiocie dłużej si nie zatrzymuję.

Przechodząc do rzeczy mniej drażliwych i pogodniej szych z tej sfery stosunków między studentami a student kami, wspomnijmy o fakcie, że według statystyki kolegjum Vassar 70% jego słuchaczek wychodzi zamąż wkrótce po ukończeniu studjów. Stosunkom towarzyskim ze słucha czami pobliskich kolegjów męskich i otwierającym się per spektywom matrymonjalnym prawdopodobnie też należy przypisać popularność organizowanych przy żeńskich kole gjach kursów gospodarstwa domowego, którym nadaje się różne wymyślne nazwy dla ukrycia tego, że chodzi o sztukę kuchenną, a więc o wypróbowaną drogę do serca męż czyzny — przez żołądek. W Vassar dla takiej instytucji, niedawno wyposażonej we wspaniały nowy budynek, stworzono nawet grecki tytuł *Department of Euthenics,* który jako żywo żadnej podstawy w klasycznym greckim języku nie ma. Tamże opowiadano mi zabawną historję o trzech młodzieńcach, którzy zabrali trzy studentki z Vassar na niedzielną wycieczkę łodzią: o porze obiadowej mianowicie miało się pokazać, że żadna z panien niczego ugotować nie potrafi, a tymczasem chłopcy, którzy byli na wojnie w okopach, umieli przyrządzić smakowity posiłek i tem tak zawstydzili panny, że odtąd się gorliwie do studjum *Euthenics* przykładać zaczęły.

Jeżeli w stosunkach towarzyskich między studentami a studentkami daje się dziś zauważyć niebywała dotąd swoboda, to trzeba zaznaczyć, że swoboda pod każdym względem jest panującą atmosferą w amerykańskiem kolegjum. Uświadomiłem sobie to szczególnie w Vassar, pa-

trząc na panienki, które we wszelakich strojach, począwszy od szarawarów do jazdy konnej a skończywszy na majteczkach sportowych i gołych kolanach, uwijają się bez ceremonji po salach wykładowych i bibljotece. Sam prezydent ze śmiechem mi mówił, że myślał, iż potrafi zamknąć przynajmniej tym majteczkom sportowym drogę na wykłady, ale się wnet przekonał, że mu się to nie uda, i pogodził się z losem. Na każdym kroku istotnie ma się tam poczucie, że studentki są paniami i gospodyniami instytucji, a nawet profesorów i profesorki — traktowanych zresztą z pełną poufałości sympatją[1]) — pojmują jedynie jako niezbędny inwentarz. Takie ich pojmowanie sytuacji jest zresztą poniekąd prawnie uznane, bo posiadają bardzo szeroki samorząd, i nawet sprawy czysto dyscyplinarnej natury w swem gronie załatwiają przez sąd koleżeński.

Po wszystkiem, co opowiedziałem, nie jest rzeczą dziwną, ale jest tem niemniej rysem nader ujmującym, że kto skończył takie kolegjum amerykańskie, czy mężczyzna czy kobieta, zachowuje na całą resztę życia gorące przywiązanie do swojej *Alma Mater*, interesuje się jej losami, łoży hojne ofiary pieniężne na dalszy jej rozwój i swoje dzieci także tylko do niej na studja posyła. Każde wybitniejsze kolegjum ma po wszystkich większych miastach zorganizowane grona swoich byłych uczniów — *alumni* lub *alumnae*, — i dzięki ich ofiarności wzbogaca się coraz nowemi budynkami i zakładami. Podnieca tę ofiarność prezydent kolegjum, objeżdżając te ośrodki od czasu do czasu jak prawdziwy komiwojażer. Ale i sami dawni uczniowie i uczenice lubią odwiedzać miejsca, opromienione wspomnieniami o zło-

[1]) Prezydent, którego dom studentki bardzo chętnie o wszelkich porach dnia bez zaproszenia odwiedzają, nazywa się i w tem i w innych kolegjach pospolicie poprostu *Prexie*.

tych latach młodości. Jest dla nich wygodny klub przy kolegjum, gdzie prawie ciągle ktoś z nich *à propos de rien* po kilka dni spędza. A raz do roku zjeżdża się formalny sejm delegatów wszystkich miejscowych organizacyj byłych uczniów danego kolegjum, i podejmując grono profesorów obiadem, wysłuchuje ich referatów o rozwoju i potrzebach kolegjum, poddaje te referaty dyskusji i wyciąga z nich swe wnioski, wyrażające się potem w datkach pieniężnych. Byłem na takim sejmiku byłych studentek w Vassar, i ze wzruszeniem oglądałem nawet babunie, które przyjechały swe stare kolegjum odwiedzić, mając już wnuczki wśród jego uczenic. Jedna starsza dama przybyła nawet z Portland w stanie Oregon, a więc z zachodniego wybrzeża kontynentu na wschodnie — blisko tydzień drogi koleją. Wszystkie żywo omawiały różne innowacje w kolegjum i prawdziwie amerykańskim sposobem w rozmowach ze mną nie chowały bynamniej pod korzec swych dla niego zasług. Jedna z nich nawet w ferworze, gdym wobec niej zachwalał budynki, ufundowane dla kolegjum przez jego byłe uczenice, — zawołała: „Tak, panie, i niech pan sobie wyobrazi, że kilka lat temu oprócz tego wszystkiego wydusili z nas jeszcze trzymiljonowy fundusz osobny — na co? Na poprawę pensyj profesorskich!“ Nie mogłem się nie roześmiać. Ale o stanowisku społecznem i położeniu materjalnem profesorów amerykańskich jeszcze osobno będzie mowa.

Narazie przejdźmy od kolegjów do właściwych uniwersytetów. Są ich w Ameryce dwa rodzaje; można je krótko określić jako uniwersytety prywatne i państwowe. Stare kolegja były, jak w Anglji, wszystkie fundacjami prywatnemi; z wielu z nich wyrosły uniwersytety, i dziś jeszcze, gdy Anglji już na podtrzymywanie tej dawnej tra-

dycji nie stać, w Ameryce wiele z największych i najznakomitszych wyższych zakładów naukowych jest w położeniu zupełnej niezależności finansowej od państwa i utrzymuje się z opłat studentów, z ofiar fundatora lub grona fundatorów, a czasem z funduszów jakiejś grupy wyznaniowej lub plemiennej. Uniwersytety państwowe a raczej stanowe — *State Universities* — utrzymywane z budżetu danego stanu i zasadniczo udzielające nauki bezpłatnie — zaczęły się szczególnie rozrastać od czasu wojny domowej; bo w ciągu tej wojny przez sławną ustawę roku 1862 *(Morrill Land Grant)* nadane zostały wszystkim pojedyńczym stanom rozległe przestrzenie ziemi z tem, że dochód z nich ma być obrócony na cele wykształcenia rolniczego i technicznego. Z tej podstawy rozwinął się zczasem potężny system kredytów stanowych na uniwersytety, przybierający w nowszych czasach przeważnie formę pewnego procentu, a raczej *pro mille* od całości dochodów stanu z podatków *(millage tax)*; ze wzrastającym zaś dobrobytem i wzrastającą siłą podatkową rosną także te kwoty do sum olbrzymich. Rosną też i same uniwersytety stanowe: obejmują obok właściwych uniwersyteckich także wszelakie nauki techniczne, sztukę i muzykę, rolnictwo; liczą mnóstwo wydziałów i wielotysięczne rzesze uczniów. Takie uniwersytety, szczególnie w stanach środkowych i zachodnich, jak Columbus w stanie Ohio, Urbana w stanie Illinois, Madison w stanie Wisconsin, Ann Arbor w stanie Michigan, Berkeley w Kalifornji, należą dziś do największych rozmiarami zakładów naukowych w całym kraju. Rzecz nie do wiary dla Europejczyka, że i te zakłady, utrzymywane z pieniędzy państwowych, znajdują swoich dobroczyńców i wzbogacają się przez donacje pieniężne i fundacje budowlane ze źródeł prywatnych. Działa tu ten specyficznie amerykański patrjo-

tyzm lokalny, o którym już mówiłem w innem miejscu; działa też wspomniany powyżej charakterystyczny sentyment dla instytucji związanej z najszczęśliwszemi wspomnieniami młodości.

Poza tym zastępem uniwersytetów stanowych, zorganizowanych mniej więcej na jedną modłę, leży cała ogromna rozmaitość starszych i nowszych, większych i mniejszych zakładów uniwersyteckich, utrzymywanych ze źródeł prywatnych, lokalnych lub grupowych. Bardzo różny jest poziom i ustrój tych instytucyj, i Amerykanie sami dzielą je dla orjentacji na różne klasy (tak jak w innych krajach dzieli się hotele i restauracje). Główną wspólną ich cechą w dobie obecnej jest szalony, oszałamiający wprost rozwój, podsycany wciąż przez hojność różnych fundatorów i ambicję kół miejscowych. Prawie w każdym uniwersytecie, do którego się w czasie mojego objazdu odczytowego dostałem, natrafiałem na jakiś moment przełomowy jego rozrostu i na pełne rozmachu plany reorganizacyjne. A więc w Buffalo (stan N. York) i w Toledo (stan Ohio) uniwersytety, utrzymywane w tych dwóch wielkich miastach przez gminy, właśnie otrzymały rozległe tereny podmiejskie i wznosiły na nich wspaniałe kompleksy budynków, do których miały się w całości przenieść ze swoich siedzib śródmiejskich. Podobnie w Filadelfji, gdzie uniwersytet, zajmujący ze swemi 196 budynkami całą okazałą dzielnicę miasta, zaczyna rozsadzać te ramy i ma się podobno również w całości pobudować gdzie indziej. W Pittsburgh'u na własne oczy ze zdumieniem oglądałem wyrastający szybko szkielet jedynego może w świecie budynku, mianowicie niebotycznego drapacza chmur o 110 piętrach, który będzie zawierał w sobie cały uniwersytet i ma nosić nazwę „katedralnego kościoła nauki“ *(the Cathedral of Learning).* Tak samo we

ielu innych istniejących uniwersytetach, oraz w miastach, dzie ze zdumiewającą szybkością wyskakują z ziemi sowicie yposażone uniwersytety nowe. Na uroczystości stulecia Uniersytetu londyńskiego w r. 1927, wykwintny humanista prof. . L. Lowes z Harvard, przemawiając w imieniu wszystkich niwersytetów amerykańskich, zaznaczył, że liczby ich naet w przybliżeniu nie zna, i dodał żartobliwie na wszelki ypadek, że obejmuje swojem wystąpieniem także te, które owstały podczas jego kilkudniowej podróży przez ocean.

Wśród tej nieprzejrzanej gromady wyższych szkół, wyuszczających dziś razem w świat co roku około miljona bsolwentów, najwyższą markę naukową a także i socjalną, osiadają stare wszechnice *Harvard* (w Cambridge w staie Massachusetts, rok założenia 1636), *Yale* (w Newhaven, tan Connecticut, rok 1700), *Princeton* w stanie New Jersey, : r. 1746), wspomniany już Uniwersytet pensylwańki w Filadelfji (z r. 1759), i młodszy, bo z XIX wieku się latujący, ale bardzo poważany uniwersytet *Johns Hopkins* v Baltimore, który, jak już nadmieniłem, był pierwszym v Ameryce uniwersytetem we właściwem słowa znaczeniu.

Harward i Yale, to amerykańskie Oxford i Cambridge, mają istotnie w sobie coś z arystokratycznej dystynkcji rezerwy starych wszechnic angielskich: tak jak one, leżą a uboczu od hałaśliwych ośrodków wielkomiejskich, składają się z pięknych, niezbyt wielkich budynków w półsielskiem otoczeniu, przyjmują tylko ściśle ograniczoną liczbę uczniów, pobierają wysokie opłaty i chlubią się swą filozoficzną atmosferą.

Tak samo jednak, jak Oxfordowi i Cambridge w ostatnich dziesięcioleciach coraz potężniejszą konkurencję począł robić rozrastający się do olbrzymich rozmiarów Uniwersytet londyński, tak w Ameryce obok Harvard, Yale i Prin-

ceton na pierwszy plan wśród wszechnic wybijają się cor bardziej stanowczo w najnowszych czasach ogromne i ni zmiernie bogato uposażone uniwersytety w Nowym York i Chicago: *Columbia University* i *University of Chicago.* S one już dziś w możności sprowadzać na swe katedry różn znakomitości ze wszystkich części świata[1]), a ich zakład i laboratorja, rosnące jak na drożdżach, budzą podziv swemi rozmiarami i swem urządzeniem, i dają zupełnie ni zwykłe warunki naukowej roboty.

Szczególny zachwyt humanisty muszą w tych dwóc i w innych wielkich uniwersytetach (np. w Harvard i Yale budzić wspaniale urządzone i idealnie celowo zorganizo wane **b i b l j o t e k i**, wzbogacane coraz nowemi masowem zakupami całych księgozbiorów oraz cennych pojedyńczyc starych druków i rękopisów z Europy[2]). Idealna technik katalogowa pozwala nawet nieprzygotowanemu uzyska wszelkie potrzebne informacje bibljograficzne na miejscu a swobodny dostęp do półek z książkami i rozmieszczeni siedzeń pod oknami w samych magazynach (oczywišci dobrze ogrzewanych i oświetlonych) daje możność korzy stania z bibljoteki uniwersyteckiej niemniej dogodnie ni

---

[1]) Uniwersytet chicagoski np. zdołał w ostatnich kilku latach ode brać Oxfordowi jednego z naczelnych językoznawców Anglji, profesor W. A. Craigie (wydawcę wielkiego oxfordzkiego słownika angielskiego), a Australji jej głównego geografa, profesora Griffith Taylor'a. (b. uczest nika wyprawy podbiegunowej Scott'a i autora nowych teoryj o wędrów kach ludów).

[2]) W bibljotece, ufundowanej przez rodzinę Widener dla Uniwersy tetu Harvard, widziałem niezrównany zbiór książek rosyjskich (skupywa nych w Rosji sowieckiej przez powojenne misje humanitarne amerykań skie!), — w Cornell University wspaniałą kolekcję islandzką, oraz stare wydania Dantego i Petrarki, — w Baltimore jedyny w swoim rodzaju zespół starych druków dzieł renesansowego poety Spensera i t. d.

z domowej. Wyrażałem zdziwienie nad tym ultraliberalnym systemem, uważając, że musi stawać się przyczyną i zamieszania wśród ustawionych książek, i poważnych strat. Odpowiadano mi, że zamieszaniu zapobiega zasada, iż wolno wprawdzie brać książki z półek, ale nie wolno ich stawiać napowrót: to musi robić obsługa fachowa. Co się zaś tyczy strat, lepiej się opłaca liczyć się z pewną ich ilością, niż utrzymywać liczny personel! W każdym razie idea zaufania do kulturalnej publiczności odnosi w bibljotekach amerykańskich prawdziwe triumfy. Niemniej godne podziwu i szczegółowego studjum dla praktyczności ich urządzeń są niezliczone amerykańskie bibljoteki publiczne, z których największe oglądałem w N. Yorku, w Chicago i nadewszystko w Washingtonie *(Library of Congress)*. Korzysta też z tych świątyń oświaty najszerszy ogół, i starzy i młodzi, nie wyłączając nawet małych dzieci, dla których urządzone są rozkoszne, pełne światła czytelnie na najwyższych piętrach. Ze słuszną dumą mógł powiedzieć amerykański filozof John Dewey, że w Ameryce bibljoteki już nie są, jak gdzie indziej, zbiornikami, w których jest nagromadzona głęboka myśl i czarowne słowo wieków, ale są fontannami, z których tryska ożywczą strugą ta myśl i to słowo.

Powróćmy jednak do rozwoju uniwersytetów. Nowy York i Chicago są tylko dwoma najwspanialszemi przykładami ogromnego rozrostu amerykańskich szkół akademickich w ostatniej dobie. Rozrost ten objawił się nietylko przez budowę coraz nowych sal wykładowych, laboratorjów, bibljotek i domów akademickich — na co wszystko wciąż płyną ofiary z kieszeni hojnych fundatorów, — ale także przez obejmowanie coraz szerszego zakresu umiejętności. Ambicja ofiarodawców domagała się, by obdarzony przez

nich uniwersytet był prawdziwą *universitas litterarum* w najszerszem możliwem znaczeniu słowa; i uniwersytety, szczególnie na zachodzie stanów, wzbogacają się o katedry wszelakich czysto praktycznych i zawodowych dyscyplin, które z naszem europejskiem pojęciem instytucji akademickiej zgoła nie licują. Mówiono mi (przypuszczam, że żartem!) o wykładach administracji hotelowej i o kursach balsamowania zwłok w jakichś uniwersytetach zachodnich. Przeciwko tego rodzaju przerostom obudziła się w ostatnich czasach reakcja w imię abstrakcyjnego myślenia i intensywnych metod, jako właściwszych dla prawdziwego uniwersytetu haseł, niż dotychczasowa ekspansja w kierunku fachowej rozmaitości i czysto kwantytatywnych rekordów. Sam na dorocznym obiedzie profesorów Uniwersytetu chicagoskiego słyszałem, jak znakomity prawnik Woodward, wówczas zastępca prezydenta uniwersytetu, nawoływał do pogłębienia pracy w istniejących warsztatach naukowych w uniwersytecie raczej, niż tworzenia nowych. I sam się przekonałem, jak nawet taka naukowo zupełnie uzasadniona myśl, jak projekt stworzenia Studjum słowiańskiego w Uniwersytecie chicagoskim, natrafiła na opór w imię zasady nawrotu od ekstensywności ku intensywności.

Pod jednym tylko względem ekstensywność i ekspansja dalej na całej linji triumfują: mianowicie o ile chodzi o stały przyrost studentów. Ten wzmaga się nieprzerwaną falą i poczyna poważną opinję amerykańską podobnie niepokoić, jak europejską niepokoi przepełnienie uniwersytetów u nas. W Ameryce to przepełnienie daje się we znaki szczególnie uniwersytetom po wielkich miastach, gdzie też spotykamy się ze zjawiskiem dobrze znanem u nas, ale nieoczekiwanem i zadziwiającem dla obcego obserwatora w Ameryce — mianowicie z biedą studencką. Jest

wprawdzie w amerykańskich uniwersytetach, tak samo jak w angielskich, sporo stypendjów, rozdawanych często nawet niekoniecznie ubogim, byle zdolnym studentom; jest wiele prywatnych fundacyj filantropijnych o charakterze domów akademickich: ale zato niema zupełnie tych form zbiorowej samopomocy akademickiej, które u nas posiadamy w stowarzyszeniach Bratniej Pomocy. Zgodnie z ogólnym charakterem życia amerykańskiego, któremu obce są instytucje ubezpieczenia społecznego, samopomoc studencka jest przedewszystkiem samopomocą indywidualną. Ubożsi studenci, wypełniający uniwersytety stanowe i wielkomiejskie, poprostu utrzymują się przez pracę zarobkową. U nas dla studenta, szukającego zarobku, wchodzi zazwyczaj w rachubę tylko albo nędznie płatna praca biurowa lub jeszcze gorzej płatne korepetycje; a to może nie dlatego, żeby student w imię jakichś przesądów klasowych pracy fizycznej się wstydził, ale poprostu dlatego, że przy obfitej i stałej podaży taniego robotnika ze wsi konkurencja na polu pracy ręcznej w naszych miastach ze strony studenta jest wykluczona. W Ameryce z jej ogromnemi możliwościami rozwojowemi przy obecnem podwiązaniu dopływu taniego robotnika przez ustawy antyimmigracyjne, względy konkurencyjne nie stoją robocie studenckiej na przeszkodzie, a przesądów przeciwko pracy fizycznej nigdy nie było. To też student uniwersytetu, pracujący rękoma, jest zjawiskiem pospolitem. Sam prezydent Hoover za swoich lat studenckich zarabiał praniem bielizny swych kolegów. Obecny sekretarz Fundacji Kościuszkowskiej, profesor Stefan Mierzwa, jako ubogi chłopak emigrancki, dobijający się wyższego wykształcenia w nowej ojczyźnie, kosił trawę na stokach pięknego wzgórza, na którem wznosi się kolegjum Amherst, a w czasie wakacyj także kilka-

krotnie pracował jako dozorca obłąkanych w pobliskim zakładzie dla umysłowo chorych w Northampton. Do tych zwyczajów amerykańskich muszą się stosować także goście z Europy: syn wysokiego państwowego dygnitarza polskiego, studjujący w Chicago w r. 1928, mył (i zapewne tłukł!) talerze w kuchni akademickiej, a studentka z Krakowa, umieszczona w tym samym czasie jako stypendystka w Vassar College, podczas wakacyj między jednym a drugim swym tamtejszym rokiem szkolnym pracowała, tak samo jak wiele jej koleżanek z Vassar, jako kelnerka w restauracji na letnisku; ponadto zaś spędziła miesiąc (z wielkim pożytkiem dla zdrowia) jako robotnica w gospodarstwie rolnem, niedaleko od kolegjum. Trzeba, coprawda, zauważyć, że i w Ameryce bez lekkiej „protekcji" przy tem używaniu studentów do pracy fizycznej się nie obchodzi: wszyscy się z tem liczą, że tłumom młodzieży, wypełniającym wyższe uczelnie, trzeba okazać jakąś pomoc, no i że ostatecznie student przy pracy fizycznej w sprawności zawsze musi ustępować rutynowanemu robotnikowi. To też wokoło każdego uniwersytetu we wielkiem mieście wytwarza się rodzaj „strefy bezkonkurencyjnej", w której różne roboty pełnią wyłącznie studenci; publiczność patrzy z uśmiechem pobłażania na niedostatki ich roboty, a pokrywa zresztą te niedostatki z naddatkiem czar młodości i humor młodych pracowników. Jako przykład niech mi wolno będzie przytoczyć księgarnię przy Uniwersytecie w Chicago, obsługiwaną wyłącznie przez studentów. Korzystałem z niej dużo, i śmiało powiedzieć mogę, że jest to jedna z nieudolniej prowadzonych księgarń, z jakiemi w życiu miałem do czynienia. Ale jest też jedna z najweselszych, i zawsze miło było znaleźć pretekst, by zajść do niej i pogawędzić trochę przez ladę z jej personelem.

Obfity napływ studentów do uniwersytetów wytwarza nietylko trudności ekonomiczne, ale, oczywiście, i pedagogiczne. Przy takiej frekwencji o praktykowaniu w uniwersytetach amerykańskich starej europejskiej tradycji akademickiej „wolności nauki“ (dziś zresztą i u nas już bardzo naruszonej!) mowy być nie może. Nauka w uniwersytetach, jak w kolegjach, toczy się przy ciągłym nadzorze profesorów i władzy administracyjnej nad regularnem uczęszczaniem na wykłady i nad stałością pracy bieżącej, w formie wypracowań pisemnych. Ponadto dziekani prowadzą jeszcze usystematyzowaną szczegółowo obserwację właściwości intelektu i charakteru każdego studenta: każdy wykładający musi raz na trymestr swe spostrzeżenia w tym względzie nad każdym studentem na osobnej karteczce dla dziekana spisywać. Takie przynajmniej „fiszki“ co do wszystkich moich studentów wypełniać musiałem, gdy wykładałem przez trymestr w Chicago.

Rzecz oczywista, że tak dokumentna opieka nad rozwojem każdego zosobna studenta byłaby nie do pomyślenia w biednych uniwersytetach europejskich, gdzie na każdy przedmiot przypada zwykle tylko jeden profesor, i ten często wobec tłumu uczniów w swojem własnem seminarjum lub laboratorjum nie ma żadnego poczucia osobistej znajomości. Ale uniwersytety amerykańskie do swoich bardziej ściśle pedagogicznych funkcyj są daleko lepiej przysposobione i wyekwipowane: tam niema „katedr“, zajętych przez pojedyńczych ludzi, tylko są dla wszystkich przedmiotów *departments* czyli „zakłady“, w których, obok kilku głównych profesorów (wybierających z pośród siebie szefa na określony przeciąg czasu), jest cały szereg profesorów nadzwyczajnych i płatnych docentów. Dość nadmienić, że *department* literatury angielskiej w Uniwersytecie

chicagoskim składa się z trzydziestu sił profesorskich, męskich i kobiecych. Tak samo w kolegjach, nawet liczebnie małych: w Darmouth, z jego niecałemi dwoma tysiącami studentów, samą socjologję (coprawda jeden z ulubionych przedmiotów nauki amerykańskiej) reprezentuje aż osiem sił!

Ten stan rzeczy ma swoje niewątpliwe i znaczne korzyści dla pracy pedagogicznej i dla stanu profesorskiego. Będąc równoznacznym z rozkładem ciężaru pracy nauczycielskiej na większą ilość jednostek, system amerykański umożliwia grupowo-dyskusyjny sposób uczenia i indywidualną obserwację studenta przez profesora. Jednym z jego najsympatyczniejszych wyników jest to, że starsi profesorowie, o poważanych w świecie naukowym nazwiskach, będąc zwolnieni od troski o prelekcje dla całego ogółu swych studentów, często w Ameryce rozmyślnie wybierają sobie za zadanie kursy dla grona studentów początkujących, by im dać należytą wstępną orjentację, a przedewszystkiem przez swój autorytet obudzić w nich zapał, zainteresowanie i poczucie godności danego przedmiotu. Mniej dodatnim już wynikiem systemu jest, że przy wielkiej podaży rozmaitych wykładów przez tak liczne grona profesorskie poszczególni profesorowie nie potrzebują się zbytnio troszczyć o urozmaicenie swych osobistych przyczynków do całokształtu nauczania, i wobec tego zwyczaj powtarzania co roku tych samych kursów jest bardzo rozpowszechniony.

Co się tyczy drugiej strony działalności profesora uniwersytetu — jego pracy jako badacza i pisarza naukowego, — to ustrój amerykański, przez obsadzenie każdego przedmiotu większą ilością sił, sprawia, że nikt nigdy na swojej katedrze nie jest absolutnie niezbędny, i urlopy na cele badań i podróży naukowych mogą być łatwiej

i częściej udzielane. W znacznej ilości kolegjów i uniwersytetów — choć nie we wszystkich — panuje nawet piękna, unormowana ustawowo praktyka tak zwanego „roku szabasowego“ *(Sabbatical year)*, to znaczy, że każdy profesor co siódmy rok musi z obowiązku oderwać się na jeden rok szkolny od swoich wykładów i poświęcić cały rok studjom naukowym własnym, ile możności zagranicą[1]). W Chicago rotacja urlopów i uzyskanie przez jednostkę *maximum* swobodnego czasu na podróże i badania naukowe ułatwione są przez fakt, że zajęcia uniwersyteckie toczą się przez cały rok, także w czasie, gdy gdzie indziej są wakacje letnie: w ten sposób są w ciągu roku cztery trymestry akademickie, ale profesor jest zobowiązany wykładać tylko przez trzy, i to trzy dowolnie wybrane; ma więc możność złożenia sobie dwóch wolnych trymestrów na jedno nieprzerwane półrocze swobodnej pracy naukowej.

Nie potrzeba chyba zaznaczać, że taki system jest możliwy tylko w bardzo bogatym kraju i w sowicie wyposażonych szkołach akademickich. To też pierwsze wrażenie Europejczyka, szczególnie o ile tylko spotykał licznych amerykańskich profesorów, ciągle podróżujących po Europie, a nie widział ich jeszcze na własnym ich gruncie — jest to, że ci profesorowie naprawdę uczestniczą w całej pełni w dobrodziejstwach powszechnego dobrobytu amerykańskiego, i że cieszą się zazdrości godnemi przywilejami. Dopiero przy poznaniu stosunków na miejscu wrażenie to w zdumiewający sposób się zmienia: dochodzi się do przekonania, że p r o f e s u r a a m e r y k a ń s k a ani pod względem moralnym ani materjalnym bynajmniej uprzywilejowa-

[1]) W niektórych zakładach, coprawda, profesorowie są postawieni wobec trudnego wyboru: albo pół roku urlopu z pełną płacą, albo cały rok z połową płacy.

nego stanowiska w społeczeństwie nie zajmuje. Sama hojność bogaczy amerykańskich na cele zakładów naukowych, oraz masowy, szczególnie po wojnie, napływ studentów do szkół akademickich, doprowadziły do gwałtownego i ogromnego rozrostu sieci szkół wyższych, mianowicie w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Za tym rozrostem musiała raptownie podążać liczebność sił profesorskich, i rezultatem tego rozwoju jest, że dziś w Ameryce panuje nietylko (jak i we wielu częściach Europy) inflacja wszechnicowa, ale także prawdziwa inflacja profesorska. Przy forsownej, masowej produkcji profesorów jakość pojedyńczego produktu musiała się obniżyć, i dziś szczególnie po mniejszych zakładach prowincjonalnych zajmują stanowiska profesorskie niejednokrotnie ludzie, którzy nigdy w życiu niczego naukowego nie napisali, a sporo jest i takich, których drukowane prace są tylko mechanicznemi zestawieniami faktów bez wszelkiej twórczej myśli przewodniej. W związku z tem powaga stanu profesorskiego wśród społeczeństwa nie podnosi się tak, jakby tego pragnąć należało. W Ameryce ostatnich dziesięcioleci XIX wieku, pochłoniętej rozwojem przemysłu i handlu, nauka jako taka nie cieszyła się z konieczności wielkiem poważaniem; kto czuł w sobie nieprzeciętne zdolności i energję, wyładowywał je przedewszystkiem na polu gospodarczem, i na profesorów, tak samo jak na duchownych, kierowali ojcowie tylko synów mniej uzdolnionych. *A mere college professor* („tylko profesor kolegjum“), to wyrażenie oznaczało życiową niezdarność, a często i umysłową niższość. Dziś, gdy stosunek społeczeństwa do wyższego szkolnictwa zmienia się do gruntu, z powodów przedstawionych powyżej, pogląd tego społeczeństwa na klasę profesorską nie zmienia się równie szybko. To też i materjalne położenie tej klasy wiele do

życzenia pozostawia. Jeżeli demokratyczna Ameryka wogóle jest klasycznym przykładem uderzająco wysokich płac za pracę fizyczną a zdumiewająco niskiej stosunkowo ceny pracy umysłowej, to najjaskrawiej może ta dysproporcja wyraża się w dziedzinie zapłaty za wszelką pracę nauczycielską, a szczególnie za profesorską w kolegjach i uniwersytetach. Europejski pracownik z tej dziedziny w pierwszej chwili z zazdrością słyszy, że bezpłatnych docentur w Ameryce niema, że zatem do ziemi obiecanej profesorskiego żywota nie prowadzi, jak u nas, droga przez głodową pustynię lat docenckich; ale zato, gdy się dowie o realnej sile kupna przeciętnych płac profesorskich (300—400 dolarów miesięcznie), rychło ze zdziwieniem się przekonywa, że sprawny rzemieślnik lub robotnik fabryczny może łatwo dojść do znacznie wyższego poziomu dobrobytu od profesora — nie mówiąc już o stanowiskach odpowiedzialnych i kierujących w przemyśle i handlu. I społeczeństwo nie okazuje nawet dziś zbytniej pochopności do poprawienia tej sytuacji: wspomniana już kilkakrotnie hojność bogatych ludzi w stosunku do uniwersytetów wyraża się głównie — nawet prawie wyłącznie — w kierunku wyposażenia zakładów w budynki i urządzenie (już choćby dlatego, że na fasadzie takiego zakładu bywa uwiecznione nazwisko ofiarodawcy!), a mniej troszczy się o ludzi. Właściwy umysłowości amerykańskiej kult maszynerji i materjalnego aparatu wszelkich działań ludzkich i tu się zaznaczył. Jeden z profesorów-przyrodników Uniwersytetu chicagoskiego (Niemiec z pochodzenia i dawniejszy docent austrjacki) jako *curiosum* opowiadał mi, że w doskonale skądinąd urządzonem laboratorjum nie posiada — laboranta, i musi codzień rano sam zamiatać zakład i robić niezbędne porządki.

Nie da się swoją drogą zaprzeczyć, że w ostatnich latach pojawiają się i w tej dziedzinie pewne symptomy poprawy. Potężniejący w oczach Uniwersytet *Columbia* w N. Yorku dzięki staraniom swego ambitnego prezydenta — p. N. Murray Butler'a — uzyskał od swych bogatych dobroczyńców znaczne podwyższenie płac profesorskich, co niewątpliwie zczasem oddziała i na inne uniwersytety. Rockefeller utworzył fundusz celem wypłacania zasłużonym profesorom nie istniejących dotąd pensyj na starość[1]). Wreszcie wielkie fundacje dla badań naukowych — jak fundacja rockefellerowska i fundacja Carnegie'go — dają wybranym pracownikom nietylko znakomite warunki samej pracy, ale także wyposażenie naprawdę dostatnie.

Wyposażeniem hojniejszem i prestiżem społecznym cieszy się zazwyczaj prezydent uniwersytetu lub kolegjum, wybierany, nie jak u nas rektor, na rok, lecz na dłuższy przeciąg czasu lub na stałe. Godność ta jednak, mimo jej materjalnych i towarzyskich przywilejów, w nowszych czasach naogół nie jest celem ambicyj jednostek naukowo wybitnych wśród profesorów. Przedewszystkiem bowiem prezydent ma, jak już wspomniałem, przykre zadanie „kwestowania“ czy „komiwojażerstwa“ celem zbierania funduszów na rozwój swej wszechnicy; powtóre zaś przy wszechstronności, z jaką amerykańska szkoła wyższa wciąga całe życie studenta w zakres swej opieki, funkcje administracyjne prezydenta są tak rozległe, że objęcie tego stanowiska jest niemal zawsze równoznaczne z zupełną rezygnacją z dalszych twórczych aspiracyj naukowych. To też na pre-

[1]) Świadczenia indywidualne z tego funduszu musiały, coprawda, właśnie w roku ubiegłym z powodu znacznego wzrostu ogólnej ilości kandydatów ulec pewnemu zmniejszeniu.

zydentów zwykle kandydują i przechodzą dziś jednostki o specyficznie administracyjnym typie umysłowości lub o ambicjach działacza społecznego raczej, niż uczonego; czasem nawet zostają nimi ludzie, którzy okazali zdolności organizatorskie w handlu lub przemyśle, a do świata naukowego wcale nie należeli. Tak w Dartmouth od szeregu lat bardzo tęgim prezydentem jest ex-*businessman* J. Hopkins. A w Chicago za moich czasów prezydentem olbrzymiego uniwersytetu został nie wybitny i powszechnie poważany i lubiany starszy profesor prawa F. Woodward, który sprawował tę godność przejściowo, lecz wybrano prezydentem młodego, zaledwie 30-letniego sekretarza jednego z uniwersytetów prowincjonalnych z tego jedynie względu, że na owem stanowisku okazał sprężystość administracyjną.

Podobnie jak z godnością prezydenta, jest ze stanowiskami dziekanów fakultetów, wybieranych również na czas dłuższy (nietylko na rok, jak u nas) i obarczonych obfitością pracy czysto administracyjnej. Dziekanami zostają zatem albo urodzeni administratorzy i biuraliści (choćby jeszcze młodzi), albo profesorowie o niewielkiej liczbie uczniów, np. slawiści (jak nasz przyjaciel profesor G. R. Noyes w Kalifornji, tłumacz Mickiewicza i Kochanowskiego).

Tak się w fazie obecnej przedstawia w ogólnych zarysach sytuacja społeczna zawodowych pracowników naukowych w Ameryce. Jakie są ich twórcze dokonania naukowe? Na to pytanie mogłoby w sposób zadowalniający odpowiedzieć chyba tylko całe grono rozmaitych specjalistów. Ja tu stwierdzę tylko rzeczy mniej więcej znane każdemu wykształceńszemu człowiekowi, jeżeli powiem, że nauka amerykańska twórcze natężenie okazuje głównie w kierunkach, podyktowanych z jednej strony przez potężny

i szybki rozwój ludnościowy Ameryki nowoczesnej i wynikające stąd zagadnienia społeczne, z drugiej strony przez równie potężny rozwój przemysłu i wywołane przezeń maszynowo-techniczne nastawienie myślowe. A więc zaznaczyli się wybitni uczeni amerykańscy z jednej strony na polu ekonomji politycznej, socjologji (najpowszechniej może w Ameryce uprawianej dyscypliny), psychologji doświadczalnej i pedagogiki; z drugiej strony we wszystkich przedmiotach technicznych, we wielu doświadczalnych naukach przyrodniczych, wreszcie w tych dziedzinach medycyny, w których technika najwięcej znaczy, a więc w chirurgji wszelkiego rodzaju z włączeniem dentystyki[1]). O ile w tych wszystkich dziedzinach Europa i cała reszta świata bezsprzecznie wiele się nauczyła od Ameryki, o tyle w innych niewątpliwie Ameryka mogłaby z pożytkiem więcej się nauczyć od Europy, niż dotychczas. Już w zakresie nauk społecznych, tak gorliwie w Ameryce uprawianych, razić nas musi zbytnie rozwielmożnienie metod mechaniczno-pomiarowych i cyfrowo-statystycznych; w znacznie wyższym stopniu jeszcze odnosi się ten zarzut do prac amerykańskich w dziedzinie nauk humanistycznych, filozofji, historji, literatury, językoznawstwa. W szczególności, o ile chodzi o badania literackie i filologiczne, z któremi z racji mojej specjalności bliżej jestem zaznajomiony, trzeba powiedzieć, że Amerykanie, bombardujący rynek mnóstwem obszernych prac, dziś przewyższyli najnudniejszych Niemców jałowością czysto mechanicznych zestawień materjału faktycznego czy bibljograficznego, oraz obskurnością tematów,

---

[1]) Wielki impuls chirurgji daje w Ameryce dzisiejszej obfitość wypadków samochodowych, a dentystyce — namiętność ludności do jedzenia lodów *(ice cream)* i picia lodowatych napojów (spotęgowana zapewne przez powszechny zwyczaj nadmiernego ogrzewania mieszkań).

wygrzebywanych z zapylonych zakamarków przeszłości. W dziedzinie historji i krytyki literatury jednostki, u których przy wielkiej erudycji roi się w głowie od żywych, twórczych myśli — jak surowy sędzia romantyzmu i sensacyjny krytyk kultury demokratycznej Irving Babbitt, jak niezrównany badacz Coleridge'a i świetny pisarz i psycholog John L. Lowes — należą zawsze jeszcze w Ameryce raczej do wyjątków. Patrząc na masową produkcję naukową innych (i z żalem jako anglista dodam, szczególnie w zakresie literatury angielskiej), chce się często powtarzać złośliwe określenie, wymyślone przez dowcipnego niemieckiego dziennikarza[1]) na temat pewnych faz ówczesnej nauki niemieckiej: *die Wissenschaft des nicht Wissenswerten!*

Obok wielce ożywionej w każdym razie pracy naukowo-badawczej uniwersytety amerykańskie coraz intensywniej zaznaczają swoją działalność na szerszej arenie życia publicznego. A więc są przedewszystkiem ośrodkami ruchu organizacyjnego i reformatorskiego na polu całego szkolnictwa, oraz oświaty pozaszkolnej dla dorosłych. O ile chodzi o szkolnictwo niższe i średnie, to we wielu stanach, szczególnie na zachodzie kontynentu, uniwersytety stanowe bezpośrednio i oficjalnie sprawują nadzór nad całym ustrojem szkolnym. Co się tyczy wszelakich kursów oświatowych dla dorosłych, to w Ameryce przedwojennej, gdzie każdy śpieszył co najrychlej w życiu do pracy zarobkowej w przemyśle lub handlu i „dokształcał się" wieczorami z widokiem głównie na poprawę bytu, — teren dla takich działań oświatowych był szczególnie rozległy, i do dziś dnia — nawet w erze pełnego rozkwitu i zaludnienia regularnych instytucyj akademickich — Ameryka

[1]) Był nim Ludwik Hevesi, długoletni feljetonista wiedeńskiego *Fremdenblatt*.

pozostaje jednym z klasycznych krajów co do obfitości i rozmaitości poczynań na polu oświaty pozaszkolnej. Na wielkim międzynarodowym kongresie w Cambridge w Anglji latem r. 1929, referaty działaczy amerykańskich — zarówno referaty treści ideowej, jak pełny głębokich myśli wykład znakomitego teoretyka pedagogiki, profesora Kilpatrick'a z N. Yorku, jakoteż referaty treści przykładnie-faktycznej, jak sprawozdanie prof. Richardson'a o oświacie pozaszkolnej w Kalifornji, — zwróciły na siebie powszechną uwagę, gdyż dawały obraz niezmiernej intensywności i ogromnego rozpowszechnienia tych form pracy oświatowej w Ameryce. Zarazem wykazywały one, że rolę przodującą w tej pracy oświatowej wśród szerszych mas grają tam właśnie uniwersytety.

Ale jeszcze szersze kręgi w życiu społeczeństwa, poza dziedziną oświaty, zatacza działalność uniwersytetów amerykańskich. Przez istniejące przy nich instytuty dla badań technicznych, medycznych, rolniczych, uniwersytety oddziałują bezpośrednio na najżywotniejsze sprawy gospodarcze i społeczne; przez czołowych przedstawicieli nauki prawniczej uczestniczą w budowie ustroju prawnego swego kraju, a czasem także krajów innych. Danem mi było zetknąć się z szanowanymi prawnikami Uniwersytetu chicagoskiego, profesorami Woodward'em i Freund'em, którzy należeli do kodyfikatorów nowoczesnych praw amerykańskich; w Baltimore, w *Johns Hopkins University*, zagajał mój odczyt ówczesny prezydent uniwersytetu prof. Goodnow, który był jakiś czas doradcą prawnym rządu chińskiego; a w Washingtonie uczestniczyłem w uroczystości dekorowania orderem „Polonia Restituta“ zacnego naszego przyjaciela prof. Monroe z *Columbia University* w Nowym Yorku, który właśnie wtedy wybierał się na dłuższy pobyt

do Chin jako doradca rządu w sprawach organizacji szkolnictwa.

Areną społeczną, na której uniwersytety amerykańskie w ostatnich czasach ze szczególnem upodobaniem roztaczają swoją pozaakademicką działalność, są sprawy gminne. Wspomniałem już gdzie indziej, że jednem z najsilniejszych uczuć społecznych u Amerykanina jest jego patrjotyzm lokalny jako obywatela danego miasta, — ambicja czynnego i wybitnego udziału w jego rozwoju budowlanym, gospodarczym, zdrowotnym, kulturalnym. Ta ambicja ożywia także wielkie uniwersytety w stosunku do miast, w których zajmują pokaźne miejsce, i w których życiu pragną grać odpowiednio pokaźną rolę. Mija dwadzieścia lat, jak mój przyjaciel z czasów pierwszego pobytu w Anglji, profesor F. M. Padelford, gorący wówczas wyznawca ideałów estetyczno-społecznych Ruskin'a, z zapałem mi donosił, że w dalekiej jego siedzibie uniwersyteckiej, w mieście Seattle nad oceanem Spokojnym, szybko rosnącej stolicy rozkwitającego stanu Washington, udało się stworzyć komisję upoważnioną do kontroli artystycznej nad ruchem budowlanym w mieście, i że on, profesor uniwersytetu, jako projektodawca został postawiony na czele tej komisji. Wskrzesło we mnie to dawne wspomnienie, gdy w r. 1929 w czasie pobytu w Uniwersytecie chicagoskim zastałem całe grono profesorskie przejęte szlachetnym entuzjazmem dla idei uzdrowienia gospodarki miejskiej i walki ze zbrodniczością. Uczestniczyłem w bankiecie profesorskim, na którym opowiadano o stworzeniu osobnej komisji profesorskiej dla badania tych zagadnień, i na którym młody i ognisty profesor filozofji T. B. Smith, przybyły z Texas, z ferworem i temperamentem stawiał w swem przemówieniu przed oczy kolegów ideał uniwersytetu

jako naczelnej siły moralnej i społeczno-reformatorskiej w pełnym fermentów organiźmie nowoczesnego wielkiego miasta.

Pozostaje powrócić w kilku słowach do tego bodaj najważniejszego i centralnego problemu w życiu uniwersytetów amerykańskich, jakim jest stosunek nauki uniwersyteckiej do wielkiego kapitału. Przez kilkakrotne już wzmianki oddałem chyba należny hołd tej hojności na cele uniwersyteckie, w jakiej dziś współzawodniczą zamożniejsze sfery społeczeństwa amerykańskiego. Różnie ta hojność może być — i bywa — ocenianą. Jest znanym faktem, że w niektórych wypadkach olbrzymie nawet dary, składane na ołtarzu nauki amerykańskiej i międzynarodowej, są właściwie okruchami z fortun, zdobytych wątpliwemi, by nie powiedzieć rozbójniczemi procederami w zaciekłej walce konkurencyjnej. Nieraz też słyszy się zgryźliwą uwagę, że dary na cele naukowe mają na celu zjednanie popularności wśród mas dla wielkiego kapitału i dla reprezentującej go partji republikańskiej, — że są okupem od wybuchów niezadowolenia społecznego. Z tem wszystkiem zaprzeczyć nie można, że jakiekolwiek były motywy tej filantropji oświatowej, jej owoce, przynajmniej w postaci materjalnego rozwoju szkół akademickich, są wspaniałe.

Ale kto wiele daje, ten i wiele żąda. Wymagania ideowe bogatych gron kuratorów *(boards of trustees)*, szczególnie po zapadlejszych uniwersytetach prowincjonalnych, bywają natchnione obskurantyzmem nieuków i fanatyzmem sekciarskim. Śmiać się można, gdy się słyszy o przymusowem nadawaniu doktoratów honorowych różnym bogatym nicościom; ale zgoła nie śmieszne wynikają sytuacje, gdy wskutek ograniczenia swobody nauki, np. zakazu wprowadzania teorji ewolucji do wykładów, dochodzi do

konfliktu między gronem kuratorskiem a profesorskiem, i do sensacyjnych dymisyj prezydentów uniwersytetów, jak się to w kilku miejscach za mojego pobytu zdarzyło.

Wypadki takie coprawda nie są, chwała Bogu, częste, i w uniwersytetach wielkich, położonych w starych ośrodkach kulturalnych, z pewnością absurda tego rodzaju nie grożą. Stała i powszechna cecha całego stosunku jest inna. Polega ona na tem, że potentaci handlowo-przemysłowi, łożący obficie na uniwersytety, wywierają nacisk w kierunku nadawania ich nauce charakteru coraz bardziej zawodowo-praktycznego, a coraz mniej abstrakcyjno-intelektualnego. Mówiłem już o rozpowszechnieniu, szczególnie w uniwersytetach stanów zachodnich, kursów niemal rzemieślniczo fachowych. Na większą skalę znalazła wyraz ta sama tendencja w forsowanem dziś wszędzie zakładaniu wielkich „fakultetów businessowych", jakbym je nazwał — *schools of business administration*. Jak zaznaczyłem gdzie indziej, karjera miljonera w Ameryce dziś już przeważnie nie rozpoczyna się od najniższych szczebli pracy handlowej lub przemysłowej, lecz odrazu od udziału w zarządzie wielkiego ojcowskiego przedsiębiorstwa. Cóż więc dziwnego, że ojcowie, wysyłając synów do wszechnic, pragną nietyle, by tam nabyli jakiejś ogólnej kultury, lecz raczej by sobie tam przyswoili te dość rozległe i różnorodne umiejętności ekonomiczne, które dziś są potrzebne dla wielkiego kupca, bankiera lub fabrykanta. Byłem olśniony, ale zarazem nieco zaniepokojony, gdy dojeżdżając do najstarszej siedziby kultury akademickiej w Ameryce, Uniwersytetu Harvard, przekonałem się, iż uniwersytet ten jest przesłonięty — nawet w dosłownem, architektonicznem znaczeniu słowa! — olbrzymim blokiem gmachów *School of Business Administration*, zbudowanym miljonowym sumptem w ciągu trzech ćwierci

roku z łaski p. Baker'a, prezydenta *First National Bank.* Zobaczyłem rychło wiele podobnych, nowych *Schools* po innych uniwersytetach; wszędzie należą one do najokazalszych nowszych budowli uniwersyteckich, a w swej działalności naukowej zataczają czasem nawet imponująco szerokie kręgi, jak np. wspomniana właśnie „Szkoła" przy Uniwersytecie Harvard, która niedawno nabyła księgi rachunkowe dość znanej średniowiecznej rodziny bankierskiej, mianowicie Medyceuszów, — by je uczynić przedmiotem badań w zakresie historji gospodarczej!

Jakie jest głębsze znaczenie tego potężnego fenomenu, wyrażającego plastycznie (by użyć słów retora średniowiecznego) *nuptias Philologiae et Mercurii* — współżycie nauki z interesem — i jakie otwiera to perspektywy na przyszłość?

Z punktu widzenia przyzwyczajeń myślowych europejskich byłoby się zrazu skłonnym odpowiedzieć stanowczo, że perspektywy to niekorzystne dla nauki, że pójdzie ona w takim układzie rzeczy ostatecznie i całkowicie na usługi dążeń praktycznych, co gorsza, czysto materjalnych, że zaniknie do szczętu ten idealizm akademicki, bez którego nauki w najwyższem znaczeniu wyrazu niema.

Ja jednak nie jestem takim pesymistą. Jeżeli nacisk ze strony wielkiego kapitału kieruje naukę uniwersytecką w Ameryce na tory zbliżenia z życiem praktycznem, toć i w Europie niektóre z najszlachetniejszych i z pewnością najidealniej myślących jednostek w świecie naukowym, po nadmiernej i bezdusznej specjalizacji, która była właściwa nauce późniejszego wieku XIX, tęsknią do nowego związania nauki z wielkiemi zagadnieniami życia społecznego i indywidualnego. Niedawno u nas wszakże prezydent najdostojniejszego zrzeszenia naukowego w Polsce, Polskiej

Akademji Umiejętności, nie wahał się w przemówieniu do Prezydenta Rzeczypospolitej określić to związanie nauki z życiem jako naczelny postulat kulturalny naszych dni.

Jeżeli z drugiej strony uniwersytety amerykańskie zapełniają dziś młodzi ludzie, którzy bez względu na przedmiot swych studjów idą potem pracować w handlu i przemyśle, toć chociażby nie wiem jak rzemieślniczo naukę uniwersytecką traktowali, wyniosą przecież ze sobą jakąś szczyptę tego idealizmu, którego z nauki nic nie wykorzeni, i wniosą ją w atmosferę wielkiego targowiska przemysłowo-handlowego, przez to atmosferę tę uszlachetniając.

A więc używotnienie nauki z jednej, a uduchowienie życia ekonomicznego z drugiej strony, to ideały — ideały chyba niewątpliwie wzniosłe, — którym dzisiejszy system amerykański przy wszystkich swych stronach ujemnych jednak w pewnej mierze służy.

A zważmy przytem jeszcze tę olbrzymią dogodność społeczną, jaką stanowi fakt, że nieprzejrzaną rzeszę studentów, przepełniających dziś wszechnice amerykańskie, jak dotąd, prawie bez reszty wchłania potężny organizm handlowo-przemysłowy. Niema tam tych głodnych zastępów proletarjatu wpół-inteligentnego, które u nas z rozpaczą się biją o mizerne zaopatrzenie przez rząd. Z tej strony na rzecz patrząc, moloch kapitalistyczny Ameryki zaiste korzystnie się przedstawia w porównaniu z molochem etatystycznym Europy. Porównanie to szczególnie jaskrawo na korzyść Ameryki wypada, gdy weźmiemy pod uwagę skrajny biegun etatyzmu europejskiego — etatyzm bolszewickiej Rosji. Naprzeciw bujnego materjalnego rozkwitu wszechnic amerykańskich stoi w Rosji sowieckiej państwowa inflacja uniwersytecka. Uniwersytety tam rosną jak grzyby po deszczu, ale dzięki brakowi sił inteligentnych, fanatyzmowi

cenzusu partyjnego, wreszcie biedzie gospodarczej państwa są to grzyby zmurszałe i jadowite.

Nie chcę zresztą bynajmniej być płaskim utylitarystą. Uniwersytet, pojmowany naprawdę godnie, nie powinien służyć całkowicie i wyłącznie ani organizmowi ekonomicznemu ani organizmowi politycznemu.

Nie chcę też przechwalać uniwersytetów amerykańskich jednostronnie. Dość niski jest bezsprzecznie przeciętny poziom umysłowy ich rzesz studenckich, nie wysoki także przeciętny poziom wykładów i prac. Chciałem jedynie zaznaczyć, że jeżeli w Ameryce naukę uniwersytecką przenika dziś usprawniający wpływ ze świata gospodarczego, a świat gospodarczy przenika idealizujące tchnienie kultury akademickiej, to w założeniu mogę widzieć w tem zjawisku zapowiedź rzeczy dobrych, i mogę nawet pragnąć, by w amerykanizującej się pod względem ekonomicznym Europie podobnie w przyszłości ułożył się stosunek sfer gospodarczych do ośrodków nauki.

XII.

# O NASZEM WYCHODZTWIE.

Wychodztwo polskie do Ameryki północnej — to proces historyczny o dość dawnej już tradycji, dziś wskutek amerykańskich ustaw anty-immigracyjnych poniekąd zakończony i do zbilansowania się nadający [1]). Jako nazwisko patrona wolno nam na pierwszej karcie tego rozdziału naszych dziejów kulturalnych z dumą postawić promienne nazwisko Kazimierza Pułaskiego, którego w 150 rocznicę jego bohaterskiego zgonu niedawno tak uroczyście czciły wielkie skupienia wychodźcze w Stanach Zjednoczonych. Pan Kazimierz, którego wielkość rycerską, obywatelską i ludzką dopiero dziś w świetle prac profesora Konopczyńskiego i innych w pełni sobie uświadamiamy, jako konfederat barski był jednym z zastępu pierwszych naszych powstańców, — pierwszych, co rzucili niemilknące odtąd przez pokolenia polskie hasło zbrojnego protestu przeciw gwałtowi zaborczemu. A jako ochotnik w walce o niepodległość Ameryki stał się pierwszym legjonistą, — pierwszym z tych, co odtąd tylokrotnie „za naszą i waszą wolność“ szli walczyć daleko w świecie, w nadziei przysłużenia się Polsce;

[1]) Podstawy historjografji wychodźczej polsko-amerykańskiej posiadamy w dwóch książkach, pisanych przez Polaków w Ameryce: Ks. Wacław Kruszka, *Historja polska w Ameryce.* (Milwaukee, nakładem „Kurjera“, 1905), — i M. Haimann, *Z przeszłości polskiej w Ameryce.* (Buffalo, 1927).

był Pułaski poprzednikiem i Dąbrowskiego i Bema i samego Adama Mickiewicza, który raz na ziemi italskiej a powtórnie nad Bosforem gromadził rodaków do walki o cudzą wolność. Dając zaś życie w bojach o niepodległość Ameryki, i kojarząc w ten sposób już raz na zawsze swoje sławne w całej Europie imię z tworem dziejowych Stanów Zjednoczonych, pan Kazimierz stał się także pierwszym wielkim wychodźcą polskim w Ameryce północnej, idealnym wzorem dla całej późniejszej emigracji polskiej. Aż do udziału bohaterskich żołnierzy polsko-amerykańskich w wojnie światowej nie było wprawdzie danem wychodztwu przelewać krew za sprawę Ameryki wzorem Pułaskiego[1]); ale przelało ono zato sporo potu w ciężkiej pracy na ziemi amerykańskiej, i na jego krzepkich robotniczych barkach w znacznej mierze zbudowany jest dzisiejszy dobrobyt przemysłowy Ameryki.

Pierwsze fale naszego wychodztwa w XIX wieku, to jeszcze jednostki i grupy przeważnie z klas wykształceńszych pochodzące, i wyrzucone poza kraj przez kataklizmy polityczne: przedewszystkiem oficerowie i żołnierze obu naszych powstań, 1830 i 1863 r., którzy wnoszą często wybitne walory duchowe w tworzący się żywioł inteligencji amerykańskiej. A więc z rycerzy listopadowych był ów major Sobolewski, którego jeden przynajmniej weteran naszej kolonji chicagoskiej jeszcze z dzieciństwa pamięta, a który pod koniec życia zasłużył się przez wydanie jednej z pierwszych książek angielskich o literaturze polskiej *(Polish*

[1]) Udział Polaków w wojnie domowej amerykańskiej (1861—5), — udział dość liczny, i to przeważnie po stronie Południa, jak wykazała druga praca historyczna p. Haimanna, — nie ma poważnego ogólniejszego znaczenia, tak samo jak i udział polskich żołnierzy z Ameryki w wojnie hiszpańsko-amerykańskiej (1897—9), w której podobno też usiłowano stworzyć jakiś legjon polsko-amerykański.

*Poets and Poetry*, 1881); z powstańców r. 1831 także pochodził ów Gzowski, który stał się właściwym założycielem miasta Toronto w Kanadzie, i którego zangliczali potomkowie dziś jeszcze tam noszą to szanowane polskie nazwisko; w powstaniu listopadowem walczył szlachetny Węgier, dr. Karol Kraitzir, który potem jeszcze powracał do Europy w r. 1849 bić się za wolność swej własnej ojczyzny, by wreszcie zakończyć życie w Ameryce jako ceniony profesor języków. Pomijam nazwiska wielu innych, którzy zasłynęli w Ameryce jako prawnicy, inżynierowie lub działacze społeczni, a których pamięć z pyłu zapomnienia wydobył w swej pracy p. Haimann.

Dalszym ciągiem niejako tej dawniejszej emigracji o wybitnie inteligentnym charakterze stał się ten zastęp sił artystycznych polskich, które niejednokrotnie pamiętnie się zaznaczyły — i dziś jeszcze się zaznaczają — w rozwoju kultury estetycznej w Ameryce. Jaśnieje w tej galerji nadewszystko nazwisko Modrzejewskiej, której królewski czar dziś jeszcze działa przez wspomnienia tych, co ją widzieli [1]). Za swojego niemal poczytują Amerykanie także mistrza Paderewskiego, który w Ameryce czczony jest jak nigdzie indziej, i którego szesnaście dotychczasowych objazdów koncertowych po Stanach było prawdziwemi pochodami triumfalnemi [2]). Nie są niegodnymi dziedzicami tej wielkiej tradycji rozrzuceni dziś po większych miastach amerykań-

---

[1]) Ze zdziwieniem i rozrzewnieniem natrafiłem na scenę, w której występuje sama Modrzejewska, w powieści Willi Cather *My Mortal Enemy* (1926).

[2]) Obiad, wydany na cześć Paderewskiego przez Fundację Kościuszkowską w Nowym Yorku, w maju r. 1928, dał sposobność nietylko do nadzwyczaj gorących dla niego owacyj ze strony półtoratysiącznego tłumu uczestników, ale także do zapełnienia całego pokaźnego tomu rękopiśmiennemi dlań hołdami ze strony najwybitniejszych obywateli Ameryki.

skich polscy artyści — śpiewacy, muzycy i plastycy — wszędzie szanowani i cenieni: a więc sędziwa pani Sembrich-Kochańska i zawsze młody Adam Didur w Nowym Yorku, pianista Zygmunt Stojowski i znakomity twórca masek portretowych p. Benda tamże; skrzypek Paweł Kochański i dyrygent Leopold Stokowski w Filadelfji; bracia Adamowscy, znani od wielu lat jako profesorowie muzyki w Bostonie; Wroński (organizujący operę gminną w Detroit) i pani K. Zagórska (kuzynka Józefa Conrada), znana jako nauczycielka śpiewu tamże; — dr. K. Liszniewski w Cincinnati; Wiktor Łabuński, profesor konserwatorjum w Nashville, w stanie Tennessee (w mieście zwanem „Atenami Południa"); malarze L. Makielski (portrecista) w Detroit i F. Gwozdecki w N. Yorku; wreszcie znany na obu półkulach i zamieszkały naprzemian w Europie i w Ameryce reżyser dramatyczny i filmowy p. Ryszard Ordyński (którego film *Pan Tadeusz* za czasów mojego pobytu z wielkiem powodzeniem był demonstrowany w głównych centrach wychodźczych[1]): oto kilka tylko nazwisk, wybranych głównie dzięki przypadkowym spotkaniom podczas moich wędrówek odczytowych. Ale możnaby tę listę niewątpliwie znacznie pomnożyć.

Tu zatem jest kategorja wychodztwa osobna, niezmiernie wartościowa, i liczebnie nawet nie tak słaba, jak się zazwyczaj myśli. Ale ogół wychodztwa, jak wszyscy dobrze wiemy, stanowił żywioł zgoła odmienny. Tym żywiołem

[1]) W Chicago, zagajając premjerę tego filmu wobec kilkutysięcznego tłumu polskiego, użyłem w mej przemowie zwrotu, że „w Polsce ten, kto umie czytać i pisać, a nie czytał *Pana Tadeusza*, liczy się jako stojący narówni z tymi, co wcale czytać i pisać nie umieją". Rezultatem była rozsprzedaż przy kasie kinoteatru stu kilkudziesięciu egzemplarzy dolarowego amerykańskiego wydania *Pana Tadeusza* w ten sam wieczór — sukces dla p. Ordyńskiego pewnie niemniej miły od samego sukcesu jego filmu.

był bezrolny lub małorolny chłop polski, który pracował w Ameryce albo na roli albo (w przeważającej ilości) w kopalniach i fabrykach, zazwyczaj — na początku przynajmniej — jako najniższej klasy niekwalifikowany robotnik. Emigracja masowa tego elementu zaczęła się — w trzeciej ćwierci wieku XIX — od Księstwa Poznańskiego; stąd może fakt, że przeciętna polszczyzna amerykańska dla ucha polskiego ma charakter dźwiękowy wielkopolski. Później rozwinęła się emigracja ogromnych mas tego samego pochodzenia społecznego z Galicji, Królestwa i kresów. Rozkwitł przemysł ajentur emigracyjnych z wszystkiemi jego potwornemi nadużyciami, rozgrywały się dantejskie sceny w „cwiszendeku“ *(steerage)* okrętowym (dziś na szczęście już należącym do historji), na stacji kwarantannowej *Ellis Island* w porcie nowojorskim, wreszcie w masowych kwaterach zakontraktowanego, nawpół-pańszczyźnianego żywiołu robotniczego po wielkich ośrodkach przemysłowych amerykańskich. Narastała wśród niewymownych cierpień ta 4½-miljonowa polska masa wychodźcza, którą dziś mamy w Ameryce. Głównemi jej ośrodkami są wielkie miasta przemysłowe i okręgi kopalniane północno-wschodniej połaci Stanów, oraz środkowego zachodu. Nowy York nie jest wielkim ośrodkiem tego typu wychodźczego — stanowi raczej jego bramę wypadową, — natomiast właściwą stolicą mas wychodźczych w Ameryce stało się, jak wiadomo, Chicago. Liczy ono dziś bezmała pół miljona Polaków wśród swej ludności: obok swej głównej dzielnicy polskiej — między *Milwaukee Avenue* a *West Division Street*, gdzie słyszy się na ulicach prawie wyłącznie język polski, ma jeszcze dwie inne, pełne Polaków — *South Side* (okolicę wielkich rzeźni miejskich) i *South Chicago*, — a ponadto roi się od Polaków w gminach okolicznych, dziś powoli

z „większem Chicago“ się zrastających, jak Gary, Indiana, Cicero lub nieco bardziej oddalone South Bend. Po Chicago, co do liczebności Polaków, następuje Detroit: zamknięta dziś w jego obrębie samodzielna gmina Hamtramck (niegdyś osobne miasteczko), jest jednym z najrdzenniej polskich ośrodków miejskich w Ameryce: wszyscy funkcjonarjusze miejscy w Hamtramck, od burmistrza do policjanta, są Polakami; mówiłem w tamtejszym *Rotary Club* do audytorjum prawie z samych Polaków złożonego; a słyszałem, że w Hamtramck można spotkać na ulicy nawet murzynów rozmawiających po polsku, bo to język w tej gminie panujący. Nie mogę przytem pominąć jednego szczegółu autentycznego, który bardzo chlubne rzuca światło na Hamtramck, tę wyspę polską wśród oceanu przemysłowego Detroit. Oto zaraz w pierwszych czasach mojego pierwszego pobytu w Ameryce prezydent kobiecego kolegjum Vassar koło Nowego Yorku i prezes Rady Nadzorczej Fundacji Kościuszkowskiej, dr. H. N. Mac Cracken, podczas mojej wizyty w jego domu zdjął ze swych półek bibljotecznych niepokaźnie wyglądający, czarno oprawny tom, i podając mi go rzekł: „Oto publikacja, z której Pan jako Polak może być dumny. Jest to statut szkolny gminy Hamtramck, i mogę Panu powiedzieć, że jest to najlepszy gminny statut szkolny w całych Stanach“. Nie wiedziałem wtedy jeszcze nic o gminie Hamtramck, i dopiero obróciwszy na wezwanie mego gospodarza kartkę tytułową statutu, przekonałem się, że spis członków gminnej komisji szkolnej, odpowiedzialnej za statut, składa się z samych rdzennie polskich nazwisk! Miałem później sposobność zwiedzać główną szkołę gminną w Hamtramck i podziwiać wspaniałe jej urządzenia nietylko budowlane, ale i pedagogiczne. Z jej publikacyj, które otrzymuję, niejedna rzecz —

np. bardzo miła broszurka, zawierająca naukę uprzejmych form towarzyskich dla dzieci, z ładniutkiemi ilustracjami! — zasługiwałaby na uwagę pedagogów europejskich.

Podobnie stanowcza przewaga żywiołu polskiego, jak w Hamtramck w obrębie Detroit, daje się zauważyć w całych rozległych dzielnicach innych wielkich miast przemysłowych, jak Milwaukee i Cleveland na środkowym zachodzie, Buffalo i Boston na północnym wschodzie, Philadelphia i Baltimore w stronie południowo-wschodniej. Gęste masy górników polskich siedzą w zagłębiu węglowem pensylwańskiem, w Pittsburgh'u, Scranton, Wilkes Barre. Miasteczko Nanticoke, niedaleko Wilkes Barre, przedstawiło mi się jako drugie Hamtramck: i tam trudno na ulicy usłyszeć inny język niż polski, wyczytać na szyldach inne nazwiska niż polskie, spotkać wśród administracji gminnej kogo innego, niż Polaków. Także poza wielkiemi skupieniami przemysłowemi, w pojedyńczych zakładach fabrycznych, natrafia się często na całe kolonje polskie: przekonałem się np. przy przygodnem zwiedzaniu największej w Ameryce fabryki kołnierzyków męskich, w Troy (stan Nowy York), że tysiące kobiet w niej zatrudnionych, to prawie same Polki.

Obok mas wychodztwa pracujących w przemyśle, osobna wzmianka należy się mniej licznemu wychodztwu rolniczemu. Tylko na okręcie zetknąłem się z polskim robotnikiem rolnym ze stron najbliższych, t. j. z farm w okolicy N. Yorku, gdzie tego żywiołu jest sporo. Do najmilszych natomiast wrażeń z samej ziemi amerykańskiej zaliczam wycieczkę w dolinę rzeki Connecticut koło Springfield (stan Massachusetts), gdzie folwark przy folwarku zasiedli chłopi polscy, już w roli zasobnych gospodarzy. Wkupili się przez pracę i oszczędność w posiadanie gospo-

darstw, na których pierwotnie pracowali jako najemni robotnicy. Są to plantacje dwóch tylko roślin, mianowicie cebuli i tytoniu: uciążliwą (i przykrą dla błon śluzowych) ich uprawę rolnicy amerykańscy stopniowo rzucali, odsprzedając je polskim robotnikom, którym ta praca, jak i wszelka inna, „nie śmierdziała“. Uprawiając nadal tylko cebulę i tytoń, wszelkie inne produkty muszą sobie kupować: mają w tym celu wspaniale rozwiniętą i nader umiejętnie prowadzoną kooperatywę w miasteczku Holyoke. Tam to, o tych naszych rolnikach koło Springfield, z radością usłyszałem od znajomego Amerykanina, urzędnika bankowego, że miewają po 20.000 dolarów w banku; tam opowiadał mi miejscowy ks. proboszcz, że koło jego kościoła w niedzielę nikt Forda nie zobaczy, bo wszyscy jego parafjanie mają lepsze auta; tam odwiedziłem elegancką piątrową willę wspomnianego już gospodarza z Łomżyńskiego, który mi z dumą pokazywał swój siódmy (po piętnastu latach pobytu) samochód; tam zastałem jego dzieci nad historją polską i rozpostartą na stole kuchennym mapą Polski; u niego też w salonie widziałem Sienkiewicza na półce i pianino w kącie, a zajrzałem także do łazienki, wytwornie urządzonej i wzorowo czystej. Podobnie pocieszające rzeczy opowiadano mi o kulturze i zasobności górnośląskich kolonij rolniczych w dalekiem Texas, które uporczywie zachowują swą obrębność narodową. Sam jednak już tak daleko nie dotarłem. Na południu i zachodzie wogóle Polaków jest stosunkowo mało, choć nigdzie ich nie brak. Są rozwijające się skupienia we wielkich miastach kalifornijskich nad Pacyfikiem (jak San Francisco), a nawet w odległym zakątku plantatorskiego kiedyś południa, w Savannah w stanie Georgia, z okazji 150 rocznicy zgonu poległego tam Pułaskiego, znaleziono pięć rodzin polskich.

Już z tego, co tu urywkowo i bez pretensji do wyczerpania przedmiotu powiedziałem o rozmieszczeniu naszego wychodztwa robotniczego i rolniczego po stanach, wynika odrazu coś niecoś co do jego losów. A więc twarda natura chłopa polskiego trwała przez wszystkie męki emigranckiego *Inferno:* żyjąc na poziomie potrzeb materjalnych, niepojęcie prymitywnym dla Amerykanina, umiał z najniższych w Ameryce płac robotniczych zaoszczędzać dolara za dolarem; posyłał pieniądze do domu, albo sam wracał (nieraz dwa lub trzy razy w życiu), by powiększać swe karłowate gospodarstwo przez dokup. Czasem taki powracający „Amerykanin" budował się na nowo, i nowa zagroda jego jest i dziś jeszcze wzorem wygód domowych i schludności, a nawet względnej okazałości architektonicznej dla całej okolicy. Gdy zostawał w Ameryce, dźwigał się powoli i mozolnie na przeciętny szczebel amerykańskiego dostatku robotniczego, na którym go dziś, chwała Bogu, już przeważnie znajdujemy. Dźwigał się także na wyższy poziom hierarchji robotniczej w przemyśle: mówiono mi w zakładach Forda w Detroit, że przy najcięższych i najprostszych robotach mało już dziś jest Polaków, a znaleźć ich można przeważnie w działach subtelniejszej roboty mechanicznej. Ale większego majątku emigrant polski dorabiał się stosunkowo rzadko; i dziś przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe w rękach polskich są w Ameryce rzadkością. Zjawiska, jak zmarły niedawno „nieukoronowany król polski w Ameryce", bankier Jan F. Smulski w Chicago, jak jego następcy co do prestiżu towarzyskiego i pozycji w świecie bankowym, pp. J. Śmietanka i E. Przybysz (Prebis), jak p. N. Piotrowski, prezydent wielkiego stowarzyszenia asekuracyjnego tamże, jak p. Paweł Drzymalski, twórca wielkiej spółki do handlu węglem, pod nazwą *Polo-*

*nia Coal Company*, również w Chicago, jak p. Malinowski, bankier w zagłębiu węglowem pensylwańskiem, jak p. F. Ruszkiewicz, właściciel dziennika i drukarni w Buffalo, jak p. Wabiszewski, właściciel stalowni w Milwaukee lub p. Fons, przedsiębiorca budowlany tamże, jak p. J. Lesiński, handlarz drzewem w Detroit, jak p. H. Siemiński, właściciel największej w Ameryce pralni mechanicznej (w Jersey City koło N. Yorku), — wszystko ludzie, którzy zaczęli od niczego i ciężką pracą zbudowali swe fortuny, — należą do nader nielicznych naogół wyjątków. A z drugiej strony, wiele nawet jeszcze dzisiaj, przy ogólnym dobrobycie w Ameryce, jest wśród wychodztwa prawdziwej, szczerzącej się biedy. Obrazy anemji i suchot, niedorozwoju fizycznego i umysłowego, oraz różnych dziedzicznych niedomagań, jakie oglądałem wśród dzieci polskich we wspaniałym sierocińcu w Nanticoke w Pensylwanji, (ufundowanym przez wspomnianego p. Malinowskiego), pozostaną w mej pamięci jako niewypowiedzianie bolesny przykład ubóstwa materjalnego, które i dziś jeszcze wśród naszych mas wychodźczych w Ameryce panuje.

Niemniejsze, niestety, było i niejednokrotnie i do dziś jeszcze pozostało ubóstwo kulturalne. Emigrant dostawał się do Ameryki w złotej erze nieograniczonych możliwości zarobkowych, widział dokoła siebie ludzi bez wykształcenia wyższego, dorabiających się majątku prostą drogą od dołu ku górze w organizmie przemysłowym: cóż więc dziwnego, że w jakichś ofiarach trudu, czasu, czy grosza na zdobycie wyższej oświaty dla siebie czy nawet dla swych dzieci, żadnego praktycznego sensu nie upatrywał? Wpadał przytem przecież, jak każdy inny europejski emigrant, w zamknięte grono wychodźców własnej narodowości; spędzał długie lata wśród takich samych, jak on, Wojtków,

Maćków i Bartków „na Polsce“, (t. j. w polskiej dzielnicy miasta); dzielnic typowo amerykańskich nie znał tak samo, jak i nie znał rozwijającego się wokoło bogatego życia umysłowego i społecznego nowoczesnej Ameryki. Odgraniczała go od tego wszystkiego zapora zupełnego prawie analfabetyzmu językowego, często nieprzebyta aż do śmierci i przełamana tylko przez przeplatające jego własny język polski obfite i zgoła nieestetyczne, surowe zapożyczanie pospolitych słów angielskich, z zakresu najcodzienniejszych urządzeń i czynności. Gdy wychował syna na lekarza lub adwokata (co się zdarzało dość rzadko), ci znajdowali klientelę przeważnie znowu wśród Polonji i spędzali w jej zamkniętym horyzoncie wiek życia, jako pospolici zjadacze chleba lub co najwyżej jako działacze społeczni na arenie parafjalnej. Rzadko który inteligent tego typu, wychodzący z masy wychodźczej, obejmował szersze widnokręgi i wybijał się na górujące stanowisko w oczach Polaków i Amerykanów. Takim wyjątkiem jest znany chlubnie w całej Polsce dr. Fronczak, fizyk miejski w Buffallo. Ale wyjątków takich było, niestety, bardzo a bardzo niewiele.

A strona moralna? Ta z pewnych względów przedstawiała się może jeszcze smutniej od kulturalnej. Wyrwany z polskiego zacisza wiejskiego chłop, rzucony w kocioł wielkiego amerykańskiego miasta przemysłowego, musiał być chyba tak zdezorjentowany, jak mało która istota ludzka na świecie. Do tej dezorjentacji przyczyniła się jeszcze gruntowna zmiana warunków społecznych i politycznych. Szczególnie gdy pochodził z utrzymywanego rozmyślnie w stanie ciemnym i bezprawnym zaboru rosyjskiego, ta pełnia praw obywatelskich, którą odrazu posiadł w demokratycznej republice amerykańskiej, musiała go oszołamiać. Nic dziwnego, że upojenie nową wolnością, a także

równością (zaznaczającą się w sposób dziwnie osobliwy na każdym kroku w postępowaniu z nim ludzi!), wytwarzało w umyśle chłopa nieraz anarchizm, a czasem i zbrodniczość, — podobnie jak to się dzisiaj zdarza u naszych „wykorzenionych“ we Francji, gdzie słowa *bandit polonais* nie bez powodu, choć z krzywdą dla nas, stały się przysłowiowemi. Tak samo w Ameryce: fakt, że zabójcą prezydenta Mc Kinley'a w r. 1897 był anarchista-Polak Leon Czołgosz, stał się źródłem wielu niekorzystnych dla naszej emigracji, ryczałtowych sądów i zakorzenionych opinij wśród społeczeństwa amerykańskiego. Jeżeli dzisiejszy amerykański socjolog Thomas, który wspólnie z naszym profesorem Znanieckim wydał pięciotomowe dzieło o „Chłopie polskim w Europie i Ameryce“ [1]), później streścił wyniki swych spostrzeżeń w bardzo ujemnej charakterystyce ogółu emigrantów polskich po wielkich miastach amerykańskich pod względem myślenia politycznego i zmysłu prawnego [2]), to mogę się oburzać na jego jednostronność, ale w sztucznie zacieśnionych ramach jego dowodzeń nie mogę mu odmówić pewnej dozy słuszności.

Jeszcze na inną stronę sprawy trzeba zwrócić uwagę. Zachwyt emigranta dla nieznanego mu z domu demokratyzmu życia amerykańskiego i nowej mu swobody sprawiał często, że proces amerykanizacji politycznej i psychologicznej dokonywał się pośpiesznie, ryczałtowo, a przytem zupełnie powierzchownie i grubo. Patrjotyzm nowych obywateli amerykańskich przybierał postać ślepego fanatyzmu

---

[1]) *The Polish Peasant in Europe and America* (5 tomów, Chicago University Press, 1918).

[2]) *The Problem of Personality in Urban Environment* (w tomie zbiorowym *The Urban Community*, ed. Prof. E. W. Burgess, Chicago University Press, 1926).

i zupełnego zmaterjalizowania. Cyniczny kult dolara i szowinistyczny kult Ameryki, a pogarda dla biednej Europy z włączeniem własnej ojczyzny (której skarbów duchowych nigdy nie znał, i którą pamiętał tylko jako piekło nędzy) — oto kategorje myślenia moralnego, społecznego i politycznego, jakie się wyrabiały u przeciętnego emigranta. Jakież inne miały się wyrobić u tego, co chcąc usilnie być *plus américain que les américains* (jak każdy neofita), zapatrywał się tylko na najniższe a zarazem najjaskrawsze wzory, jakich mu otoczenie dostarczało?

Mimo krzykliwego entuzjazmu dla Ameryki, emigrant — czyto polski, czy żydowski, włoski, grecki czy rumuński — był i w znacznej mierze jest u starszego społeczeństwa amerykańskiego wzgardzony z powodu braku kultury materjalnej i obywatelskiej. Cóż mieli myśleć Amerykanie o ludziach, którzy po wielu latach pobytu w ich kraju z okazji egzaminu, potrzebnego do uzyskania obywatelstwa, z wyrazem *South* („Południe“) kojarzyli jedynie nazwę ulicy *South Street* niedaleko własnego domu, a o morzu, przez które przyjechali z Europy, nie wiedzieli, jak się nazywa? Cóżby byli mogli — dodajmy — pomyśleć o wartościach kulturalnych tradycji narodowej, gdyby byli się dowiedzieli, że kilkunastoletni wyrostek, przybywający ze względnie oświeconego zaboru austrjackiego po kilku latach szkoły, wiedział coś o Austrji i Galicji, ale nigdy nie słyszał, że istniała kiedyś Polska jako osobne państwo?[1]).

To też w umyśle ograniczonego i tępego, przeciętnego mieszczucha amerykańskiego wytwarzała się zupełnie naturalnym sposobem pogarda dla większości narodów euro-

[1]) Fakt autentyczny, opowiedziany mi z goryczą jako wspomnienie z własnej młodości przez wychodźcę, który dziś jest wybitnym działaczem oświatowym polskim w Ameryce.

pejskich — szczególnie wschodnich i południowych — i to nieznośne poczucie wyższości, które mu dziś towarzyszy nawet w podróży po najświętszych miejscach kultury europejskiej. Pogardą obejmował nawet Włochów, bo przecież w Ameryce spotykał tylko takich, którzy nigdy nic o Dantem ani Michale Aniele nie słyszeli, tak samo jak zresztą i on sam. Z pod ogólnej wzgardy wyjęci byli tylko Anglicy i Szkoci, jako rasa macierzysta, Irlandczycy, jako mówiący z domu po angielsku i przez to szybko się aklimatyzujący, wreszcie — wyjątek ważny! — Skandynawowie, Holendrzy i Niemcy, jako przynoszący ze starej ojczyzny wysoki naogół zapas elementarnej oświaty.

Ale powróćmy do naszych emigrantów. Mimo braku wyposażenia duchowego i częstej zatraty równowagi moralnej w nowych warunkach amerykańskich, kryły się jednak w tej masie ludzkiej, i to niewątpliwie w wysokim stopniu i gatunku właśnie w masie polskiej, pewne wielkie zasadnicze walory moralne, które Ameryka dopiero zczasem poznała i oceniła [1]).

Przedewszystkiem przynosili emigranci jako posiadany podświadomie, dziedziczny kapitał duchowy całe bogactwo i całą rozmaitość charakterów narodowych Europy. Jeżeli temperament Amerykanina stał się bujniejszy i żywszy od temperamentu Anglika, jeżeli z drugiej strony Ameryka przewyższyła Anglję zdolnością organizacyjną, to zasługa w znacznej mierze tych różnorodnych domieszek, jakiemi do powstania typu amerykańskiego przyczyniły się różnorodne żywioły europejskie.

---

[1]) Przypomniałem je oświeconej opinji amerykańskiej w przemówieniu p. t. *Immigration and the Interchange of Cultures,* które miałem na 21 dorocznem walnem zebraniu *Immigrant Protective League*, w Chicago w r. 1929 (druk. w miesięczniku *Poland*, N. York, wrzesień 1929).

Co ważniejsze, emigrant — szczególnie chłop z naszych stron Europy — przynosił ze sobą przyzwyczajenie do ciężkiej i wytrwałej pracy bez pretensji o ustawową ochronę i o wysokie wynagrodzenie. Fantastyczny dobrobyt dzisiejszej Ameryki nie polega wyłącznie na niebywale pomyślnych warunkach podstawowych rozwoju gospodarczego i na przychylnej konjunkturze; jest w jego podwalinach także sporo prostego, mozolnego trudu ludzkiego, i lwią część tego trudu przyniósł w przymusowej ofierze tani emigrancki robotnik z przeludnionych krajów Europy.

Wreszcie jako najwyższy skarb moralny wiózł emigrant ze sobą do Ameryki swoje tradycje religijne. Narodowo mało był uświadomiony: zresztą narodowość jego i język były przeważnie od początku przedmiotem pośmiewiska, wydziwiania i wzgardy. Rychło więc przyzwyczaił się kryć się ze swą narodowością i wstydzić się jej: to poczucie niższości własnego narodu przenosiło się z ojców na dzieci, i tkwi dziś we wielu młodych Amerykanach pochodzenia polskiego jako „idée fixe". Natomiast religja emigranta w tym stopniu na ostentacyjne objawy wzgardy w Ameryce narażoną nie była: jeżeli był katolikiem, znalazł się odrazu w szeregach liczebnie potężnego odłamu wyznaniowego, który już z tego powodu musiał być respektowany. Emigrant irlandzki, włoski, polski, litewski pochodził przeważnie z mas prostodusznie wierzących i pobożnych: to też w tych warunkach religja stawała się wśród obcego świata jedynem *palladium* jego godności społecznej i osobistej. Wśród szerzącego się w nowszych czasach w Ameryce materjalistycznego zobojętnienia wobec religji, o którem gdzie indziej już mówiłem, społeczności emigranckie pozostawały ośrodkami ceremonjalnej religijności. Dotyczy to i żydów, przy całej skłonności młodszej ich

warstwy do przyjmowania zewnętrznych cech amerykańskich. Siegfried opowiada, że w niejednym wypadku siła ideowa masy ortodoksyjnej wciągnęła emancypowanego już nowojorskiego żyda zpowrotem do synagogi.

Religja stała się też najnaturalniejszą podstawą społecznej organizacji mas wychodźczych. Dla chłopa polskiego w Ameryce parafja była oczywiście tym pierwszym ośrodkiem organizacyjnym, do którego instynktownie się garnął, ksiądz był jego pierwszym doradcą we wszelkich sprawach osobistych czy gromadzkich. Rozwojem organizacyj religijnych mierzy się rozrost wychodztwa: fakt, że w Chicago w przeciągu dwóch generacyj liczba polskich parafij katolickich doszła od jednej do 59, jest najwymowniejszym symbolem tego potężnego stanowiska, jakie tam żywioł polski zajął. Tak samo gdzie indziej takiemi symbolami są wielkie kościoły, budowane znacznym sumptem nawet w ubogich środowiskach: by wymienić choć jeden przykład, wspaniała bazylika im. św. Józafata Kuncewicza ze swą kopułą nakształt kopuły św. Piotra góruje nad całem prawie miastem Milwaukee, choć Polacy nie są tam bynajmniej najbogatszym i nie są nawet liczebnie najsilniejszym żywiołem. I dziś jeszcze religijne formy organizacji grają znaczną rolę w życiu wychodztwa: dzielnice polskie miast jak Chicago nazywają się według patronów kościołów parafjalnych (Kazimierzowo, Annowo, Stanisławowo), i na wszelkich uroczystościach polskich związki parafjalne, ze swemi sztandarami, stanowią rdzeń pochodów publicznych. Ale minęły czasy supremacji tych zrzeszeń i ich monopolu organizacyjnego. Nie mógł nie dokonać się wśród wychodztwa ten sam proces zeświecczenia form życia zbiorowego, który wszędzie indziej w podobnych środowiskach i warunkach w ciągu XIX wieku się dokonywał. Wśród

Polonji amerykańskiej przyczyniły się do niego jeszcze pewne specyficzne okoliczności miejscowe. Z pewnością ani kler polski w Ameryce ani wychodztwo samo winy nie ponosi, że za sprawą potężnego żywiołu irlandzkiego w Stanach wszystkie wyższe stanowiska w katolickiej hierarchji kościelnej zajęli tam Irlandczycy, którzy tylko Niemcom pewną część tej zdobyczy zmuszeni byli odstąpić, — a przeszło cztery miljony polskich katolików w Ameryce znajduje się dziś w tem anormalnem, upośledzonem położeniu, że mają tylko dwóch biskupów. Jest to przykra bolączka wychodztwa: wielkim głosem tę jego skargę podniósł z ambony odważny ks. Kruszka na nabożeństwie z okazji Sejmu Związku Narodowego Polskiego w r. 1928[1]). Upośledzenie Polaków na korzyść zachłannego żywiołu irlandzko-amerykańskiego — nietylko w kościele zresztą, ale i w samorządach gminnych i w polityce, — stanowi jedną z przyczyn dziwnej na pierwszy rzut oka antypatji Polaków amerykańskich do narodu irlandzkiego, z którym łączy nas przecież tyle podobieństw w losach historycznych, tradycjach naro-

[1]) Jak przykro ta supremacja irlandzka daje się odczuć, tego mały ale znamienny przykład miałem na poświęceniu sierocińca polskiego w bostońskiej dzielnicy *Hyde Park,* stworzonego przez niestrudzoną pracę ks. Syskiego, w październiku r. 1928. Otóż kardynał irlandzki z Bostonu, uświetniając uroczystość swą obecnością, w przemówieniu swojem wśród komplementów pod adresem Polski jako przedmurza chrześcijaństwa zaznaczył wprawdzie, że Polska nosi także aureolę męczeństwa, bo nacierpiała się więcej niż inne narody, ale nie omieszkał dodać: „prócz Irlandji“ *(save Ireland).* Więc nawet smutnego przywileju pierwszeństwa w cierpieniu żałuje się nam, i odmawia się go nam przy takiej sposobności! Ten sam kardynał do zebranych księży polskich wypowiedział surową admonicję o potrzebie „jedności i karności“, co ja w swojem polskiem przemówieniu pozwoliłem sobie podchwycić, wzywając żywioł polski do jedności i karności narodowej i do zarzucenia starych waśni partyjnych.

dowych i usposobieniu. Fakt przewagi w kościele Irlandczyków, tłumiących wszelkie przejawy ducha narodowego wśród niższego duchowieństwa polskiego w imię lojalności obywatelskiej wobec Ameryki, stanowi też w znacznej mierze wytłumaczenie wyrosłej w Ameryce (na tym klasycznym gruncie wszelkiego sekciarstwa) schizmy wśród katolików polskich, w postaci t. zw. Kościoła Narodowego. Kościół Narodowy — którego głównym ośrodkiem jest górnicze miasto Scranton w Pensylwanji — zastałem w Ameryce w stanie zastoju, i dalszych postępów ponoć wróżyć mu nie można; w każdym razie jednak jako dość pokaźne liczebnie ugrupowanie się utrzymuje. Bardzo małe natomiast postępy uczyniła wśród mas wychodźczych naogół misjonarska działalność sekt protestanckich: jedynie w Toronto w Kanadzie natknąłem się na ślady intensywnej propagandy baptystów.

Konserwatyzm religijny zatem okazał się wśród starszego wychodztwa siłą naprawdę wielką. Ale w zorganizowanem życiu ogółu polskiego po erze grupowania się koło parafij nieuchronnie przyszła, jak gdzie indziej, epoka zrzeszeń świeckich i świeckiego przewodnictwa. Dzisiaj naczelne miejsce wśród organizacyj polskich w Ameryce zajmuje „Związek Narodowy Polski". Liczy przeszło 280.000 członków w setkach swych grup miejscowych, a więc jest najliczniejszem bodaj stowarzyszeniem polskiem na całym świecie. Doroczny walny zjazd delegatów Związku jest właściwym sejmem wychodztwa, i przebieg jego, oraz rezultat wyborów, odzwierciedla stan opinji publicznej polsko-amerykańskiej. Ostatni wielki przewrót w Związku, dokonany na burzliwym sejmie w r. 1928 (na którym nawet doszło do rozłamu na dwa oddzielnie obradujące obozy), wyniósł na naczelne stanowiska grono stanowczych i go-

rących zwolenników obecnego Rządu Polskiego [1]). Rezultatem tej przemiany jest wzmożone w kołach związkowych zainteresowanie dla bieżącego życia państwowego Polski, objawiające się w gazecie związkowej przez poświęcenie sprawom „starego kraju“ osobnej stronicy. Ponadto, jak jeszcze zobaczymy, nowy zarząd Związku objawił znacznie zwiększony aktywizm w dziedzinie kulturalno-oświatowej.

Obok „Związku“ najsilniejszemi liczebnie zrzeszeniami są „Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie“, również z siedzibą w Chicago, oraz „Unja“, skupiająca głównie liczną ludność górniczą polską w zagłębiu węglowem pensylwańskiem, z siedzibą w Wilkes Barre. Oprócz tych zrzeszeń, potężnych nietylko liczebnie, ale i majątkowo, wielkie zastępy gromadzi także „Sokół“, pod przewodnictwem doktora T. Starzyńskiego z Pittsburgh'a (b. pułkownika Armji Hallera) oraz „Związek Polek“, prowadzony przez p. Emilję Napieralską w Chicago. Obie te organizacje nie od wczoraj dobrze są znane w Polsce, a w ostatnich latach silniej zadzierzgnęły węzły z krajem macierzystym przez wielkie gromadne wycieczki do Polski, tak samo jak to zresztą uczyniły w r. 1929 „Związek“ i „Zjednoczenie“ z okazji wystawy poznańskiej.

Z wymienionych największych zrzeszeń polskich „Związek“, „Zjednoczenie“ i „Unja“ reprezentują typ podstawowy, najbardziej rozpowszechniony wśród starszych świeckich stowarzyszeń wszelkich żywiołów emigranckich w Ameryce.

---

[1]) Stanowisko prezesa zajął p. Romaszkiewicz z Bostonu, wiceprezesa p. Kowalski z Chicago; urząd „cenzora“ (wyposażony w wielki autorytet moralny) piastuje p. Sypniewski z Pittsburgh'a, komisarzem naczelnym najważniejszego z okręgów związkowych — chicagoskiego — jest p. Hinkelman, a przewodniczącym Wydziału oświatowego p. W. Krawczewski.

Wobec braku mianowicie w świecie amerykańskim ubezpieczeń społecznych, na wzór europejskich kas chorych, żywioły emigranckie musiały z konieczności w celach samopomocowych organizować się przedewszystkiem w stowarzyszenia asekuracyjne, i takiemi w założeniu są główne organizacje polskie. Praca kulturalno-oświatowa ustępowała w nich wskutek tego zrazu na drugi plan, i dopiero w nowszych czasach figurują w ich budżetach znaczniejsze wydatki na ochronki, szkółki i stypendja. Obok stowarzyszeń o celach zasadniczo ubezpieczeniowych drugim typem, z natury rzeczy dość rozpowszechnionym, stała się spółdzielnia budowlana, szczególnie w czasach nowszych, gdy posiadanie własnego domku rodzinnego wśród klasy robotniczej w Ameryce stało się regułą. Takich polskich spółek budowlanych ma dziś samo Chicago kilkadziesiąt, a jest ich obfitość także po innych większych miastach.

Celom wzajemnej pomocy służy także — i to bardzo skutecznie — organizacja, która w ostatnich latach stała się jedną z najpotężniejszych wśród wychodztwa. Jest nią „Związek Weteranów Armji Polskiej" z centralą w Detroit, pod prezesurą p. Kazimierza Bałdygi. Związek składa się z byłych żołnierzy Armji Hallera, którzy bili się i we Francji i na naszych frontach wschodnich do r. 1920 włącznie. Obywatele amerykańscy pochodzenia polskiego, którzy odbyli wojnę w mundurach amerykańskich, tworzą osobne lokalne grupy „Legji Amerykańskiej", pozostające zresztą ze Związkiem w ścisłych i przyjaznych stosunkach. Związek Weteranów Armji Polskiej rychło zwrócił na siebie mą uwagę tem, że oprócz działalności na polu samopomocy koleżeńskiej pracuje w ostatnich czasach rzetelnie nad złagodzeniem starych i zawziętych waśni partyjnych wśród wychodztwa. Sam, występując w mojej akcji

odczytowej w Ameryce w duchu ścisłej bezpartyjności, doznałem ze strony Weteranów prawdziwie braterskiego poparcia, szczególnie w mieście Detroit. Mile wspominam fakt, że w żadnem może środowisku polskiem w Stanach tak zgodnie nie byli zebrani wychodźcy ze wszystkich obozów politycznych, jak na moim odczycie w detroickim Domu Polskim pod egidą Weteranów. Niemniej serdecznie wspominam mowę przedstawiciela Weteranów, p. Mrozowskiego z Detroit, u stóp pomnika Pułaskiego w Washingtonie dnia 13 października 1929, z okazji składania tam wieńców przez delegacje polskie ze wszystkich części Stanów. Mowa ta, zawierająca apel, by pod pomnikiem bohatera w rocznicę jego śmierci wyrzec się starych waśni, była wzorem ducha pojednawczego, oraz lojalności dla Państwa Polskiego. Niemniej przyjemnie wreszcie wspominam wieczór październikowy, spędzony w trakcie tych samych uroczystości w gościnnem gronie Weteranów w Chicago: pułkownik Zahorski, poseł Cieplak i ja mówiliśmy do nich o różnych problemach współczesnego życia państwowego polskiego i czuliśmy się cały czas otoczeni atmosferą szczerego zapału dla rozwoju gospodarczego, kulturalnego i mocarstwowego naszej odrodzonej Rzeczypospolitej.

Wymieniłem tylko największe organizacje polskie [1]), a z innych mogę jedynie wspomnieć o takich, z któremi osobiście miałem sposobność wejść w zetknięcie. Oddam

---

[1]) Pominąłem założoną już po wojnie i zakrojoną na wielką skalę „Polską Radę Opieki Społecznej" (pospolicie w skróceniu zwaną „Prosem"), ponieważ ta instytucja, zakreśliwszy sobie bardzo wielostronny program, w ostatnich czasach objawia mało żywotności.

Nie wspomniałem także o założonym niedawno „Związku Narodowym Polaków" z siedzibą w Cleveland, ponieważ o celach i zakresie działania tej organizacji nie posiadam dokładnych wiadomości.

więc przedewszystkiem hołd należny zrzeszeniu nader sympatycznemu ze względu na swój cel kulturalno-ideowy, a w ostatnich czasach szczególnie żywotnemu i rozrośniętemu, jakiem jest „Związek Kółek Dramatycznych“. Pokrywa on obecnie dość gęstą siecią organizacyj miejscowych wszystkie główne ośrodki wychodztwa. Byłem na zjeździe delegatów tych kółek w Chicago w styczniu 1929 roku, przemawiałem do nich o znaczeniu teatru i literatury dramatycznej w całokształcie kultury polskiej i z przyjemnością się przekonałem o zapale i rozmachu, jakie w tej organizacji panują[1]).

Obok kółek dramatycznych przelotną choćby wzmianką muszę oddać hołd należnej czci szlachetnym usiłowaniom rozlicznych zrzeszeń śpiewackich, których popisom na tylu uroczystościach w r. 1928 i 1929 się przysłuchiwałem. Jedna z najzasłużeńszych organizacyj tej kategorji, „Lutnia“ w Nowym Yorku, obchodziła niedawno swój jubileusz.

Wreszcie należy się wzmianka osobliwemu typowi organizacji, którego rozwój i nader pożądaną działalność obserwowałem w Chicago. Potworzyły się tam mianowicie kółka ziomków, z jednej gminy w starym kraju pochodzących — głównie byłych Galicjan — z celem niesienia pomocy gminom rodzinnym w Polsce w ciężkich powojennych czasach. Sporo już kwot na szkoły, ochronki, cele kościelne i do-

---

[1]) Zgoła inaczej coprawda przedstawia się sprawa z regularnym teatrem wśród wychodztwa. Minęły czasy, gdy wychodztwo dawało utrzymanie kilkunastu czy nawet podobno kilkudziesięciu stałym trupom zawodowych aktorów. Dziś nie może się utrzymać ani jedna, a przybyły w r. 1929 z Polski zespół nawpół kabaretowy uległ nawet formalnej katastrofie finansowej podczas swego objazdu. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest zapewne poczęści coraz mniejsza znajomość języka polskiego wśród młodej generacji, ale poczęści także przesilenie teatru na całym świecie wogóle, a komercjalizacja teatru amerykańskiego w szczególności.

broczynne od tych organizacyj do gmin w kraju wpłynęło. Szerokiego rozgłosu z powodu znanych wystąpień posła Putka i jego konfliktu z władzą kościelną nabrała sprawa dzwonów, ofiarowanych dla kościoła w Choczni koło Wadowic przez ziomków z Ameryki. Niedawno znowuż z wielkiem wzruszeniem dowiedziałem się, że grono Amerykanów-Polaków, rodem z gminy małopolskiej Jadowniki Mokre (powiat brzeski), przesłało do rektoratu Uniwersytetu Jagiellońskiego fundusz stypendyjny na całoroczne utrzymanie jednego studenta, pochodzącego z tej gminy. Oby zacni Jadowniczanie znaleźli jak najwięcej naśladowców tego pięknego przykładu!

Na samym gruncie amerykańskim organizacje kółek ziomków stały się pierwszemi komórkami tej ideologji regjonalizmu, która dziś u nas w Polsce — za wzorem zresztą Europy zachodniej — tak ważne wydaje owoce kulturalne. Szczególnie zadziwiająca w tym względzie dokonała się na moich oczach metamorfoza duchowa Podhalan, zamieszkałych w Chicago. Dawniej „górale“, którym „lachy“ z równin zawsze złośliwie przymawiają od ludzi nieokrzesanych, nieco się wstydzili swego pochodzenia. Aliści przybył do Chicago p. St. Jarosz, absolwent Uniwersytetu poznańskiego, Podhalanin rodem, który z inicjatywy profesora W. Goetla studjował na miejscu wielkie parki narodowe w Ameryce, a przy sposobności, porwany żyłką wędrowną, zapędził się aż do Gór Skalistych, na Alaskę i nad kalifornijski brzeg Pacyfiku. W odczytach o swych wędrówkach począł z zapałem zestawiać i porównywać piękno Gór Skalistych z pięknością naszych Tatr, a zarazem w dodatku począł demonstrować i śpiewy i tańce góralskie i autentyczny ludowy strój podhalański. Urok młodociany, swada i werwa, zapał i humor młodego prelegenta zrobiły swoje:

w góralach-emigrantach przebudziła się wrodzona duma natury góralskiej, rozruszali się ogranizacyjnie, powstał nawet oddział chicagoski Towarzystwa Tatrzańskiego, a urządzony za mojego pobytu taneczny wieczór góralski był jedną z najbardziej udałych imprez polskiego sezonu towarzyskiego w Chicago w zimie 1928/9.

Skoro już mówię o organizacjach, służących celom regjonalnym, niech mi wolno będzie jeszcze choćby w najkrótszych słowach dać wyraz mego szacunku temu szczupłemu gronu ludzi, przeważnie zgoła niebogatych, którzy pod przewodnictwem p. L. Walkowicza skupili się od kilku lat w Chicago pod nazwą „Towarzystwa Oświaty i Obrony kresów“ i kilkakrotnie już dość znaczne, jak na ich skromne stosunki, sumy na cele szkolnictwa kresowego do kraju przesyłali. W miłej pamięci pozostaje mi zapał, z jakim w jeden z najmroźniejszych wieczorów strasznej zimy roku 1928/9 dość licznie zebrane ich grono przyjęło moje przemówienie o znaczeniu kresów dla kultury i życia politycznego Polski.

Na tych kilku wzmiankach muszę poprzestać co do wielkiego tematu organizacyj wychodźczych. Teraz jeszcze kilka słów o prasie, która jest narzędziem propagandowem całego tego życia organizacyjnego. Prasa polska w Ameryce jest dziś reprezentowana przez 14 dzienników i około 65 pism tygodniowych. Z dzienników najpoczytniejsze są trzy chicagoskie: „Dziennik Związkowy“ (organ Związku Narodowego Polskiego), „Dziennik Chicagoski“ (wydawany przez OO. Zmartwychwstańców) i „Dziennik Zjednoczenia“ (organ Zj. Rzymsko-katolickiego); poza Chicago zaś „Dziennik Polski“ i „Rekord Codzienny“ w Detroit, „Dziennik dla Wszystkich“ w Buffalo, „Kurjer Polski“ w Milwaukee, „Kurjer Codzienny“ w Bostonie i „Nowy Świat“ w N. Yorku. Wśród tygodników na pierwszem miejscu stoi rozpowszechnione

we wszystkich częściach Stanów (szczególnie tam, gdzie niema osobnych gazet miejscowych polskich) pismo „Ameryka-Echo“, wydawane przez obrotnego przedsiębiorcę publicystycznego p. Paryskiego w Toledo (stan Ohio). Drugie wśród tygodników miejsce zajmuje „Gwiazda Polarna“ w Stevens Point (stan Wisconsin), której redakcję niedawno objął zadomowiony wśród wychodztwa, znany i płodny nasz powieściopisarz historyczny, p. Wacław Gąsiorowski, do tego czasu czynny jako kierownik szkoły średniej Związku Narodowego Polskiego w Cambridge Springs.

Z pism polskich w Ameryce niewiele tylko jest organami stowarzyszeń świeckich czy religijnych: przeważna część, to przedsiębiorstwa osobiste ludzi, którzy czasem z całkiem innych sfer życia gospodarczego do przemysłu publicystycznego się przenieśli.

Dziennikarze, zatrudnieni przez tych pracodawców, byli doniedawna w położeniu zgoła niegodnem zazdrości: w przeważnej ilości polskich redakcyj płace zecerów są dziś jeszcze wyższe od płac, pobieranych przez członków redakcji. Dokonane w ostatnich czasach zespolenie wielkiej części dziennikarstwa polskiego w Ameryce w Syndykat zawodowy z p. J. Przydatkiem z „Dziennika Chicagoskiego“ na czele, prawdopodobnie przyczyni się do podniesienia egzystencji materjalnej tego stanu na poziom nieco wyższy. Może także łącznie z tem podniesie się przeciętny poziom moralny i intelektualny. Dotychczas bowiem marne wynagrodzenie z jednej strony, a z drugiej wielki brak wszelkiego rodzaju sił inteligentnych wśród wychodztwa sprawiały, że produkty polskich dziennikarzy w Ameryce były naogół nader niewybredne i co do formy i co do treści. Prasa polska naśladowała w dość prymitywny sposób najjaskrawsze właściwości sensacyjnego stylu brukowej prasy

amerykańskiej, a dla zapełnienia swoich szpalt nie cofała się przed rabunkowemi przedrukami z gazet i książek, wydawanych w Polsce. Publicyści, informujący o sprawach polskich na podstawie głębszej znajomości prądów duchowych wśród naszego społeczeństwa, i orjentujący się także w wypadkach i nastrojach politycznych rdzennie-amerykańskich oraz ogólnoświatowych, stanowią nieliczne i chlubne wyjątki; wyjątkiem takim jest czcigodny weteran, prof. T. Siemiradzki w Cleveland, pisujący obecnie stale do „Dziennika Związkowego“, — wyjątkiem podobnego rodzaju wśród młodszych jest przybyły niedawno z Polski p. J. Statkowski w redakcji tegoż dziennika.

Nieosobliwą, tak samo jak poziom stylistyczny i widnokrąg informacyjny, była dotąd przeważnie także strawa ideowo-polityczna, podawana wychodźcy przez gazety polskie. Przeniesione na ślepo na grunt amerykański antagonizmy partyjno-polityczne krajowe szalały tam często z fanatyzmem daleko bardziej wybujałym, niż w Polsce samej. Tradycyjny podział na „prawicę“ i „lewicę“ podczas wojny spłynął się z podziałem według „orjentacyj“, a po wojnie trwa bez względu na zmienioną konfigurację partyjną Rzeczypospolitej Polskiej. Do tego przyłączył się jeszcze w ostatnich czasach antagonizm pomiędzy „starą gwardją“ działaczy wychodźczych, a młodszą opozycją, który przyczynił się do zaostrzenia zajść na wspomnianym już burzliwym sejmie związkowym w r. 1928.

Te zaiste „potępieńcze swary“ wśród społeczności amerykańskiej zaprawiają niestety goryczą każdą niemal chwilę przybywającemu z Polski pracownikowi, jeżeli naprawdę kocha całe wychodztwo i (wzorując się na największym z przykładów) radby je „dźwignąć, uszczęśliwić“, radby niem „cały świat“ — przynajmniej świat amerykański! — „zadziwić“. W pamiętny dla mnie wieczór w Chicago, gdy

Związek Narodowy Polski ofiarował mi złotą oznakę swego członkostwa honorowego, pozwoliłem sobie odstąpić od przyjętej praktyki mowców na emigracji, i zamiast otaczać wychodztwo kłębami kadzideł pochwalnych, odczytałem z pożółkłych kartek z przed dziesięciu lat mój wykład o *Księgach Pielgrzymstwa*, wygłoszony niegdyś do żołnierzy polskich na Syberji. Z przejęciem przytaczałem wzniosłe przypowieści Mickiewicza, tak pełne wiecznie żywych nauk dla każdego grona Polaków na obczyźnie. Odpowiedziano mi delikatnie, a najzupełniej słusznie, że przecież waśni partyjne, rozdzierające wychodztwo, są tylko echem walk partyjnych w kraju.

Nie przecząc bynajmniej, że nie daliśmy wcale dobrego przykładu wychodztwu przez nasze postępowanie polityczne w Polsce odrodzonej, wolno nam jednak boleć nad żałosnym faktem, że dzięki bezkompromisowemu podziałowi na wrogie obozy w każdem większem centrum wychodźczem stoją naprzeciwko siebie dwa dzienniki, zazwyczaj ostro się zwalczające.

Za czasów mojego pobytu w Ameryce wyłonił się w Milwaukee projekt fuzjonowania dwóch tamtejszych dzienników polskich, reprezentujących przeciwne kierunki polityczne — projekt zresztą nieurzeczywistniony, a na tle dotychczasowych walk publicystycznych dość osobliwe przedstawiający widowisko. Okazało się rychło, że projekt wyrósł na gruncie pewnych smutnych konieczności, które w całej prasie polsko-amerykańskiej panować poczynają. Oto gazety polskie w Ameryce stale i szybko tracą na poczytności. Przyczyną są pewne właściwości duchowe — nieuniknione zgoła, które cechują młodszą generację ludności polsko-amerykańskiej. Po pierwsze, tym młodym „Amerykanom polskiego pochodzenia“ serdecznie zbrzydły młócone bez końca przez ich

ojców partyjne spory polskie, nie mające właściwie na gruncie amerykańskim żadnego żywego zastosowania. Powtóre zaś, pokolenie to coraz mniej zna język polski, i trud czytania nieciekawych elukubracyj partyjnych już i z tego powodu niechętnie sobie zadaje. Z tym ostatnim faktem poczęły się liczyć większe gazety polskie w Ameryce — jak „Dziennik Związkowy" — i dają dziś w każdym numerze jedną stronicę po angielsku, wypełniając ją przeważnie wiadomościami sportowemi i towarzyskiemi dla młodzieży. Niewątpliwie i ta koncesja nie powstrzyma rozpoczętego procesu rozwojowego, i w niedalekim może czasie, obok zanikających dzienników polskich, poczną się pojawiać dzienniki całkowicie po angielsku wydawane i przeznaczone dla „Amerykanów polskiego pochodzenia". Narazie miesięcznik *Poland*, wydawany w ponętnej szacie zewnętrznej przez Izbę Handlową Polsko-Amerykańską w Nowym Yorku, a przeznaczony pierwotnie na organ propagandy polskiej wśród żywiołu rdzennie amerykańskiego, poczyna zyskiwać coraz większą poczytność wśród młodszego żywiołu polsko-amerykańskiego, nie czytającego już biegle po polsku. I dodajmy, że miesięcznik pod obecną redakcją profesora W. J. Rose (znawcy Polski i gorącego jej przyjaciela), przy umiejętnej pomocy sprawnej dziennikarki pani M. Casey-Wołkowińskiej, istotnie bardzo dobrze spełnia funkcje informowania Amerykanów-Polaków o rzeczach polskich.

Mówiąc o konieczności przejścia w publikacjach dla wychodztwa do używania języka angielskiego ze względu na młodszą generację, doszliśmy do zagadnienia zasadniczego, od którego cała przyszłość naszego wychodztwa w Ameryce zależy, i temu zagadnieniu musimy teraz nieco uwagi poświęcić.

Dla wyjaśnienia tego zagadnienia należy sobie przedewszystkiem zdać sprawę z tego rozłamu, jaki dziś istnieje

między starszą a młodszą generacją wychodztwa, głównie co do ich stanowiska wobec Polski.

Starsze wychodztwo, choć wskutek małej kultury umysłowej narodowo przeważnie słabo uświadomione, jednak — jak to bywa u Polaków — w chwilach krytycznych okazało się zdolnem do wielkich ofiar. Porwane natchnionem słowem Paderewskiego, wysłało spory kontyngent ludzi do armji Hallera, na pola bitew Francji a potem i Polski w r. 1920, a obok podatku krwi nie poskąpiło i podatku „krwawicy“, składając sporo ciężko zapracowanego grosza na ołtarzu sprawy narodowej w początkach naszej państwowości. We wielu wypadkach porwało się do powrotu do kraju lub przynajmniej do odwiedzenia nowej, wolnej Polski. Tu zaczęły się rozczarowania. Widok naszej ruiny i biedy powojennej, widok różnych niedomagań naszego początkującego życia państwowego zniechęcał wielu i pozbawiał ich wiary w przyszłość Polski. Przyszła katastrofa inflacyjna, ogólno-europejska, ale dla niewykształconego amerykańskiego Polaka w swych rozmiarach nieznana i w swej istocie niepojęta; przypisywał ją wyłącznie Polsce i złorzeczył jej, gdy się jego dolary rozpływały. Niemało też tych dolarów stracił dzięki różnym pseudo-patrjotycznym oszustom (często nawet nie z Polski, tylko z pośród samego wychodztwa amerykańskiego pochodzącym), którzy zakładali fikcyjne przedsiębiorstwa handlowo-przemysłowe amerykańsko-polskie [1]). Za temi dolarami poszły jeszcze inne, wyżebrywane na wyprawach agitacyjnych przez róż-

[1]) Dobroduszność i łatwowierność prostego narodu wychodźczego w tym względzie może najlepiej ilustruje fakt, iż tysiące dolarów zebrał sprytny rodak, który dowodził, że weźmie w dzierżawę „myto“ (!) na znanym wielkim moście brooklyńskim w N. Yorku i da każdemu Polakowi udział w zyskach, jeżeli ten mu wpłaci dolara.

nych kwestarzy partyjnych z kraju, a potem rozkradane albo zużywane na jałową walkę polityczną. Niejeden zresztą grosz amerykański popłynął także na szlachetne i godne cele dobroczynne w naszej biednej Polsce pierwszych lat powojennych. Ale razem biorąc, było tego żebractwa ze strony wolnej Polski wśród wychodztwa stanowczo za dużo, i musiało ono wychodztwo do Polski zniechęcać. W zrozumieniu tego faktu, ja sam podczas mojej działalności odczytowej wśród wychodztwa wystrzegałem się, jak ognia, wszelkiego kwestowania, i za tę powściągliwość zostałem nadspodziewanie hojnie wynagrodzony, bo bez prośby, w dowód uznania dla mojej bezpłatnej pracy odczytowej polskiej, otrzymałem od rodaków chicagoskich w czasie mojego ćwierćrocznego pobytu razem około 600 dolarów na cele pomocy dla ubogiej młodzieży akademickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, i z wielkiem zadowoleniem wysyłałem do Krakowa kwoty, które się złożyły na tę sumę.

Obok różnorodnej żebraniny z kraju jeszcze jedna okoliczność w pierwszych latach istnienia niepodległej Polski wpłynęła ujemnie na nastroje wśród wychodztwa w stosunku do starej ojczyzny. Chodzi mianowicie o to, że nie postarano się, by tę nową Polskę zaprezentować wychodztwu w godnej i należytej formie. Paderewski, który byłby to mógł w niezrównany sposób uczynić i wobec wychodztwa i wobec samego społeczeństwa amerykańskiego, miał, jak wiemy, w pierwszych latach naszego wolnego bytu ważniejszą historyczną rolę do spełnienia w samym kraju. Inne siły kulturalne były także po uszy zajęte pilnemi zadaniami w Polsce i na arenie europejskiej, a gdy czasem wybrała się do Ameryki jakaś ekspedycja artystyczno-literacka, była to przeważnie tandeta kulturalna, która nawet prostym umysłom Polonji amerykańskiej za-

imponować nie mogła. Nasza zaś oficjalna propaganda drukowana nie dopisywała najzupełniej na tem polu, jak zresztą i wszędzie indziej. Cóż dziwnego, że przy takim stanie rzeczy coraz gęściej rozlegały się wśród wychodztwa wezwania, by Polskę pozostawić samej sobie a zająć się teraz własnemi interesami zbiorowemi na gruncie amerykańskim. Było nawet w takim programie dużo racji, bo do czynnego udziału w trudnych i zawiłych sprawach polityki polskiej w kraju wychodztwo kwalifikacji nie posiada, a samej Polsce może najlepiej się przysłuży, jeżeli wzmocni swoje stanowisko i swoją powagę w Ameryce.

Ale miała przyjść powrotna fala sentymentu dla Rzeczypospolitej wśród starszego wychodztwa. Przyszła, gdy Polska okrzepła i poczęła się rysować na horyzoncie światowym jako prawdziwe mocarstwo — i gdy ta Polska nareszcie znalazła czas i swobodne siły, by się uświadomieniem wychodztwa nieco zająć. Przygrywką nowej fazy był objazd odczytowy p. Stemlera z ramienia „Macierzy Polskiej", wspominany przez wielu wychodźców wobec mnie jeszcze w kilka lat później z żywą wdzięcznością jako przykład rzetelnej i celowej pracy oświatowej. Przyszły rzeczy większe, w których danem mi było uczestniczyć. Momentami wielkiego przebudzenia uczuć i podniesienia godności narodowej wśród wychodztwa stały się w jesieni r. 1928 obchody dziesięciolecia niepodległości Polski po wszystkich większych centrach wychodźczych, a w rok później takież obchody 150 rocznicy bohaterskiej śmierci Pułaskiego. Nie mogę tu szczegółowo opisywać ani jednych ani drugich, ale wolno mi powiedzieć, że chwile, w których przemawiałem do wielotysięcznych, uroczyście zebranych rzesz wychodźczych w Chicago, w Detroit, w Cleveland, w Buffalo, w Baltimore, w Toledo, w Wilkes

Barre, w kanadyjskim Montrealu i Toronto, wyryły się w mej pamięci na zawsze. Dla chwil takich warto żyć, warto nawet przebyć kilka lat w Syberji, tej wielkiej (dziś już, chwała Bogu, ostatecznie zamkniętej) szkole obywatelstwa polskiego, w której ja przynajmniej jeszcze w latach 1917—1921 odbyłem przygotowawczą praktykę: jako prelegent przemawiałem tam bowiem nieraz o rzeczach polskich do rodaków podobnie odciętych od życia polskiego, jak właśnie nasze wychodztwo w Ameryce.

Obchody dziesięciolecia wskrzesiły w szerokich masach wychodźczych zainteresowanie dla naszej nowej państwowości, zaufanie do niej i wiarę w jej wielką przyszłość — obchody na cześć Pułaskiego (przy współudziale wybitnych przedstawicieli rządu i społeczeństwa amerykańskiego[1])) uzupełniły to dzieło, potęgując samopoczucie wychodztwa jako takiego, jego świadomość znaczenia żywiołu polskiego w Ameryce i dostojeństwa tego dziejowego dziedzictwa, jakie piastuje.

W środku między pierwszemi a drugiemi obchodami przypadła wystawa poznańska. Zwiedziły ją dziesiątki tysięcy wychodźców. Niektórzy z nich widzieli już byli wolną Polskę w r. 1921 lub 1922, gdy jeszcze była biedna, zniszczona i bezładna, i nie mogli się nadziwić ogromowi postępu od tego czasu. Inni odwiedzali „stary kraj“ po raz

---

[1]) Na uroczystości w Chicago np., która się odbyła w olbrzymim stadjonie sportowym przy udziale około 100.000 ludzi, przemawiał sam szef sztabu armji amerykańskiej, jenerał Summerall. Zasługa zorganizowania tego, bodaj najokazalszego w całej Ameryce, obchodu rocznicy Pułaskiego przypada prawie w całości w udziale p. Antoniemu Czarneckiemu, który z długoletniem doświadczeniem wybitnego działacza wychodźczego łączy wyrobione stosunki w stronnictwie republikańskiem i w dziennikarstwie amerykańskiem, a obecnie zajmuje wysokie stanowisko administracyjne naczelnego poborcy ceł w porcie chicagoskim.

pierwszy od chwili wyjazdu przed wielu laty, niektórzy nie widzieli Polski od lat dziecinnych, a wielu od urodzenia; wszyscy ci wracali olśnieni rewelacją, jaką dla nich był ten imponujący pokaz kultury polskiej. Zyskaliśmy w nich tysiące żarliwych propagandystów wielkości i wspaniałości Polski współczesnej — i jeżeliby wystawa nie była przyniosła żadnej innej moralnej korzyści, prócz tej, to byłaby się opłaciła sowicie, choćby nawet była przyniosła deficyt, którego przecież ku powszechnemu w świecie zdumieniu prawie zupełnie uniknęła. A przyniosła wszakże jeszcze korzyści duchowe, wprost nieobliczalne, tym rzeszom obywateli samej Rzeczypospolitej, które ją zwiedziły!

Wolno nam więc wierzyć, że świadomość polska wśród wychodztwa starszego po wypadkach ostatnich dwóch lat zabiła żywszem tętnem. Wolno wierzyć, że to wychodztwo pozostanie wiernem tradycji polskiej, wolno ufać, że może nieraz jeszcze ofiarnem się okaże.

A jednak ośmielę się twierdzić, choć to się może komuś wyda herezją narodową, że czynnik ten dla sytuacji międzynarodowej Polski nie ma stanowczego znaczenia, i że problem, który nas przedewszystkiem powinien zajmować, leży zgoła gdzie indziej.

Starsze wychodztwo pozostanie wierne tradycji polskiej: tak. Ale cóż to starsze społeczeństwo w zbiorowem życiu wielkiej społeczności amerykańskiej znaczy? Niestety, bardzo niewiele. Cztery miljony robotników na usługach wielkiego kapitału, cztery miljony wyborców ślepo wydanych w ręce agitatorów politycznych — oto prawie wszystko. Zamknięci w „ghettach“ swych dzielnic, odgrodzeni słabą znajomością języka i niewyrobieniem kulturalnem od wielkich zagadnień nowoczesnej cywilizacji amerykańskiej, żadnego twórczego udziału w jej duchowem budownictwie nie

wzięli. Żadnego też prawie czynnego udziału w jej kształtowaniu społecznem i politycznem dziś nie biorą. Dość wspomnieć, że znikomo mała grupa Norwegów w Ameryce — 700.000 ludzi — ma siedmiu przedstawicieli w kongresie i wydała już jednego głośnego powieściopisarza amerykańskiego (Rollvaag'a), a cztery zgórą miljony Polaków dotychczas jednego tylko posła do kongresu wysłać zdołały (p. Sosnowskiego z Detroit), a o ich udziale w twórczości kulturalnej amerykańskiej — poza wielkiemi zasługami syna Modrzejewskiej, jako znakomitego budowniczego mostów — nie słychać. O Niemcach i Skandynawach, osiadłych w Ameryce, sporo już w literaturze amerykańskiej pisano; nawet żywiołowi czeskiemu (liczebnie przecież daleko mniej znacznemu od naszego), znakomita autorka współczesna pani Willa Cather niedawno poświęciła osobną powieść *My Antonia*. O żywiole polskim głucho, i to niewątpliwie dlatego, że żywioł ten mimo swej liczebności nie zdobył sobie żadnego naprawdę poważnego udziału w kształtowaniu opinji amerykańskiej, czy to o sprawach wewnętrznych czy międzynarodowych.

Jeżeli tego moralnego autorytetu dla żywiołu polsko-amerykańskiego w interesie także samej Polski pragniemy, to musimy przy całej sympatji odwrócić oczy od rdzennie polskiego, starszego wychodztwa, a skierować je w inną stronę: ku młodzieży, urodzonej i wychowanej już w Ameryce, i wskutek tego dziś głęboką otchłanią duchową oddzielonej od starszego pokolenia. Istotne nadzieje możemy pokładać tylko w tych „Amerykanach polskiego pochodzenia“, jak sami siebie nazywają[1]).

[1]) W tym punkcie zwrotnym moich rozumowań — całkowicie wysnutych z moich własnych doświadczeń amerykańskich — z przyjemnością spotykam się myślowo z przekonywującą i silną argumentacją niedruko-

Otóż pozory zdawałyby się dowodzić, że do żadnych takich nadziei niema podstawy, że żywioł to bezpowrotnie i docna dla polskości stracony. Wychowani w atmosferze wzgardy dla ludności polskiej, kształceni w gruntownie i sprawnie amerykanizującej szkole, przejęci wstydem za swoje pochodzenie, swój język, swoje dziwaczne i egzotyczne nazwiska (które na modłę amerykańską skracają i upraszczają), często sami otwarcie gardzący swymi prostackimi rodzicami, przytem porwani w wir zainteresowań sportowych, towarzyskich, społecznych, artystycznych młodzieży rdzennie amerykańskiej, — cóż ci ludzie mogą jeszcze dla Polski znaczyć, co mogą jej dać?

A jednak tylko od nich czegoś realnego spodziewać się można. Wszakże właśnie oni, dochodząc do wyższego wykształcenia, opuszczając „ghetto" wychodźcze i ciałem i duchem, krocząc jako „wolni z wolnymi i równi z równymi" w pochodzie całego życia kulturalnego amerykańskiego w jego mocarstwową przyszłość, mówiąc z rdzennymi Amerykanami ich językiem i w dosłownem i psychicznem znaczeniu słowa[1]) — oni tylko mogą się w jutrzejszej

wanego dotąd memorjału p. t. „Organizacja sił polskich na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej", który spisał i złożył wyższym władzom rządowym polskim z końcem roku 1928 p. Tadeusz Hoinko, były polski urzędnik konsularny w Ameryce, a obecnie drugi sekretarz Izby handlowej amerykańsko-polskiej w N. Yorku. — Z nieco innego punktu widzenia i w związku z całokształtem problemów organizacyjnych wychodztwa zajął się tą samą sprawą autor dobrze z wychodztwem obznajomiony, a ukrywający się pod pseudonimem „Kopytko", w pełnej ciekawych informacyj książeczce *Konsolidacja wychodztwa polskiego w Stanach Zjednoczonych*. Warszawa 1929, Druk. Artystyczna, N. Świat 47.

[1]) Pierwszą jaskółką twórczości literackiej polsko-amerykańskiej w języku angielskim (którą też dlatego witam z radością), jest drukowany w Filadelfji tomik poezyj p. E. Kowalewskiego *Deaf Walls* (1928), świadczący o studjach nad najlepszemi wzorami angielskiemi i amerykańskiemi.

cywilizacji i polityce Ameryki zaznaczyć tym twórczym wkładem polskim, którego tam dotychczas prawie nie było! Ale czy będzie to wkład polski, — czy nie dostarczą go poprostu już jako Amerykanie, niczem od innych Amerykanów się nie różniący?

Otóż wchodzą w grę pewne okoliczności, które nadają ich położeniu charakter odrębny.

Przedewszystkiem więc Polak, z rodziców wychodźców pochodzący, choćby się najdokumentniej zamerykanizował pod względem towarzyskim a nawet i kulturalnym, nigdy absolutnie narówni z Amerykanami rdzennymi traktowany nie będzie. Szczególnie teraz, po wojnie, przy nastrojach wrogich Amerykanom obcoplemiennym i przy zakorzenionym w przeciętnych umysłach amerykańskich pseudo-naukowym przesądzie o wyższości narodów północnych *(Nordics)*, Polak zawsze wyczuje w postępowaniu współobywateli amerykańskich przynajmniej jakiś cień tej wzgardy, którą otwarcie i w grubszych formach okazywano jego rodzicom. Możemy błogosławić ten głupi szowinizm, który tak zwanym „stuprocentowym Amerykanom" dyktuje takie postępowanie wobec żywiołów emigranckiego pochodzenia: bo dzięki jemu jednostki pochodzenia polskiego w różnych sferach społecznych są zmuszone grupować się razem — powstają polskie kluby po miastach, polskie *fraternities* po uniwersytetach i t. p. — i, co więcej, zgrupowani w ten sposób Amerykanie polskiego pochodzenia zbroją się w poczucie swej odrębnej godności przeciwko lekceważeniu ze strony otoczenia, domagają się uznania jako pełnoprawni obywatele i pracują nad tem, by sobie zdobyć szacunek.

Ale rzecz ma jeszcze inną i głębszą stronę. Mówi się często w Europie o Amerykanach, że są narodem bez tradycji i właściwie bez historji, — i sami Amerykanie lubią

o sobie powtarzać: „My przecież jesteśmy jeszcze tak młodzi!“ *De facto* jednak jako solidna podstawa specyficznej tradycji narodowej amerykańskiej istnieje wielki dziejowy fakt purytanizmu nowo-angielskiego z XVII w., i z tego faktu jak z korzenia wyrosła cała cywilizacja amerykańska i wszystkie jej najistotniejsze właściwości, zarówno sympatyczne jak niesympatyczne. Otóż, jak słusznie zauważył w swej mądrej książce Siegfried, synowi emigranckich rodziców, choćby pozornie najintensywniej zamerykanizowanemu, ta podstawa tradycji amerykańskiej nic nie mówi, ona korzeniem jego bytu duchowego nie jest. Szczególnie obcą mu jest, gdy on sam należy do kościoła katolickiego; bo przecież owa baza tradycji jest czemś w swej istocie protestanckiem. Tak więc właśnie Amerykanin polskiego (czy innego emigranckiego) pochodzenia jest owym Amerykaninem bez przeszłości historycznej i bez tradycji kulturalnej, jakim sobie przeciętnego Amerykanina wyobraża Europejczyk. Boć swojej rodzinnej tradycji kulturalnej — polskiej, czy innej europejskiej — z domu rodzicielskiego taki Amerykanin nie wyniósł: rodzice jego byli zbyt prostymi i niewykształconymi ludźmi, by mu ją dać. Nie dała mu jej oczywiście także szkoła amerykańska. Tymczasem posiadanie takiej tradycji jest niezbędnym składnikiem świadomości wykształconego człowieka, jest warunkiem jej harmonji i równowagi, jest jednym z czynników, które wszelkiej kulturze osobistej nadają dopiero jakiś zdecydowany sens. Cóż więc dziwnego, że Amerykanie tego typu zaczynają się za taką własną tradycją kulturalną tęsknie oglądać, i że wielu z nich szuka jej w dziedzictwie duchowem tego narodu, z którego ich rodzice pochodzą? Oczywiście ani na chwilę nie twierdzę, że wszyscy Amerykanie o wyższem wykształceniu a polskiem pochodzeniu będą

taką potrzebę duchową odczuwali; spora ich część mechanicznie nabędzie swe wykształcenie i po rzemieślniczemu wejdzie w pełnię życia amerykańskiego, nie szukając wcale głębszego podkładu dla swych nowonabytych bogactw duchowych. Ale szukać takiego podkładu będzie pewna ich ilość, i ta mniejszość właśnie jest najbardziej wartościowa, i o nią warto się troszczyć. Ona szukać będzie żywotnego związku duchowego z tradycją kulturalną starej ojczyzny swych rodziców także dlatego, że ta tradycja jest dla nich najdogodniejszym pomostem dla zyskania łączności z całokształtem historycznej kultury europejskiej, której polska czy inna kultura narodowa jest częścią. Ci zaś młodzi Amerykanie — przynajmniej najlepsi z nich! — zgodnie z elitą dzisiejszego młodego żywiołu rdzennie amerykańskiego czują dreszcze „boskiego niezadowolenia" z materjalizmu, pragmatyzmu i mechaniczności amerykańskiego typu kulturalnego i skłonni są szukać dlań uzdrowienia i pogłębienia przez nawrót ku bogactwom duchowym starej europejskiej macierzy.

Ale o tem, jako zjawisku ogólno-amerykańskiem, chcę jeszcze na końcu mówić osobno. Tu tylko pragnę zająć się owemi „ciągotami" w stronę kulturalnej tradycji przodków europejskich, o ile chodzi o żywioł polski. Otóż proszę wierzyć, że stwierdzając istnienie takich tendencyj wśród młodych „Amerykanów polskiego pochodzenia" nie operuję żadnemi optymistycznemi urojeniami i bynajmniej moich polsko-amerykańskich przyjaciół nie idealizuję. Zbyt głębokie i silne miałem w tym względzie przeżycia realne, by tak być mogło. Że inteligencja i plutokracja amerykańsko-polska łączy się w osobne eleganckie kluby towarzyskie, posługujące się językiem angielskim i anglosaskim kodeksem form i manier, — kluby nazwane według ośrodków miej-

skich: *Chicago Society*, *Milwaukee Society*, *Manhattan Society*, — że niektóre z tych klubów stworzyły sobie nawet czasopisma w języku angielskim jako organ swych nowin towarzyskich — jak w Chicago *Polonian Review*, — do tego nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi; boć chodzi o kółka ludzi przeważnie majętnych, zorganizowane przedewszystkiem dla wspólnej zabawy. Ale i te organizacje mają swoje głębsze znaczenie. Są wielką siłą w zakresie dobroczynności: byłem na dorocznym balu dobroczynnym polskim, urządzonym przez te sfery w największym hotelu chicagoskim (Stevens) i widziałem tłum około 10.000 ludzi, wśród nich sporo rdzennych Amerykanów. Nie można też lekceważyć możliwości w zakresie inicjatywy kulturalnej tych towarzystw, które przecież rozporządzają znacznemi środkami: wspomniałem wszakże już z wdzięcznością, że mój trymestr wykładów w Uniwersytecie chicagoskim był sfinansowany przez *Chicago Society*. Ponadto wspomnijmy jeszcze i o tem, że wielu z tych bogatych młodych Amerykanów, odbywając owe podróże po Europie, które dziś należą do dobrego tonu w ich klasie towarzyskiej, jednak samorzutnie i wbrew zwyczajom innych amerykańskich turystów włącza do tych podróży Polskę i szczerze się zachwyca jej przyrodą i zabytkami. Panie z tego towarzystwa tworzą kółka celem wspólnej lektury autorów polskich: na żądanie takiego grona miałem konferencję (oczywiście po angielsku) o powojennej literaturze polskiej na przyjęciu w salonach pp. Śmietanków w Chicago na Nowy Rok 1929, i spotkałem się z żywem zainteresowaniem.

Tu już znać rosnący sentyment dla tradycji kulturalnej i życia kulturalnego ojczyzny przodków. Ale jeszcze daleko więcej takiego sentymentu, a nawet entuzjazmu, napotkałem wśród żywiołu, który dotąd majątku i pozycyj nie

zdobył, ale już nabywa pełnię wykształcenia amerykańskiego, t. j. wśród młodzieży amerykańskiej polskiego pochodzenia po wielkich miastach, studjującej po uniwersytetach i kursach wieczornych, i rozpoczynającej pracę zawodową po bankach, kantorach, urzędach czy szkołach. Z gronem takiej młodzieży miałem do czynienia w młodem, bo dopiero od kilku lat istniejącem, ale bardzo ruchliwem chigagoskiem zrzeszeniu *Polish Arts Club*, które gorliwie urządza wystawy, koncerty i inne pokazy sztuki polskiej na gruncie chicagoskim. Otóż grono członków *Polish Arts Club* stało się tą grupą ludzi w Ameryce, z którymi zżyłem się najbliżej i najserdeczniej. Gremjalnie uczęszczali na moje wtorkowe wieczorne wykłady publiczne o Polsce współczesnej, odbywane w chicagoskiem Muzeum Sztuk Pięknych pod egidą uniwersytetu; co więcej, spędzali ze mną stale owe wtorkowe wieczory po wykładach na skromnych wspólnych herbatkach, które należą do moich najdroższych wspomnień. Z inicjatywy *Polish Arts Club* wygłosiłem też kilka nadprogramowych odczytów publicznych w języku angielskim, jeden z nich o Wyspiańskim. Nie omieszkałem także poświęcić im jeden wieczór w czasie powtórnego pobytu z okazji rocznicy Pułaskiego, i mówiłem do nich o „nacjonaliźmie i internacjonaliźmie umysłowości polskiej". Zawsze, gdym do nich przemawiał, miałem przed sobą młode twarze, pełne uniesienia i zapału dla rzeczy pięknych i wzniosłych, i nigdybym żadnego trudu nie żałował, by mieć znowu szczęście rozbudzać i podniecać ten zapał. Tym moim młodym przyjaciołom i ich przywódcy, sędziwemu latami ale zawsze młodemu duchem p. M. Drezmalowi (Drzymale), tłumaczowi *W pustyni i w puszczy* Sienkiewicza, — oraz ich niestrudzonemu sekretarzowi p. T. Śleszyńskiemu ślę z tych kart najserdeczniejsze braterskie

pozdrowienia i zapewnienie, że nic ich z mego serca ani z mej pamięci nie wymaże.

Podobne wrażenia, choć wskutek krótkiego pobytu nie tak bogate, wyniosłem z mych spotkań z młodzieżą akademicką pochodzenia polskiego po różnych uniwersytetach amerykańskich, w których wykładałem. A więc niezapomniany pozostanie mi wieczór w Ann Arbor (Michigan), gdy po odczycie publicznym o Józefie Conradzie mówiłem wieczorem za stołem biesiadnym po angielsku o Polsce współczesnej do tamtejszego stowarzyszenia studentów pochodzenia polskiego. Nie zapomnę też tych trzech zebrań w Nowym Yorku — jednego wigilijnego i dwóch okolicznościowych, w rockefellerowskim Międzynarodowym Domu Studenckim, — na których otaczała mnie i słuchała spleciona w jeden barwny wieniec młodzież amerykańska pochodzenia polskiego i młodzież polska, studjująca w Ameryce.

Nie z mojej inicjatywy wprawdzie, ale w czasie mojego pobytu doszło do skutku na zjeździe w Cambridge Springs, z końcem roku 1928, zjednoczenie zrzeszeń młodzieży akademickiej pochodzenia polskiego z różnych uniwersytetów po całych Stanach w jeden związek, który jako swój organ zaczął w r. 1929 wydawać w Chicago czasopismo p. t. *The Polish Student.* Liczne grono członków tego związku przybędzie latem r. 1930 ze zbiorową wycieczką wakacyjną do Polski, i powinno być jak najgościnniej powitane nietylko przez naszą młodzież akademicką, ale i przez całe społeczeństwo.

Tu więc jest ta kategorja ludzi, w której pokładam najżywotniejsze nadzieje co do przyszłości interesów Polski w opinji amerykańskiej i co do powagi i znaczenia elementu amerykańsko-polskiego wśród oceanu ludności Stanów Zjednoczonych. Nie chcę być źle zrozumianym i nie chcę wy-

woływać złudzeń. Zaznaczam więc, że są to obywatele amerykańscy, pełni gorącego patrjotyzmu amerykańskiego, i takimi pozostaną; że nie interesuje ich absolutnie polityka polska, i byłoby chybionem chcieć z nich robić działaczy politycznych na partykularzu polskim na starą modłę wychodźczą; że nie mówią po polsku już prawie wcale, a czytają i rozumieją z trudnością. Ale zarazem zapewniam — bo tu mówię z własnego doświadczenia, — że jeżeli nie można do nich trafić frazesem patrjotycznym polskim lub hasłami partyjnemi ze „starego kraju“, to można do nich trafić nazwiskami jak Chopin i Matejko, jak Kopernik i Śniadecki, jak Mickiewicz i Sienkiewicz, że można w nich zbudować świadomość roli kulturalnej Polski w świecie, można z nich zrobić propagatorów znaczenia międzynarodowego Polski wśród społeczeństwa amerykańskiego.

Ale by dokonać takiej ich kulturalnej edukacji w duchu polskim, na to trzeba czynnej pomocy z kraju. Bo na to ich własna najlepsza wola nie wystarczy, a aparat oświatowy, którym operuje wychodztwo, jest zbyt nikły.

Cóż bowiem daje istniejąca organizacja wychodztwa w zakresie wykształcenia polskiego?

Organizacja oświatowa wychodztwa, tak samo jak jego organizacja społeczno-polityczna, zaczęła się od ośrodków kościelnych. Szkółki parafjalne i szkoły internatowe, utrzymywane przez zgromadzenia zakonne, należą do najdawniejszych typów instytucyj wychowawczych na emigracji. Dotychczas szkoły średnie dla chłopców, prowadzone przez OO. Misjonarzy w Erie, przez OO. Franciszkanów w Atholl Springs koło Buffalo, przez OO. Zmartwychwstańców w Chicago (kolegjum św. Stanisława), — dalej ochronki, oraz pensjonaty (czyli, jak się w Anglji i Ameryce mówi, „akademje“) dla dziewcząt, prowadzone przez SS. Fe-

licjanki i Nazaretanki w Chicago, przez Felicjanki w Detroit i w Buffalo (w okazałych budynkach, które z przyjemnością zwiedzałem), — należą do celniejszych zakładów naukowych, skupiających młodzież wychodźczą. Zczasem, jak w innych dziedzinach życia organizacyjnego, tak i w tej kierownictwo poczęło przechodzić w ręce świeckie. „Związek Narodowy Polski“ utrzymuje dziś 120 szkółek parafjalnych o łącznej frekwencji 12.000 dzieci, ponadto prowadzi jako główną swą imprezę w dziedzinie szkolnictwa jedyną świecką szkołę średnią dla młodzieży polskiej w Stanach — Kolegjum Związkowe w Cambridge Springs w Pensylwanji, w którego ramach łączy się szkoła średnia ogólno-kształcąca z osobną szkołą średnią techniczną. Szkoła ta, przedmiot dumy, ale zarazem i troski wychodztwa, jest pomnikiem tej biedy materjalnej i kulturalnej, jaka je gniotła i jeszcze gniecie. Pomieszczona „okazyjnie“ w zapadłej mieścinie kąpielowej, w ponurej choć rozległej ruderze (niegdyś głównym hotelu miejscowym), jest wypełniona młodzieżą, której wygląd fizyczny i ubiór przeważnie wymownie prawią o dziedzictwie dawnej nędzy emigranckiej. Od roku powierzona energicznemu kierownictwu prof. Mierzwy, który obok Fundacji Kościuszkowskiej jeszcze i ten ciężar musiał wziąć na siebie, szkoła wstąpiła w okres reorganizacji na wielką skalę; zarówno co do personelu nauczycielskiego jak może i pomieszczenia, nadchodzi dla niej ponoć nowa i lepsza era.

Wszystkie szkoły, o których mówię, są oczywiście szkołami amerykańskiemi, poddanemi ogólno-państwowym i stanowym przepisom; a zatem jako język wykładowy we wszystkich przedmiotach panuje w nich język angielski, i tylko religji i przedmiotów polskich — historji i literatury polskiej — uczy się w nich po polsku, oczywiście w go-

dzinach pozaprogramowych. Nauka tych przedmiotów polskich, to zarazem pięta achillesowa całego tego szkolnictwa, głównie z powodu zupełnego braku należycie wykwalifikowanych sił. Nie dostarcza ich kraj[1]), a nie wydaje ich narazie biedne wychodztwo. Tymczasem dzieci, wychowane przez ulicę wielkiego miasta amerykańskiego, przychodzą do szkoły z obojętnością a nawet ze wstrętem w stosunku do przedmiotów polskich, które przypominają im tylko stygmat ich wzgardzonego pochodzenia, a z ich żywotnemi, amerykańskiemi zainteresowaniami niczego nie mają wspólnego. Trzebaby zaiste nieprzeciętnych nauczycieli, by z tą sytuacją zwycięsko się rozprawić.

Tacy nauczyciele byliby może z pośród samego wychodztwa się wyłonili, gdyby tam była dawniejsza i żywsza skłonność do wysyłania synów i córek na wyższe studja. Skłonności takiej z powodów już przedstawionych — a głównie z powodu biedy — nie było, i dziś, gdy i dobrobyt jest większy i cała ludność amerykańska masowo posyła synów i córki do wyższych zakładów, skłonność ta wśród rodziców polskich jest bardzo jeszcze słaba. Wyliczono nawet statystycznie, że żywioł murzyński w daleko wyższym procentowo stosunku korzysta ze sposobności do akademickiego kształcenia swej młodzieży, niż żywioł polski! Statystyki takie są rzeczą złudną, i t. zw. uniwersytety murzyńskie stoją na niskim naogół poziomie. W każdym razie jednak ankieta, w możliwie staranny sposób prowadzona przez prof. Mierzwę[2]), wykazała, że gdy wśród ogółu

---

[1]) Dopiero w ostatnich czasach przysłał jako reorganizatora szkółek parafjalnych rutynowanego pedagoga p. Gałązkę, który od blisko dwóch lat pracuje w okręgu nowojorskim z wielkim nakładem dobrej woli i pracy.

[2]) Sprawozdanie w *Third Annual Report of the Executive Director of the Kościuszko Foundation,* 1928—1929, str. 19—21.

ludności amerykańskiej jest dziś jeden student na 130 osób, to wśród Polaków amerykańskich, przy uwzględnieniu częstych wypadków ukrywania się z polskością i zmiany nazwisk, nie da się ponoć stwierdzić procent wyższy, niż jeden student na 4000 głów! Żydów jest w Ameryce prawie tyle co Polaków — około czterech miljonów: a żydowskich studentów w wyższych uczelniach jest kilkadziesiąt tysięcy, polskich zaś po ukończeniu żmudnych poszukiwań prof. Mierzwy okaże się w najlepszym razie jaki tysiąc! Pociecha jedynie w tem, że chodzi o ruch widocznie rosnący, bo z 339 zarejestrowanych dotąd studentów jest 240 takich, którzy są pierwszymi w dziejach swej rodziny, co poszli na studja uniwersyteckie.

W początkach rozwoju wychodztwa szczytem marzeń o wyższem wykształceniu dla syna — o ile rodzice snuli wogóle takie marzenia, a nietylko marzenia o bogactwie! — bywała zapewne, jak w Polsce, myśl, by syn został księdzem. Zwiedzałem polskie seminarjum duchowne w Orchard Lake koło Detroit. Pierwsze wrażenie było bezsprzecznie korzystne: w pięknej leśnej okolicy, nad jeziorem, zastałem w pogodne jesienne południe kleryków uwijających się gorliwie na boiskach sportowych przy różnych grach i ćwiczeniach gimnastycznych. Dopiero przy bliższej znajomości z zakładem przekonałem się, jak małą stosunkowo rolę — wskutek bacznej i zazdrosnej kontroli ze strony irlandzkiej hierarchji — gra w jego programie wykształcenie polskie jego wychowanków. Przy najszlachetniejszych wysiłkach sędziwego profesora Piątkowskiego (astronoma i polonisty, jednej z ciekawszych postaci wśród starszego wychodztwa), zakres tego wykształcenia nie może być wielki. Nie mogę z przyczyn zrozumiałych wchodzić tu w szczegóły; zaznaczę więc tylko z zadowoleniem, że

sytuacja w Orchard Lake w tym względzie obecnie się poprawia. Tymczasem jednak wyszło stamtąd już sporo młodych księży, urodzonych i całkowicie wychowanych już w Ameryce, których stosunek do rzeczy polskich oczywiście głęboko się różni od stosunku starszego duchowieństwa. Owo starsze duchowieństwo — przeważnie jeszcze rodzone i kształcone w kraju — już choćby w dobrze zrozumianym interesie kościelnym i parafjalno-organizacyjnym podtrzymywało polskość wśród swoich owieczek, i nawet w świeckich organizacjach polskich pracuje nieraz czynnie i wybitnie. Tymczasem ci księża młodzi po polsku już przeważnie źle mówią, Polski nie znają, a w swych uczuciach narodowych są przedewszystkiem Amerykanami. Takie typy, jak młody kapłan, którego słyszałem w jednem z wielkich miast[1]), wygłaszającego kazanie na dziesięciolecie Polski przepiękną polszczyzną i z obfitemi cytatami z naszych wieszczów — należą dziś już do wyjątków; bo jakże się w tych warunkach mieli urabiać?

Jeszcze mniej danych do wyrobienia zainteresowań w kierunku kultury polskiej niż klerycy — żyjący bądź co bądź przynajmniej razem — miała młodzież rozproszona w drobnych ilościach po świeckich wszechnicach amerykańskich. Często młodzi ludzie polskiego pochodzenia, studjujący w jakimś uniwersytecie, spotykali się i zaznajamiali ze sobą dopiero z okazji moich wykładów o Polsce. W ostatnich czasach, jak już zaznaczyłem, zaczął się wśród tego żywiołu ruch organizacyjny. Ostatnie też czasy dopiero przyniosły jakieś początki reprezentacji Polski wśród przedmiotów nauki w uniwersytetach amerykańskich. Wszelkie studja słowiańskie są po wszechnicach

[1]) Ze względu na karjerę tego zacnego młodego księdza nie wymieniam tu ani jego nazwiska, ani miejsca jego pobytu.

amerykańskich dopiero w zaczątkach: inne emigracje słowiańskie — np. czeska — okazały w tym względzie jeszcze mniej ruchliwości, niż polska. Przedstawiciele slawistyki w tych kilku uniwersytetach, gdzie wogóle istnieją, to przeważnie przygodni slawiści z łaski Boga i losu raczej, niż z fachowego przygotowania: miałem ich przegląd na dorocznym zjeździe neofilologów amerykańskich w Toronto w grudniu 1928 r., gdzie w sekcji slawistycznej mówiłem o literaturze polskiej po wojnie, a na plenarnem zebraniu o problemach uniwersyteckich Europy powojennej w porównaniu z amerykańskiemi[1]). W Toronto tedy przekonałem się, że takie zjawisko, jak profesor G. R. Noyes, twórca szkoły słowiańskiej w Uniwersytecie kalifornijskim, z której dotąd wyszły przekłady „Pana Tadeusza“, „Konrada Wallenroda“, „Irydjona“, „Anhellego“, „Dziadów części trzeciej“, „Trenów“ Kochanowskiego i jego „Sobótki“ i „Odprawy posłów greckich“, — jest zawsze jeszcze zupełnym unikatem. Niemniej chlubny i również jedyny w swoim rodzaju wyjątek stanowi drugi nasz przyjaciel, profesor W. J. Rose, Kanadyjczyk rodem, obecnie wykładający socjologję w Dartmouth College. Pan Rose, spędziwszy lata wojny na ziemiach polskich i przyswoiwszy sobie nasz język, stał się w pierwszych latach powojennych znany wśród całej prawie młodzieży akademickiej polskiej, jako gorliwy pracownik społeczny na terenie studenckim pod egidą Y. M. C. A. W tym samym czasie uzyskał stopień doktora filozofji w Uniwersytecie Jagiellońskim. Jego publikacje angielskie — wybór z „Ojcze Nasz“ Cieszkowskiego (1919),

[1]) Ten mój referat był drukowany w formie dwóch artykułów w washingtońskiem czasopiśmie *Educational Record* (październik 1929). Rzecz o literaturze polskiej po wojnie wyszła w dwóch częściach w *Saturday Review of Literature* w N. Yorku (styczeń — luty 1929).

i obszerna monografja o Stanisławie Konarskim i jego reformie wychowania (1929) — stanowią doniosłe usługi, oddane sławie kultury polskiej w świecie.

Obok profesora Rose, również jako chwalebny wyjątek, wspomnieć należy jego kolegę w Dartmouth, profesora E. P. Kelly. Zaznajomiwszy się z Polską jako przedstawiciel Y. M. C. A. przy armji Hallera pod koniec wojny, p. Kelly później przybył do nas jako pierwszy „wymienny profesor“ z ramienia Fundacji Kościuszkowskiej i w tym charakterze spędził cały rok w Uniwersytecie Jagiellońskim, wygłaszając wykłady o literaturze amerykańskiej i życiu amerykańskiem. Rychło rozkochany w średniowiecznych zabytkach krakowskich, dał po powrocie do Ameryki barwny obraz życia krakowskiego w XV wieku w formie powieści dla młodzieży p. t. „Hejnalista krakowski“ *(The Trumpeter of Cracow,* N. York, Macmillan, 1928). Książka cieszy się niepospolitem powodzeniem [1]), i taki sam sukces na pewno można rokować drugiej powieści p. Kelly, ukończonej po dłuższym pobycie w Wilnie i mającej za tło Wileńszczyznę w ciężkich czasach po r. 1831 *(The Blacksmith of Vilno).*

Obok tych kilku wyjątkowo życzliwych rzeczników naszej tradycji kulturalnej w akademickim świecie amerykańskim mamy dziś w Ameryce nareszcie jeden ośrodek systematycznych studjów akademickich nad kulturą polską, w postaci ufundowanej przez Polonję detroicką katedry literatury polskiej w pobliskim wielkim Uniwersytecie w Ann Arbor. Zajmuje ją od dwóch lat zgórą dr. Tadeusz Mitana

---

[1]) W latach 1928—9 przeszła przez cztery wydania, i autor jej otrzymał złoty medal, nadawany corocznie za najlepszą książkę dla młodzieży w Ameryce. Do tak niezwykłych sukcesów zapewne przyczyniło się rozpowszechnienie książki po domach polskich w Ameryce, gdzie młodzież już woli czytać po angielsku, niż po polsku.

z Krakowa. Traktując uświadomienie publiczności rdzennie amerykańskiej o kulturze polskiej jako główny swój obowiązek, nie zaniedbał jednak i tego drugiego, by skupiać koło siebie młodzież pochodzenia polskiego. Rezultatem wysiłków jego nad tem nader trudnem zadaniem jest żywotność wspomnianej już organizacji akademickiej; widomym zaś owocem jego pracy profesorskiej stał się wydany niedawno przez niego i panią Wells (Amerykankę polskiego pochodzenia) przekład prozą *Mazepy* Słowackiego (1929). Gdy tak koło Detroit tlić się poczęło akademickie ognisko kultury polskiej, wielkie sąsiednie Chicago w swym wspaniałym uniwersytecie (ani w żadnej innej ze swych czterech wszechnic) nie posiada dotąd, prócz katedry historji rosyjskiej, żadnego ośrodka studjów słowiańskich. Majętniejsi obywatele chicagoscy polskiego pochodzenia, tak jak finansowali moje czasowe wykłady o Polsce, tak byliby się zapewne już dawno zdobyli na dotowanie stałej katedry polskiej, gdyby na nią byli mogli znaleźć odpowiedniego kandydata.

Ten brak należytych sił ludzkich stanowi wciąż jeszcze główną trudność, przeszkadzającą krzewieniu wiadomości o Polsce wśród młodego żywiołu polsko-amerykańskiego. „Związek Narodowy Polski“ od ostatniego przewrotu politycznego w swem łonie w r. 1928 okazuje znacznie wzmożoną aktywność i ofiarność w dziedzinie oświaty, zasilił kilkudziesięciu tysiącami dolarów Fundację Kościuszkowską, do tego czasu z trudem zbierającą groszowe datki; stara się uruchomić harcerstwo polskie wśród młodzieży wychodźczej, gorliwie urządza obchody rocznic narodowych, organizuje odczyty i nawet drukuje materjały dla prelegentów. Sprężyną tych działań jest Wydział Oświatowy Związku, pełniący właściwie funkcje polskiego Ministerstwa Oświaty w Ameryce. Wydział obecny rozwija naprawdę intensywną

działalność; ale trzebaby mu całego licznego sztabu pracowników, — których niema skąd wziąć! — by tę działalność na szerszą skalę prowadzić stale.

Tak samo jak Wydział Oświatowy Związku, tak i inne instytucje polskie, mające służyć pozaszkolnemu kształceniu dorosłych, cierpią chronicznie na brak należytych prelegentów. W pogoni za prelegentami znajdują się stale różne Koła odczytowe w Chicago, reprezentujące rozmaite platformy. Prelegentów też stale gorączkowo poszukuje i, gdzie może, chwyta „Polski Uniwersytet Ludowy“ chicagoski, instytucja o dość dawnej już tradycji i licznie uczęszczana, ale stojąca (jak to zwykle bywa) ofiarną pracą kilku zaledwie jednostek (dziś głównie dra Koniuszewskiego).

Obok Wydziału Oświatowego Związku drugą naczelną instytucją kulturalną polską bezsprzecznie stała się w przeciągu kilku krótkich lat swego istnienia wspomniana już tylokrotnie w tej książce Fundacja Kościuszkowska w N. Yorku. Fundacja przez wymianę profesorów, oraz studentów-stypendystów między Polską a Ameryką, ma być głównem ogniwem, pośredniczącem pomiędzy kulturą amerykańską a polską i w ten sposób zrealizować udział Polski w rozwiązaniu największego może światowego problemu dnia jutrzejszego, mianowicie problemu przyszłego stosunku cywilizacji amerykańskiej do europejskiej. Jako narzędzie tak doniosłej misji ogólno-kulturalnej Fundacja powinna być otoczona wielkim splendorem ideowym w oczach każdego Polaka — czyto w Europie, czy w Ameryce, — który sobie należycie zdaje sprawę z głównych zagadnień świata dzisiejszego. Niestety, z tym splendorem ideowym nie idzie w parze odpowiedni splendor materjalny. Dotychczasowe dzieje Fundacji są jednym więcej uderzającym przykładem tego ubóstwa materjalnego i — trzeba dodać! —

ubóstwa kulturalnego naszego wychodztwa, o które już kilkakrotnie zmuszony byłem potrącać. Fundację stworzyła i przy życiu utrzymuje wyłącznie niezłomna energja jednej jedynej osoby — profesora Stefana Mierzwy, który z biednego, wpół-piśmiennego emigranta-wyrostka zdołał się wybić w przeciągu niewielu lat na stanowisko profesora ekonomji politycznej w Uniwersytecie Drake (Des Moines, stan Iowa), i tę katedrę dla pracy organizatorskiej nad Fundacją porzucił. Otóż profesor Mierzwa, postawiwszy sobie za cel uzyskanie na Fundację sumy miljona dolarów, przez kilka lat upornej i niezmordowanej pracy wśród wychodztwa zdobył zaledwie coś ponad sto tysięcy. Przyczynami tak powolnego postępu sprawy były nietylko kolizje z innemi, naglącemi apelami do kieszeni emigranckiej, nietylko trwająca wciąż jeszcze w szerokich kołach bieda wychodźcza, nietylko wreszcie złośliwa i oszczercza kontragitacja różnych antyoświatowych obskurantów, ale, niestety, także brak zmysłu dla doniosłości wyższego wykształcenia u szerokich mas wychodźczych, brak zrozumienia dla tych światowych zagadnień kulturalnych, którym Fundacja ma służyć. Obecnie przez subwencje od Związku Narodowego Polskiego, oraz widoki na inne źródła dochodów sytuacja Fundacji zaczyna się polepszać, ale w osnowie przedstawia tymczasem ciągle jeszcze ten sam niewesoły i wcale niepochlebny dla żywiołu polskiego w Ameryce obraz, że mianowicie zbierany mozolnie grosz odkłada się w całości na tworzenie funduszu żelaznego, a wszystkie bieżące wydatki — a więc koszt prowadzenia biura i koszt toczącej się już, choć w dość skromnym narazie zakresie, akcji stypendyjno-wymiennej i odczytowej — pokrywa dotąd całkowicie szlachetny amerykański opiekun, p. Samuel Vauclain, kierownik fabryk lokomotyw Baldwina w Filadelfji, staruszek pełen zapału

dla Polski i wiary w nią. Zaufanie p. Vauclain'a do Polski i Polaków, jak sam nam opowiedział na śniadaniu Izby Handlowej Filadelfijskiej z okazji rocznicy śmierci Pułaskiego, opiera się, jak na granitowym fundamencie, na prostym, ekonomicznym fakcie, że Polska zawsze regularnie płaciła raty swojego długu za nabyte przez rząd Paderewskiego lokomotywy amerykańskie, — płaciła je nawet w czasie inwazji bolszewickiej i katastrofy inflacyjnej.

Niemniejszą niż ufność p. Vauclain'a w wielką przyszłość Polski jest wiara profesora Mierzwy w rozwój Fundacji i dzieło kulturalne, które ona spełni. Ta wiara przemogła już tysiączne przeszkody materjalne i moralne, i na pewno wkońcu zwycięży. Ale na profesora Mierzwę, jak już miałem sposobność zaznaczyć, poza jego pracą dla Fundacji czekają niemal za każdym węgłem ulicznym różne inne ważne zadania kulturalne polsko-amerykańskie, a innych ludzi prócz siebie do ich pełnienia, choćby się rozglądał wszerz i wzdłuż po całym obszarze Stanów, nie znajdzie. Wszakże w całym świecie profesorskim uniwersytetów amerykańskich poza nim są zaledwie dwa czy trzy polskie nazwiska: jest światowej sławy profesor teorji lotnictwa w Ann Arbor, pan Pawłowski, był tam profesor hydrauliki p. Zwierzchowski, który przeniósł się na szereg lat do Warszawy i teraz dopiero do Ameryki powrócił; jest tamże znany w świecie naukowym, ale z polskością już tylko luźnie związany profesor historji nauk ścisłych, Karpiński; jest w Bostonie młody i nader utalentowany historyk, profesor Franciszek Nowak (b. oficer armji Hallera); jest przybyły niedawno pracownik w Instytucie Carnegie'go w Pittsburgh'u, chemik fizyczny, dr. Szymanowski; jest profesor teologji protestanckiej w North-Western University w Chicago, dr. P. Fox (rodem z pod Cieszyna), gorliwy pracownik w Polskim

Uniwersytecie Ludowym chicagoskim. Ale na tem też już koniec znanych mi nazwisk polskich w amerykańskim świecie naukowym.

Tymczasem budzi się, jak już zaznaczyłem, wśród młodszych Amerykanów pochodzenia polskiego ciekawość bliższego poznania kultury polskiej w jej najwyższych przejawach. Do zaspokojenia tej ciekawości może zczasem się przyczynią siły z pośród wychodztwa samego. Związek Narodowy Polski daje dziś już znaczną ilość stypendjów na kształcenie studentów pochodzenia polskiego po uniwersytetach amerykańskich, Fundacja Kościuszkowska obok rdzennych Amerykanów poczyna wysyłać na studja do Polski stypendystów pochodzenia polskiego.

Ale zanim wyrobione w ten sposób siły staną do pracy, otwiera się tu wielkie pole do działania dla Polski samej. Musimy w najżywotniejszym naszym interesie znaleźć ludzi na eksport do uczenia rzeczy polskich w szkołach średnich wychodztwa i w uniwersytetach. Muszą wśród nieprzejrzanej chmary polonistów i historyków po naszych uniwersytetach znaleźć się jednostki niepośledniej miary, które wezmą na siebie dodatkowy trud wyuczenia się po angielsku (bo to jest nietylko warunek bytu w Ameryce, ale warunek prestiżu u samej Polonji amerykańskiej!), a ponadto jeszcze trud zaznajomienia się z dzisiejszą cywilizacją i psychiką narodową amerykańską, by móc na tamtym gruncie skutecznie pracować. Ludzi takich czekają tam wysiłki prawdziwie syzyfowe: trzeba walczyć na początek z obojętnością znacznej części młodzieży wobec rzeczy polskich i z jej typowo amerykańskiem, czysto praktycznem nastawieniem umysłowem.

Ale zapyta ktoś wkońcu: czy opłaciłby się nam wysiłek dostarczenia Ameryce takich ludzi, gdy nam w kraju ludzi naprawdę nieprzeciętnych tak boleśnie brak? Czy robota

ich przyniosłaby jakikolwiek owoc dla interesów Polski? Czy platoniczne zainteresowanie niektórych obywateli amerykańskich pochodzenia polskiego dla literatury, sztuki lub nauki polskiej ma dla nas rzeczywiście aż tak wysoką wartość, byśmy dla Ameryki takie ofiary w ludziach wybitniejszych ponosili?

Może się mylę, ale odpowiem stanowczo, że tak. Na tle ogólnego dzisiejszego położenia międzynarodowego wydaje mi się, że tu leży dla nas zadanie naprawdę ważne i pilne. Ameryka niepowstrzymanie obejmuje hegemonję w świecie — nietylko gospodarczą, ale i polityczną. Koniecznie trzeba nam wśród jej społeczeństwa pewnego zastępu ludzi, którzy, krwią z nami złączeni, o naszych dokonaniach dziejowych i kulturalnych uświadomieni, ze znaczenia Polski dla świata należycie sobie sprawę zdający, mieliby zarazem w Stanach taki głos i takie stanowiska, by ich zdanie zaważyło na szali opinji amerykańskiej, gdy w Washingtonie i Nowym Yorku rozstrzygać się będą wielkie sprawy, od których nasza przyszłość, może nasz dalszy wolny byt, w znacznej mierze będzie zależał. W szczególności tacy Amerykanie polskiego pochodzenia mogą nam być wysoce pożyteczni i czynem i radą w sprawie nawiązania tych ożywionych stosunków gospodarczych z Ameryką, których, mimo istnienia Izb Handlowych Polsko-Amerykańskich i w Nowym Yorku i w Warszawie, dotychczas jakoś nie umieliśmy należycie zorganizować, dając się prześcignąć w tym względzie nietylko Niemcom, ale także Czechom[1].

---

[1]) Tą bardzo żywotną sprawą jako nie-ekonomista zajmować się tu bliżej nie mogę. Traktuje o niej, o ile mogę sądzić, w bardzo trafny sposób, drugi, również jeszcze drukiem nie ogłoszony memorjał wspomnianego powyżej p. T. Hoinki z Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowej w Nowym Yorku, p. t. „Eksport a państwowa służba ekonomiczna".

Nie chodzi tu wreszcie tylko o nas samych i nasz folwark państwowy polski. Chodzi o przyszłość całego świata europejskiego, którego zawsze czuliśmy się i czynnie nieraz okazaliśmy się organiczną cząstką. Przyszły stosunek Europy do Ameryki jest dziś jednym z naczelnych problemów świata. Do wysiłków światowych nad jego rozwiązaniem w duchu równie pomyślnym dla Europy jak dla Ameryki, w duchu zbawiennym dla całości naszej wspólnej cywilizacji, mamy moralny obowiązek przyczynić się także duchowym trudem polskim, jeżeli chcemy mieć moralne prawo do niezależnego bytu jako wielki naród kulturalny.

## ZAKOŃCZENIE.

# AMERYKA A EUROPA.

Jednem z najwspanialszych dzieł naukowych, jakie Ameryka w ostatnich latach wydała, jest monumentalna dwutomowa praca małżonków Ch. i M. Beard'ów *The Rise of American Civilisation*[1]). Już sam tytuł tej encyklopedycznej historji politycznej i gospodarczej, społecznej i kulturalnej Stanów Zjednoczonych, jest wymownym symbolem faktu, że istnienie osobnej, skonsolidowanej „cywilizacji amerykańskiej" jest dziś rzeczą uznaną i należy do aksjomatów podstawowych pracy socjologicznej i dziejopisarskiej. Amerykanie, mimo wszelkich trudności z asymilacją obcych elementów w łonie swojego społeczeństwa, czują się nietylko w całej pełni narodem, ale odrębnym typem kulturalnym, i to typem tak żywotnym, że promieniuje nawet poza swój kontynent i udziela swych właściwości innym narodom.

W miarę jak po wojnie to promieniowanie z niebywałą przedtem intensywnością poczęło oddziaływać na stare organizmy kulturalne Europy, „cywilizacja amerykańska" i jej stosunek do cywilizacji europejskiej stały się problemem, który musiał coraz poważniej zajmować refleksyjne umysły w Europie. Wśród nastrojów powojennego rozczarowania i zwątpienia, wyrażających się w takich zjawiskach, jak

[1]) Nowy York, Scribner, 1928.

głośne dzieło Spenglera o upadku cywilizacji zachodniej, szczególnie wyraźnie musiał się zarysować niepokój o jedność naszej cywilizacji, zagrożoną przez ten nowy rozwój stosunków europejsko-amerykańskich. Przywykliśmy wszyscy uważać za dogmat myślenia kulturalnego, że cywilizacja śródziemno-morska rasy białej, stworzona (choć nie bez udziału znacznych wpływów ze Wschodu) przez Greków, wcielona społecznie na większą skalę najpierw w Imperjum rzymskie, potem w tę średniowieczną Ligę Narodów, jaką był Kościół katolicki, doskonalona w nowszych wiekach przedewszystkiem przez narody Europy zachodniej i środkowej, rozniesiona głównie przez kolonizatorski naród angielski po innych kontynentach między rasy kolorowe, — że ta cywilizacja przy wszystkich swych odmianach narodowych jest jedną całością i jednakowym dla wszystkich krajów i plemion świata wzorem.

Tymczasem dziś zaskoczeni jesteśmy groźbą rozłamu tej jednolitej dotąd cywilizacji na dwa głęboko różne od siebie systemy. Typ kulturalny amerykański, którego odrębność spotęgowała się przez otchłanne różnice między stanem społecznym i gospodarczym Europy a Ameryki po wojnie — ten typ, to już nie jedna z owych odmian narodowych wspólnej cywilizacji europejskiej, to coś większego i bardziej swoistego. Jego wszechwładza równałaby się postawieniu nowej zupełnie cywilizacji na miejsce starej; zaś dalsze trwanie obecnych różnic byłoby w każdym razie ustaleniem równorzędnej egzystencji i równouprawnienia dwóch cywilizacyj, głęboko rozmaitych między sobą. W obu wypadkach — czy to zupełnej amerykanizacji świata europejskiego, czy coraz ostrzejszego skontrastowania kulturalnego między Starym Światem a Nowym — jednolita tradycja cywilizacyjna przestałaby być ogólnie obowiązującą:

w oczach Amerykanów przy dalszym ich samodzielnym rozwoju cały dorobek duchowy świata klasycznego, średniowiecza katolickiego, odrodzenia, oświecenia, romantyzmu — musiałby się przedstawiać jako muzeum wartości czysto historycznych, nie mających żywego zastosowania. Tak poczęści już jest u tej znacznej ilości Amerykanów, którzy zmysłu historycznego w europejskiem znaczeniu słowa nie mają i wyznają zasadę ujętą przez Henryka Forda w lapidarne słowa: *All history is bunk* („Wszelka historja, to pusta gadanina“).

Nie trzeba zaś zapominać, że takie perspektywy na rozdwojenie świata cywilizowanego mają jeszcze inną, naprawdę już zastraszającą stronę. Jeżeli dwa różne systemy cywilizacyjne mają stać naprzeciwko siebie jako równouprawnione, dlaczego nie ma ich być jeszcze więcej? Skoro świat ma nie być w swej kulturze monistyczny, niech będzie odrazu otwarcie pluralistyczny — *a pluralistic Universe*, by użyć słowa Williama James'a. Powstaje widmo równouprawnienia innych jeszcze cywilizacyj, których dziedzice dziś objawiają nową żywotność polityczną — cywilizacji chińskiej, cywilizacji hinduskiej — a więc cywilizacyj bardzo starych, bardzo czcigodnych, tylko zbudowanych na zupełnie innych filozoficznych fundamentach niż cywilizacja europejska... Na końcu drogi, zaczynającej się od dualizmu europejsko-amerykańskiego, majaczeje zatem straszliwa wizja duchowej wieży Babel — zupełnego chaosu intelektualnego i moralnego wśród ludzkości.

Czy może dzisiejsza Europa i dzisiejsza Ameryka temu niebezpieczeństwu zapobiec? Mogą to uczynić oczywiście tylko jednym sposobem: przez wymianę swych zdobyczy duchowych i połączenie swych oddzielnych skarbców wartości kulturalnych w jeden wielki wspólny skarb dla użytku całej ludzkości.

Czy rzeczy idą ku takiej zbawczej syntezie kultury europejskiej z amerykańską? Europa się amerykanizuje — to wszyscy widzimy i o tem ciągle mówimy. Amerykanizuje się narazie przedewszystkiem powierzchownie i snobistycznie przez jazz, przez film, przez dzienniki, przez naśladowanie obyczaju i stroju Yankesów (do okularów włącznie). Ale amerykanizuje się także głębiej, przyjmując wyższe walory techniczne i higjeniczne ich wielkiej kultury materjalnej, przyswajając sobie w rozwoju i przebudowie swojego przemysłu zdobycze starannej obserwacji i genjalnej pomysłowości amerykańskiej w zakresie usprawnienia aparatu produkcyjnego i ekonomicznego wykorzystania sił ludzkich, przy równoczesnem podniesieniu dobrobytu mas produkujących. Tej amerykanizacji w rzeczach ważnych i istotnych dla całego dzisiejszego bytu społecznego musi być jeszcze daleko więcej, jeżeli Europa ma być uratowaną od straszliwych kataklizmów ekonomiczno-socjalnych, i jeżeli warunki doskonałej syntezy cywilizacyjnej europejsko-amerykańskiej mają być po stronie Europy całkowicie dopełnione. Musimy sobie we wszystkich krajach europejskich uświadomić, że w Ameryce dopiero dokonywa się w całej pełni wielka dziejowa próba urzeczywistnienia demokracji, — w tym sensie mianowicie, że tam pracuje się nad tem, by ze społeczeństwa zrobić w dosłownem znaczeniu wyrazu organizm, by je zorganizować do skoordynowanej i świadomej, jednolitej egzystencji. W przejęciu się solidaryzmem społecznym Ameryki, w przyjęciu w myślenie europejskie przynajmniej pewnej dozy tej zbiorowości w rozumowaniu i działaniu, która tak wybitnie cechuje Amerykanów — leży jedynie możliwe zbawienie nietylko od gangreny partyjnictwa wewnątrz państw, ale od niepokoju bezustannych antagonizmów między państwami.

A jakże teraz przedstawia się druga strona upragnionej syntezy — europeizacja Ameryki? Pewnego stopnia europeizacji potrzeba Ameryce niemniej koniecznie, niż pewnego stopnia amerykanizacji potrzeba Europie. Wspomniany właśnie społeczny solidaryzm amerykański, dochodzący tam do skrajności i jednostronności, grozi zabójczem ujednostajnieniem mózgów a przez to zatratą dla kultury tych pierwiastków twórczych i ożywczych, jakie wynikają z rozmaitości jednostek i ze ścierania się różnych poglądów zasadniczych. Nieubłagany znowuż pragmatyzm myśli amerykańskiej i mechaniczna jej technika (wzorowana na mechanicznej technice przemysłu) przy całej celowości, ścisłości i sprawności takiego myślenia grozi popadnięciem w płytki i płaski utylitaryzm, zatratą polotu i przez to znowu ostatecznie wyjałowieniem i bezdusznością. Oczyszczenie kultury od „nierealnych“ pierwiastków idealizmu filozoficznego i abstrakcji myślowej jest wytępieniem w niej żywiołu humanistycznego, a dehumanizować kulturę znaczy w dosłownem tłumaczeniu czynić ją nieludzką. Amerykanie są dziś w niebezpieczeństwie, że mogą — słowami św. Pawła — „posiąść świat cały, a stracić duszę swoją“. Składnik idealizmu jest tem w atmosferze duchowej, czem tlen w atmosferze bytu materjalnego. Tak jak zużywanie tlenu przez organizm jest właściwie ciągłem samospalaniem się organizmu, ale ta ciągła śmierć jest zarazem istotą życia, tak myślenie idealistyczne można porównać ze samospalaniem się ducha, ale trzeba w niem zarazem uznać główną funkcję twórczą tego ducha. Źródłami zaś idealizmu, niezbędnego w powietrzu duchowem kultury ludzkiej, są dwa czynniki: spekulacja intelektualna i cześć dla historycznego dorobku ludzkości. Z tych dwóch źródeł — intelektualizmu i historycyzmu — Ameryka musi się nauczyć czerpać daleko obficiej niż dzisiaj,

jeżeli jej życie kulturalne nie ma się stać piaszczystą pustynią. A nauczyć się tego może tylko tam, gdzie te źródła i dziś żywo biją, choć na dobrobyt materjalny przyszły dni ciężkiej posuchy — to jest w starej Europie [1].

Ale czy Ameryka chce się u Europy tych potrzebnych rzeczy uczyć z tą samą gotowością, jaką dziś okazuje Europa do uczenia się zarówno potrzebnych jak niepotrzebnych rzeczy amerykańskich?

Trzeba sobie, niestety, otwarcie powiedzieć, że w obecnej chwili — nie.

Sto lat temu najwyższa myśl amerykańska, myśl Emersona, z idealizmu filozofów i panteizmu romantyków europejskich tkała królewską szatę dostojeństwa duchowego dla wielkich powodzeń materjalnych i olbrzymich możliwości rozwojowych narodu amerykańskiego. Później cynizm *business*'u jął się obchodzić bez tej szaty, poprzestając na skrawkach frazesów konwencjonalnych o „służbie społecznej“ i „oczywistem przeznaczeniu“ Ameryki. Dziś, po katastrofie wilsonizmu w opinji publicznej amerykańskiej, gwałtowna reakcja przeciw udziałowi w „europejskich zawikłaniach“ [2]) rozszerzyła się do rozmiarów reakcji przeciw wszelkim tradycjom i prądom europejskim. Przeciętny obywatel amerykański coraz częściej i chętniej podróżuje po

---

[1]) Intelektualizm europejski, a szczególnie intelektualizm francuski — umiejętność rozumowania abstrakcyjnego jako sztukę dla sztuki — w wykwintny i dowcipny sposób zaleca Amerykanom zamieszkały wśród nich od szeregu lat anglista francuski ks. E. Dimnet, w pięknej książeczce *The Art of Thinking* (N. York, Simon & Schuster), która widocznie z racji tak niezwykłego w Ameryce postawienia kwestji miała ogromny sukces i w krytyce i w sprzedaży (1. wyd., listop. 1928, 4 wyd., stycz. 1929).

[2]) *European entanglements* — słowa uświęcone testamentem politycznym Washingtona, zalecającym trzymanie się zdaleka od „krępujących sojuszów“ z państwami europejskiemi.

Europie, rozkoszując się bogactwem i rozmaitością jej krajobrazów i jej zabytków; ale, że temu bogactwu i tej rozmaitości odpowiada bogactwo i rozmaitość kształtowanych od wieków przez narody i przez jednostki wartości duchowych, i że tem bogactwem i tą rozmaitością wartoby użyźnić glebę imponującej jednolitości amerykańskiej, — ta myśl w jego głowie nie postoi. Opanował go właściwy wielkim narodom w chwilach ich najwyższych powodzeń, swoisty mesjanizm, i ten mesjanizm wyładowuje się nie przez dążenie do coraz wszechstronniejszej doskonałości narodowej, lecz przez wyniosłe mentorstwo wobec wszystkich ludów starego kontynentu i ich kultur.

Z takim negatywnym stosunkiem do całej tradycji europejskiej spotykamy się nawet na wyżynach intelektu amerykańskiego. Niedawno temu młody i obrotny literat nowojorski, Waldo Franck, poruszył opinję całego kraju swą książką filozoficzną „Nowe odkrycie Ameryki“ (*The Re-Discovery of America*, N. York, Scribner, 1929), w której wprawdzie daje wyraz głębokiemu niezadowoleniu z kultury amerykańskiej, jaką ona dziś jest, porównując ją z chaotycznym wirem atomów a nie z życiem organicznem, ale odrodzenia spodziewa się z głębi samorzutnej twórczości duchowej Ameryki, bez żadnej pomocy z Europy; bo w Europie widzi jedynie cmentarzysko zamarłych wartości kulturalnych, widzi w niej tylko rozkład, i to już od czasów reformacji, która rozbiła wspaniałą i twórczą jedność duchową średniowiecznego świata katolickiego.

Czy wobec tego sytuacja nie jest beznadziejna? Czy nie należy zrezygnować z marzenia o wzajemnem dopełnianiu się dwóch cywilizacyj — europejskiej i amerykańskiej — i o harmonijnem ich zlaniu się w jedną całość? Czy nie będziemy musieli jednak w Europie poddać się

właśnie w imię jedności cywilizacji poprostu ryczałtowej amerykanizacji świata z wszystkiemi temi jej duchowemi niedostatkami, które nasze oko europejskie jako plamy na słońcu amerykańskiem dostrzega?

Mógłby ktoś, rzuciwszy okiem na mapę świata, odpowiedzieć, że jest jedna oczywista nadzieja na uratowanie jedności cywilizacji bez poświęcenia aktywizmu kultury europejskiej: że mianowicie skutecznym pośrednikiem pomiędzy światem amerykańskim a europejskim i twórcą syntezy obu ich kultur może się stać czynnik leżący w pośrodku między obu temi światami i właściwie organicznie z żadnym z nich nie spojony. Takim czynnikiem jest Wielka Brytanja. W swej polityce powojennej Anglja waha się między orjentacją kontynentalno-europejską (której hołdują konserwatyści, gdy są u władzy), a orjentacją amerykańską (którą praktykuje rządzące obecnie stronnictwo robotnicze). Obie orjentacje odpowiadają pewnym duchowym koniecznościom Anglji. Z jednej strony przecież cywilizacja angielska wyrosła ze wspólnego fundamentu europejskiego i jest jedną z najokazalszych narodowych budowli, na nim się wznoszących. Z drugiej strony rozrzucone po wszystkich morzach i lądach Imperjum Brytyjskie na tym swoim światowym horyzoncie widzi dziś w potędze amerykańskiej najpoważniejszą rywalkę, i w porozumieniu z nią musi upatrywać jedyną możliwą pokojową metodę zapewnienia swej przyszłości. Porozumienie to przy dzisiejszej sile mocarstwowej Ameryki, nie dojdzie do skutku bez znacznych ofiar ze strony Anglji. Ale Anglja, gnębiona dziś w samem swem sercu przez najostrzejsze w swych dziejach przesilenie ekonomiczne, a na peryferji niepokojona przez dążenia odśrodkowe swych białych dominjów i dążenia wyzwoleńcze ras kolorowych — Anglja w tej trudnej sytua-

cji zdaje się być gotową na owe potrzebne ofiary. Być więc może, że w najbliższej przyszłości doczekamy się ostatecznego zażegnania grożącego konfliktu anglo-amerykańskiego i stworzenia gigantycznej koalicji narodów anglosaskich. Koalicja ta musiałaby i w losach Europy kontynentalnej odegrać rolę dominującą, a byłaby przecież równoznaczną z hegemonją zespołu, w którym europejski element angielski łączyłby się w harmonijnem współdziałaniu z amerykańskim, i to przy uczestnictwie współczynników dominjalnych, takich jak kanadyjski, które stanowią coś przejściowego między anglosaksonizmem europejskim a amerykańskim.

Ale nie łudźmy się, że takie możliwe rozwiązanie groźnego dziś problemu rywalizacji politycznej dwóch mocarstw byłoby zarazem rozwiązaniem przedstawionego powyżej dylematu cywilizacyjnego. Na twórców syntezy kulturalnej europejsko-amerykańskiej i pośredników we wzajemnem duchowem oddziaływaniu na siebie tych dwóch światów Anglicy się ponoć nie nadają. Zanadto na to są wyspiarzami. Od Amerykanów dzieli ich pewna widoczna instynktowna niechęć, której nigdy pokonać nie umieją; najlepiej może ją można określić jako niechęć kultury najrdzenniej arystokratycznej do kultury najistotniej demokratycznej na świecie. W stosunku zaś do Europy kontynentalnej, szczególnie do najbliższej sąsiadki, Francji, Anglja mimo wspólnych tradycyj historycznych ma zawsze poczucie obcości, którego żadne wysiłki nie załagodzą: boć chodzi przecież w gruncie o różnicę w całym poglądzie na świat między narodem od wieków żeglarskim, kupieckim, kolonizatorskim, a narodami lądowemi, w znacznie wyższym stopniu skłonnemi do abstrakcji i introspekcji myślowej, niż pochłonięci przez światową działalność ekspansyjną Anglicy.

Znaczyłoby wymagać niemożliwego duchowego zaparcia się siebie samej od rasy angielskiej, gdyby się od niej żądało, żeby wzięła w swe ręce dzieło zharmonizowania dwóch pierwiastków, które oba są od jej natury tak głęboko odmienne, jak pierwiastek amerykański i pierwiastek kontynentalno-europejski.

Nie — zbawienia trzeba szukać chyba gdzie indziej, trzeba go szukać w głębiach samych tych wielkich organizmów kulturalnych, o które bezpośrednio chodzi. Po stronie Europy — to rzecz jasna — do dzieła tworzenia harmonji dwóch kultur powołani są przedewszystkiem ci Europejczycy, którzy Amerykę jako tako poznali, i opowiadając Europie o swych wrażeniach, objawili skłonność nie do tanich entuzjazmów, albo równie tanich drwin, ale do rzetelnego zastanowienia się nad odrębnością cywilizacyjną Ameryki, jej wartościami i wadami. Takich Europejczyków dziś nie brak, i wśród powodzi różnojęzycznych książek o Ameryce, zalewających dziś rynek europejski, sporo już jest takich prac, które stanowią uczciwą pionierską robotę w pożądanym kierunku.

Do tej roboty także bardzo istotnie przyczyniają się instytucje, jak nasza polsko-amerykańska Fundacja Kościuszkowska, tworzące ogniwa między życiem duchowem Ameryki a poszczególnych narodów europejskich. Dzięki takim instytucjom studenci europejscy mogą u samego źródła zgłębiać prawdziwe wartości kultury amerykańskiej, i naodwrót, studenci amerykańscy mogą się zaznajamiać na miejscu z historyczną kulturą europejską w różnych jej przejawach; a profesorowie z obu stron, niosąc przez ocean wieści o swych narodach i ich duchowych dokonaniach, także mają zarazem sposobność rozszerzać swoje widnokręgi intelektualne i wyzwalać się od ciasnego bałwochwalstwa tych form kulturalnych, w których wzrośli.

Mówiąc o instytucjach w rodzaju Fundacji Kościuszkowskiej, mówimy już o oddziaływaniu wzajemnem, o pracy zarówno nad materjałem ludzkim amerykańskim jak i europejskim. Zastanówmyż się teraz specjalnie nad amerykańską stroną zagadnienia. Kto w łonie samego społeczeństwa amerykańskiego mógłby szczególnie skutecznie być pomocnym w osiągnięciu wytkniętego tu celu harmonji kulturalnej obu kontynentów? W Ameryce, mojem zdaniem, po czynnik, zdolny zdziałać coś stanowczego w tej dziedzinie, trzeba sięgnąć do warstwy społecznej, której dotychczas w takich poszukiwaniach nie brano pod uwagę, ani w Ameryce ani w Europie. Zaznaczyłem już, iż zdaje mi się, że główna trudność stworzenia upragnionej harmonji amerykańsko-europejskiej leży w mesjańskiem zapamiętaniu dzisiejszej Ameryki, w jej stanowisku zasadniczo przeciwnem przyjmowaniu jakichkolwiek wpływów duchowych europejskich. Otóż do obudzenia w narodzie amerykańskim zmysłu dla wartości kulturalnych Europy, a przez to do syntezy obu cywilizacyj na warunkach równości, przyczynić się mogą, mojem zdaniem, wybitnie ci Amerykanie, którzy posiedli pełnię narodowej kultury swego kraju i żyją pełnią jego życia społecznego, ale zarazem mają krew europejską po swych emigranckich rodzicach, a z nią — choćby jako wpółświadomy pierwiastek duchowy — tradycję cywilizacyjną europejską. Wśród tego szybko rosnącego dziś zastępu młodzieży amerykańskiej, którym owładnęło gorączkowe jakieś a twórcze niezadowolenie, któremu materjalistyczna kultura amerykańska nie wystarcza, który poomacku szuka podstaw do jakiegoś „renesansu idealizmu“, — wśród tego zastępu odnowicieli Ameryki rolę przodującą odegrać może młoda inteligencja amerykańska pochodzenia obcego: bo ci mogą całej reszcie tego hufca wybranych wskazać, gdzie

znaleźć elementy owego idealistycznego odrodzenia, mogą z głębi swej instynktownej pamięci plemiennej zawołać do nich wergiljańskiem słowem: *Antiquam exquirite matrem!* I mogą u swych współobywateli, współuczniów, rówieśników znaleźć wiarę i oddźwięk, jakich tam nigdy nie znajdzie propagandysta europejski, choćby mówił językami ludzi i aniołów.

Tutaj otwiera się nadspodziewanie wielkie i doniosłe pole do działania, obok młodych Amerykanów z innych europejskich szczepów, także dla młodzieży amerykańskiej, zrodzonej z rodziców polskich, dla tych „Amerykanów polskiego pochodzenia“, którzy dziś studjują po wszechnicach Stanów Zjednoczonych lub już weszli w życie zawodowe, a o których w kraju myśli się i mówi jako „o straconych dla Polski“. Dając folgę tym tęsknotom za kontaktem z wielkiem dziedzictwem duchowem Polski, które wielu z tych młodych Amerykanów dziś widomie poruszają, zgłębiając polskie tradycje kulturalne, głosząc potem wśród swego otoczenia amerykańskiego chwałę naszego dorobku kulturalnego jako części splendoru duchowego Europy, ci Amerykanie polskiego pochodzenia mogą oddać usługi o epokowem znaczeniu, nietylko powadze międzynarodowej Polski, ale wielkiej ogólnoświatowej sprawie. Mogą stanąć wśród budowniczych pomostu przez tę wielką otchłań, szerszą i głębszą od Atlantyku, jaka się w naszych oczach między Europą a Ameryką rozwiera. Że zaś wychodztwa naszego jest przeszło cztery miljony, że go jest więcej, niż wielu innych żywiołów europejskich w Ameryce, więc i wśród owych budowniczych przyszłości może być większy kontyngent jednostek krwi polskiej niż innej, żywioł polski może mieć walniejszy, niż inne, udział w rozwiązaniu wielkiego problemu kulturalnego.

Polska zaś sama, stara ojczyzna ich ojców, jeżeli tym łodym Amerykanom przez pomoc kulturalną ułatwi przyotowanie do spełnienia owej doniosłej misji pośredniczącej, może się okryć tą chwałą, że będziemy jednym z głównych czynników w pokonaniu bodaj najważniejszego i najtrudniejszego zadania, jakie cywilizowanej ludzkości nasz XX wiek zgotował.

Tak więc w perspektywach zaatlantyckich zarysowuje się jakby jeden ostateczny biegun możliwych przyszłych działań kulturalnych naszej zmartwychwstałej Rzeczypospolitej na widowni światowej. Drugi biegun wskazała nam oddawna historja. Leży on w Rosji, — tej Rosji, po której jeszcze niewiele lat temu, w samej erze niewoli i pognębienia naszego narodu, tak szeroko się rozlewała fala duchowego wpływu i kulturalnej twórczości polskiej. Polska położeniem geograficznem i doświadczeniem dziejowem tradycją ideową bardziej niż inne narody jest do tego powołana, by wziąć przodowniczy udział w pokojowem odzyskaniu Rosji jutrzejszej dla cywilizacji europejskiej, we wciągnięciu jej w orbitę jedności kulturalnej świata.

Czy jest zuchwalstwem wyobraźni, czy jest megalomanją narodową przedstawiać sobie tę odrodzoną Polskę z jednem skrzydłem swego ducha wyciągniętem poprzez Atlantyk w kierunku Ameryki, a drugiem rozpostartem ponad przestrzeniami Rosji aż hen ku Pacyfikowi, — i na tych dwóch skrzydłach zdążająca orlim lotem w dal wielkich przeznaczeń cywilizacyjnych, które mogą być jej udziałem w dalszych dziesięcioleciach XX wieku?

Może myśleć tak, nie znaczy nic innego, jak stawiać przed własnym narodem cele dostatecznie wielkie, by były godne najwyższych jego wysiłków. Ponieważ zaś przeszłość nas uczy, iż właśnie w chwilach potężnych prób dziejo-

wych naród polski na największe natężenie ducha twór czego i najszczytniejszy heroizm ofiarny zdobywać się umiał więc wolno może w każdym razie spodziewać się tego, że Polska nietylko własnem swem życiem państwowem w najbliższej przyszłości godnie pokierować potrafi, alle że w rozwiązaniu wielkich zagadnień, stojących przed całą cywilizowaną ludzkością, niepośledni weźmie udział.

# NOTATKA BIBLJOGRAFICZNA.

Oprócz książek o Ameryce, wymienionych na str. 17 i 18, oraz kilku innych, przytoczonych przygodnie w różnych miejscach tekstu, korzystałem jeszcze z następujących nowszych publikacyj:

A. Brož (redaktor *Central European Observer*): *The America of To-Day* (w serji *The English-Speaking World*, Nr. 2, nakładem *Anglo-American Club Union of Czechoslovakia*, Praga 1929). W tejże serji wyjdzie niebawem:

Dr. J. Uher: *On American Education*. (Z pracy tej, dzięki uprzejmości autora, mogłem korzystać w rękopisie).

A. Feiler: *Amerika und Europa*. (Frankfurt a. M., Sozietäts-Druckerei, 1929).

E. E. Kisch: *Paradies Amerika*. (Berlin, E. Reiss, 1930).

Lewis Mumford; *The Golden Day, a Study in American Experience and Culture*, N. York, Boni & Liveright, 1926.

*International Association for the Study and Improvement of Human Relations in Industry:* sprawozdanie o kongresie w Cambridge w r. 1928, tom I, sekcja amerykańska. (Treść: H. S. Pearson, *Scientific Management*. — W. V. Bingham, *Industrial Psychology*. — C. R. Mann, *Education and Industry*. — W. J. Donald, *Personnel Administration*. — F. C. Thorne, *Labor Movement*. — Glenn A. Bowers, *Social and Economic Background*. — L. M. Gilbreth, M. van Kleeck, Glenn A. Bowers: *Summary*).

# TREŚĆ.


Str.

·zedmowa . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 3
'stęp: Ameryka w świecie dzisiejszym . . . . . . . . . . . . 7
I. Rozległość i rozmaitość . . . . . . . . . . . . . . . . . 23
II. Miasta . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 33
II. Problem wsi i rolnictwa . . . . . . . . . . . . . . . . . 59
V. U podstaw dobrobytu amerykańskiego . . . . . . . . . . . 65
V. Warunki materjalne życia a psychika ludności . . . . . . . . 99
VI. Polityka . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 131
II. Prawo . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 159
II. Religja . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 171
X. Moralność . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 185
X. Literatura . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 201
XI. Z życia uniwersyteckiego . . . . . . . . . . . . . . . . 217
II. O naszem wychodztwie . . . . . . . . . . . . . . . . . . 261
ıkończenie: Ameryka a Europa . . . . . . . . . . . . . . . . 317